

ROSJANIN

BATTLEFIELD

3

ANDY
MCNAB

oraz PETER GRIMSDALE

Andy McNab
oraz Peter Grimsdale

BATTLEFIELD 3
ROSJANIN

przełożył
Przemysław Bieliński

Tytuł oryginału
Battlefield 3: The Russian

Copyright © Electronic Arts Inc. 2011
"Battlefield 3™" is a trademark of EA Digital Illusions CE AB
This edition first published in Great Britain in 2011 by Swordfish
an imprint of the Orion Publishing Group Ltd
Orion House, 5 Upper St Martin's Lane, London WC2H 9EA
An Hachette Livre UK Company
www.orionbooks.co.uk

The moral law of the authors has been asserted

Przekład: Przemysław Bieliński

Redakcja: Tomasz Brzozowski

Redakcja i korekta: Maria Brzozowska, Dominika Pycińska,
Lidia Kowalczyk

Skład i przygotowanie do druku: Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2012
Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN-13: 978-83-61428-73-2



Insignis Media
ul. Sereno Fenna 6/10, 31-143 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 2519
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Dla Lawrence'a

Spis treści

[Prolog // Bejrut, sierpień 1991](#)

[1 // Moskwa, 2014](#)

[2 // Kwatera główna GRU, Moskwa](#)

[3 // Al-Sulajmanijja, granica irackiego Kurdystanu i Iranu](#)

[4 // Moskwa](#)

[5](#)

[6 // Akwarium, Moskwa](#)

[7 // Granica irackiego Kurdystanu i Iranu](#)

[8 // Wyższa Szkoła Dowódcza Wojsk Powietrznodesantowych, Riazań, Rosja](#)

[9 // Granica irackiego Kurdystanu i Iranu](#)

[10 // Riazań, Rosja](#)

[11 // Granica irackiego Kurdystanu i Iranu](#)

[12 // Riazań, Rosja](#)

[13 // Przestrzeń powietrzna Azerbejdżanu](#)

[14 // W pobliżu Bazarganu, północny Iran](#)

[15 // Wysunięta Baza Operacyjna Spartakus, iracki Kurdystan](#)

[16 // Bazargan, północny Iran](#)

[17](#)

[18 // WBO Spartakus, iracki Kurdystan](#)

[19 // Bazargan, północny Iran](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23 // Asara, na północ od Teheranu](#)

[24 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu](#)

[25 // Niawaran, północno-wschodni Teheran](#)

[26](#)

[27 // Centrum Teheranu](#)
[28 // Śródmieście Teheranu](#)
[29](#)
[30](#)
[31 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu](#)
[32 // Niawaran, północno-wschodni Teheran](#)
[33 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37 // Północno-zachodni Teheran](#)
[38](#)
[39](#)
[40 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu](#)
[41](#)
[42 // Góry Elburs, na północ od Teheranu](#)
[43 // Przestrzeń powietrzna nad północnym Teheranem](#)
[44 // Góry Elburs, na północ od Teheranu](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55 // Szosa Teheran-Tebryz, północny Iran](#)
[56 // Góry Elburs, na północ od Teheranu](#)
[57 // Autostrada Teheran-Tebryz, północny Iran](#)
[58 // Pod Tebryzem](#)
[59 // Irańska przestrzeń powietrzna](#)
[60 // WBO Spartakus, iracki Kurdystan](#)
[61 // Przestrzeń powietrzna nad północnym Iranem](#)
[62](#)

[63 // Azerbejdżan](#)
[64 // WBO Spartakus, iracki Kurdystan](#)
[65 // Droga do Moskwy](#)
[66 // Moskwa](#)
[67 // Bagdad, Strefa Zielona, Irak](#)
[68 // Moskwa](#)
[69](#)
[70 // Kostnica Rienska, Moskwa](#)
[71](#)
[72](#)
[73 // Fort Donaldson, USA](#)
[74](#)
[75 // Moskwa](#)
[76 // Fort Donaldson, USA](#)
[77](#)
[78 // Paryż](#)
[79](#)
[80 // Fort Donaldson, USA](#)
[81 // Paryż](#)
[82 // Fort Donaldson, USA](#)
[83 // Paryż](#)
[84 // Fort Donaldson, USA](#)
[85 // Paryż](#)
[86](#)
[87 // Departament Bezpieczeństwa Krajowego, Nowy Jork](#)
[88 // Paryż](#)
[89 // Nowy Jork](#)
[90 // Paryż](#)
[91 // Nowy Jork](#)
[92 // Paryż](#)
[93 // Nowy Jork](#)
[94 // Paryż](#)
[95](#)
[96 // Nowy Jork](#)
[97 // Paryż](#)
[98](#)

99 // Nowy Jork

100 // Paryż

Epilog

Od autora

W przeszłości wielokrotnie zgłaszały się do mnie różne firmy produkujące gry komputerowe. Do tej pory zawsze im odmawiałem, ale okazji pracy dla DICE przy grze *Battlefield 3* po prostu nie mogłem zaprzepaścić. Wiązała się bowiem nie tylko ze współpracą ze światowej sławy twórcami gier; od samego początku było jasne, że *BF3* będzie wyjątkowa, że będzie miała w sobie coś, czego inne nie mają. Jedyne określenie, jakie przychodzi mi tu do głowy, to „esencja”. *BF3* nie zapowiadała się na prostą strzelankę – obecne w niej emocje, zaciętość i porażający realizm miały zapewnić graczom zupełnie nowy poziom interakcji.

Na początku zespół projektantów poprosił mnie o pomoc w posplataniu różnych wątków fabuły, tworzącej kolejne poziomy gry. Wymyślałem, jak może potoczyć się akcja, a także – co ważniejsze – wynajdywałem powody, dla których może pójść właśnie w takim, a nie innym kierunku. Doradzałem, jak mówią, działają i myślą żołnierze. Postaci w grze musiały posługiwać się odpowiednimi słowami i odmianą charakterystyczną dla prawdziwych żołnierzy. Słowa takie jak „może”, „spróbujemy” albo „postaramy się” w żołnierskim świecie nie istnieją. My mówimy: „zrobisz to”, „zrobię to”, „zrobimy to”. W dialogach posługujemy się wyłącznie stwierdzeniami, bo żołnierz musi być przekonany o wszystkim, co robi. W końcu stawką jest czyjeś życie, nie ma więc miejsca na niepowodzenie.

Drugim aspektem mojej roli była współpraca z grafikami i troska o to, żeby wszystko, co widzicie i słyszycie podczas gry, robiło odpowiednio autentyczne wrażenie. Całymi godzinami rozmawialiśmy o tym, jak ludzie i maszyny poruszają się pod względem taktycznym i jak wyglądają; pilnowaliśmy nawet tego, by podeszwy żołnierskich butów były brudne i zużyte. Pustynny obóz atakowany w grze przez amerykańskie czołgi jest dokładnym odtworzeniem obozu na granicy iracko-irańskiej, nad którym

przelatywałem cztery lata temu. Autentyczność detali jest bardzo ważna, bo mózg człowieka świetnie wychwytyje wszelkie nieścisłości.

Trzecim moim zadaniem było pomaganie aktorom i kaskaderom w studiach *motion capture* oraz dbanie o to, by postaci w grze poruszały się tak, jak ci, którzy przez całe życie posługują się bronią i walczą. Aktorom tłumaczyłem także ich kwestie, żeby mogli odpowiednio oddać uczucia takie jak strach, gniew i determinacja, obecne przy wypełnianiu zadania.

Battlefield 3 jest najlepszą grą, jaka kiedykolwiek powstała, bo daje uczestnikowi poczucie bardzo głębokiego, autentycznego uczestnictwa w wirtualnym świecie. Były amerykański dowódca czołgu, gdy ją zobaczył, stwierdził, że jest lepsza niż wszystkie symulatory, na których ćwiczył, i że przypomina mu wojnę w Iraku. W pozytywnym sensie.

Ale gra to tylko jedno okienko do świata *BF3*. Drugim jest ta książka. Uznałem, że powieść jest naturalnym rozwinięciem gry, w której niedopowiedzianych pozostało jeszcze tak wiele historii. Książka opisuje losy Dmitrija „Dimy” Majakowskiego, byłego rosyjskiego żołnierza Specnazu, który trafia do świata pozbawionego pewników komunistycznej dyktatury, której do tej pory służył.

Dimy za jego rolę w *BF3* z pewnością nie nagrodzi żadna organizacja humanitarna, jest on jednak postacią, obok której nie da się przejść obojętnie. Ta powieść pozwoli wam spojrzeć na wszystko z jego perspektywy i być może zrozumieć decyzje, które podejmował w najtrudniejszych z możliwych sytuacji.

Mam nadzieję, że spodoba wam się zarówno gra, jak i niniejsza książka. Myślę, że bardzo dobrze się nawzajem uzupełniają.

Andy McNab

Prolog // Bejrut, sierpień 1991

Postawili ich w stan gotowości o szóstej rano. Moskwa odezwała się dopiero o piętnastej, w najgorętszym czasie dnia, w najgorętszym miesiącu, w najgorzej chyba klimatyzowanym hotelu w Bejrucie. Ale taki właśnie był styl GRU: nigdy nie omieszkali człowieka zawieść. Dima zsunął nogi z łóżka i poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Podniósł słuchawkę. Z odległości dwóch tysięcy kilometrów dobiegł go napięty głos Paliowa.

– Gotowi?

– Od dziewięciu godzin.

– Czerwony peugeot, jordańskie tablice.

– Gdzie?

Pauza.

Dima wyobraził sobie Paliowa, jego biurko w Moskwie zarzucone notatkami i teleksami, wszystkie z pieczątką „pilne – ściśle tajne”.

– Cztery przecznice od hotelu Chaladziego, Majestic Palace, parking przy miejscu wybuchu bomby.

– Bardzo to pomocne. Połowa miasta jest po wybuchach bomb.

– W hotelu jest cała irańska delegacja atomowa, więc będzie się tam roiło od ich ochrony. Ale nie wolno im wychodzić poza teren. Mamy informację, że Chaladzi jest gotowy. Nie będziecie mieli żadnych problemów.

– Zawsze tak mówicie i zawsze mamy.

Paliow westchnął.

– Zapewniam cię, że wszystko jest przygotowane. Chaladzi jest przekonany, że Amerykanie chcą go przejąć, więc nie będzie się opierał. Wsiadajcie i jedźcie. Powiedzcie mu, że tuż za granicą czeka samolot, i pokażcie mu dokumentację, tak jak ustaliliśmy. Kiedy już będziecie w drodze, to nawet jeśli domyśli się, kim jesteście, cóż będzie mógł zrobić? Miejcie tylko strzykawkę pod ręką.

Chemiczna pałka: typowa recepta GRU na wszystkie kłopoty.

– A jeśli pojawi się jakiś problem?

– To go zabijcie. Lepiej, żeby cudowne dziecko irańskiej atomistyki nie żyło, niż wpadło w ręce Amerykanów.

Paliow rozłączył się.

Dima odłożył słuchawkę i popatrzył na Salomona.

– Jest rozkaz.

Salomon siedział po turecku na swoim łóżku. Przed nim leżały części amerykańskiego colta 45. Nie zareagował, popatrzył tylko ponuro – jak zwykle. Był młody – miał dwadzieścia lat – lecz emanował inteligencją, która onieśmielałaby u kogoś dwukrotnie starszego. Kiedyś Dima był jego mentorem, ale teraz Salomon mentora już nie potrzebował. Dima czuł się w jego towarzystwie stary i bezużyteczny – a nie powinien się tak czuć tuż przed misją. Przez kilka sekund obaj milczeli, słuchając szumu wentylatora, mielącego pod sufitem gęste miejskie powietrze. Przy oknie hałaśliwa mucha daremnie usiłowała uciec przed powolną, lepłą śmiercią na kleistej taśmie. Na ulicy ryczały klaksony, którymi bejrucy kierowcy dawali wyraz swojej frustracji bezustannymi korkami. Nagle, bez ostrzeżenia, twarz Salomona wykrzywił pozbawiony wesołości uśmiech.

– Wiesz, na co czekam najbardziej? Na moment, kiedy Chaladzi zrozumie, że nie leci do raju wolności. Chcę zobaczyć jego minę.

Nie po raz pierwszy Dima poczuł się zaniepokojony zachowaniem swojego podopiecznego. Martwiła go zwłaszcza przyjemność, jaką Salomon czerpał z nieszczęść innych. Ponadto było to jego pierwsze zadanie polowe w GRU; jakim cudem zachowuje taki spokój? – zastanawiał się Dima. Wstał, poszedł do łazienki, ukradkiem łyknął wódki z butelki w kosmetyczce. Odrobinę, byle przetrwać kilka następnych godzin. Wrócił do pokoju, wziął swoją czterdziestkę piątkę. Schował ją do kabury. Salomon zmarszczył brwi.

– Czyściłeś go?

– Tak.

Salomon podniósł lufę swojego pistoletu i obejrzał ją po raz enty.

– Tyle tu pyłu. Poza tym czterdziestki piątki lubią się zacinać.

Mądrała, pomyślał Dima. To o amunicję powinni się martwić. Lewe naboje ze słabym ładunkiem. Dlaczego w ogóle muszą używać tego amerykańskiego badzewia? Paliow miał obsesję na punkcie kamuflażu. Zresztą – nieważna broń, byle info się zgadzało.

Zerknął na magazynek i naboje. Salomon naciął na krzyż czubek każdego pocisku. Używał amunicji grzybkującej z metalowym płaszczem dla zmaksymalizowania obrażeń. Dima miał nadzieję, że nikt dzisiaj nie będzie strzelał.

– Do roboty.

Wzięli taksówkę, opła o karoserii z różnokolorowych płatów. W środku śmierdziało potem i drugim śniadaniem taksówkarza. Salomon siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, jak nastolatek obrażony na rodziców, że każą mu wynieść śmieci.

– Gdybyśmy byli z CIA, mielibyśmy własny samochód i osobistego kierowcę – powiedział swoim perfekcyjnym amerykańskim angielskim. – I własną sieć radiową.

– Może wybrałeś złą stronę.

Salomon nic nie odpowiedział, jakby tak właśnie uważał.

– Spójrz na to inaczej. – Dima stuknął się w pierś. – Przynajmniej będziemy mogli zatrzymać te koszulki polo z napisem. I spodnie.

Klepnął Salomona w udo.

– Tak, prosto z suku, uszyte przez siedzącego po turecku przy maszynie do szycia dzieciaka, który powinien być w szkole. Są tak amerykańskie jak felafel.

– Chaladzi nie zauważy. To fizyk.

– Był kiedyś w Ameryce. A ty nie.

Dima popatrzył na Salomona z wyrzutem. Bezcelność chłopaka już raz omal nie zakończyła jego szybkiej kariery w Specnazie. Od samego początku wszyscy spodziewali się po nim samych kłopotów. Cały czas popełniał niezręczności, wciąż pyskował swoim wykładowcom, zawsze miał własne, lepsze pomysły. Skarżono się na niego Dimie, Paliowowi, potem znów Dimie. Dima mógł mieć pretensje tylko do siebie. To on znalazł Salomona, to on wypatrzył go na spieczonych słońcem zboczach nad Kandaharem w ostatnich dniach daremnej, rosyjskiej okupacji. Salomon należał do wielkiej diaspory chłopców, którzy garnęli się do Afganistanu, żeby walczyć z Imperium Zła. Dima, działający pod przykryciem, dostrzegł potencjał chłopaka i zwerbował go. Spokój Salomona, jego wewnętrzna dyscyplina, zdumiewające zdolności językowe i bezwzględność były bardzo pożądane. GRU go potrzebuje, Rosja go potrzebuje – przekonywał Dima. Dobrze – powiedzieli. Kiedy skończy dwuletnią służbę, jest twój. To był pierwszy

przydział Salomona i Dima miał pewne wątpliwości.

Wysiedli z taksówki kilka przecznic od hotelu, minęli go, znaleźli zbombardowany parking. Krótki spacer w lepkim smogu sprawił, że Dima spływał potem. Nigdzie nie było widać peugeota, ale po drugiej stronie ulicy wypatrzyli mały bar. Jak przyciągany magnesem, Dima poszedł prosto do niego, rzucił na ladę pięć dolarów i zamówił podwójną.

– Co dla ciebie?

Salomon czał się przy drzwiach.

– Tylko wodę.

– Masz w ogóle jakieś nałogi?

Salomon rzucił mu puste spojrzenie, które zdawało się mówić: „A wyglądam?”, i Dima znów poczuł się nieswojo.

Na półce nad barem stał mały, czarno-biały telewizor. Na ekranie – Gorbaczow; wypuszczony z aresztu domowego, ale wykastrowany, upokorzony. Kiedyś wielka nadzieja – dziś zupełnie bezradny. Związek Radziecki walił się wokół niego w gruzy, rewolucja, którą rozpoczął, wymknęła się spod kontroli. Dokąd to wszystko miało ich zaprowadzić? Patrząc w przyszłość, Dima widział tylko chaos. Co stało się z wielkim, socjalistycznym marzeniem, które obiecywał Salomonowi przy werbunku?

– Może Chaladzi pomoże nam wrócić na szczyt. – Klepnął wybrzuszenie pod kurtką. – Pomyśl tylko: przenośne ładunki jądrowe.

Salomon nie wychwytał ironii. Pierwszy raz tego dnia zaświeciły mu się oczy. Słowa Dimy rozпалиły jego wyobraźnię, podobnie jak wcześniej Paliowa i resztę kierownictwa w Moskwie. Dima rzucił na bar jeszcze jeden banknot i zamówił to samo.

Ostrzegął Paliowa, że będą problemy, a teraz, kiedy peugeot pojawił się w jego polu widzenia, zobaczył, jakie konkretnie. Samochód nadjechał wolno ulicą i prawie się zatrzymał, kiedy jednym kołem wpadł w dziurę w jezdni. Był wyładowany ponad swoje możliwości.

– Kurwa. On tam wiezie całą swoją rodzinę.

Samochód miał świeże zadrapanie do gołej blachy wzdłuż całego boku, a narożna końcówka przedniego zderzaka była wygięta do przodu, jakby zaczepił nią o inny pojazd. Kierowca skręcił niezdarnie i wjechał na chodnik, uderzając podwoziem w krawężnik.

– Zaczekaj – syknął Dima do Salomona, który już chciał przejść przez ulicę. – Musimy sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

Druga wódka nie weszła mu za dobrze.

Po przeciwnej stronie ulicy widzieli Chaladźiego za kierownicą, obok jego żonę, jak rozglądają się spanikowani.

Tyle w temacie planu A, pomyślał Dima. Jaki, do cholery, był plan B?

Ulicą nikt więcej nie nadjechał. Dima i Salomon ruszyli w stronę samochodu. Chaladźi wyskoczył, kiedy tylko ich zobaczył. Był żylastym mężczyzną o chudej szyi, wystającej ze zbyt dużego kołnierzyka koszuli.

– Cześć, cześć. Tutaj!

Facet nie ma pojęcia! Dima gestem pokazał, żeby Chaladźi uspokoił się i wsiadł z powrotem do peugeota. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że na tylnym fotelu siedzi gromadka dzieci.

Dima poczuł, że zawartość jego żołądka zmienia ułożenie.

– Będziemy musieli ich zabić – powiedział Salomon. – Najpierw go uśpimy. Potem wyciągniemy wszystkich z samochodu. Nie będzie wiedział, co się stało.

Kolejne, kurwa, fiasko. Dima czuł, że to jego wina, bo zgodził się na udział w misji, ale miał wielką ochotę zwalić wszystko na Paliowa. Nie umiał odmawiać – zwłaszcza ostatnio, kiedy szlag trafił wszystkie dawne gwarancje zatrudnienia.

Chaladźi wsiadł z powrotem do samochodu, opuścił szybę. Wytrzeszczył oczy. Jedno z dzieci z tyłu płakało.

– Panie Chaladźi, jestem Dave – powiedział Dima.

– Dave... – powtórzył Chaladźi i zmarszczył brwi, jakby wypróbowywał to imię. – W wiadomości była mowa o Deanie.

Cholera, pomyślał Dima. Jak się umówili? Dave, Dean, Dima, niewielka różnica. Kłębiły mu się myśli. Może ta wódka to nie był jednak najlepszy pomysł? A może powinien był walnąć trzecią...

Żona wychyliła się zza męża, spojrzała na Dimę spod czarczafu.

– Czuć od niego wódką – warknęła do Chaladźiego w farsy.

Nagle obok Dimy pojawił się Salomon, odsunął go od okna samochodu i uśmiechnął się szeroko jak nigdy przedtem.

– Cześć, ludziska, jak leci? Jestem Dean, zabierzemy was stąd do punktu docelowego. Proszę pani, bardzo proszę wysiąść z samochodu, dzieci też.

Jeśli zamierzał powiedzieć coś jeszcze, Dimie nie dane było tego usłyszeć, Chaladźiemu też nie, bo to, co nastąpiło, sprawiło, że ich krucha historyjka straciła sens. Na środku ulicy zahamowały z piskiem opon dwa nowe, choć

zakurzone chevrolety suburbany. Otworzyło się osiem par drzwi i ze środka wysiadło ośmiu białych mężczyzn, w T-shirtach, krótkich spodenkach i okularach przeciwsłonecznych. Wszyscy uzbrojeni. Czterech ruszyło do przodu, pozostali ich kryli. Dwaj kryjący wycelowali w Dimę. Żona Chaladziego wrzasnęła tak głośno, że Dimie zadzwoniło w uszach.

Salomona już obok niego nie było. Wraz z nadejściem kłopotów zniknął między zaparkowanymi autami.

– Ręce do góry, kowboju – krzyknął jeden z mężczyzn w okularach, a potem, na wszelki wypadek, powtórzył to samo po arabsku.

Dima wyszarpnął swoją czterdziestkę piątkę, wycelował, strzelił, chybił, znów wycelował – i pistolet mu się zaciął. Ułamek sekundy później broń zniknęła mu z ręki, z której w tej samej chwili trysnęła krew. Strzał jankesa skutecznie go rozbroił. Dima padł na ziemię, a Amerykanie podbiegli do samochodu z drugiej strony, otworzyli drzwi i wyciągnęli rodzinę Chaladziego na łono demokracji. Dima przeklął Paliowa za jego głupie, źle zaplanowane i niedoposażone misje; przeklął czterdziestkę piątkę, jedną czy dwie wódki za dużo, a na koniec – całe swoje gówniane życie.

Coś poruszyło się między zaparkowanymi datsunem a mercedesem – Salomon, za samochodami, wybierający pozycję. Pod podwoziem peugeota Dima zobaczył, że jeden z Amerykanów idzie w jego stronę. Nie ryzykowali. Sprawną prawą ręką wyciągnął berettę z lewej kieszeni spodni i strzelił Amerykaninowi w stopę – akurat, kiedy ten ją podniósł.

Usłyszał trzask drzwi. Amerykanie wycofywali się.

– Rodzina bezpieczna. Wszystko gotowe. Zwijamy się!

Lepiej, żeby zginął, niż wpadł w ręce Amerykanów. Dima nie powiedział tego Salomonowi. Nie musiał. Salomon wiedział. Tamte kule, ta rodzina... Amerykanin, w którego stopę Dima właśnie chybił, wyskoczył przed niego. Kanciasta szczęka, wąsy jak u Zapaty, lustrzane okulary.

– Jebany komuch.

Mężczyzna podniósł swój M9, wycelował. Powietrze między nimi eksplodowało.

Amerykanin upadł na kolana. Na jego czole pojawił się krater po kuli, która weszła przez potylicę i przegryzła się na wylot. Ułożył usta w idealne „o”, jakby chciał coś zaśpiewać. Znieruchomiał tak na chwilę, a potem runął na Dimę, przygniatając go; zawartość roztrzaskanej głowy wylała się Dimie na twarz.

Następne dwa strzały Salomona.

Znów wrzaski i krzyki...

– ...wypierdalamyalejuż!

Trzaski drzwi, wściekły pisk opon.

A potem cisza.

Salomon ściągnął trupa z Dimy, wytarł mu twarz podrabianą koszulką polo.

Dima wypuścił powietrze z płuc.

– Zdjąłeś Chaladziego, co? Nie pozwoliłeś im go zabrać, prawda?

Solomon powoli pokręcił głową.

– Jak to?

Chłopak szturchnął stopą trupa Amerykanina.

– Miałem do wyboru: albo Chaladzi, albo on.

Dima potrzebował kilku sekund, żeby dotarło do niego, co powiedział Salomon.

– Uratowałeś mi życie.

Salomon nic nie odrzekł, popatrzył tylko z pogardą. W końcu kiwnął głową.

– Tak. Dałem dupy.

1 // Moskwa, 2014

Dima otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, ani z jakiego powodu. Powiedzieli, że telefon może zadzwonić w każdej chwili. Było tuż po trzeciej. Głos Bułganowa był ochrypły ze zmęczenia. Poinformował Dimę, gdzie i kiedy. Zaczął objaśniać drogę, ale Dima mu przerwał.

- Wiem, gdzie to jest.
- Tylko nie spierdol sprawy, dobrze?
- Nie mam w zwyczaju. Dlatego mnie wynajęliście.

Rozłączył się.

Czwarta trzydzieści, głupia pora na wymianę dziewczyny na walizkę pieniędzy, ale to nie on tu decyduje. Pamiętaj: jesteś tylko kurierem – poinstruował go Bułganow, siłąc się na spokój.

Dima zadzwonił do Krolla, powiedział mu, że za dwadzieścia minut. Wziął zimny prysznic; zmusił się, żeby nie wyskoczyć spod wody, dopóki nie spłucze z siebie ostatnich resztek snu. Wytarł się, ubrał, wypił red bulla. Ostatni raz sprawdził walizkę. Pieniądze wyglądały w porządku: amerykańskie dolary, pięć milionów, zawinięte w folię. Ceny za córki oligarchów poszły w górę. Bułganow chciał użyć fałszywek, ale Dima się sprzeciwił – żadnych sztuczek albo nici z układu. Przy jego majątku to były drobne, co nie powstrzymało go od próby wykiwania porywaczy. Jak się przekonał Dima, bogacze potrafią być bardzo wredni – zwłaszcza ci starzy, dawni Sowieci. Ale Czeczeni podali cenę. Kiedy pocztą przyszedł palec, Bułganow zmiękł.

Dima założył puchową kurtkę. Nie miał kamizelki kuloodpornej, nie widział sensu. Była dodatkowym ciężarem, a jeśli chcieliby go zabić, celowałiby w głowę. Nie brał też broni palnej ani noży. Przy takich wymianach najważniejsze było zaufanie.

Oddał w recepcji kartę-klucz. Ładna brunetka za biurkiem nie uśmiechnęła się, zerknęła tylko na torbę.

– Daleko pan jedzie?

– Mam nadzieję, że nie.

– Zapraszamy ponownie – powiedziała zupełnie bez przekonania.

Ulica, wciąż ciemna, była pusta, nie licząc zasp starego śniegu. Dima lubił śnieg w Moskwie, ale świeży, który wyglądał ostre krawędzie, zakrywał brud i śmieci, czasami pijaków. Ale teraz był kwiecień i zamarznęte resztki zalegały na chodnikach jak długie, kręte umocnienia; podobne uczono go sypać w szkole wojskowej. Wysokie, szare gmachy niknęły w nisko wiszących chmurach. Może zima wcale się jeszcze nie skończyła?

Zobaczył poobijane bmw, słabe światło reflektorów odbijało się od tafli lodu. Samochód z lekkim poślizgiem zatrzymał się przed Dimą. Wyglądał, jakby sklecono go z kawałków kilku niechętnych dawców – auto-frankenstein.

Kroll wyszczerzył wesoło zęby.

– Pomyślałem, że przypomni ci utraconą młodość.

– Którą jej część?

Dimie nie trzeba było niczego przypominać: gdy nie miał nic do roboty, zalewały go falami wspomnienia o dawnych czasach; dlatego właśnie robił, co w swojej mocy, żeby unikać beczynnych chwil. Kroll wysiadł, otworzył bagażnik i wrzucił do niego torbę, a Dima usiadł za kierownicą. W środku zalaływało kiszoną kapustą i dymem. Trojki. Kroll nigdy nie zapaliłby marlboro, lubił ekstrakcję karcynogenów w rosyjskim tytoniu. Dima obejrzał się na podartą tylną kanapę: karimata, pudełka po fast foodzie i kałasznikow; wszystko, co niezbędne do życia.

Kroll wsiadł, zobaczył jego minę.

– Mieszkasz w tym pudle?

Kroll wzruszył ramionami.

– Wyrzuciła mnie.

– Znów? Myślałem, że dotarło to do ciebie już za pierwszym razem.

– Moi przodkowie żyli w jurtach; widzisz, robimy postępy.

Dima mówił, że to nomadzka, mongolska krew Krolla niszczyła jego życie rodzinne, ale obaj wiedzieli, że chodziło o coś więcej – o to, że Kroll przeżył zbyt wiele: za dużo widział, zbyt wielu zabił. Szkolenie Specnazu przygotowało ich do wszystkiego – poza normalnością.

Ruchem głowy wskazał tylny fotel.

– Wiesz, Katia ma swoje wymagania. Jak to zobaczy, to może postanowić zostać u porywaczy.

Wrzucił bieg i ruszyli; samochodem zarzuciło na lodowej brei.

Katia Bułganowa została wyciągnięta w biały dzień ze swojego cytrynowego maserati metalik, samochodu, który równie dobrze mógł mieć wytłoczone na masce: „Bierzcie mnie, mój tata jest bogaty!”. Ochroniarz dostał kulkę w łeb, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje. Jeden ze świadków twierdził, że widział nastoletnią dziewczynę z kałasznikowem. Inny opisał dwóch mężczyzn w czerni. Tyle w temacie świadków. Dima nie współczuł przesadnie ani Katii, ani jej ojcu, ale Bułganow nie potrzebował współczucia, nie chciał też wyłącznie odzyskać córki. Chciał odzyskać córkę oraz zemścić się: „Wiadomość dla półświatka: ja się w tańcu nie pierdołę. A kto potrafi ją przekazać lepiej niż Dima Majakowski?”.

Bułganow też był w Specnazie, należał do pokolenia ludzi, którzy odsłużyli już swoje, a potem, w czasach prywatnej inicjatywy Jelcyna, poszli na własne. Dima nimi gardził, ale nie aż tak, jak tymi, którzy przyszli potem: szarymi, nudnymi mikromenadżerami. Kuszczyn, jego ostatni szef, powiedział mu: „Źle to rozegrałeś, Dima. Trzeba było bardziej nad sobą panować”.

Dima nad sobą nie panował: podczas pierwszego przydziału, w Paryżu, jako student-szpieg w osiemdziesiątym pierwszym, odkrył, że dyrektor jego placówki zamierza przejść na stronę Brytyjczyków. Dima wziął sprawy w swoje ręce i dyrektora wyłowiono z Sekwany. Policja stwierdziła samobójstwo. Ale branie spraw w swoje ręce nie zawsze spotykało się z aprobatą. Wiele osób na górze uznało, że przedobrzył, i Dima trafił do Iranu, gdzie szkolił Gwardię Rewolucyjną. W Tebryzie, blisko azerskiej granicy, na jego zmianie dwaj rekruci zgwałcili córkę kazachskiego robotnika, wędrującego za pracą. Mieli zaledwie po siedemnaście lat, ale ich ofiara – o cztery mniej. Dima wyciągnął z łóżek cały oddział, żeby wszyscy zobaczyli, co się stanie; kazał im stanąć tak blisko, by widzieli twarze chłopaków. Każdemu po dwa strzały w skroń. Od tamtej pory jego oddział przodował w dyscyplinie. Później, w Afganistanie, w ostatnich miesiącach okupacji, był świadkiem, jak rosyjski żołnierz otworzył ogień do samochodu pełnego francuskich pielęgniarek. Bez powodu – spił się do nieprzytomności miejscowym świństwem. Dima wpakował kapralowi kulę w szyję, kiedy ten

jeszcze strzelał; gdy upadał, pociski smugowe trafiały już tylko w niebo.

Może gdyby okazał większą powściągliwość, byłby jeszcze przynajmniej w Specnazie, w nagrodę za lata poświęcenia i bezwzględności trafiłby na jakąś cywilizowaną placówkę, gdzie mógłby wykorzystać swoją znajomość języków. Nie wspominając już o możliwości odzyskania odrobiny człowieczeństwa. Ale zdrada Salomona w dziewięćdziesiątym czwartym zniszczyła reputację Dimy. Ktoś musiał wziąć winę na siebie. Czy mógł to przewidzieć? Wtedy – nie. Teraz, patrząc z perspektywy czasu, być może. Jedyna pociecha – skończył z piciem, a to była jego najtrudniejsza misja.

Ulice o tej porze były prawie puste, tak jak całymi dniami w czasach jego dzieciństwa. W zalewie importowanych SUV-ów moskiewskie szerokie aleje straciły swój splendor. Na moście Krymskim zrobił się korek – buick staranował poobijaną ładę. Drzwi otwarte, dwóch krzyczących mężczyzn, jeden z łomem w ręku. W zasięgu wzroku ani jednego policjanta. Dwaj pijacy zataczali się po chodniku, zetknięci głowami jak syjamskie bliźnięta, nad nimi w mroźnym powietrzu unosiły się opary alkoholu. Kiedy dotarli do bmw, przystanęli i zaczęli się gapić. To byli ludzie z przeszłości; mieli pewnie najwyżej po pięćdziesiąt lat, ale ich twarze były tak zniszczone wódką i nędzną dietą, że wyglądali o wiele starzej. Sowieckie twarze. Dimę ogarnęło nagle nieprzyjemne poczucie braterstwa – nie żeby tamci o tym wiedzieli. Jeden z nich coś powiedział. Nie było go słychać przez szybę, ale Dima odczytał z ruchu ust: „Imigranci”.

Kroll postukał go w ramię; właśnie zmieniło się światło.

– A właściwie dokąd jedziemy?

Dima odpowiedział. Kroll prychnął.

– Nieźle. Mieszkańcy sprzedali szyby z okien, więc zarządca zabił je sklejką.

– Kapitalizm. Sami przedsiębiorcy.

Kroll go nie słuchał.

– Fakt, w Moskwie jest więcej miliarderów, niż w jakimkolwiek innym mieście na świecie. A dwadzieścia lat temu nie było tu nawet jednego milionera.

– Dziś może i jest ich wielu, ale raczej nie w tej okolicy.

Mijali rzędy identycznych bloków, pomników robotniczego rajy, teraz zamieszkałych przez zaćpanych i umierających.

– Nagrobki na cmentarzu olbrzymów – powiedział Kroll.

– Daj sobie spokój z tą poezją, dla mnie to nieco za wcześnie.

Zaparkowali między wywróconą do góry kołami wołgą, leżącą na dachu niczym chrząszcz na grzbiecie, a mercedesem z wypalonym przedziałem pasażera. Bmw wpasowało się idealnie.

Wysiedli. Kroll otworzył bagażnik i sięgnął do środka. Dima go odsunął.

– Uważaj na kręgosłup.

Wyjął walizkę i postawił ją na kółkach.

– Spora waliza.

– Spora forsa.

Dima podał Krollowi telefon. Kroll klepnął się w ramię, gdzie w kaburze tkwiła baghira.

– Na pewno chcesz tam iść goły?

– Najprawdopodobniej mnie przeszukają. Poza tym im zaimponuję.

– Aha, chcesz zagrać twardziela. Trzeba było tak mówić od razu.

Popatrzyli po sobie spojrzeniem, które mówiło, że może być tym ostatnim.

– Dwadzieścia minut – powiedział Dima. – Jeśli dłużej, idziesz po mnie.

Winda nie działała, drzwi miała uchylone, między nimi tkwił zgnieciony wózek sklepowy. Dima schował wysuwaną rączkę walizki i podniósł bagaż. Na schodach śmierdziało szczynami. Nawet o tej porze cały budynek huczał od rapu i domowych awantur. Gdyby przyszło do wymiany ognia, nikt by nawet nie zwrócił na to uwagi. Minął go chłopiec, najwyżej dziesięcioletni, z płaskim grzbietem nosa i nalanymi policzkami, zdradzającymi alkoholowy zespół płodowy. Z kieszeni bluzy z kapturem wystawała mu kolba pistoletu, a na gołej, białej dłoni widniał tatuaż ze smokiem.

Chłopak przystanął, zerknął na torbę, potem na Dimę, zastanawiając się nad czymś. Oto kwiat postsowieckiej młodzieży, pomyślał Dima. Przyszło mu do głowy, że może jednak powinien był zabrać broń. Chłopiec, nie zmieniając wyrazu twarzy, poszedł dalej.

Metalowe drzwi do mieszkania zahuczały głucho, kiedy w nie załomotał. Nic. Załomotał raz jeszcze. W końcu uchylły się na pół metra, ukazując lufy dwóch pistoletów, miejscowy odpowiednik wycieraczki z napisem „witaj”. Dima cofnął się, żeby tamci zobaczyli walizkę. Obaj mieli twarze zakryte kominiarkami. Odsunęli się, wpuszczając go do środka. W mieszkaniu było ciemno; świece na stole świeciły upiornym blaskiem. W suchym, gorącym powietrzu wisiał odór smażeniny i potu.

Jeden z mężczyzn przystawił Dimie pistolet do czoła, a drugi, niższy,

obszukał go, przy okazji ściskając mu genitalia. Dima powstrzymał się całą siłą woli, żeby go nie kopnąć. Wysłał surowe polecenie swojej nodze, rozkazując jej pozostać na ziemi, a sam w tym czasie gromadził tyle informacji, ile tylko mógł. Niższy mężczyzna miał prawdopodobnie pod trzydziestkę, był leworęczny, utykał na lewą nogę, która wyginała się niezgrabnie, prawdopodobnie po zranieniu w podbrzusze albo biodro. Dobrze wiedzieć. Drugi, wyprostowany i wysoki, blisko dwumetrowy, wyglądał na młodszego i sprawniejszego, ale będąc terrorystą, źle się odżywił i zaniedbał ćwiczeń. Widok ich twarzy bardzo by Dimie pomógł, ale w swoim zawodzie nauczył się oceniać charaktery po ruchach i mowie ciała. Maską była oznaka słabości, to jeszcze jedna przydatna wskazówka. A lekkie drzenie wycelowanego w niego pistoletu to wynik braku doświadczenia.

– Wystarczy.

Głos dobiegł z półmroku, z głębi pomieszczenia, po nim zaś rozległ się cichy, nowotworowy śmiech, z miejsca rozpoznawalny. Oczy Dimy przyzwyczały się do ciemności. Pokój był pusty, nie licząc niskiego stołu, na którym zauważył świecę, pudełka po pizzy, trzy puste puszkę po bałtice, dwa stare pistolety automatyczne APS Stieczkina i kilka zapasowych magazynków. Za stołem stała wielka, czerwona, plastikowa kanapa, wyglądająca, jakby trafiła tu z taniego burdelu.

– Postarzałeś się, Dima.

Kanapa zaskrzypiała. Wacaniew dźwignął się na nogi, pomagając sobie laską. Dima ledwie go poznał. Włosy miał siwe i potargane, lewą połowę twarzy pokrywały rozległe oparzenia; ucho prawie zniknęło pod błyszczącą, czerwoną blizną, sięgającą łukiem kącika ust. Wacaniew puścił laskę i rozłożył ramiona, rozstawiając sękaty palce. Dima podszedł, dał się objąć. Wacaniew ucałował go w oba policzki, potem się odsunął.

– Niech ci się przyjrzę. – Szcherzył się szeroko, brakowało mu połowy górnych zębów.

– Przynajmniej spróbuj zachowywać się jak terrorysta. Mówisz jak moja babka.

– Masz zaczątki siwizny.

– Przynajmniej mam jeszcze wszystkie zęby i oboje uszu.

Wacaniew zarechotał i pokręcił głową; jego czarne oczy prawie schowały się w fałdach policzków. Dima widywał ludzi we wszystkich stadiach między życiem a śmiercią – Wacaniew wyglądał na bliższego tego drugiego.

Westchnął przeciągle i przez chwilę znów byli towarzyszami, zjednoczonymi Sowietami, braćmi broni w walce o Wielką Sprawę.

– Historia nie była dla nas łaskawa, Dima. Wypijemy za dawne czasy?

Teatralnym gestem Wacaniew wskazał opróżnioną do połowy butelkę na stole.

– Ja już nie piję.

– Zdrajca.

Dima spojrzął w prawo i zobaczył dwa trupy – dwie kobiety na wpół przykryte dywanem – u tej, która jeszcze miała twarz, dostrzegł przesadny makijaż jak u lalki.

– Kto to?

– Poprzednie lokatorki. Zalegały z czynszem.

Wrócili do terażniejszości. Wacaniew odsunął się i odsłonił skulony kłębek na kanapie.

– Pozwól, że przedstawię ci naszego gościa.

W Katii z najwyższym trudem można było rozpoznać dziewczynę ze zdjęć w kolorowych czasopismach, które pokazano Dimie. Zszargana bluza z kapturem praktycznie zakrywała jej twarz – niezdrowo płamistą, spuchniętą od płaczu i wyczerpania. Gałgan bandaża na lewym palcu wskazującym był szary, zwieńczony brązowoczerwoną plamą. Spojrzała pustymi oczami na Dimę, a on poczuł dziwne ukłucie żalu.

– Może wstać? Nie zamierzam jej nieść po tych schodach.

Wacaniew zerknął na dziewczynę.

– Chodzi i mówi, i może teraz ma lepsze pojęcie o tym, jak żyje druga połowa.

Katia skupiła wzrok na Dimie, po czym jej spojrzenie wolno przesunęło się na drzwi po lewej i wróciło na niego. Zapamiętał, żeby jej potem podziękować – jeśli miało być jakieś „potem”.

Wskazał walizkę. Chciał, żeby jak najszybciej zaczęli liczyć.

– Zrobiłeś się chciwy na starość, Wacaniew. A może to twoja emerytura?

Wacaniew popatrzył na pieniądze i z namysłem pokiwał głową.

– Tacy jak ja i ty, Dima, nie przechodzą na emeryturę. W przeciwnym razie co byś tu robił, w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze, o tak nieludzkiej porze?

Patrzyli na siebie przez chwilę, zniknęły dzielące ich lata. Wacaniew złapał Dimę za ramię.

– Dima, Dima! Musisz iść z duchem czasu. Świat się zmienia. Zapomnij o przeszłości, zapomnij nawet o teraźniejszości. To, co nadchodzi, wszystko zmieni. Uwierz mi.

Zakaszłał chrapliwie, ukazując puste dziąsła tam, gdzie kiedyś były zęby.

– Nadeszło to, co Amerykanie nazywają Końcem Czasów. Ale to nie to, co mają na myśli. Nie będzie tu żadnego Boga, to na pewno. Cztery litery: L, W, R, O. Pora odświeżyć swój farsi, przyjacielu.

Służyli razem w Iranie podczas wojny z Irakiem, jako towarzysze i rywale. Dima zorganizował uwolnienie Wacaniewa z rąk Irakijczyków, ale ci zdążyli wcześniej przetrącić mu kręgosłup i powyrywać paznokcie. Pozostawali ze sobą w kontakcie jeszcze po rozpadzie Związku Radzieckiego, ale Wacaniew zapadł się pod ziemię, kiedy Rosjanie zajęli Grozny. Teraz stali twarzą w twarz w mieszkaniu martwej dziwki, najemnik i terrorysta – przedstawiciele dwóch profesji, zyskujących rosnącą popularność.

Nagle Dima obrócił się. Dwaj w kominiarkach podskoczyli. Schylił się, rozpiął walizkę, a potem zamaszystym gestem cinkciarza pokazującego towar odrzucił wieko, odsłaniając równo ułożone dolary. Bułganow chciał je dostać z powrotem, ale to mogło być już zadanie dla Krolla. Kominiarki patrzyły z zachwytem. Dobrze, kolejne oznaki niewinności. Wacaniew nawet nie rzucił okiem.

– Nie przeliczysz?

Wacaniew zrobił urażoną minę.

– Uważasz, że nie ufam staremu towarzyszowi?

– To pieniądze Bułganowa, nie moje. Na twoim miejscu obejrzałbym każdy banknot. Z obu stron.

Wacaniew uśmiechnął się na ten żart i skinął głową na swoich chłopaków, którzy uklękli i zaczęli ochoczo wyciągać ciasno upakowane pliki. Atmosfera w pomieszczeniu trochę się rozluźniła. Dima zobaczył, że spod dywanu, którym przyrzucano martwe dziwki, wylała się ciemna plama.

Niższy Czeczen schował pistolet, ale drugi położył swój na podłodze obok siebie. Niecałe dwa metry od Dimy. Dima żałował, że nie wie, kto lub co jest w drugim pokoju, ale – teraz albo nigdy.

– Muszę się wysikać. Gdzie jest kibel?

Skoczył do przodu, jakby potykając się o stół, który przewrócił się na bok. Upadł ciężko na młodszego mężczyznę. Ten złożył się wpół jak książka. Ładując, Dima sięgnął oburącz po pistolet na podłodze; jedną ręką namacał

spust, drugą przeładował i, nie podnosząc broni, strzelił do wyższego, raniąc go w udo. Trafiony odskoczył w tył, wystawiając się lepiej na strzał. Nasada jego nosa eksplodowała krwawymi strzępami. Nie wyciągając pistoletu spod siebie, Dima strzelił w krocze mężczyzny, na którym leżał; poczuł szarpnięcie i tamten znieruchomiał. Natychmiast przetoczył się po otwartej walizce z pieniędzmi do kąta po przekątnej pokoju od otwartych drzwi. Obejrzał się i zobaczył, że kanapa jest pusta. Wacaniew zgiął się nad przewróconym stołem, próbował laską sięgnąć jeden z pistoletów. Dima stracił całą sekundę; resztki poczucia braterstwa powstrzymywały go od naciśnięcia spustu. W końcu opanował się i wpackował Wacaniewowi kulę w bark.

Katii nigdzie nie było widać. Musiała uciec do drugiego pokoju. Schowała się tam, czy została wciągnięta? Dima nie musiał długo czekać. Dziewczyna pojawiła się w drzwiach, z głową odchyloną do tyłu i twarzą ściągniętą w konwulsjach strachu. Tuż za nią – druga twarz, na wpół ukryta, jeszcze młodsza. Nie było wątpliwości, kto to: te same czarne oczy co u ojca, tyle że osadzone w ślicznej buzi porcelanowej lalki. Dima szybko skalkulował: córka Wacaniewa, Nisza, jego jedyne dziecko, urodzone przez ostatnią żonę, musiała mieć... szesnaście lat. Miała wybór, mogła polecieć do Ameryki z matką, wkrótce poszłaby na Harvard. Tymczasem była tutaj, wciągnięta w desperackie plany ojca. Dima zerknął na Wacaniewa; tamten patrzył szeroko otwartymi oczami na córkę, stojącą za pieniędzmi, których już nigdy nie dane będzie mu wydać.

Dima spojrział Niszy w oczy. Chowiała się za Katią, jedną ręką mocno trzymała zakładniczkę za włosy, drugą przystawiała jej do gardła nóż do chleba. Minęło pół sekundy. Dima już to przerabiał. Miewał cele młodsze niż Nisza. Ośmiolatek w północnym Afganistanie, trzymający kałasznikowa, jakby był z nim zrośnięty; dziewczynka, wyszkolona snajperka, wysłana, żeby zabić własnego ojca – informatora. Zapędził ją w kąt na dachu, budynek za nimi płonął, a on po raz ostatni spróbował ją nakłonić do zmiany stron. Ale ona jasno dała do zrozumienia, że brzydzi ją taki pomysł, i uparła się, że bez walki się nie podda.

Kolejne pół sekundy. Nie było tu żadnej alternatywy, żadnej możliwości perswazji czy negocjacji. Kiedyś jej ojciec był dla niego jak brat; Dima trzymał nawet Niszę na rękach, gdy była mała. Najlepsze, na co mogła liczyć, to że Dima nie ma już tak dobrego oka, jak kiedyś, i że trafi Katię, a wtedy

wszyscy będą zbiegami.

Dima podniósł rękę. Przyszło mu to z ogromnym trudem, jakby walczył z jakimś podziemnym polem siłowym. Nisza stała trochę na lewo od Katii, z twarzą w połowie schowaną za swoją zakładniczką. Dima strzelił w bok, domyślił się, że Nisza wskoczy za swoją ludzką tarczę, a potem wystrzelił drugi raz na prawo od głowy Katii, trafiając Niszę w ruch. Dziewczyna puściła zakładniczkę, która osunęła się w przód, sama zaś poleciała w tył, w ciemność. Dima posłał jeszcze jedną serię do drugiego pokoju, a potem, przeszedłszy przez chaos śmieci, szczątków i martwych ciał, wziął Katię na rękę.

W nagle zaległej ciszy usłyszał szybki oddech jednego z Czeczenów. Odwrócił się, gotowy posłać mu kulę, kiedy z zewnątrz dobiegło go szuranie czyichś nóg. Podniósł wzrok w chwili, gdy drzwi do mieszkania eksplodowały. Trzy lufy kałasznikowów, tuż za nimi trzy sylwetki: twarze zupełnie niepotrzebnie uczernione, nowe hełmy i kamizelki kuloodporne, nietknięte jeszcze żadną akcją. Antyterrorystów wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego, słynący z niekompetencji. Zamarli na widok tego, co zastali. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Jest tam – powiedział Dima, wskazując Wacaniewa, ale nie odrywając wzroku od mężczyzn. Słyszał, jak Wacaniew próbuje wstać, jak ochryple szepcze: „Dima, Dima, nie pozwól im mnie zabrać”.

Jeden z antyterrorystów podszedł bliżej, opuszczając broń.

– Dima Majakowski, idziesz z nami.

– Z czyjego polecenia?

– Dyrektora Paliowa.

– Jestem aresztowany?

– Nie, jesteś umówiony.

– Mógłbym zgłosić się później? Jestem trochę zajęty.

W drzwiach za nimi pojawił się Kroll.

– Przepraszam, nie dałem rady cię uprzedzić. Mam zabrać towar?

Na słowo „towar” jeden z antyterrorystów utkwiał wzrok w pieniądzach. Szturchnął drugiego, który zmierzył wzrokiem Katię jak część zdobyczy. Dima rąbnął go w twarz jego własną bronią. Drugi zastanawiał się właśnie, czy zaryzykować ciepłą posadkę za walizę pełną dolarów, więc Dima miał dość czasu, by wbić mu kolbę kałasznikowa w krocze.

Obejrzał się na Wacaniewa i skinął mu głową. Spojrzał na pozostałych.

– Jeszcze chwilę.

Obrócił się z powrotem do starego towarzysza i wpakował mu kulkę w głowę.

2 // Kwatera główna GRU, Moskwa

Paliow czytał raport, zaginając i odginając róg kartki. Dwoma palcami drugiej ręki masował czoło, jakby próbował wygładzić siatkę pokrywających je zmarszczek. Obwisła skóra pod jego oczami przypominała Dimie worki, które nosiły zimą na pyskach konie w gospodarstwie, gdzie pracowała kiedyś jego matka. Wielkie, puste biurko miało być wyznacznikiem statusu Paliowa, ale Dima uznał, że wywiera wrażenie przeciwne do zamierzonego. Szef Bezpieczeństwa Operacyjnego wydawał się za nim mały i pomarszczony.

Incydent w mieszkaniu miał miejsce zaledwie dwie godziny temu, ale pośpiesznie sporządzona dokumentacja miała chyba ponad dwadzieścia stron. Paliow studiował, zdawałoby się, każde słowo, marszcząc przy tym brwi. Dima zaproponował mu streszczenie.

– Żeby oszczędzić ci cennego czasu, dyrektorze... Było tak: weszliśmy, odbiliśmy dziewczynę, uratowaliśmy forszę, wszystkich zastrzeliliśmy. Koniec.

– Wacaniew mógł mieć cenne informacje.

– Niby jakie?

Paliow rzucił gniewne spojrzenie znad raportu. Tego Dima się nie spodziewał. Typowe: sprzątasz ich bałagan, a oni nagle dochodzą do wniosku, że przydałby im się ktoś, kto został już zapakowany do lodówki z karteczką na dużym palcu u nogi. Zresztą z tego człowieka i tak niczego nie zdołaliby wydobyć. Czy nic do nich nie docierało?

Zaśmiał się.

– Gdybyśmy mu obcięli drugie ucho? Obcinali jeden po drugim te jego krzywe paluchy? Moglibyście obdrzeć mu ze skóry ręce i nogi, i jaja, podać mu jego własnego fiuta na blinach; nic by wam nie powiedział. Na Boga, to przecież Czeczen!

– Do tego dochodzi sprawa moich ludzi. Jak to wyjaśnisz?

– Co wyjaśnię?

To zaczynało się robić męczące. Dima nie oczekiwał medalu i zwartych szeregów Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Sankt-Petersburskiej, ale czy Paliow nie mógł chociaż udawać, że jest wdzięczny?

– Poinformowano mnie, że zostali zaatakowani i bez powodu pobici.

Dima z trudem nad sobą zapanował.

– Rusz wyobraźnię. Kiedy już ci dowcipnisie by mnie tu dostarczyli, wydymaliby dziewczynę i zniknęli z forszą. Powinieneś mi pogratulować, że oczyściłem was ze skorumpowanych elementów.

Czy naprawdę nie przyszło mu to do głowy? Paliow skurczył się za biurkiem jeszcze bardziej. Dima rozejrzał się po gabinecie. Pierwszy raz był w nowym „Akwarium” GRU, otwartym przez samego Putina w 2006 roku i rozmyślnie umiejscowionym tak, by było z niego widać stare. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła ta nazwa – bo z całą pewnością nie można było zajrzeć do środka. Jedna z teorii głosiła, że to podobno tutaj narodził się waterboarding. Jak by nie było, mimo prób upiększania przeszłości, nazwa przylgnęła.

Obecność zagranicznych mebli i nowinek technologicznych biła w oczy: włoskie krzesło, komputery Apple, na ścianie lekko wyblakła kopia portretu Piotra Wielkiego pędzla Nattiera. A przy oknie – żywa roślinka. Ściągnięty po latach agent mógłby się zastanawiać, do jakiego trafił kraju. Prawdę zdradzały mleczne szyby od wewnątrz i smrodek kiszonej kapusty w klimatyzowanym powietrzu.

Dima ruchem głowy wskazał grubą teczkę pod nosem Paliowa.

– Jeśli to naprawdę raport z zajścia, gratuluję waszemu personelowi umiejętności kreatywnego pisania. Cały ten incydent trwał krócej niż czytanie o nim.

Paliow nie odpowiedział, spuścił wzrok, wznowił lekturę. Dima żałował, że nie udało mu się złapać po drodze jakiegoś śniadania. Sześć trupów, dwóch rannych, a nie było jeszcze wpół do dziesiątej. Kiedy wyszli z bloku, czekał na nich opancerzony GAZ – przynajmniej on był rosyjski – i urzędowe audi z migoczącym na dachu niebieskim kogutem. Ze środka wyskoczyło dwóch następnych typów, którzy rzucili się, by pomóc Krollowi z walizką. Ten próbował im to wyperswadować paroma ciosami, ale przekaz nie dotarł, więc Dima musiał kilka razy rąbnąć nimi o samochód, a jednemu, który złapał Katię, przytrzasnąć rękę klapą od bagażnika.

Dima zabrał terenówkę i dostarczył Katię oraz pieniądze wdzięcznemu ojcu. Przynajmniej tu klient był zadowolony. Zachęcił Krolla, żeby wziął sobie audi. Auto było z najwyższej półki – miało podgrzewane fotele i audio firmy Bose, a nawet urocze kółko beżowej skóry na uchwycie zapalniczki – ale Kroll powiedział, że samochód jest dla niego zbyt krzykliwy, a poza tym rozbrojenie nadajnika byłoby sporym zawracaniem głowy.

Było jeszcze ciemno, więc Dima włączył syrenę i koguta, dzięki czemu mógł pojechać pod prąd – metafora jego całego życia, jak się nad tym zastanowić. Przyszło mu do głowy, żeby odpuścić sobie spotkanie z Paliowem, ale zwyciężyła ciekawość. Jego dawni zwierzchnicy od lat już niczego od niego nie chcieli, dziwne, że w ogóle go pamiętali. Na słynnej „zaporze przeciwczołgowej” strażnik przepuścił GAZ-a, nie sprawdzając nawet, kto siedzi za kierownicą. Szokujące niedopatrzenie. Dima zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla zastępcy sekretarza do spraw spinaczy biurowych, czy kogoś w tym rodzaju. Zawahał się dopiero, kiedy zameldował się w recepcji i zobaczył zboląłą minę ładnej recepcjonistki. Chodzi o to miejsce parkingowe? Miał już na końcu języka jakąś uszczypliwą uwagę, kiedy kobieta powoli wskazała głową całościennie lustro. Dima miał twarz wciąż spryskaną kropelkami krwi jednego z eksplodujących bandziorów – z pierwszej partii.

– Przepraszam – powiedział. – Ciężki poranek.

Recepcjonistka sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę chusteczek dla niemowląt. Dima uśmiechnął się.

– Na pewno się pani przydadają.

– Codziennie. – Spojrzała na niego psotnie dużymi, piwnymi oczami. – Mam bliźniaki.

Przez krótką chwilę Dima zastanawiał się, czy nie mówiła przypadkiem o parze smakowitych piersi, napierających na jej bawełnianą bluzkę. Kolejny powód, by nie iść na spotkanie: szybki numerki na biurku z nawiązką wynagrodziłyby mu brak śniadania. Wytarł twarz i ruszył do windy, w podziękowaniu podnosząc rękę z chusteczką.

Paliow skończył czytać, zdjął okulary i potarł powieki kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał, żeby to, co właśnie przeczytał, zniknęło. Potem spojrzał na Dimę i pokręcił głową.

– Ile Bułganow ci zapłacił?

– To była przysługa. Przez wzgląd na dawne czasy.

– Ach, dawne czasy. – W oczach Paliowa pojawiło się tęskne spojrzenie, jakby wspominał swoje pierwsze ruchanie, które mogło mieć miejsce przed oblężeniem Leningradu, jeśli nie przed samą rewolucją.

– Stare, dobre czasy. Musimy się kiedyś spotkać i powspominać przy paru butelkach.

Do gabinetu bez pukania wszedł mężczyzna: szczupły, żylasty, spięty, tuż po czterdziestce, w szytym na miarę, angielskim garniturze. Paliow zaczął się podnosić, ale garnitur machnął ręką.

– Nie przeszkadzajcie sobie.

Dima rozpoznał Timofiejewa, szefa Departamentu Obrony i Bezpieczeństwa Wewnętrznego, politycznego zwierzchnika Paliowa. Timofiejew nachylił się gwałtownie i wyciągnął do niego rękę; spod mankietu wysunął mu się tag heuer. Sekretarz należał do nowego miotu aparatczyków, na których zachodnie gadzety wyglądały prawie normalnie.

– Dobrze, że pan przyszedł. Mam nadzieję, że nie oderwaliśmy pana od innych zadań.

– Tylko od śniadania.

Paliow skrzywił się, ale Timofiejew roześmiał się serdecznie, jak każdy dobry polityk; w odpowiedzi na to Paliow spróbował się uśmiechnąć, ale twarz wykrzywiła mu się tylko w nienaturalnym grymasie.

– Właściwie, panie sekretarzu, Dima Majakowski nie jest obecnie na naszej...

– A, freelancer – przerwał mu Timofiejew, angielskie słówko wymawiając bez śladu akcentu. – Znane jest panu to określenie?

– Tak, panie sekretarzu – odparł Dima po angielsku.

– Niezależny, lojalny wyłącznie w stosunku do siebie. Czy powiedziała by pan, że to o panu, panie Majakowski?

– Tylko to pierwsze – stwierdził Dima, nieco zbyt dobitnie, jak na gust Paliowa, który wcisnął się jeszcze głębiej w swój fotel.

Timofiejew zmierzył Dimę wzrokiem.

– Dobrze, Paliow, niech mi pan opowie o swoim freelancerze. Niech mi pan zaimponuje jego dokonaniem.

Usiadł na skraju wielkiego biurka i skrzyżował ręce na piersi. Paliow wziął głęboki, świszczący oddech.

– Urodzony w Moskwie, ojciec: zawodowy żołnierz, matka: córka francuskiego komunisty, działacza związkowego, wypędzonego przez de

Gaulle'a. Ukończył z wyróżnieniem szkołę wojskową Suworowa, najmłodszy poborowy ze swojego rocznika w Specnazie, co nie przeszkodziło mu uzyskać najlepszych wyników w większości przedmiotów i dyscyplin. Pierwszy przydział: Paryż, gdzie doskonale opanował angielski dzięki kontaktom ze środowiskiem amerykańskich studentów i przeniknął do francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych z pomocą uroczej, młodej...

Dima rzucił Paliowowi chodne spojrzenie.

Paliow odkaszlnął.

– Następnie przeniesiony do Iranu jako instruktor Gwardii Rewolucyjnej.

Timofiejew ryknął śmiechem, ukazując warte majątek uzębienie.

– Awans czy kara?

Dima przybrał neutralny wyraz twarzy.

– Jedno i drugie: okazało się, że mój bezpośredni przełożony pracuje dla Brytyjczyków. Zlikwidowałem go. Można powiedzieć, że ten przydział był nagrodą za wykazanie się inicjatywą.

Timofiejew nie przestawał się śmiać, ale w jego oczach pojawił się zimny błysk.

– Ach, nie tęskni pan za dawnymi czasami?

Paliow kontynuował:

– Po misji pod przykryciem na Bałkanach trafił do Afganistanu, gdzie był odpowiedzialny za nawiązanie bliskich kontaktów z przywódcami mudzahedinów.

Timofiejew wciąż chichotał jak zabawka na baterie, której nie da się wyłączyć.

– Same najlepsze zadania. Musiał pan komuś nieźle zaleźć za skórę, Majakowski.

Paliow zadrzał, obaj aparatczycy popatrzyli po sobie – potem zapadła cisza, która Dimie wcale się nie podobała. Cisza – wspominali Salomona, tego, który uciekł.

Dima nie zamierzał dać się na to złapać.

– Przyjmowałem wszystkie zlecenia z takim nastawieniem, z jakim mi je przydzielano.

– Jak prawdziwy bohater, bez wątpienia. A potem? Pod jakim pretekstem pana zwolnili? Niech mi pan nie mówi. Za dużo inicjatywy? Za bardzo „kreatywny”? A może nagle odkryli jakieś „niepatriotyczne skłonności”?

Timofiejew obrócił się i popatrzył ze złością na swojego dyrektora do

spraw bezpieczeństwa państwowego, jakby odejście Dimy ze Specnazu było zasługą Paliowa. Pod ciężarem dezaprobaty przełożonego Paliow zgarbił się jeszcze bardziej niż zwykle.

– Właściwie, panie sekretarzu, towarzysz Majakowski został odznaczony Orderem Newskiego i Orderem Świętego Andrzeja...

Timofiejew mu przerwał:

– ...„za wyjątkowe zasługi na rzecz dobrobytu i chwały Rosji”, choć raczej pewnie nie dobrobytu towarzysza Majakowskiego, co, Dima?

– Poradziłem sobie.

– Ale i tak dostał pan po łapach za wyróżnianie się. Moi poprzednicy mieli fatalny zwyczaj podejrzliwego traktowania każdego, kto się wybijał. Ich hasłem była przeciętność. – Timofiejew machnął ręką. – Jak Trazybulos, któremu Periander radził ściąć najwyższe kłosa, sugerując w ten sposób, by pozbył się najbardziej wpływowych obywateli.

Odwrócił się do Paliowa, który popatrzył na niego bez zrozumienia.

– Arystoteles – powiedział Dima.

Ale Timofiejew rozkręcał się coraz bardziej.

– Był pan za dobry, drogi panie Majakowski, i zapłacił pan za to. Świadectwem pana patriotyzmu jest fakt, że nie udał się pan na Zachód, szukając lepszych warunków współpracy.

Przysunął twarz do twarzy Dimy. Jego oddech czuć było miętą z leciutką nutką czosnku. Ochota Dimy na śniadanie wyparowała.

– Chciałby pan dostać prawdziwą nagrodę? – Timofiejew ścisnął Dimę za ramię, oczy mu płonęły. – Zobacz pan, że nasza oferta jest dziś znacznie lepsza; śmiało możemy konkurować z najlepszymi prywatnymi agencjami ochrony. Miałby pan szansę kupić sobie lexusa, czy tę małą chatkę myśliwską, którą pan sobie obiecał. Jakieś przytulne i zaciszne miejsce, do którego mógłby pan zabierać panie: jacuzzi, porno z satelity, trzaskający ogień w kominku...

Obaj popatrzyli na Dimę, który nie zareagował. W końcu Paliow krótko odkaszlnął.

– Niewykluczone, panie sekretarzu, że Majakowskim nie kieruje chęć, hm, wynagrodzenia pieniężnego.

Timofiejew pokiwał głową.

– Uczucia wyższe, rzecz rzadka w naszej nowej, wspaniałej Rosji.

Wstał i podszedł do Piotra Wielkiego; jego ręcznie szyte buty cicho

skrzypiały.

– A więc możliwość służby – powiedział jakby do portretu. Obrócił się na pięcie i utkwiał spojrzenie w Dimie. – Szansa, by nie tylko służyć swojemu krajowi, ale by go ocalić.

Jego słowa nie wywarły zamierzonego skutku. Ludziom w garniturach trudno było w to uwierzyć, ale perswazja rzadko działała na Dimę. Jeśli już, to wywierała efekt przeciwny do zamierzonego. Wszystko to już kiedyś słyszał; zbyt wiele obietnic chwały i nagród, które wciskano mu w przeszłości, okazało się gównem warte. Zaburczało mu w brzuchu, jakby to była jego odpowiedź.

Timofiejew podszedł do okna i brodą wskazał rozciągający się za nim widok.

– Wie pan, że tam, na lotnisku Chodynka, Rossinski został pierwszym Rosjaninem, który wzbił się w powietrze samolotem?

– W 1910.

– I koronował się tam car Mikołaj II.

– W 1886.

Timofiejew odwrócił się.

– Widzi pan, Dima, nic pan na to nie poradzi. Jest pan Rosjaninem do szpiku kości.

– W panice stratowano tysiąc dwieście osób. Mówi się, że ludźmi zawładnął patriotyczny szał.

Timofiejew udał, że nie słyszy. Podszedł do Dimy i położył dłonie na poręczach fotela.

– Niech pan do nas wróci na ostatnie zadanie. Potrzebny nam prawdziwy patriota, posiadający pana umiejętności, doświadczenie i zaangażowanie. – Zerknął na Paliowa. – Moglibyśmy nawet... przymknąć oko na zajście z naszymi ludźmi dziś rano.

Nowe meble, nowy komputer, te same stare pogrożki. Twój kraj cię potrzebuje, żebyś dał sobie odstrzelić jaja, jeśli łaska. Oczywiście wybór należy do ciebie, ale jeśli odmówisz, wiemy, co zrobić, żebyś zmienił zdanie. Po jaką cholerę wysłuchiwał tego pieprzenia, kiedy mógł siedzieć w „Kuchni Katarzyny” i jeść naleśniki z gruzińskim dżemem wiśniowym? Albo jeszcze lepiej, posuwać recepcjonistkę, której ogniście rude włosy okalały idealnie białą skórę; to rozkoszne uosobienie czystości z obietnicą zachowania jak u zwykłej dziwki. Właściwie czemu nie jedno i drugie? Zrobił swoje

i zasłużył na kilka dni relaksu. Pełnego. A mimo to gdzieś w ciemnym zakamarku jego umysłu tliła się niedająca mu spokoju ciekawość.

Dima wstał i zerknął na zegarek, na którym smuga krwi zmieniała „12” w kształt bardzo podobny do serduszka. Skinął w stronę matowej szyby i rozmazanych sylwetek podwładnych kręcących się za nią.

– Macie tam całą armię. Młodych, zdolnych mężczyzn i kobiety, którzy aż przebierają nogami, żeby dostać taką szansę, gotowych, by wspiąć się po szczeblach kariery. O cokolwiek tu chodzi, moja odpowiedź brzmi: nie. Wysłaliście mnie do cywila. I niech tak już zostanie. Poza tym jestem głodny. Miłego dnia, panowie.

Wyszedł.

Przez kilka chwil żaden z mężczyzn nawet nie drgnął. Potem Paliow rzucił swojemu szefowi spojrzenie: „a nie mówiłem” i sięgnął po słuchawkę. Timofiejew powstrzymał jego rękę własną dłonią.

– Niech idzie. Niech pan zapomni o swoich rannych i znajdzie coś, co go zmusi do zgody.

– Jest odporny.

– Nikt nie jest odporny. Musi coś być. Niech pan to znajdzie. Jeszcze dzisiaj.

3 // Al-Sulajmanijja, granica irackiego Kurdystanu i Iranu

W strykerze było czterdzieści stopni, śmierdziało coraz bardziej. Dyżur ciągnął się już trzydziestą drugą godzinę, co bynajmniej nie wpływało korzystnie na poziom higieny osobistej uwięzionych w środku pasażerów w pełnym oporządzeniu: kevlarowych hełmach, kuloodpornych okularach i kamizelkach, żaroodpornych rękawicach, nakolannikach, nałokietnikach, dwustu czterdziestu sztukach amunicji do M4 w ładownicach na kamizelkach. Przypominało to siedzenie w opancerzonej trumnie, tyle że miejsca było mniej. Jeszcze kilka tygodni temu kamizelki i ochraniacze zostawiali w bazie, ale sytuacja się zmieniła.

Sierżant Henry „Black” Blackburn sięgnął w górę i uchylił jeden z włączów, potem drugi. Powietrze jednak pozostało prawie nieruchome; jechali ze stałą prędkością czterdziestu na godzinę. Na początku jeździli, ile fabryka dała, dopóki nie stało się jasne, że o wiele łatwiej uniknąć kłopotów, jeśli się je wypatrzy, zanim się w nie wjedzie. Sierżant wystawił głowę i mrużąc oczy, rozejrzał się po spieczonej słońcem okolicy. Minęło kilka lat, odkąd wojna spustoszyła tę część Iraku, ale szkód wciąż nie naprawiono. Biliony dolarów przeznaczone na odbudowę kraju nie trafiły do Al-Sulajmanijji, a jeśli trafiły, to rzesze kolejnych pośredników i podwykonawców dobrały się do nich pierwsze. Od samej ich liczby kręciło się w głowie. Każdy brał swoją działkę, zatrudniał ludzi na papierze i sporządzał dokumentację budynków, które nie powstały. To prawda, naprawiono kilka dróg, podciągnięto kanalizację, ale po kilku miesiącach wszystko to na powrót popadło w ruinę. Przy każdej awanturze ofiarą jako pierwsza – zaraz po miejscowej ludności – padała infrastruktura. Minęli ruiny niedawno ostrzelanego magazynu paliw; połacie betonu wisały na rdzewiejących prętach zbrojenia. Ze szczytu gruzowiska dwójka dzieci w samych koszulkach ciskała kamieniami nie

wiadomo w co. Za transporterem obejrzało się pół tuzina kóz, które pasły się na rumowisku.

Campo opowiadał właśnie anegdotę.

– ...no i jestem na posterunku, gotowy do wyjazdu, a ona pyta: „Kochanie, masz jakieś zabezpieczenie?”, a ja na to: „Mała, zostawiłem swój M16 w domu, ale jak chcesz go obejrzeć, to przyniosę”.

Nikt się nie roześmiał. Wszyscy słyszeli to przynajmniej dwa razy.

Montes wtrącił swoją ulubioną gadkę.

– No bo kto w ogóle chce tu siedzieć? W telewizji mówią, że wojsko chce tu siedzieć. Skąd oni to biorą? Ludzie mają się niby od tego pocuć lepiej? Może jak komuś zależy na gwiazdkach, na awansie. Ale my chcemy się tylko stąd zabrać w chuj, co, Black?

Black wzruszył ramionami nie dlatego, że nie miał odpowiedzi: po prostu nie miał w tej chwili ochoty na tę rozmowę. Myślał o mailu, który wyśle wieczorem do domu: „Kochani mamó i tato, dzisiaj było czterdzieści sześć stopni, największy upał jak dotąd”. Przez następne dziesięć minut zastanawiał się nad kolejnym zdaniem. Trzy pozytywy. To była jego zasada. Jego matka potrafiła dostrzec dobre strony nawet w tornadzie. „Otworzyli szkołę, którą zbudowali obok bazy”. Przemilczy fakt, że nie przyszły do niej żadne dzieci, że zastępca dyrektora właśnie awansował na dyrektora, bo poprzedniego zastrzelili na oczach jego rodziny. Dwie kolejne dobre wiadomości nie mogły mu za nic przyjść do głowy. Zostawił to i zastanowił się nad listem do Charlene. „Piszę, bo chcę Ci powiedzieć, że jeszcze nie zwariowałem...” Mogła to źle zrozumieć, pomyśleć, że nie jest tego pewny. Od samego początku wiedziała, że Henry się zaciągnie, od ostatniej klasy szkoły, ale kiedy przyszło co do czego, powiedziała, że albo ona, albo wojsko, ale na pewno nie jedno i drugie. Nie zamierzała na niego czekać. „Możesz wrócić... – nie mogła znaleźć słowa – ...inny”. Myślała, że może ojciec go przekona. Wiedziała, co sądził o całym tym wojsku. Po prostu nie mogła tego wszystkiego zrozumieć. Ale Blackburn wciąż ją kochał, wciąż miał nadzieję, że zmieni zdanie.

Odliczał dni do pierwszego września, kiedy mieli wrócić do domu, wykreślał kratki w kalendarzu, który narysował z tyłu swojego notesu. W zeszłym tygodniu przestał to robić. Dom wcale się nie przybliżał.

Zaskrzeczało radio Blacka: porucznik Cole.

– Szajbus 1-3, tu Szajbus główny. Słuchajcie. Straciliśmy kontakt z drużyną

Jacksona w kwadracie osiem zero, dziesięć klików na zachód. Tylko was mogę posłać. Ostatnia znana pozycja to targ mięsny Spinza. Cholernie niedobra część miasta. Idźcie ich poszukać, rozumiano?

– 1-3, potwierdzam.

Z Jacksonem nie było kontaktu. To mogło oznaczać wyłącznie coś złego.

Black popatrzył na załogę. Wszyscy słyszeli rozkaz w swoich słuchawkach. Przez kilka chwil nikt się nie odzywał, jakby oszczędzali każdy gram siły.

– To jak, ktoś jeszcze nie kuma, co my tu robimy? – Montes znów wystartował ze swoim licealnym klubem dyskusyjnym. Blackburn pragnął, żeby wreszcie się zamknął i zajął swoją robotą. Był zmęczony, a przez jego gadanie czuł się zmęczony jeszcze bardziej.

– Skończ już, kurwa, z tym udawaniem hipisa, Montes.

Chaffin obrał gumę do żucia z papierka i włożył ją sobie do ust. Montes poluzował uchwyt na broni.

– Ja tylko mówię, że jesteśmy tutaj po to, żeby uspokoić sytuację, a nie rozpocząć jebaną wojnę z Iranem.

– LWRO to nie Iran.

– Stary, gadaliśmy już o tym setki razy.

Chaffin ukrył twarz w dłoniach.

– Ale oni są w Iranie – ciągnął Black – bo stamtąd pochodzą. A Iran... – skinął głową w lewo – ...jest o, tam.

– Dotarło, Montes, ty pieprzony lewaku? Jak będziemy chcieli poznać twoje zdanie, to ci je przedstawimy. Jasne?

Blackburn miał nadzieję, że między Chaffinem i Montesem nie dojdzie do osobistej awantury na całego. Rozważanie, co jest lepsze: dwie cheerleaderki czy sam na sam z nową brytyjską księżniczką było przyjemnym sposobem na zabicie czasu. Kwestionowanie sensu obecności w tym piekle mogło doprowadzić do poważnego problemu z dyscypliną.

Służyli w jednym plutonie od osiemnastu miesięcy. Byli dla siebie jak rodzina. Ale zasady walki się zmieniły. Trafili tu przekonani, że są ostatnim amerykańskim kontyngentem w tym rejonie i nie jednemu Chaffinowi zaczynało brakować cierpliwości. Wszystko zaczynał z powrotem ogarniać chaos. Za obiekt do wyładowania swojej frustracji Chaffin obrał sobie Montesa i Blackburn go rozumiał. Osobiście uważał, że Montes ma trochę racji. Zastanawiał się, co taki człowiek w ogóle tu robił, kiedy powinien rozdawać ulotki o upadku kapitalizmu na jakimś pełnym zieleni kampusie.

Ale nie miał czasu robić za czyjegokolwiek psychoanalityka. Stryker Jacksona zamilkł i nie było innego wyjścia, jak tylko jechać go poszukać. Tak się po prostu robiło. Działo się, zamiast siedzieć w czterdziestu stopniach w puszcze na sardynki i debatować jak banda liberałów w telewizji publicznej.

Black odrobinę podniósł głos.

– Popatrzcie na mnie. Montes? To jest nasza robota.

– Tak, stary, wiem.

Black podniósł rękę.

– A żeby zrobić, co do nas należy, musimy się rozprawić z LWRO. A żeby się z nimi rozprawić, prędzej czy później będziemy musieli przekroczyć granicę.

Chaffin chciał coś powiedzieć, ale Blackburn uciszył go spojrzeniem.

Wysiedli ze strykerera i rozproszyli się. Targ mięsny Spinza mieścił się w starym budynku z krużgankami i galerią na piętrze. Jeszcze tydzień temu tętnił życiem. Dziś był opuszczony: zły znak. Campo postukał Blackburna w ramię.

– Popatrz tam.

Świeżo namalowana na murze podobizna Al-Baszira, przywódcy LWRO.

Całkiem podobny, pomyślał Blackburn, ktoś się naprawdę przyłożył.

– Robią tu z niego świętego. To ich wybraniec. – Montes stał obok nich. Malarz namalował byłego generała irańskich sił powietrznych emanującego groźną pewnością siebie. – Wygląda, jakby nie było z nim żartów.

– Palant. To tylko malunek. Przecież on musi być stary jak twoja babka. Nie domalowali mu wózka.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego w tej części świata bez przerwy coś się pierdoli?

– Hej, ja tu tylko sprzątam, Montes. Od myślenia są inni.

Montes nie odpuszczał.

– Kiedy wjedziemy do Iranu?

Blackburn machnął ręką, dając znak do wymarszu.

– O tym decydują głowy większe od mojej. Chodźmy poszukać tego patrolu.

Starzec siedział przykucnięty w drzwiach. Montes kucał obok niego, coś mówił, karabin zarzucił na ramię. Mężczyzna pokazał dziesięć palców, zwinął dłonie w pięści, potem znów dziesięć i jeszcze raz, a na koniec

wykonał gest strzelania z karabinu maszynowego. Trzeba przyznać, że się starał.

– Mówi, że było trzydziestu, wszyscy uzbrojeni. Byli tu pół godziny temu.
– Montes odwrócił się do starca. – Dziękuję panu.

– Dzięki, dalej sobie poradzę.

Black pochylił się nad mężczyzną.

– Byli z LWRO? – spytał po arabsku.

Starzec wzruszył ramionami.

– Miejscowi chłopcy?

Potrząsnął głową, chociaż mógł to być po prostu dygot, i wskazał zachodnią bramę targowiska.

– Dobra, chodźmy tam.

Brama wychodziła na wąską uliczkę, biegnącą między trzypiętrowymi budynkami. Blackburn usłyszał trzask zamykanych okiennic i płacz dziecka. W poprzek ulicy leżał na boku pikap z oderwanym przednim zderzakiem, jakby przesunął go tu w pośpiechu jakiś o wiele większy pojazd.

Black dał pozostałym znak, żeby szli pod ścianami.

– Duża przecznica, bez osłony.

W tej samej chwili usłyszeli warkot. Pojazd gąsienicowy. Blackburn przywarł do ściany na rogu i wyjrzał. Zobaczył, jak maszyna wyjeżdża z bramy, przecznicę dalej na poprzecznej, i skręca w lewo, odjeżdżając z prędkością patrolową.

Włączył radio.

– Transporter, bez oznaczeń, jedzie na północ, powoli, jakby był u siebie.

– Kawał żelastwa.

– Wywołaj go, spytaj, po której jest stronie.

– Zamknij się, Montes. Skręcamy w prawo, tam, skąd przyjechał.

Przebiegli ulicę dwójkami.

– Ruszać się!

– Cicho tu, jakby wszystkich wysiedlili.

– Albo dopiero co był tu szczurołap z Hameln.

– Nie podoba mi się to.

– Dobra, alert. Powoli, panowie.

Boczna uliczka, z której wyjechał transporter, przypominała wąską skalną szczelinę, wysokie budynki z nawisami pięter pogrążały ją w cieniu. Jej drugi koniec wychodził na niewielki plac. Przy jego skraju, za stosem

wiklinowych koszy, w głębokich drzwiach kulila się grupka kobiet. Przywoływały żołnierzy machaniem i wskazywały w górę.

– Dobra, nie róbmy na razie tego, o co proszą nas te panie. Najpierw przejrzymy dachy.

Znieruchomieli, wpatrując się w dachy i zamknięte okiennice. Blackburn pierwszy zobaczył sylwetkę – w tej samej chwili ceglany mur obok niego eksplodował.

– Snajper! Kryć się, kryć się!

Obrócił się i zobaczył, jak Chaffin dostaje w ramię.

– Ranny. Zasłona dymna. Szybko!

Campo rzucił granat fosforowy, żeby osłonić ich przed snajperem, a Blackburn i Montes złapali Chaffina i wciągnęli go w drzwi – ale on nie chciał, szarpał się z gasnącą siłą.

– Postawcie mnie na nogi. Mogę strzelać. Puśćcie mnie, niech dopadnę tego skurwysyna.

– Spokojnie, żołnierzu.

Matkovic wrzeszczał przez radio.

– Pieprzony dym! Widziałem jeszcze trzech!

Rana krwawiła obficie, ale nie była głęboka. Blackburn pozwolił Chaffinowi wstać. Żołnierz zachwiał się, a potem wyszczerzył w uśmiechu.

– Dostałem w dupę, ale stoję. Puśćcie mnie do niego.

Przed nimi, w dymie, Matkovic opróżnił magazynek w kierunku dachu, z którego do Chaffina strzelał snajper. Przerwał ogień, zczekał.

Kiedy dym się rozwiął, Blackburn zobaczył, że snajper składa się w pół i spada z dachu jak bandyta w westernie. Ciało uderzyło o bruk trzy metry od stojącego w drzwiach Matkovica, ale ten nie zareagował. Stał nieruchomo i wpatrywał się w placyk. To, jak stał z opuszczoną bronią, powiedziało Blackburnowi, że żołnierz widział coś, co niełatwo przyjdzie mu zapomnieć. Nie odrywając wzroku od placyku, przywołał Blacka.

– Chyba znaleźliśmy to, po co przyszliśmy.

Dwaj martwi marines leżeli rozciągnięci u wylotu uliczki. Jeden, bez hełmu i połowy twarzy, musiał być najbliżej eksplozji granatnika. Drugi, z wielkim, czerwonym kraterem na piersi, zadumanym wzrokiem wpatrywał się w rozpalone niebo. Blackburn pochylił się, zerwał im nieśmiertelniki i schował je do kieszeni.

– Co za pojebany dzień.

– Black, uważaj!

Matkovic pierwszy wbiegł na plac. Wszędzie wały się trupy i fragmenty ciał. Stryker leżał na boku, z opuszczoną rampą i płonącymi oponami, wszystkie osiem kół miał powykręcane pod dziwnymi kątami. Obok stał szkielet czegoś, co mogło być małą ciężarówką albo autobusem. Karoserię unicestwił wybuch ładunku, który przewoziło auto. Z wnętrza strykerka dobiegało wolne, rytmiczne pojękiwanie.

Matkovic wzywał już helikopter przez radio, starał się panować nad gniewem, kiedy głos po drugiej stronie dopytywał o szczegóły, w końcu jednak wybuchł.

– Po prostu tu kurwa przylećcie, na wczoraj, dobra?

Odwrócił się do Blackburna.

– Sprawdź, co w środku strykerka.

– Stój – Blackburn powiedział to, nie wiedząc jeszcze dlaczego.

Na placu znajdowało się kilka innych uszkodzonych pojazdów, w tym dwa minibusy bez szyb, naszpikowane odłamkami. Black wycofał całą drużynę, przeszedł w prawo, aż za strykerem zobaczył drugi samochód, nissana pikapa. Podobnie jak pozostałe był zniszczony, nie miał okien i świateł, wszystkie blachy powgniatane. Jednak coś było z nim nie tak.

Opony. Wciąż napompowane. Powinny być porwane w strzępy. Matkovic popatrzył na Blacka, potem na pikapa. W oknach zaczęli pojawiać się cywile, patrzyli w dół, na plac. Matkovic zamachał rękami w powietrzu, jakby płynął żabką.

– Z powrotem do środka! – wrzasnął po arabsku.

Black przesunął się jeszcze dalej w prawo, lustrował, jak tylko mógł, ziemię dookoła pikapa, wypatrywał drutów detonatora.

Ktokolwiek to ustawił, teraz z pewnością czeka, by wokół transportera zebrało się jak najwięcej Amerykanów, zajmujących się zabitymi i rannymi. Kobieta, której spod zakurzonej, szarej burki widać było tylko duże, piwne oczy, przyglądała się Blackowi zza straganu z owocami; była młoda, w jego wieku, może młodsza. Powoli, rozmyślnie powędrowała wzrokiem w stronę okna na piętrze budynku w południowej pierzei, potem z powrotem spojrzała na niego i zniknęła w cieniu drzwi swojego domu. Black jeszcze raz rozejrzał się po bruku. Plac był zasłany kawałkami cegieł, metalu i ciał. Między nimi dojrzał kabel, wijący się do budynku, który wskazała oczami kobieta.

Cała drużyna stała i czekała. Wiedzieli, co robi Black. To był plus służenia

ze sobą na tym zadupiu tak długo – praktycznie czytali sobie w myślach. Black wiedział, że będzie mu tego brakowało, kiedy to wszystko się skończy, kiedy wróci do domu. Gdzie indziej mógłby stworzyć z kimś tak bliską relację, takie porozumienie? Z kobietą? Z rodziną? Na coś takiego był już za bardzo posrany. A może w tym, co robi, stał się za dobry i dlatego zaprzepaścił szansę na normalne życie. Po kolei, powiedział sobie, skup się.

Powoli wycofał się z placyku, zapamiętał dobrze budynek, a potem rozejrzał się za podejściem od tyłu. Kiedy zniknął w uliczce, szybko skręcił w przejście biegnące za domami. Oczyszczał już tyle podobnych budynków, że mógł z łatwością domyślić się topografii okolicy, chociaż nigdy tu nie był. Boczne wejścia z zaułków były bardzo powszechne. Schody zazwyczaj biegły bokiem, a główne pomieszczenia piętra, najczęściej największe, rozmieszczone były wzdłuż całej frontowej ściany. Z tego domu, z parteru, dobiegała muzyka. Black wszedł przez otwór z zasłoną: kuchnia, dwie czyste szklanki po herbacie na suszarce i radio, grające te piskliwe dźwięki. Sięgnął do niego i bardzo, bardzo powoli rozkręcił regulator. Przyszło mu do głowy, czy nie zdjąć butów. Uznał, że nie. Na schodach leżały dwa trupy, kobieta i dziewczyna. Obie postrzelone w głowę – dowód, że był na właściwym tropie. Nie zatrzymał się, ale przez to, co zobaczył kątem oka, jeszcze go mdliło. Na palcach wszedł po schodach. Słyszał łomot krwi w żyłach, adrenalina blokowała wszystkie impulsy prócz tych, które były potrzebne do wykonania zadania.

Na szczycie schodów, tuż przed wejściem do pokoju, przystanął. Zobaczył akumulator samochodowy, kable, szczęki klamer, jedną zapiętą, drugą w pogotowiu. Ale nic poza tym. Ledwie zdążył się zorientować, że pomieszczenie jest puste, kiedy powalił go cios w kark. Runął na ziemię, o centymetry mijając głową akumulator. Upadając, zdołał przekręcić się na bok i sięgnąć po nóż KA-BAR; M4 był zbyt nieporęczny w zwarcu. Napastnik stał w cieniu, rozmyta plama tkaniny. Kiedy skoczył do akumulatora, Blackburn wbił mu nóż głęboko w udo – trafił w tętnicę. Rozległ się przeszywający, piskliwy wrzask. Zbyt piskliwy jak na mężczyznę. Chłopiec?

Black podniósł się z trudem na kolana, a jego przeciwnik runął na podłogę obok niego. To nie był mężczyzna ani chłopiec, ale dziewczyna, brocząca rzeką krwi spod swojego szalwar kamiz, wijąca się jak wyciągnięty na brzeg marlin, jakby nie zdawała sobie sprawy, że się wykrwawia. Z trudem łapała

powietrze, mimo to wyrzucała z siebie potok arabskich słów. Blackburn rozumiał tylko „plugawa świnia” i „piekło”, ale przekaz był jasny. Nie przestawała się szamotać, ślizgając się we własnej krwi. Jeśli chciał ją uratować, miał na to jakieś dwadzieścia sekund.

– Pozwól mi sobie pomóc. Albo umrzesz.

Ile już razy to mówił, ile razy odrzucano jego pomoc? Przyjechali tu, żeby pomagać, ale nie zawsze tak to wyglądało. Kiedy wyciągnął ku niej rękę, odtrąciła je.

– LWRO?

– LWRO zniszczy was wszystkich. Już po was. Po was.

Próbowała powtórzyć to jeszcze raz, ale nie zdołała. Blackburn bezradnie patrzył, jak uchodzi z niej życie.

4 // Moskwa

Kiedy Dima wrócił do swojego hotelu, dochodziła druga w nocy. Wydostanie się z Akwarium było trudniejsze, niż dostanie się do środka – przynajmniej tej tradycji dochowano. Kiedy wyszedł od Paliowa, za drzwiami gabinetu natknął się na trzech osiłków ze Spraw Wewnętrznych. W nadziei, że są tam tylko dla ozdoby, spróbował ich wyminąć, ale zastawili mu drogę. Postanowił uciec się do elokwencji, zanim zacznie rozdawać ciosy. Odrobina gry wstępnej, pomyślał, mierząc wzrokiem prowodyra, którego twarz kojarzył z dalekiej przeszłości.

– Co mogę dla panów zrobić?

Sprawiali wrażenie, jakby nie mieli kondycji; jakby sflaczały im mięśnie po latach bicia słabszych od siebie. Kłopotem mógł się okazać Fremarow, Mongoł, z którym Dima służył w Afganistanie. Dumny niegdyś żołnierz został odstawiony na boczny tor; odliczał dni do emerytury, wykonując główniane zlecenia zarezerwowane dla starszych agentów, którzy nie byli dość inteligentni – albo dość wredni – by wspiąć się wyżej. Na sam jego widok Dima poczuł wdzięczność, że odszedł, kiedy był jeszcze na to czas.

– Fremarow, stary przyjacielu. Co u ciebie?

Dwa kołki zrobiły zdziwione miny, zaskoczyło ich to nieoczekiwane powitanie ze strony kogoś, kogo przyszli zatrzymać.

W końcu odezwał się Fremarow:

– Niezręczna sytuacja.

– Co ci powiedzieli? Że się wyłamalem, nie wykonałem rozkazów, wymknąłem spod kontroli?

– Coś w tym rodzaju.

– To zwykłe nieporozumienie, nie dogadali się. Nie wie prawica, co robi lewica. Wiesz, jak to z nimi jest.

– Aha. – Mimo otrzymanych instrukcji Fremarow wzruszył ramionami. Do

emerytury brakowało mu jeszcze piętnastu lat, mógł się nie spieszyć przez następne pięć minut. Kołki nie wyglądały na przekonanych.

– Wasz towarzysz to cholernie porządny gość – powiedział Dima. – Nie raz i nie dwa uratował mi życie.

Fremarow uśmiechnął się. Obaj wiedzieli, że to bzdura, ale dobrze brzmiała.

– To było na odwrót, ty draniu, dobrze o tym wiesz.

– Doprawdy? Nie pamiętam. No, ale tak czy inaczej, mieliśmy niezły ubaw.

– To wy się znacie? – spytał Kołek Pierwszy. Fremarow przewrócił oczami.

– Problem z naszymi przełożonymi – ciągnął Dima, obserwując Kołka Drugiego i przezornie przenosząc ciężar ciała na drugą nogę – polega na tym, że mają krótką pamięć. Zapominają, kto im się przysłużył.

– To prawda – odparł Fremarow.

Kołek Drugi wybrał ten właśnie moment na atak. Posłał niezgrabny prawy sierpowy w szczękę Dimy; Dima zgiął się, zarzucił go sobie na plecy jak wór ziemniaków, a potem rąbnął nim o ścianę. Mężczyzna osunął się na cienką wykładzinę, nie mogąc złapać tchu. Wyraźnie pragnąc wykazać się inicjatywą, Kołek Pierwszy podjął próbę przewrócenia Dimy – podstawił mu nogę i wymierzył cios kantem dłoni w jego splot słoneczny. Dima obrócił się i zobaczył, że wielkie łapsko Fremarowa chwyta mężczyznę za szyję. Zwinnie się odsunął.

– Powiem, że nas pobiłeś i uciekłeś – powiedział Fremarow.

– Tak, trzech na jednego, podoba mi się to – odparł Dima. – Fajnie było cię spotkać. Pozdrów ode mnie swoją piękną córkę.

– Wyszła już za mąż.

– Szkoda.

Kiedy dotarł do hotelu, na recepcji nie było już ładnej brunetki; zastąpiła ją srogo wyglądająca kobieta, niewykluczone, że z pewnym potencjałem, jeśli ktoś lubił czuć kłucie szpilek na plecach, ale on nie lubił. Udał się do stacji metra Poleszajewska i fioletową linią wrócił do centrum. Zabawny dzień – najpierw miał w rękach pięć milionów dolarów, teraz jechał metrem na śniadanie. Nie wspominając już o zabijaniu.

Wszedł do pokoju. Zastłony były odsunięte, neon klubu naprzeciw – The Comfort Zone – nerwowo rzucał na ściany naprzemienne zielone i czerwone pasy. Dima nie zapalał światła, rzucił kurtkę na łóżko. Czasami zastanawiał się, jak by to było być jednym z tych ludzi w metrze, wstawać rano do pracy,

kłócić się z żoną, prowadzić normalne życie. Jego własne stanowiło zaprzeczenie normalności i nie mógł już tego zmienić. Był tym, kim był, na dobre i na złe. Pytanie tylko, czy potrafi żyć sam ze sobą.

5

Dima resztę dnia spędził z Krollem. Śniadanie przeciągnęło się w lunch, co oznaczało, że Kroll był za bardzo wstawiony, żeby prowadzić, więc Dima zabrał go do siebie. Kiedy przyjaciel zasnął, Dima zaczął skakać po kanałach informacyjnych. Wacaniew miał rację. LWRO był coraz gorętszym tematem wiadomości. Al-Dżazira pokazywała wielką demonstrację w Teheranie; wódz LWRO pozdrawiał tłum, jakby już przejął władzę.

Dima odwrócił się i powiedział do lustra:

– Do kurwy nędzy, odłóż to, nie mam siły uciekać.

Paliow wstał sztywno i wyłonił się z cienia przy oknie; samopowtarzalny XP9 w jego sękatej dłoni wyglądał absurdalnie.

Schował pistolet do kieszeni, podszedł do telewizora i zwiększył głośność. Znow Iran, materiał CNN o Al-Baszirze z czasów jego służby w siłach powietrznych, zanim został renegatem; generał odbierający lotniczą defiladę.

Dima przewrócił oczami.

– To naprawdę konieczne?

– Nigdy nie wiadomo, kto słucha.

– Myślałem, że to twoja robota.

Bezwargie usta Paliowa rozciągnęły się w coś, co na upartego można by nazwać ponurym uśmiechem.

– W dzisiejszych czasach... to skomplikowane. – Wzruszył ramionami i rozejrzał się po pokoju spod ciężkich powiek. – Dość skromne lokum jak na kogoś o twojej reputacji.

– Lubię prostotę.

– To już skrajność.

– Lubię skrajności. Wiesz o tym. Dlatego właśnie mnie wywaliłeś, pamiętasz?

– Och, Dima, to było dawno temu. Było, minęło, co?

– Bezpowrotnie.

Dima padł na łóżko i kopnięciem zrzucił buty.

– A więc co nasi nowi politycy kazali ci kazać mi zrobić?

– Wiesz, że nie byłoby mnie tu, gdyby to nie była poważna sprawa.

Dima mimo to położył się i wbił wzrok w sufit.

– Coś ci powiem: zacznij mi opowiadać swoją bajeczkę na dobranoc, a ja zobaczę, jak szybko mnie uśpi.

– Mamy problem.

– Ty masz. Ja nie mam.

Paliow machnął ręką w kierunku telewizora, wciąż pokazującego obrazy z Iranu.

– Zauważyłem. – Dima westchnął i wsunął dłonie pod głowę. – Możecie mieć pretensje tylko do siebie. Zaopatrujecie Iran, odkąd poprzytkali się z Amerykanami. Czołgi T-72, MiG-i 29, rakiety ziemia-powietrze TOR-M1, systemy przeciwlotnicze S-300, torpedy VA-111 Szkwał. Umowy na sprzedaż broni na sumę trzystu milionów dolarów między 1998 a 2001 rokiem, jeden i siedem dziesiątych miliarda w latach 2002–2005. Nie mogliście się opanować.

– Ten kraj utrzymuje się z eksportu broni, bijemy Amerykanów dwa do jednego. Jesteśmy głównym dostawcą do krajów rozwijających się. To jeden z najważniejszych powodów narodowej dumy.

– Teraz mówisz jak Timofiejew. Jeszcze trochę i będę musiał cię zastrzelić.

– Dobrze, dobrze. – Paliow pomasaował twarz powykręcaną dłonią. – Nie jest łatwo, wiesz? Zimna wojna była o wiele prostsza.

– Jesteś zmęczony, Paliow. Posłuchaj dobrej rady, daj się wywalić.

– To może nastąpić prędzej, niż ci się wydaje, jeśli źle to rozegram. Co wiesz o Amirze Kafarowie?

– Narodowość tadżycka, pośledni porucznik sił powietrznych, który uprowadził flotyllę antonowów podczas Wielkiego Wyzwolenia, kiedy nikt nie patrzył. Załadował je kradzionym sprzętem i odleciał w nieznanym kierunku. Dzisiaj jest największym i najcwańszym handlarzem bronią w Rosji. Rozumiem, że chcecie, żebyśmy go zabił?

– Konkretnie: uratował.

Dima roześmiał się.

– Prowadziłem działania po niewłaściwej stronie biznesów Kafarowa w trzech różnych teatrach operacyjnych. Połowa nieletnich żołnierzy

w Liberii i Kongu nosi jego kałasznikowy, sprzedaje broń Terytoriom Plemiennym szybciej, niż Koalicja niszczy je swoimi bezzałogowcami. Ten facet to handlarz śmiercią najwyższej klasy.

Dima popatrzył gniewnie na Paliowa. Ujrzał człowieka przeszłości, próbującego odnaleźć się we współczesnym świecie i niemogącego nadążyć. Podniósł ręce i opuścił je na kolana.

– Jest w Iranie. Musimy go stamtąd wyciągnąć. I to szybko.

– Pokumał się z Al-Baszirem?

– Już nie, pokłócili się o interesy. Al-Baszir go przetrzymuje i żąda okupu.

– Zostawcie go. Niech Baszir zrobi z nim, co chce. Wyświadczy światu przysługę.

– Kreml widzi to inaczej. Jeśli Amerykanie się dowiedzą, będzie niedobrze, do tego stracimy twarz na arenie międzynarodowej...

Paliow mówił, jakby sam w to nie wierzył. Mimo swojej rangi i pozycji wyglądał żałośnie.

– Idź już sobie, dobrze? Jestem zmęczony. Miałem ciężki dzień.

Paliow podniósł wzrok.

– Nie zrozum mnie źle, podziwiam cię za twoje zasady. Bóg jeden wie, jak ci zazdroszczę wolności wyboru zleceń.

– Znasz mnie tak samo dobrze, jak ja sam, pewnie nawet lepiej, a już na pewno na tyle, żeby wiedzieć, że nigdy bym się na coś takiego nie zdecydował. Macie u siebie setki takich, co wręcz rzucą się na okazję bezsensownej śmierci za ojczyznę.

Paliow powoli wstał.

– Nie mam wyboru. Jak sam powiedziałaś: wiem o tobie wszystko.

Dima poczuł, że zaczyna w nim kipieć oburzenie.

– Jeśli zamierzasz poruszyć sprawę Salomona – nie rób tego. Zawiesiłeś mi go jak kamień na szyi dwadzieścia lat temu. Swoje już za to beknąłem, wierz mi.

Paliow pokręcił głową.

– Nie chodzi o Salomona, chociaż może się okazać, że on też jest w to zamieszany.

– Co to znaczy?

– W Iranie. Widziano go.

Dima rzucił się do przodu i złapał starszego mężczyznę za kłapy marynarki.

– Po prostu idź. Wynoś się z mojego życia i nie wracaj.

– Wysłuchaj mnie, Dima. Mam coś dla ciebie, coś, co może znaczyć o wiele więcej niż Salomon.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął cienką szarą kopertę.

– Mam tu coś, co może skłoni cię do... ponownego namysłu.

Ach, te stare, sowieckie eufemizmy – jak trudno się z nimi rozstać. Paliow rzucił kopertę na łóżko.

Dima wciąż wpatrywał się w sufit.

– Kompromitujące zdjęcia? Ty naprawdę żyjesz przeszłością. Od bardzo dawna nie miałem żadnych wyskoków. A poza tym nie jestem dla nikogo aż tak interesujący.

– Otwórz.

Dima westchnął, podparł się na łokciu, włączył lampkę, rozdarł kopertę i wysypał jej zawartość na łóżko. Ze środka wypadły dwa zdjęcia. Pierwsze było zrobionym z dużej odległości zbliżeniem młodego mężczyzny, dwudziestoparoletniego, wysokiego, mocno zbudowanego, o czarnych włosach i w dobrym garniturze, idącego w porannym tłumie przez most. Dima z początku nie wiedział, kto to jest. Popatrzył na tło, potem rozpoznał Pont Neuf: Paryż. Czuł, jak przyspiesza mu tętno. Spojrzał na drugie zdjęcie: ten sam mężczyzna, w parku, mówiący coś z uśmiechem do ładnej blondynki, która pcha wózek z dwójką dzieci.

Dima usiadł. Przysunął zdjęcia do światła. Przez dłuższą chwilę przyglądał się młodemu mężczyźnie, ale to twarz dziecka – kopia twarzy matki – dała mu całkowitą pewność. Serce łomotało mu w piersi. Podniósł wzrok. Paliow zdołał wygiąć usta w grymasie przypominającym uśmiech.

– Zrób, o co prosimy, a dostaniesz nazwisko i adres.

W jednej chwili Dimę opuściło zmęczenie.

6 // Akwarium, Moskwa

Centrum dowodzenia śmierdziało potem i papierosami. Jeśli wisiał tu gdzieś zakaz palenia, nie było go widać przez kłęby dymu z trojek Krolla. On i Dima siedzieli tu od siódmej rano. Na początku byli sami, potem osaczył ich rój archiwistów i analityków, uzbrojonych w akta personalne, mapy i zdjęcia, aż wielki, lakierowany stół, przy którym siedzieli, zniknął pod stertami papierów. Dwaj technicy uruchomili wielkie monitory na ścianach; oba pokazywały zdjęcia satelitarne Iranu. Następnie przybył pluton młodych mężczyzn w mundurach, którzy zajęli miejsca przy rzędzie konsol po obu stronach sali. Widok palącego potraktowali jako przyzwolenie, by również zapalić. Co robili poza tym – pozostawało tajemnicą.

Kroll zerknął na zwarte szeregi elit GRU.

– No, jakby wybuchła III wojna światowa, to jesteśmy gotowi.

Dima zakaszał.

– O ile wcześniej nie skonamy na raka płuc. Może powinniśmy zrobić sobie wypad do Czarnobyli, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Minęła dziesiąta, klimatyzacja wyzionęła ducha. Wtoczono przenośne klimatyzatory awaryjne, które jedynie przepychały dym z miejsca na miejsce, dodatkowo robiąc przy tym hałas.

Koncentrację Dimy zakłócało także trzech kierowników centrum dowodzenia, których zadaniem miało być podobno wykonywanie jego poleceń. Przydzielenie tylu osób do takiego zadania było czymś niezwykłym nie tylko dla Paliowa, ale i dla GRU w ogóle – agencja słynęła ze skąpstwa i oszczędności.

Dima pochylił się nad zdjęciami obozu Al-Baszira niedaleko Bazarganu, na północ od Tebryzu, blisko azerbejdżańskiej granicy; wszystkie zrobiły satelity w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Zespół wywiadowczy przeszedł sam siebie, sporządzając trójwymiarowy plan obozu i wszystkich

budynków wraz z pełną analizą liczby pomieszczeń, obecności piwnic, miejsc przyłączy elektrycznych, tego, z czego wykonane są framugi okien i drzwi, czy są tam kraty, czy szyby są wzmocnione lub kuloodporne, i, na koniec, czy i gdzie znajdują się kratki kanalizacyjne.

W skupisku ciężarówek i pikapów widać było wyraźnie czarnego mercedesa G-wagena, uważanego za własność Kafarowa.

– Nic z ziemi? – spytał trójkę Dima, nie podnosząc wzroku.

Arkow z rozpoznania zrobił krok do przodu.

– Te zdjęcia zostały zrobione przez najnowsze SSR-809 i przysły do nas zaledwie dwie godziny temu. Możemy nawiązać połączenie na żywo i pokazywać, co się dzieje w obozie, minuta po minucie.

– A więc przynajmniej będziemy wiedzieli, kiedy wyślą kogoś po pizzę.

W słowniku Arkowa nie występowało hasło „ironia”. Nie wiedząc, co powiedzieć, wyjął spod pachy wskaźnik i nakreślił nim linie na zdjęciu.

– Mur otaczający kompleks jest wyraźnie widoczny z góry, proszę pana.

Dimę bawiło, że ktoś się do niego tak zwraca, chociaż nie mógł nie zauważyć odrobiny pogardy w tonie. Wiedział, że dla takich jak Arkow jego obecność jest naruszeniem protokołu. Azyl GRU był rezerwatem etatowców, niedostępnym dla ludzi z zewnątrz i Arkow z trudem ukrywał dezaprobatę. Dla Dimy zaś ruchy Arkowa były irytująco mechaniczne, jakby ktoś nim sterował. Korciło go, żeby powyrywać mu kable.

Kroll, z dwudziestą trójką tego dnia, dopalającą się przy poślódkach palcach, podniósł wzrok znad laptopa.

– On chce wiedzieć, jak wysoki jest ten mur – powiedział do robota.

Arkow popatrzył na niego z wyższością, jakby Kroll był bezdomnym, który przyszedł tu z ulicy, żeby schronić się przed zimnem. Zważywszy, że mieszkał w samochodzie, Kroll naprawdę bardzo się postarał, żeby wyglądać normalnie, a nawet wiarygodnie. Przynajmniej raz jego marynarka i spodnie nie wyglądały tak, jakby w nich spał, do tego jeszcze się ogolił.

Arkow zadarł nos, otwierając usta do odpowiedzi.

– Jak już mówiłem, w chwili obecnej nie mamy możliwości tego ustalić.

Dima był gotów poświęcić tylko tyle energii, ile będzie trzeba, żeby przebrnąć przez te bzdury. Komputery i zdjęcia miały swoje zastosowania, ale jego naturalnym środowiskiem było działanie w terenie, w prawdziwym świecie, a nie w tej przerośniętej szafce na akta, obsługiwanej przez manekiny, które nie były w stanie odróżnić własnej dupy od Białego Domu.

W niektórych częściach Afryki żyli chłopcy w wieku Arkowa, którzy widzieli więcej akcji niż kilku Arkowów razem wziętych przez całe życie; którzy tak samo jak on znali się na prowadzeniu wojny, a przy tym nie potrafili nawet czytać. Dla Dimy Arkow uosabiał wszystko, co złe w nowej Rosji: tryumf arogancji nad doświadczeniem.

Do Arkowa to nie docierało.

– Nasze dane oparte na specjalnej analizie wskazują, że nie będzie problemów z penetracją ze śmigłowca.

Kroll skrzywił się złośliwie.

– On ci zaraz spenetruje coś innego, jak nie zdobędziesz informacji, które są mu potrzebne. ALE JUŻ.

– Poza tym – dodał Dima, nie podnosząc wzroku – chcę dostać pełną analizę ruchu pojazdów i liczbę personelu widocznego w kompleksie. Skupcie się na mundurach, oznaczeniach i uzbrojeniu.

– To zajmie...

– Macie pół godziny, zaczynając od teraz.

Czerwony z oburzenia Arkow wymaszerował.

Zadanie ma całe mnóstwo znaków zapytania, pomyślał Dima, między innymi: po co w ogóle się go podjęto, czemu wybrano właśnie jego i dlaczego Paliow włożył tyle wysiłku, żeby go do tego skłonić? Dlatego właśnie Dima uparł się, że weźmie ze sobą Krolla, któremu mógł bezgranicznie ufać i który zdawał się znać jego myśli. Pewnie Paliow to rozumiał, ale dla większości agentów GRU przywiązanie Dimy do starego towarzysza było czymś niepojętym. Po pierwsze, Kroll w niczym nie przypominał typowego weterana Specnazu, co Dima uważał za zaletę. Dzięki swojej karnacji Kroll mógł udawać różne narodowości, a jego niezołnierska, zgarbiona sylwetka nie zdradzała wyszkolenia. Powiedzieć, że był zaprawiony w boju, byłoby niedomówieniem. Po wybuchu bomby w Kabulu miał trwale uszkodzony słuch; nosił kilka makabrycznych blizn po torturach w Czeczenii; podczas akcji w Biesłanie dostał kulkę. Miał rzecz jasna swoje słabości – jedną z większych była słabość do wybuchowych kobiet. Okropnie strzelał i żywił charakterystyczną dla pilotów stałopłatów niechęć do helikopterów. „Gdyby Bóg chciał, żeby latały, dałby im porządne skrzydła” – tak brzmiało jego ulubione powiedzenie. Posiadał za to niemal nadprzyrodzoną umiejętność odgadywania, o czym Dima myślał; obaj pogardliwie odnosili się do wojskowego dogmatyzmu, przez który tak wiele

misji skończyło się fiaskiem.

Kroll zaczekał ze zgaszeniem papierosa do ostatniej chwili; zdusił go kciukiem w pięciokątnej popielniczce, pamiątce z Pentagonu. Ktoś, zauważył Dima, opróżnił ją przynajmniej raz, odkąd tu przyszli.

– Jeśli tam przylecimy, obudzimy wszystkich i stracimy element zaskoczenia. Myślę, że moglibyśmy dotrzeć do celu samochodami.

– Nie dziwi mnie to. Pora, byś się przyznał, że boisz się helikopterów. Poza tym to okropnie niepatriotyczne: wiesz, że helikopter to rosyjski wynalazek.

– Sikorski najpierw uciekł do Ameryki. Dla mnie jest zdrajcą.

Nie było sensu wdawać się w dyskusje z Krollem. Poza tym Dima wiedział, że koniec końców jego towarzysz i tak zrobi to, co mu się każe. Zerknął na niego, zamyślonego, z palcami przyciśniętymi do skroni, co uwydatniało skośność jego oczu. Nie powiedział mu o zdjęciach w kopercie od Paliowa. I chociaż Kroll załamał się na wieść o nowym zleceniu Dimy, najprawdopodobniej domyślił się, że chodzi tu o coś więcej i miał dość taktu, by nie drażyć tematu. Obaj odruchowo przestrzegali swoich granic.

Dima przebiegł w myślach to, co przeczytał do tej pory. Kompleks w Bazarganie był kiedyś klasztorem, pochodzącym w części z XIV wieku. Arkow, trzeba było mu to przyznać, zdobył dokumentację archeologiczną, z której wynikało, że obecne mury zostały wzniesione na pierwotnych fundamentach i są grube na cztery metry. Czego bali się tamci chrześcijanie? Artylerii? Ostrzału czołgów? Ataku jądrowego? Jeśli tak, to pospieszyli się jakieś sześćset lat. W latach pięćdziesiątych szach odrestaurował klasztor, przekształcając go w ośrodek wypoczynkowy i myśliwski. Zbudowano tam basen i wielki garaż, w którym stała część wielkiej kolekcji samochodów panującego. Ajatollahowie prawdopodobnie zniszczyli te symbole zachodniej zgnilizny. Nie było jasne, kiedy ani w jaki sposób kompleks dostał się w ręce Al-Baszira, ani jakie renegat miał wobec niego plany. Zakładano, że chodzi o lokalne centrum dowodzenia. Arkow wrócił z informacją, że na miejscu przebywa obecnie od dwunastu do dwudziestu pięciu ludzi. Część tych danych była przydatna, ale większość rodziła kolejne pytania.

Nie było także dokładnie wiadomo, ile broni Kafarow zdążył sprzedać Al-Baszirowi. Kompleks mógł być równie dobrze arsenałem, wyposażonym w sprzęt wystarczający do przeprowadzenia szeroko zakrojonej kampanii.

Dima zdał sobie sprawę, że ktoś przed nim stoi. Doszedł go słaby, przyjemny zapach. Jaśmin? A może gardenia?

Podniósł wzrok. Kobieta była wysoka, o kościstej, choć niepozbawionej krągłości sylwetce, mniej więcej w jego wieku, choć wyglądała o wiele młodziej. Mimo urzędowego, skromnego, sztywnego na miarę włoskiego żakietu Dima widział po jej postawie, że działała w terenie. Prawdopodobnie potrafiłaby zabić wszystkich tych gryziopiórków w sali i ująć cało, gdyby musiała. Według identyfikatora nazywała się Omorowa.

Położyła na stole świeży plik akt.

– Mam nadzieję, że mam wszystko, czego pan chce.

Dima uśmiechnął się.

– Nie wątpię.

Z jej oczu zniknęła serdeczność. Dima także skasował uśmiech.

– Nie powinna pani działać w terenie?

Uznała to za komplement.

– Chciałabym. Ale mój tata jest chory, mama sobie nie radzi, więc póki co pracuję w Moskwie.

Spojrzała na zdjęcia i westchnęła. Dima odgadł, o czym myślała. Może gdyby planowali szturm, w kompletnym uzbrojeniu – ale tajnie? Blondynka metr osiemdziesiąt w Iranie? Nic z tego.

– Dobrze, zatem Kafarow: chcę o nim wiedzieć wszystko, włącznie z tym, którą ręką wali konia.

Omorowa nie zmieniła wyrazu twarzy.

– To może być trudne. Utrzymuje bardzo pracowity harem.

– „Wiele rąk czyni pracę lżejszą”.

Kroll popatrzył znad swojego laptopa.

– Co?

– Angielskie przysłowie. Wracaj do pracy.

Omorowa rozłożyła papiery i wzięła głęboki oddech.

– Przejdę od razu do najważniejszych rzeczy. Ma pięćdziesiąt cztery lata, pali sześćdziesiąt papierosów dziennie i mimo że dwa razy w tygodniu gra w tenisa, brakuje mu kondycji. Nie spodziewajcie się po nim żadnych wyczynów, nie wespnie się na mur ani nie pobiegnie daleko. Jest nerwowy, arogancki i niecierpliwy. Źle będzie znosił uwięzienie, ale ceni sobie swoje życie i wie, co to strach. Bierze sporo kokainy, więc możecie założyć, że będzie nadaktywny – albo rozbity, jeśli zabrali mu jego zapasy. Dobrze byłoby dać mu działkę, jeśli zdążycie, nim go zabierzecie. Ma obsesję na punkcie kontroli i nie znosi, kiedy ktoś wydaje mu polecenia. Latał wszędzie

sam, dopóki nie przydarzyło mu się twarde lądowanie w Ghanie, gdzie urwał podwozie swojego falcona.

– Czy mogą być z nim osoby, które kocha?

Omorowa zdziwiła się.

– Interesujący dobór słów. Ma drugą żonę na odwyku i przynajmniej dwie kochanki, jedną tu, w Moskwie, drugą w Teheranie.

– Może być z nim?

– Całkiem możliwe. To Austriaczka. Kristen. Nie znam rozmiaru jej stanika.

– Użyję wyobraźni.

– Ujmijmy to w ten sposób: nigdy nie był wobec nich przesadnie troskliwy. Jego pierwszą żonę porwano...

– I?

– Nie zapłacił.

– Ile żądali?

– Milion dolarów.

– Mało. Co się z nią stało?

– Nigdy więcej jej nie widziano.

– Dobra, zaczynam rozumieć. Gdzie ma siedzibę?

– Ma dom w Moskwie na Arbacie i daczę w Pieredełkinie, a przez ostatnie dziesięć lat mieszkał w Iranie. Jako Tadżyk posługuje się znośnie farsi. Zrobił użytek z członkostwa Iranu w Ruchu Państw Niezaangażowanych, co ułatwiło mu dostęp do bardziej... niekonwencjonalnych klientów.

– Czyli terrorystów. Niech mi coś pani opowie o jego przeszłości.

– Rosyjski paszport. Jedyne dziecko tadżyckiego robotnika i szwaczki. Ojciec pracował w zakładach Łady w Togliatti, dopóki nie skończył o kulach po wypadku. Rodzice poświęcili całe życie synowi. Nie kontaktował się z nimi od dwudziestu lat, ale płaci za ich opiekę.

– Służba w siłach powietrznych?

– Bez wyróżnień. Pilotował głównie transportowce, pomijano go przy szkoleniach bojowych. Ciągłe sprawy kłopoty. Podejrzany w śledztwie w sprawie sprzedaży amunicji mudzahedinom w Kandaharze. Niczego mu nie udowodniono, ale panowała opinia, że był winny. Brak długoletnich przyjacieli, nie przywiązuje się do żadnych spraw ani osób. Uważa się, że spłodził co najmniej trójkę dzieci, żadnego nie uznał. Jego życie to interesy. Negocjuje ostrzej i dłużej niż inni, a kiedy klienta nie stać na jego ceny,

przyjmuje udziały w dowolnych rezerwach ziemi czy surowców. Według naszych szacunków jego dochody z nieruchomości i ropy wręcz przewyższają zyski z handlu bronią. Działa głównie nielegalnie, więc trudno stwierdzić z całą pewnością, ale to prawdopodobnie najbogatszy człowiek w Rosji.

– Jak z jego ochroną?

– Wszystkim zajmują się bliźniacy, Północni Koreańczycy, nazywani Yin i Yang.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Idealne usta Omorowej wygięły się w namiastce uśmiechu. Mona Lisa w kostiumie od Armaniego. – Korzystał z usług gangu azerskich mafiosów, ale przyłapał ich na okradaniu go, więc zostali „zwolnieni”. – Uniosła dłonie i palcami nakreśliła w powietrzu cudzysłowy. – Mówią, że zrobił to osobiście, brzeszczotem, jako ostrzeżenie dla ich następców. Bliźniacy mają własną kadrę Koreańczyków, którzy zajmują się prowadzeniem samochodów i tak dalej.

– Byli z nim?

Wzruszyła ramionami.

– To niejasne. Na pewno uważał Al-Baszira za cennego klienta, więc możliwe, że poluzował ochronę, choć byłoby to do niego niepodobne.

– Kim jest nasz kontakt u Al-Baszira?

– Oficjalnie go nie ma.

– To znaczy?

– Jeden z oficerów w naszej ambasadzie w Teheranie miał z nimi kontakt, ale wszystko urwało się piętnaście dni temu. Poza tym sytuacja sprawiła, że wycofaliśmy stamtąd większość personelu dyplomatycznego. Ten kraj trzeszczy w szwach.

– A więc LWRO chce zdobyć dostęp do broni?

Omorowa zamruwała.

– Przypuszczalnie tak.

Dima popatrzył na nią przeciągle.

– Pani zamruwała.

Uśmiechnęła się nie uśmiechając, jak sfinks.

– Zdarza mi się.

– Dopiero kiedy zadałem pani pytanie.

Kroll westchnął.

– Daj spokój, nie czepiaj się pani.
– Nie wcinaj się, Kroll. To duża dziewczynka, nie potrzebuje twojej obrony.

Dima oderwał palce od stołu. Omorowa wciąż się uśmiechała. Oboje pracowali w tym fachu już zbyt długo, żeby bawić się w pozory. Dima się zastanowił. Mógł zrobić awanturę, zażądać od Paliowa wszystkich faktów. Paliow prawdopodobnie by mu ich nie przekazał. Może sam ich nie znał. Z Omorową jak dotąd szło mu nieźle. Szkoda byłoby popsuć taki dobry układ. Dima uznał, że na dłuższą metę mogłaby mu bardziej pomóc, gdyby jej nie naciskał.

Nachylił się do przodu, rozejrzał. Trójka z operacyjnej gdzieś poszła. Utkwił spojrzenie w kobiecie.

– Towarzyszko. – Lubił używać dawnej nomenklatury wobec osób, które uważał za sprzymierzeńców. – Czy powiedziała pani, że to wszystko, co pani ma, czy że to wszystko, co pozwolono pani mieć?

– Raczej to drugie.

– Zatem gdyby była pani moim oficerem dowodzącym, co by mi pani poradziła?

Popatrzyła na niego jak kobieta, której ktoś okazał należny, a rzadko okazywany szacunek.

Znów zamrugła – tym razem inaczej, wolniej.

– Niech pan ma oczy dookoła głowy. Cały czas.

Wstała i wskazała przyniesione przez siebie akta.

– Chce pan to?

Dima pokręcił głową.

– Czy mogę się z panią skontaktować, jeśli będę potrzebował czegoś więcej? Oczywiście mam na myśli informacje.

Uśmiechnęła się z wyższością.

– Musiałby pan dostać pozwolenie.

– Od pani matki?

Zaśmiała się i szybko wyszła z pomieszczenia.

Dima popatrzył za nią. Zdusił kilka zdroźnych myśli i odwrócił się do Krolla.

– Będą nam potrzebne wszystkie zabawki. Coś mi tu śmierdzi.

Kroll westchnął.

– Lubisz sobie utrudniać, co?

- To znaczy?
- To proste zadanie. Obóz jest niechroniony. Nie ma wartowników. Jedno wejście i wyjście. Jeśli mają ludzi, nie widać ich na zdjęciach. Te ciężarówki mogą być wyładowane sprzętem, ale nie zdążą go przygotować bez uprzedzenia. Wchodzimy, wycinamy wszystkich oprócz Kafarowa, zarzucamy go na plecy i znikamy. Załatwione.
- Czasami, Kroll, naprawdę chciałbym być tobą. Dla ciebie wszystko jest proste. Może to właśnie dlatego masz takie pogmatwane życie.
- Zabierasz się do sprawy, jakby chodziło o bin Laden.
- Bo dużo tu niewiadomych niewiadomych. A ja i Donald Rumsfeld nie lubimy niewiadomych niewiadomych.
- Na przykład jakich?
- Na przykład, dlaczego mateczka Rosja zadaje sobie tyle trudu, żeby odbić tego gnoja? Dlaczego Al-Baszir zadał sobie tyle trudu, żeby się z nami pogniewać, kiedy go zaopatrujemy?
- Kroll pochylił się nad laptopem i zaczął coś pisać.
- Dima wskazał komputer ruchem głowy.
- Piszesz plan?
- List do żony. Krótka chwilka. Myślę, że tym razem mogę mieć szansę.
- Dima ukrył twarz w dłoniach. Kroll przerwał pisanie i popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem.
- Nie powiedziałeś, dlaczego przyjąłeś to zlecenie. Szantażowali cię?
- Gorzej.
- Czyli co?
- Dimie po raz setny przesunęły się przed oczami fotografie.
- Dali mi nadzieję.

7 // Granica irackiego Kurdystanu i Iranu

Blacka mało co ruszało; tak sądzili jego kumple. Cierpliwy, kiedy innym puszczały nerwy, spokojny, kiedy inni panikowali, zrównoważony, kiedy siedzieli po pachy w gównie. Był dumny z tego, że zyskał szacunek Cole'a, który nazwał go „porządnym, opanowanym żołnierzem” – a Cole rzadko prawił komplementy.

W Fort Carter, gdzie stali na zamrożonym, michigańskim asfalcie przed załadunkiem do samolotu, pułkownik powiedział im: „To nie zabawa. Zobaczycie straszne rzeczy, takie, których nie będziecie potrafili pojąć. To was zmieni...”. Tydzień wcześniej, na szkoleniu ze stresu, przygotował ich kapelan: „Musicie być gotowi na śmierć, na to, że na waszych oczach będą ginąć wasi koledzy”. Black uważał, że jest gotowy. Matka, która zawsze mu powtarzała, jaki jest silny, jakby próbowała się sama o tym przekonać, kazała mu być wiernym sobie. „Zawsze będziesz sobą, nieważne, kogo spróbują z ciebie zrobić”.

Black dobrze się zapowiadał, dostał pochwałę w pierwszym tygodniu pobytu w Iraku za wyciągnięcie na wpół spalonego sierżanta z humvee tonącego w rowie melioracyjnym. Dowódca kontyngentu, major Duncan, powiedział mu wtedy, że „widzi dla niego wspaniałą przyszłość w marines”. Ale nie taki był plan. Kiedy Black to zrobił – żeby udowodnić sobie, że potrafi – miał już dość. Chciał tylko pozostać żywy, pozostać normalny, wrócić do domu.

Przez całe życie słyszał w nocy krzyki ojca, a gdy widział go zlanego potem w chłodne, wyomińskie poranki, słyszał to samo wyjaśnienie: „Cholerne kamienie nerkowe, synu”. Kamienie, na których usunięcie ojciec nigdy nie poszedł do szpitala. Jako dziecko Black kupował tę wymówkę. Jako nastolatek zaczął wypytywać matkę, która odpowiadała milczeniem, a przyciśnięta – łzami. Dlatego przeprowadził małe dochodzenie. Poczytał

o plutonie ojca, o Khe Sanh w lutym 1968 roku. Michael Blackburn nigdy nie opowiadał rodzinie o Wietnamie. Henry bardzo chciał zrozumieć ojca, który nie czekał na pobór, uwielbiał filmy z Johnem Waynem, dorastał, wsłuchując się w entuzjastyczne opowieści dziadka Blackburna o wyzwalaniu Europy, o wiwatujących tłumach i wdzięcznych francuskich dziewczynach, które rzucały im swoje majtki. Ale już trzy tygodnie po rozpoczęciu swojej misji ojciec Blacka, wtedy zaledwie osiemnastoletni, został otoczony w dżungli wraz z całym swoim plutonem. On i trzech innych ocalałych resztę nastoletniości spędzili w bambusowej klatce Wietkongu, niewiele większej niż trumna, czasami zanurzeni po szyję w pełnym węży dopływie Mekongu. Kiedy wrócił do domu, jeszcze w tym samym tygodniu ożenił się z Laurą, swoją dziewczyną z liceum, królową balu maturalnego, która obiecała na niego zaczekać. Ale mężczyzna, za którego wyszła, nie był chłopcem, z którym tańczyła. W połowie pierwszego semestru rzucił studia, a przed Gwiazdką wylali go ze spożywczego, w którym szkolił się na kierownika. Nigdy tego nie przyznała, ale od tamtej pory to Laura, nauczycielka w podstawówce, zapewniała rodzinie byt.

Dla Henry'ego zaciągnięcie się do wojska nie wynikało z chęci służby ojczyźnie. To była rzecz bardziej osobista – chciał zabić ducha, który nawiedzał jego rodzinę. Potwierdzić słuszność decyzji ojca o pójściu na wojnę, jego przekonanie, że walka to wartościowy i szlachetny wybór. A z zupełnie osobistego punktu widzenia – udowodnić samemu sobie, że może stoczyć bitwę i wrócić w jednym kawałku, nieuszkodzony i, co ważniejsze, normalny.

Dziś trzymanie się tego planu mu nie wychodziło. Zrobił, co powinien był zrobić. Kiedy tylko dziewczyna przestała się rzucać, zajął się akumulatorem. Znalazł klamry. Zatrzymał się, przyjrzał, znalazł starter, wybrał kabelek i przerwał obwód.

– Czysto! – krzyknął do swoich ludzi na dole.

Kiedy jednak ruszył w kierunku schodów, zmiękły mu kolana. Zatrzymał się, popatrzył na dziewczynę, wyciągnął rękę i kiedy zamykał jej oczy, zobaczył, że trzęsie mu się dłoń. Usłyszał jeden z niedających się zapomnieć wrzasków ojca i uświadomił sobie, że nie rozlega się on w jego głowie, ale wydobywa z ust. Wrzeszczał tak głośno, że zaczęły się trząść ściany. A gdy już runęły, padł na trupa dziewczyny i poczuł, jak zapada się pod nim podłoga. To przez krzyk? To była ostatnia myśl, która przemknęła mu przez głowę.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Chwilę trwało, zanim przypomniał sobie, gdzie jest. Podpowiedzią była martwa dziewczyna obok. Odtworzył sobie wszystko w głowie: dziewczyna, detonator, znów dziewczyna, zamknięcie jej oczu, krzyk – znalazł ponurą pociechę w fakcie, że to nie rzeczywistość się zawaliła, tylko budynek. Nalot? Wytężył pamięć i przypomniał sobie pierwszy wstrząs; spodziewał się, że to będzie transporter opancerzony, ale go nie zobaczył. Potem nastąpiło drugie, dłużej trwające silne drgnięcie, które go zaniepokoiło. Żaden granatnik nie mógł tego zrobić.

Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, zobaczył trójkąt światła. Nie, nie tyle światła, co szarości na tle czerni. Lewy nadgarstek miał przyciśnięty czymś metalowym. Zalała go śmierzcząca woda z pękniętej rury kanalizacyjnej, ciążył przemoczony mundur. Kamizelka kuloodporna prawdopodobnie uratowała mu życie, ale też więziła go w ciasnej przestrzeni, którą zajmował.

Sięgnął prawą ręką i odpiął ceramiczne płyty dla większej swobody ruchu. Potem rozpiął zegarek, prezent od matki, co ułatwiło mu oswobodzenie lewej dłoni. Nie miał w niej czucia, spuchła tak, że wyglądała jakby przeszczepiono mu w jej miejsce baseballową rękawicę. Skontrolował w myślach resztę ciała, palce stóp, nogi, napiął wszystkie mięśnie po kolei; stopniowo docierał do niego pulsujący ból z tyłu głowy. Pstryknął palcami, poczuł tylko ruch powietrza – dźwięk braku dźwięku. Pękły mu bębenki. Uszy wciąż działały, choć docierał do nich głównie łomot bólu. Podpełzł do przodu, wysliznął się ze swojej kamizelki, jakby zrzucał skórę, w stronę słabego światła, w duchu szczęśliwy, że cokolwiek to było, wyszedł z tego cało – przynajmniej na razie. Nie był człowiekiem wierzącym, ale podziękował niewidzialnemu bóstwu za ten trójkąt światła, do którego się czołgał i wił jak pełzający gad.

Pierwszym, co zobaczył, były gwiazdy. Bezchmurna, bezksiężycowa noc. Jaśniejsza niż wszystkie dotąd w Iraku, bo najczęściej noc widział przez NVG, noktowizyjne gogle. Wydobył się z otworu, z trudem stanął na nogach i natychmiast upadł z powrotem. Dobra, powoli. Która godzina? Nie miał zegarka, nie miał kamizelki, hełmu, M4 – nie miał żadnej z tych rzeczy, które czyniły go żołnierzem. Podniósł się na łokciach i rozejrzał. Nie zobaczył niczego znajomego, zupełnie jakby został gdzieś teleportowany. Potem rozpoznał leżącego na boku strykerę i samochód z bombą pułapką, wciąż cały. Mina nie wybuchła. Oba pojazdy były na wpół przysypane gruzem,

jakby swoją zawartość wyrzuciła na nie gigantyczna wywrotka. Zobaczył rękę, but. Nawet jeśli pod gruzem był ktoś jeszcze, ogłuszony Black nie mógł usłyszeć żadnych krzyków. Ani śladu kolegów, ani rannych ze strykera.

Wciąż oparty na łokciach wyciągnął szyję. Po trzech stronach placu budynki zawaliły się, jakby ta sama olbrzymia wywrotka rozgniotła je kołami. Blackburn widział dużo ruin po bombardowaniu, całe wioski zrównane z ziemią przez bomby, moździerze i wyrzutnie rakiet, ale to zniszczenie swoją skalą przypominało mu zdjęcia niemieckich miast po II wojnie światowej albo Hiroszimę czy Nagasaki. Widok odebrał mu resztki energii. Black oparł głowę na rękach. Czyżby LWRO zbombardowało ich z powietrza?

Wtedy przypomniał sobie drżenie, to pierwsze, kiedy weszli na plac. To nie był nalot. To było trzęsienie ziemi.

8 // Wyższa Szkoła Dowódcza Wojsk Powietrznodesantowych, Riazan, Rosja

Z powietrza wszystko wyglądało tak schludnie, tak obiecująco, jak makieta architekta. Skupisko niskich budynków z jasnoczerwonymi dachami, otoczonych przez idealnie przyszyżone trawniki, poprzecinane stalowoszarymi drogami biegnącymi promieniście od środka do obrzeży kompleksu. Miejsce, w którym funkcjonowały wyłącznie porządek i logika, gdzie każdy ruch był skoordynowany, wyćwiczony i przewidziany.

Jednak dalej na wschód, za zasłoną drzew, działo się to, co najważniejsze. Na rozległej połaci czerwono-brązowego błota rozbito dwanaście oliwkowozielonych namiotów. Dima patrzył na nie przez szarą ramę okna i miał wrażenie, że ktoś przewija jego życie do tyłu, że wraca w otchłań.

Trzynaście lat temu stał tam, wdzięczny, że udało mu się wypełznąć żywym. Obiecał sobie, że nigdy tu nie wróci i aż do tej chwili sprzed czterdziestu ośmiu godzin, kiedy to Paliow pokazał mu zdjęcia, dotrzymywał słowa. Życie jest pełne niespodzianek, pomyślał. Człowiekowi wydaje się, że ma kontrolę nad swoim życiem, ale los zawsze trzyma jakąś nieprzyjemną sztuczkę w zanadrzu. Sądziłem, że jestem wolny, pomyślał, ale czy od samego początku nie było to złudzenie?

Nigdy nie zapomniał smaku tego błota w ustach i jego zapachu w nosie; uczucia, gdy zasychało na jego nagim, poobijanym ciele. Panowało powszechne przekonanie, że czerwone zabarwienie brało się nie z zawartości żelaza w tamtejszej glebie, ale z krwi przelanej przez rekrutów.

Teorię szkolenia Specnazu wyjaśniano następująco: weź pustą beczkę, wepchnij ją pod wodę, a potem puść. Im głębiej ją wepchniesz, tym szybciej i dalej wystrzeli nad powierzchnię. Specnaz nie znał przy tym pojęcia „za głęboko”. Każdego rekruta gnębiono do granic wyczerpania i upokorzenia. Żeby nauczył się wykonywać rozkazy, żeby kontrolował i oszczędzał zasoby,

kiedy jest już u kresu sił fizycznych. Żeby przekraczał granice ludzkiej wytrzymałości. Do szkolenia wybierano tylko najlepszych, a i tak wielu z nich nie dawało rady. Świetni kandydaci o doskonałym przebiegu służby poddawali się, łamali. Niektórzy odbierali sobie życie. Kilku zwróciło broń przeciwko instruktorom. Niewiele brakowało, a Dima byłby jednym z nich.

Cały pluton mieszkał w jednym, długim namiocie. Na górnych pryczach mieszkały „stariki”, dziewiętnastoletni starcy, którzy przetrwali tu już rok. Na dolnych – „sałagi”, ci, którym nie minęło jeszcze sześć miesięcy. Nowi rekruci byli co noc bici pasami, kijami i łyżkami. Jeśli zaprotestowali, rankiem byli bici raz jeszcze i zmuszani do spania nago w błocie. Sałagi byli niewolnikami starików: czyścili im broń i buty. Stariki urządzali pojedynki na kopie, jeżdżąc na plecach sałagów. Wszystko to służyło nauce kontrolowania emocji: powściągaj, kontroluj, kieruj.

Nowo przybyłych witano – czy też prowokowano – małym, białym ręcznikiem u wejścia do namiotu. Co powinni byli z nim zrobić? Podnieść go? Zignorować? Najczęściej odruchowo przestępowali nad nim, żeby go nie ubrudzić. Wtedy pozostali unosili się honorem na zniewagę i tak zaczynała się pierwsza noc cierpienia niewinnej ofiary. Dima pamiętał tę nagle zalegającą ciszę, te pełne oczekiwania twarze wpatrzone w jego wypastowane buty, już uwalane błotem. Wszyscy wyczekiwali, gdzie stąpnie. To była bardzo samotna chwila, pierwsza z wielu. Dima stanął na ręczniku i starannie wytarł nim cholewki butów do połysku. Kupił sobie w ten sposób nieco łagodniejsze traktowanie – ale niewiele łagodniejsze.

Kiedy mil Mi-24 obniżył pułap, Dima zobaczył ich, pełzających jak mrówki po błocie – nowych rekrutów, którym przedstawiano ich obowiązki. Ilu przetrwa? Ilu zakończy mękę kulką – dla siebie, nie mogąc znieść hańby porażki, czy dla jakiegoś wyjątkowo okrutnego starika, jeśli nie zdoła pohamować gniewu? Wśród tych, którzy przeszli odsiew – i tych, którzy odpadli – obowiązywała niepisana umowa, by nie mówić o szkoleniu. Dima i Kroll wymienili spojrzenia, których nie trzeba było tłumaczyć. Obaj dokładnie wiedzieli, o czym myśli drugi. Żołnierze uczą się działać razem, Specnaz uczy się działać w pojedynkę. Kiedyś Dima wierzył, że to dobre szkolenie, że przygotowuje go do życia – słowem, najlepsze z możliwych. Ale z drugiej strony, gdyby nie należał do elity, nie byłby samotny, może prowadziłby normalne życie.

To nie pora na takie rozmyślenia.

Dziś Dimie nie chodziło o rekrutów: przyjechał tu po instruktorów, najtwardszych i najbystrzejszych, niemogących się doczekać powrotu do prawdziwych działań; po ludzi, którym mógłby powierzyć stosunkowo proste zadanie oczyszczenia kompleksu. Paliow nie narzucił mu limitu ludzi i sprzętu, ale Dimę to akurat niepokoiło. Paliow zasłynął jako mistrz wydajności, który nigdy nie wysyłał pułku tam, gdzie poradziłby sobie pluton; który zwalczał długo i zawzięcie pomysły kupowania lepszego, droższego wyposażenia. Skąd więc ta nagła rozrzutność? Czyżby to była jego ostatnia szansa? A może chodziło o coś innego?

Dima obejrzał się na pozostałych pasażerów. Cała ósemka była podwładnymi Paliowa: Baryszew – rozpoznanie, Burdukowski – logistyka, Gawryłow i Deniken, Jegalin i Mazłak – balast. Tylko Burdukowski, mimo swojej tuszy, wyglądał na kogoś, kto liznął trochę akcji; miał paciorkowate oczy i wiecznie rozbawioną minę, jakby śmiał się w duchu z dowcipu, którego puentę znał tylko on sam. Reszta wyglądała jak stali mieszkańcy Akwarium, nieprzyzwyczajeni do wychodzenia na powietrze. Dimie przypomniało się mrugnięcie Omorowej – co konkretnie dawała mu do zrozumienia w centrum dowodzenia? Przez cały dzień w wiadomościach bez przerwy mówili o Iranie, Amerykanach w stanie gotowości wzdłuż granicy z Irakiem, LWRO przejmującym kontrolę nad przynajmniej trzema ośrodkami. A na dokładkę znów wstrząsy sejsmiczne na wschodzie. W Iranie tyle się działo, a oni mieli odbić jednego renegata-handlarza bronią przy użyciu małej armii. Coś tu nie grało.

Wysiedli na lądowisku pod głównym budynkiem. Dimę i Krolla zaprowadzono od razu do przygotowanej zawczasu sali przesłuchań. Trzy krzesła, stół, dzbanek z wodą, dwie szklanki. Wyglądało to nieprzyjemnie znajomo. Jediną dostrzegalną dla Dimy oznaką, że zapanowały czasy posowieckie, był plasterek cytryny w dzbanku.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich komendant obozu, Wasłow. Jego lśniaca, bezwłosa czaszka przypominała niemowlęcą główkę, ale na tym podobieństwo się kończyło. Nie miał szyi – przynajmniej takiej, jaka warta byłaby wzmianki – więc głowa wyrastała mu wprost z kołnierza, niczym szerokie, słupowate formacje skalne, które Dima widział kiedyś na zdjęciach z Arizony. Rysy twarzy skupiały się gęsto wokół złamanego nosa, jakby bały się rozsunąć. Słynne szklane oko wpatrywało się nieruchomo gdzieś w dal. Oko właściwe wyłuskała kula afgańskiego snajpera; mówiono, że wciąż

tkwiła w mózgu, według niektórych dlatego, że bała się poprosić o przepustkę. Ta właśnie rana, jedna z kilku, ostatecznie skazała Wasłowa na posadę w administracji. Co jakiś czas kula – albo coś innego – wywoływało u niego napady niekontrolowanej wściekłości, ofiarą której padał między innymi jego sekretarz. Wasłow złamał mu rękę w nadgarstku, kiedy znalazł jakiś dokument w niewłaściwej przegródce. Można było powiedzieć, że komendant rządził obozem twardą ręką. Mieszkał tu okrągły rok; nie miał nikogo ani niczego innego. Specnaz był jego życiem, jego rodziną, sensem jego istnienia.

Wasłow popatrzył gniewnie na Dimę, który nie wstał. Teraz był tylko prywatnym zleceniobiorcą, nie musiał przestrzegać wojskowych uprzejmości.

– Myślałem, że do tej pory ktoś już pana zabije – powiedział, nie patrząc komendantowi w oczy.

Namiastka ust Wasłowa zniknęła zupełnie. Wszedł do pokoju.

– Podałbym ci rękę, ale może mi się jeszcze potem przydać.

– Cieszę się, że w końcu mamy na to podobne spojrzenie.

Dima nie mógł się powstrzymać przed tym żartem. Spotkali się po raz pierwszy chwilę po tym, jak Dima wytarł buty w ręcznik. Wasłow był instruktorem i od samego początku zawział się na Dimę. Dima był od niego inteligentniejszy i obaj o tym wiedzieli. Wasłow obrał sobie za cel złamać go. Nie udało mu się, ale ostatecznie nabrali do siebie nawzajem niechętnego szacunku.

– Wciąż hoduje pan róże?

Wasłow uśmiechnął się bezwargowo, kiwnął głową i poklepał się po bocznej kieszeni mundurowej bluzy. Słyszał z tego, że zawsze nosił przy sobie sekator. Jego ulubioną metodą upokarzania kogoś, kto coś spaprał, było kazać mu rozebrać się przy kolegach; wyciągał wtedy sekator i zaciskał go na fiucie nieszczęśnika, aż ten się zmoczył. W swoim gabinecie trzymał nawet na widocznym miejscu słoik z czymś bardzo przypominającym ludzkie penisy. Nikt nigdy nie zbliżył się do niego wystarczająco, by się upewnić.

Oparł dłonie na stole i nachylił się do Dimy tak, że prawie zetknęli się twarzami.

– Masz spore chody jak na kogoś, kogo zwolniono – powiedział. Przynajmniej raz patrzył obydwójgiem oczu mniej więcej w tę samą stronę. – Góra podpisała twoją prośbę podebrania mi najlepszych instruktorów. – Przysunął się jeszcze bliżej. – Jeśli któryś z nich nie wróci w nienaruszonym

stanie, wiesz, jakie będą konsekwencje.

– Założyłem tytanowe gacie.

Wasłow wyprostował się, rzucił na stół plik teczek, odwrócił się i wymaszerował. Kroll przewrócił oczami, sięgnął po akta i zaczął je wertować.

Dima poczuł, że wibruje mu telefon. Przeczytał wiadomość i pokazał ekran Krollowi. Pojawiła się na nim galeria zdjęć murów kompleksu.

Kroll zrobił wielkie oczy.

– Kto ci to, kurwa, przysłał?

– Darwisz, mieszka na północ od Tebryzu. Zadzwoniłem do niego dziś rano, poprosiłem, żeby tam podjechał i rzucił okiem.

– Można się było spodziewać, że masz własnych szpiegów.

Kroll wziął telefon i przyjrzał się zdjęciom.

– Kawał muru.

– Tak, ale popatrz uważnie. Miejscami połatali go cegłą i gazobetonem. Widzisz te pęknięcia? To od wstrząsów. Można się przez nie przebić młotkiem.

Kroll podniósł wzrok.

– Potwierdza się moje przeczucie, że nie ma potrzeby ściągać artylerii. Przy głośnym wejściu z wybuchami i strzelaniną jest mała szansa, że Kafarow wydostanie się w jednym kawałku. Nie potrzebujemy tych wszystkich ludzi.

Obaj bali się tego samego. Dima przez chwilę milczał, zamyślony.

Kroll przetasował akta.

– To ilu potrzebujesz?

– Trzech do dowodzenia grupami uderzeniowymi.

Kroll wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Dima podniósł palec.

– Nie, zaczekaj, zmiana planu. Trzech do grupy uderzeniowej z nami.

Kroll rozpromienił się.

– Drogą?

Dima wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem, głośno myśląc.

– Ciężki mil zrzuci nas w sąsiedniej dolinie. Na pokładzie będą dwa samochody. Zrobimy rekonesans, sprawdzimy, co trzeba, potem, kiedy odetniemy zasilanie, wezwiemy grupy uderzeniowe. W ten sposób będziemy mieli więcej możliwości w razie zmiany planu.

– Zmiany jakiego planu?

Dima popatrzył na Krolla. Zastanawiał się w duchu, w co pakuje swojego przyjaciela.

– Nie wiem. Chcę być po prostu przygotowany, na wszelki wypadek.

Ruchem głowy wskazał papiery. Kroll podniósł leżącą na stole słuchawkę telefonu.

– Dobrze, jesteśmy gotowi. Pierwszy Lenkow.

Do środka wmaszerował pierwszy kandydat. Ponad dwa metry wzrostu, piaskowe blond włosy, nordyckie rysy. Nie dotarł nawet do stołu.

Dima pokręcił głową.

– Najeżdżamy Iran, a nie Finlandię.

Lenkow posłusznie obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kroll zmarszczył brwi.

– Ale mógł się nieźle bić.

– Wygląda jak z plakatu werbunkowego Waffen SS. Oni nie mogą wyróżniać się z tłumu.

– Dobrze. Następny jest Hassan Zirak.

– Dobrze, kurdyjskie nazwisko.

– Szyita z Lachinu.

Zirak wszedł i stanął na baczność przed stołem, ze wzrokiem utkwionym w ścianie. Był niski, miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć. Przedwcześnie postarzała twarz i krzywe nogi zdradzały jego chłopskie pochodzenie.

Dima zwrócił się do niego w farsi.

– Dam ci czterysta riali za przewiezienie z Tebryzu do Teheranu.

Zirak zamrugął oczami.

– Prędej nasram na własną matkę. Cztery tysiące plus noc z twoją córką.

Kroll spróbował ukryć uśmiech, ale Dima popatrzył tylko gniewnie na Ziraka i przeszedł na tadżycki.

– Pers jedzie na wakacje do Afryki. Chce się wykapać, a tu z krzaków wyskakuje goryl i go gwałci. Pers leży trzy miesiące w śpiączce; kiedy wraca do domu, na lotnisku czeka tłum dziennikarzy. Jeden pyta, czy goryl go zranił. Co Pers odpowiada?

Zirak spuścił wzrok, pogładził się po brodzie, wyprostował.

– Nie zadzwonił, nie napisał, nie przysłał kwiatów. Oczywiście, że mnie zranił!

Dima pozwolił sobie na uśmiech.

– Zaczekaj na zewnątrz.

Następni dwaj oblali test: nie poradzili sobie z językiem albo zbił ich z tropu goryl. Dima i Kroll przejrżeli pozostałe akta. Kiedy podnieśli wzrok, przed nimi stał następny kandydat: Gregorin, jeszcze jeden blondyn. Kroll już chciał go odesłać, ale Dima nie dopuścił go do głosu.

– Nie słyszałem, jak wchodziłeś. Wyjdź i wróć.

Żołnierz usłuchał, wrócił na swoje miejsce.

Dima odwrócił się do Krolla.

– Słyszałeś coś?

– Nie.

– Ja też nie. Gdzie się tego nauczyłeś, Gregorin?

Gregorin wpatrywał się w ścianę za nimi, z twarzą bez wyrazu, jak aktor czekający na rolę.

– Zanim się zaciągnąłem, uczyłem się baletu.

– Dla starików to jak płachta na byka. Jak sobie z tym poradziłeś?

– Kiedy zabiłem jednego, problem zniknął.

– W bójce?

Gregorin opuścił wzrok i spojrzał Dimie w oczy. Jego własne były zimne i martwe.

– Tak to zaaranżowałem.

– Z premedytacją? Dlaczego nie trafiłeś pod sąd polowy?

Gregorin wciąż patrzył na Dimę.

– Nikt się nie dowiedział.

– Ale mi to mówisz.

– Jeśli mam zostać przyjęty do tej misji, chyba lepiej, żebyśmy nie mieli przed sobą tajemnic.

Kroll podniósł wzrok znad jego akt.

– Imponujące. Jak dokładnie to zrobiłeś?

– Po bójce mój przeciwnik trafił do szpitala. Bałem się, że całkiem wydobrzeje, więc przedostałem się na teren szpitala i podałem mu śmiertelną dawkę diamorfiny.

Dima sięgnął po jego dossier. Nie było tam wzmianki nawet o plotkach dotyczących tego incydentu. Oprócz służby w Afganistanie i Bośni, Gregorin pracował pod przykryciem w Brukseli, infiltrował narkotykowy kartel w Dubaju, przeprowadzał zamachy w Republice Dominikany, a także przeszedł okresową kwarantannę, kiedy zarzucono mu nieudowodnione

kontakty z CIA podczas działań w Pakistanie. Dima wiedział, że większość dowódców trzymałaby tego człowieka na dystans. Nadawał się doskonale.

– Dziękuję za szczerość. Zaczekaj na zewnątrz.

Gregorin zasalutował i bezgłośnie wyszedł.

Kroll wziął głęboki oddech.

– Lepiej mu nie podpaść.

Dima nie zwrócił na niego uwagi. Myślami był gdzie indziej. W końcu się odezwał.

– Chcę Władimira.

– Mówiłeś, że nigdy więcej nie będziesz z nim pracował.

– To samo mówiłem o tobie i patrz, jak się skończyło. Masz coś konkretnie przeciwko niemu?

Kroll wysunął dolną wargę.

– Nie. Ale teraz siedzi. Handel narkotykami.

– To go wydostańmy.

– Paliow może mieć z tym problem.

– Nie musi wiedzieć. W którym siedzi zakładzie?

– W Butyrce.

Dima przeciągle westchnął.

– Świetnie. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie dostał jeszcze gruźlicy albo AIDS.

– Wasłow każe go przenieść do zakładu wojskowego, a my go przejmujemy po drodze.

– Uważa, że Paliow zniszczył mu karierę. Będzie miał okazję się odegrać.

– Znasz słaby punkt każdego, co?

– Oprócz własnego. – W głowie Dimy mignęły znów zdjęcia Paliowa.

Kroll wstał.

– Ja się tym zajmę, a ty w tym czasie mógłbyś wprowadzić w sprawę tamtych dwóch.

Dima kiwnął głową. Kroll podniósł słuchawkę.

– Przyślijcie Ziraka i Gregorina z powrotem.

Kandydaci stanęli jeden przy drugim, zupełnie do siebie niepodobni. To dobrze, pomyślał Dima.

Przyjrzał się każdemu z nich.

– Misja zaczyna się od tej chwili. Waszym pierwszym zadaniem jest dostarczyć mi Władimira Kamariwskiego jutro o świcie. Siedzi w więzieniu

w Butyrce. Jego dane znajdziecie w bazie. Jeśli jakieś drzwi będą dla was zamknięte, Wasłow je otworzy. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Macie mi go po prostu przyprowadzić.

Zirak zrobił zdumioną minę.

– Żydowskiego Ajatollaha?

Władimir, łotewski Żyd, stał się w Specnazie legendą po tym, jak zinfiltrował sztab najwyższego przywódcy Iranu. Chłubił się swoją znajomością Koranu i jak nikt rozumiał zawiłości irańskiej władzy.

Dima skinął głową.

– Ten sam, zgadza się. Macie tu wrócić przed świtem.

Kiedy wyszli, Kroll odwrócił się do Dimy i popatrzył na niego czujnie.

– Jest coś, o czym mi nie mówisz? Tylko nie pierdol.

– Mam po prostu przeczucie, że to będzie moja ostatnia misja. Chcę mieć ze sobą swoich ulubieńców.

9 // Granica irackiego Kurdystanu i Iranu

Black stracił poczucie upływu czasu. Zgubił zegarek, radio miał rozbite, zawieruszył też gdzieś słuchawki. Żeby uciec z gruzowiska, musiał pozbyć się wszystkiego, co do tej pory miało utrzymywać go przy życiu. Dodatkowe trzydzieści kilogramów amunicji i kamizelki kuloodporne, które nosili żołnierze, przydawały się, ale stanowiły również obciążenie. Zostawił nawet manierkę z wodą. Czuł się, jakby ktoś wsypał mu do ust worek ceglano-pyłu, a wiatr niósł drobinki, które zdzierały mu skórę. Szybko zapadał zmrok; musiało być około dziewiętnastej. To oznaczało, że spędził pod gruzami sześć godzin. Kiedy udało mu się wstać, znalazł schronienie pod dwiema kolumnami, wspartymi o siebie jak para pijaków. Stał tam nieruchomo. Ponieważ niczego nie słyszał, wypatrywał ruchu. Zniszczenie było całkowite. Przypomniały mu się pokazywane przez dziadka zdjęcia Drezna – żywego, oddychającego miasta, obróconego w perzynę.

Obok przebiegł pies, chudy i utykający. Popatrzył na Blacka, zawahał się, jakby nie mógł zdecydować, czy to wróg, czy przyjaciel, a potem pobiegł dalej. Blackburn pomyślał o swojej drużynie. Też ich zasypało, czy uciekli? Huczenie głuchoty słabło. Zdał sobie sprawę, że słyszy cichy, urywany jęk, i ruszył w jego kierunku. Może mógłby jakoś pomóc. Ulica była zasłana gruzami, a on wciąż miał problemy z równowagą. Kiedy skupił wzrok, udało mu się zlokalizować źródło dźwięku. Na ulicy leżała postać w wojskowym mundurze, połową ciała zwisając do szczeliny, która rozwarła się po trzęsieniu ziemi. Kiedy Black rozpoznał amerykański kamuflaż, natychmiast przyspieszył.

Był niecałą przecznicę od żołnierza, kiedy usłyszał jakiś pojazd. Na pewno ciężki, najpewniej wojskowy. Pomoc w drodze? W odgłosie było coś takiego, że zwolnił i stanął. Warkot silnika – nie znajomy, budowlany diesel stryker, lecz niższy, gardłowy pomruk, bardziej przypominający V8. Black

przykucnął za na wpół zgniecioną furgonetką akurat w chwili, kiedy w polu jego widzenia pojawił się pierwszy z trzech rosyjskich BTR-152, sześciokołowych transporterów opancerzonych, a obok niego – gromada młodych mężczyzn w prowizorycznym oporządzeniu bojowym.

Tego, co nastąpiło potem, nigdy nie miał zapomnieć. Jak wszyscy żołnierze widział w Iraku rzeczy, których wolałby nie widzieć, ale była to nieodłączna część jego obowiązków. Jeśli ktoś nie lubił patrzeć na zabijanie i okaleczanie innych, nie wstępował do wojska. Widok życia gasnącego w oczach tamtej dziewczyny nad kuchnią trochę jakby podniósł poprzeczkę: Black trzymał ją, jako pierwszy i ostatni mężczyzna w jej życiu, w intymnych objęciach przed śmiercią. Ale to, co nastąpiło teraz, przebiło nawet tamto doświadczenie. Jakiś czas później Black przyznał ponuro, że widowisko osiągnęło swój cel. Po tym, czego był świadkiem, nigdy już nie uwierzył w całe to pieprzenie o słusznej i szlachetnej wojnie.

Ranny żołnierz, słysząc konwój, podparł się na łokciu i zaczął machać. BTR gwałtownie się zatrzymał. Jedne z jego pancernych drzwi otworzyły się i ze środka wyskoczyła postać w szalwar kamiz, z twarzą zawiniętą turbanem. Powiedziała coś do rannego. Z transportera wysypało się kilku innych mężczyzn z kałasznikowami, ustawili się wokół wraz z grupą podobnie ubranych mężczyzn z okolicy. Mężczyzna w turbanie i żołnierz marines najwyraźniej znaleźli wspólny język – prawdopodobnie angielski – ale potem ten pierwszy dał znak jednemu z bojowników w tłumie, który podszedł bliżej z kamerą i zaczął filmować. Turban się cofnął i wyciągnął nóż, ząbkowany jak nóż do chleba, ale dłuższy, jakby specjalnie zaprojektowany do tego, co zamierzał zrobić. Chwycił żołnierza za włosy i ciął go po szyi. Krew bryzgała na boki, a on piłował z taką zawziętością, że dekapitacja zakończyła się po dwudziestu sekundach. Blackburn poczuł, że płuca wypełniają mu się powietrzem do krzyku, ale instynkt samozachowawczy zwyciężył. Mężczyzna podniósł do góry głowę żołnierza, pokazując ją towarzyszom, a wtedy zsunął mu się pas turbanu i Blackburn zobaczył jego twarz – gładko ogoloną, co niespotykane, o wydatnych kościach policzkowych i małych, zmrużonych jak szparki oczach. Turban wyszczerzył zęby, odgryzł nos głowie żołnierza i wypluł go na ziemię. Tłum oszalał, zaczął strzelać na wiwat z kałasznikowów i skandować coś, czego Black nie rozumiał. W końcu mężczyzna dał znak swoim ludziom; wsiedli do transportera i odjechali na wschód z szybkością piechura, zostawiając za sobą

skandujący tłum.

10 // Rianzań, Rosja

Jakkolwiek dobrze by to nie wyglądało, Dimie nie podobało się to, co widział. Ze swojej prowizorycznej sali sztabowej patrzył, jak gigantyczny Mi-26, „latający ślimak”, którego zażądał, największy śmigłowiec świata, siada na płycie lądowiska. Zaprojektowany, by bez trudu przewozić osiemdziesięciu żołnierzy, potrafił połączyć nawet ośmiokołowy transporter. Dima zastanowił się przelotnie, czy Zirak i Gregorin zastaną Władimira spakowanego pod bramą Butyrki.

Z jednej strony cieszyła go szybkość, z jaką załatwiano wszystko, czego zażądał. Z drugiej odzywał się w nim wąpiący sceptyk, którego słuchał najuważniej, bo tylko on wiedział, iż wszystko jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Dlatego zadzwonił do Paliowa.

- Musimy pogadać.
- Właśnie gadamy.
- W cztery oczy, nie przez telefon. Albo się wycofuję.

Rozłączył się, zanim stary zdążył zaprotestować.

Dima szybko ułożył plan. Ślimak zrzuci ich razem ze środkami transportu dziesięć klików od kompleksu, daleko poza zasięg słuchu. Dla głównego zespołu Burdukowski załatwił dwa paykany, najpopularniejsze samochody w Iranie. Zespół przeprowadzi ostateczny rekonesans, a potem odetnie zasilanie kompleksu. Później wespną się na mur po linach z kotwiczkami i z wytłumionej broni metodycznie będą oczyszczać wszystkie pomieszczenia, aż znajdą Kafarowa. Ślimak tymczasem przeleci w miejsce, z którego wszystkich ich później odbierze. Wrócą przed śniadaniem.

Ale ludzie, którzy razem z nim przylecieli śmigłowcem, wzbudzali w nim podejrzenia. Potem dowiedział się, że „przydzielono” mu pięćdziesięciu komandosów „jako wsparcie”, a także drugi śmigłowiec z załogą z innej agencji.

Mi-8 „kierownictwa” GRU wylądował obok ślimaka. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i ze środka wysiadł Paliow. Stary ruszył sztywno w stronę głównego gmachu. Na powitanie nieoczekiwanego gościa wyszedł komendant. Paliow przyjechał chyba sam, co było bardzo wymowne. Ludzie na jego stanowisku nigdy nie podróżowali bez asystentów i ochrony. Wasłow skierował go do budynku, w którym rozłożył się Dima, i siedł z nim, dopóki Paliow go nie odesłał. Spotkanie miało się odbyć w cztery oczy.

Kiedy Paliow wszedł, Dima siedział z powrotem za biurkiem. Stary szybko się rozejrzał, jakby odruchowo, lustrując wszystkie kąty.

– Już sprawdziłem, nie masz się czego obawiać.

Paliow usiadł na fotelu powoli, jakby przyszedł tu z Moskwy pieszo.

– Dostajesz wszystko, czego potrzebujesz?

– Spełniają każdą moją zachciankę. Wyobrażasz sobie? – Dima uśmiechnął się. – Dzięki za uruchomienie wszystkich kanałów.

Stary przyjął komplement skinięciem głowy.

– Jeśli to nie wyjdzie tak, jakbyś chciał, wciąż zakładam, że dotrzymasz swojej części umowy.

– Ach, zdjęcia... – Paliow westchnął. – Jeśli to nie wyjdzie, wątpię, czy mnie jeszcze zobaczysz.

– Tak myślałem. Tak ci na tym zależy, że robisz wszystko, co w twojej mocy. Tam jest do zabrania coś więcej, niż tylko Kafarow, prawda?

Paliow złożył dłonie na podolku.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Dima rąbnął dłońmi w biurko.

– Nie pierdol.

– Są pewne... operacyjne trudności. Nawet Timofiejew musi stąpać ostrożnie. Jeden niewłaściwy krok, nawet na jego poziomie, i wszystkich nas spuszcza w kiblu.

Cienka warstewka potu na czole starego powiedziała Dimie, że instynkt go nie myli.

– Dobrze, w takim razie ci powiem. Drugi zespół ma wejść, kiedy mój już wyjdzie. Bo Kafarow zostawił tam coś cennego.

Paliow zrobił się szary na twarzy.

– Godzinę temu wylądował tu śmigłowiec ekipy, która sprzątała w Czarnobylu. Mają zabrać głowice jądrowe.

Paliow podniósł ręce, potem opuścił je bezwładnie na kolana. Uśmiechnął

się słabo. Żałosne, pomyślał Dima. Być tak wysoko, w takim wieku, i tak się bać. Pierestrojka, transformacja dawnego, niedobrego ZSRR w lśniącą, nowiutką Federację Rosyjską. Nic tak naprawdę się nie zmieniło. Równie dobrze mogliby żyć w czasach Stalina.

– A Timofiejew upierał się, żeby mi nie mówić.

Paliow zdołał powstrzymać strumienie potu na czole.

– O ich istnieniu wiedzą tylko na najwyższym szczeblu. Tylko trzy osoby na Kremlu. Dlatego to wszystko jest tak bardzo... krępujące... dla tych, którzy wiedzą, że sprawy zaszły tak daleko.

– Kiedy Al-Baszir dostanie to w swoje ręce, kiedy dobędzie broń jądrową, której pożąda jego kraj, będą mogli zacząć grać jak równy z równym z Izraelem i Pakistanem. A gdy dowiedzą się o tym Amerykanie, o ile już nie wiedzą, będą poważnie wkurzeni na Rosję, że zaopatruje państwo bandyckie. Naprawdę wkurzeni.

Paliow sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął paczkę papierosów. Poczęstował się, zapalił i zaciągnął łapczywie jak człowiek pałący ostatni raz przed plutonem egzekucyjnym.

– O ile dobrze pamiętam, najmniejsze, jakie robiliśmy, ważyły trochę ponad dziewięćdziesiąt kilo i były mniej więcej wielkości domowej lodówki.

Paliow poruszył się na fotelu, spuścił wzrok.

– Technika poszła do przodu. Wykorzystanie włókien węglowych i miniaturyzacja kluczowych komponentów pozwoliła zmniejszyć ich gabaryty do wielkości normalnej walizki. Siła wybuchu sięga osiemnastu kiloton – mniej więcej tyle miała bomba zrzucona na Hiroszimę.

– Skąd wiecie, że ciągle tam jest, w kompleksie?

– Wysłała sygnał, o czym Kafarow najwyraźniej nie wie. Ma szczęście. W ten sposób dowiedzieliśmy się, dokąd trafił.

Paliow znów zaciągnął się papierosem. Już przedtem dawno przekroczył datę ważności, ale podczas tego jednego spotkania postarzał się o kolejne dziesięć lat.

Dima poczuł cień pogardy.

– Stawką jest twoja posada, może nawet emerytura. Współczuję.

Paliow zaśmiał się sardonicznie, wyrzucając obłok dymu.

– Raczej moje życie.

Dima wydał usta i przeciągle westchnął.

– I chuj ze wszystkimi innymi. Dobra, teraz mnie posłuchaj. Zdjęcia: chcę

nazwisko i adres i datę, kiedy je zrobiono. Powiesz mi to teraz albo polecisz na tę misję sam. Wyruchaliście mnie już wystarczającą ilość razy.

– Te informacje ma Timofiejew.

– I nie powierzył ich nawet tobie?

Paliow wzruszył ramionami.

– Nikt nie ufa nikomu.

Dima miał chęć zabić go na miejscu, wydusić życie z tego żalosego, rozdygotanego oportunisty. Ale wtedy nigdy nie dostałby zdjęć.

Paliow pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, złożył dłonie w błagalnym geście; spomiędzy nich sterczał papieros.

– Oddaj mi dwadzieścia lat, to polecę tam z tobą. Jeśli ci się powiedzie, zapewnię ci wszelką pomoc w znalezieniu... tego, co cię skłoniło do przyjęcia zadania. Wiem, ile te zdjęcia dla ciebie znaczą. Aha, Timofiejew obiecał ci osobiste podziękowanie prezydenta.

– Powiedziałeś mu chyba, że mam je w dupie?

Paliow wstał i podał Dimie rękę.

– Ale jeśli ci się nie uda... Uczciwie ci radzę: nie wracaj.

11 // Granica irackiego Kurdystanu i Iranu

Kiedy Blackburn dotarł do zabitego żołnierza marines, ten nie miał już niczego. Hełm, M4, kamizelka, amunicja – zniknęły. Mundur – zniknął. Nieśmiertelnik – zniknął. Nawet buty, zegarek i obrączka. Majtki też. Tłum obrał go do czysta. Bezgłowy, nagi wśród ruin, otoczony gruzem żołnierz wyglądał jak obalony posąg. Tylko pokryta warstwą kurzu delta wyciekającej z niego krwi świadczyła, że kiedyś był żywym człowiekiem.

Kawałek dalej leżały dwa zdjęcia, zmięte jak papierki po cukierkach. Black schylił się po nie. Jedno przedstawiało dziewczynę siedzącą na masce niebieskiego firebirda, drugie – labradora skaczącego w stronę patyka.

Teraz nie mógł już nic dla chłopaka zrobić. Rozprostował zdjęcia i schował je do kieszeni. Szeptem zmówił modlitwę i obiecał sobie w duchu, że zidentyfikuje zabitego i w jakiś sposób pomści jego straszną, haniebną śmierć. Wiedział, że widok ten zostanie z nim na zawsze i że w przyszłości nikomu o nim nie opowie, bo z takiej opowieści nie mogłoby wyniknąć nic dobrego. W końcu, po tylu latach, zrozumiał milczenie swojego ojca.

Zrobiło się już ciemno. Spadała temperatura. Black był osłabiony i rozpaczliwie spragniony. Zamiast głuchoty dokuczało mu teraz miarowe brzęczenie, przypominające zepsute radio. Odwrócił się i ruszył z powrotem na wschód, w stronę granicy, od której przyjechali nie wiadomo ile godzin temu. Szedł przez jakąś godzinę, potykając się na pozostałościach drogi, kiedy przez brzęczenie w uszach usłyszał znajomy łoskot śmigieł ospreya. Przyspieszył kroku – natychmiast potknął się na gruzie i upadł. Wstał i dalej poszedł już wolniej. Osprey zniknął na horyzoncie, ale dał mu nadzieję, coś, na czym mógł się skupić. Kiedy odgłos jego śmigieł ucichł, Black usłyszał w ciemności inne dźwięki: krzyki, warkot pojazdu, którym ktoś wściekle manewrował, wycie skrzyni biegów, potem strzały i wybuch. Skoro ktoś walczy, muszą być źli i dobrzy, pomyślał logicznie.

W rejonie, w którym się znalazł, trzęsienie ziemi wyrządziło mniej zniszczeń. Ulica była zasłana gruzem, ale większość budynków stała nietknięta. Black usłyszał głos i ruszył w jego stronę. Głos dobiegał z samochodu – rozbitego humvee. Zobaczył wychyloną ze środka postać, jakby do niego machającą, ale nie zgadzały mu się kąty. Żołnierz, zwisający z kabiny, był martwy, miał rozrzucone szeroko ręce. Blackburn skupił się na źródle głosu. Dopiero po kilku sekundach zarejestrował, że głos mówi po angielsku i dobiega gdzieś z ziemi. Radio.

– ... potwierdzam, kontakt z nieprzyjacielem w okolicach współrzędnych dwa dwa cztery osiem sześć.

– Szajbus 1-3, przyjąłem, nawracam do ewakuacji...

Black chwycił radio. Odpadła z niego obudowa. Spróbował otworzyć kanał, nie udało się, więc cisnął radiem o ziemię i jakby na ten znak w górze pojawił się osprey z silnikami odchyłonymi do lądowania. Blackburn znalazł w sobie rezerwy energii, których istnienia nie podejrzewał, i zataczając się, pobiegł w kierunku, w którym poleciał pionowzlot. Widział go cały czas, czarny kształt na tle nocnego nieba, aż zapaliły się reflektory, zalewając światłem teren pod sobą. Black próbował pohamować falę ulgi. Jeszcze nie był uratowany, a reflektory ściągnęły huragan ognia z broni ręcznej, po którym nastąpił wybuch i pojawiła się ognista kula na zachód od miejsca lądowania samolotu. Śmigłowiec zniknął za budynkami.

Nagle Black uświadomił sobie, że na pokładzie helikoptera nikt nie wie, że on do niego biegnie. Przy takim ostrzale maszyna będzie siedziała na ziemi tylko tak długo, żeby zabrać rannych. Musiał się do niej dostać, zanim znów wystartuje. Już niedaleko; czuł na twarzy podmuch wirników, docierał do niego huk łopat tnących powietrze. Biegł. Adrenalina poprawiała mu wzrok i dała potężny zastrzyk energii. Przeskakiwał przez głazy i trupy po drodze, nie zważał na obrazy spustoszenia, spowodowanego trzęsieniem ziemi albo walkami, nie sposób było powiedzieć.

Osprey usiadł w miejscu, które kiedyś było placem; miał opuszczoną tylną rampę. Dwaj żołnierze stali na warcie, a sanitariusze wciągali na pokład rannych. Black usłyszał, że silniki zwiększają obroty, w powietrze wzbilo się tornado pyłu. Wartownicy wycofali się do środka po rampie, zawieszenie kół zluźniło i samolot zaczął się wznosić w powietrze.

Black krzyczał, ile sił w płucach, ale nie mógł przekrzyczeć ryku wirników. Coś odbiło mu się od ramienia; poczuł, jakby użądliła go wielka osa. Kiedy

dobiegł do rampy, była już na wysokości jego pasa: wyciągnął ręce, spróbował namacać uchwyt i poczuł, że osuwa się w tył... Nagle dwie pary rąk z niebios chwyciły go i wciągnęły na pokład za pagony. Dopiero wtedy pozwolił sobie na spojrzenie w dół na niknące w mroku ruiny.

12 // Rianzań, Rosja

Stali w olbrzymiej, metalowej jaskini ładowni mila; Zirak i Gregorin parę kroków dalej, z minami cichego tryumfu, Kroll oparty o stertę maskujących siatek. Po oświetlonym reflektorami ładowisku jeździły ciężarówki, a miarowy strumień ludzi ze skupieniem i determinacją pakował wyposażenie do ładowni. Kilku z nich zerkąło na grupę komandosów w typowych irańskich strojach cywilnych – ciemna marynarka od garnituru, luźne spodnie. Jeden dyskretnie wskazał nowo przybyłego, potem mruknął coś do kolegi, na twarzy którego odmalował się podziw połączony z niedowierzaniem. Władimir był słynny, był legendą Specnazu. Dima żywił nadzieję, że rzeczywistość wciąż do tej legendy dorasta.

Więzienna furgonetka zahamowała z piskiem opon obok mila o dziesiątej trzydzieści. Wyglądała jakby przyjechała z frontu. Przednia szyba pęknięta, luźno zwisające boczne lustro. Zirak i Gregorin wyskoczyli z kabiny w kradzionych mundurach strażników więziennych; uprowadzony przez nich człowiek wyglądał na oszołomionego i poruszał się sztywno. Kiedy zaprowadzili go po rampie do ładowni mila, gdzie stał Dima, Władimir odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

– Powiedz mi, że to żart.

– To nie żart. – Dima chwycił go w objęcia i ucałował w oba policzki. Władimir śmierdział.

– Odbiłeś mnie z jednego z najgorszych więzień w Rosji. Wszyscy inni ci odmówili? Rozumiem, to misja samobójcza i pomyślałeś, że wolę to, niż następne pięć lat tam. Masz niezłe poczucie humoru, Dima Majakowski.

Dima przyjrzał się dawnemu towarzyszowi. Więzienie nie wyszło mu na zdrowie. Stracił na wadze, z braku słońca jego cera przybrała niezdrowy odcień, a na policzku miał świeżą bliznę po niedawnej bójce na noże. Do więzienia trafił bez kilku zębów, na miejscu stracił kilka następnych. Dima

wskazał jego koszulkę.

– Ściągaj.

Władimir zdjął brudny T-shirt. Dima obszedł go dookoła, przyjrzał się jego sylwetce, która na szczęście nie wyglądała tak źle, jak twarz. Uderzył go mocno w brzuch. Władimir ledwie drgnął.

– Czyli znalazłeś czas na siłownię.

– Nie miałem nic innego do roboty.

Władimir padł na ziemię i zaczął robić szybkie pompki.

– Zabierzcie go, wprowadźcie w sytuację i dajcie coś porządnego do zjedzenia. Ten człowiek od dwóch lat nie odżywiał się jak należy. – Potem Dima wskazał pozostałych dwóch. – No, zdaliście egzamin. Zgubcie gdzieś samochód.

Gregorin zaczął coś mówić, ale Dima go uciszył.

– Później mi opowiecie. Teraz musimy ruszyć z tym cyrkiem w trasę.

Do rampy podjechały następne dwa samochody. Z jednego z nich wysiadł Burdukowski, człowiek od logistyki, i machnął na Dimę.

– Zadowolony?

Klepnął w maskę auta jak sprzedawca.

– Paykany. Irański odpowiednik łady. Najlepsze dostępne egzemplarze.

Dima znał je dobrze ze swojej służby. Były najpopularniejszymi samochodami na irańskich drogach, a te dwa wyglądały na autentycznie zużyte. Jeden miał wgniezione drzwi, drugi przednie błotniki w różnych kolorach i całkowicie przerdzewiały dach. Idealnie wtopią się w otoczenie. Burdukowski wskazał tablice rejestracyjne.

– Prawdziwe z Tebryzu, mniej więcej.

– Przeszedłeś samego siebie. Działają?

– Nowe silniki i układy przeniesienia napędu. Zatankowane do pełna. Nie powinniście mieć żadnych problemów. Jeśli się da, przywieźcie je w jednym kawałku: coraz trudniej znaleźć takie, które nadają się do użytku.

Machnął ręką, żeby auta wjechały na rampę, a potem do Dimy, by ten dołączył do niego na płycie.

– To nie koniec.

Cofnął się, aż mógł objąć spojrzeniem całego mila, po czym znów przywołał Dimę. Był podekscytowany jak dziecko w salonie Ferrari.

– Spotkał was wielki zaszczyt. Widzisz to? – Wskazał talerzową osłonę na piaście wirnika. – Tłumik. Ściśle tajny. Amerykanie używali takich

w swoich blackhawkach, kiedy lecieli po bin Ladena. Nie wiedzą, że też je mamy. To latający autobus, ale ma wszystkie zabawki z bojowego Me-28e. Lata na niskim pułapie, doskonale trzyma się gruntu, do tego ma radar połączony z termowizją. Zdublowane systemy hydrauliczne i kontroli lotu, opancerzony kokpit z oddzielną, ceramiczną powłoką, kuloodporne szyby i pancerna gródź między stanowiskami załogi, samouszczelniające się zbiorniki paliwa wypełnione pianką poliuretanową.

Podszedł bliżej i przeciągnął dłonią po kadłubie, jak po boku wyścigowego konia.

– Dotknij.

Dima dotknął.

– Specjalna farba, utrudniająca wykrycie w podczerwieni. Pierwszy raz jej użyliśmy.

Dima wskazał mila-24 ludzi od atomówek.

– A tamten?

Burdukowski wzruszył ramionami; w jego entuzjazmie pojawiła się pierwsza rysa.

– Standardowa wersja, więc trzymajcie ich z dala, dopóki nie zabezpieczycie lokacji.

Dima podszedł do drugiego śmigłowca.

Szenk, dowódca atomowej grupy awaryjnej, sprawdzał po raz ostatni ze swoim zespołem sprzęt chroniący przed promieniowaniem. Kiedy zobaczył Dimę, przerwał i stanął z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby zastawiał mu drogę. Miał pociągłą, kamienną twarz, bardziej pasującą grabarzowi. Jeśli istniała jakaś pani Szenk, Dima jej współczuł.

– Czego potrzeba? – Szenk wysunął podbródek.

Dima zdusił chęć, by go w ten podbródek strzelić. Spróbował się serdecznie uśmiechnąć.

– Przyszedłem życzyć wam powodzenia.

– Zróbcie swoje jak trzeba, to nie będziemy potrzebowali szczęścia.

Reszta zespołu przerwała swoje zajęcia.

Dima nie ustępował.

– Potrzebuję zdjęć bomby, które mógłbym pokazać moim ludziom. Muszą wiedzieć, czego szukamy.

Szenk powoli i rozmyślnie pokręcił głową.

– Ścisłe tajne.

– Bardzo śmieszne.

Szenk wysunął brodę.

– Bardzo nieśmieszne. Wszystkie zdjęcia, schematy i opisy są dostępne tylko osobom posiadającym uprawnienie wydane przez sekretarza obrony. Wy zabezpieczacie teren i znajdujecie swój cel. My zajmujemy się resztą.

Dima podszedł do sprzętu rozłożonego w ładowni śmigłowca. Liczniki Geigera, rzecz niezbędna. I cienki laptop, prawie tablet, trochę niepasujący do reszty. Postanowił sprawdzić, czy pełni jeszcze jakąś funkcję, na przykład skanera. Podniósł urządzenie, obrócił je i z powątpiewaniem obejrzał. Szenk wyrwał mu je z ręki.

– Tylko dla upoważnionych, obawiam się. To wyjątkowo delikatne.

Dima znów zabrał mu tablet i przyjrzał mu się trochę tak, jak mogłaby to zrobić jego babcia.

– Nie robi wielkiego wrażenia.

– Posłuchaj – powiedział Szenk, po raz kolejny odbierając mu urządzenie. – Z pozoru to zwykła nawigacja satelitarna, ale została ulepszona tak, że odbiera sygnał z bomby. Lokalizuje ją, podając jej długość i szerokość geograficzną z dokładnością do kilometra kwadratowego, z odległości do siedmiuset kilometrów. Kiedy dotknie się tej zakładki i wybierze tę opcję z menu, dane są konwertowane na współrzędne na mapie. To dokładniejsze niż skaner i przez to dziesięć razy bardziej nie powinno interesować takich jak ty.

Dima przybrał skruszony wyraz twarzy i zapamiętał, co powiedział Szenk, żeby w odpowiedniej chwili przekazać to Krollowi.

– A teraz, jeśli wolno – ciągnął Szenk – muszę przygotować się do misji.

– Tak, oczywiście. Przepraszam.

Dima jeszcze przez chwilę patrzył, jak Szenk i jego ludzie krzątają się przy sprzęcie. Rosja rodziła takich tysiącami. Ludzi, którzy większość czasu spędzali w stanie wrodzonego niezadowolenia; którzy uważali, że zasługują na więcej, ale nigdy o nic więcej nie walczyli; którzy całe życie zaciekle bronili swojego drogocennego terytorium. Rosyjskie wojsko było ich pełne. Życie Szenka polegało na naprawianiu błędów innych, ich pomyłek i zaniedbań, czy był to radioaktywny opad w Czarnobylu, czy niezliczone, przeterminowane, promieniujące głowice jądrowe. Rosja potrzebowała pewnej liczby Szenków. Duża część rosyjskiego arsenału jądrowego była starsza, niż ktokolwiek gotów był przyznać, niezdatna do użycia, gdyby

przyszło co do czego. Ale w obłąkanym świecie Wzajemnie Zagwarantowanego Zniszczenia to kraje posiadające atomówki zasiadały do najważniejszych stołów. Z tego właśnie wynikało poczucie własnej ważności Szenka – uważał, że ratuje świat przed jego własną głupotą. Najwyraźniej był przekonany, że to on powinien kierować operacją, nie Dima.

– Do zobaczenia w strefie lądowania. Wszystko wam ładnie przygotuję.

Dima zasalutował energicznie i odszedł. Ale wciąż coś mu mówiło, że to nie będzie takie proste.

13 // Przestrzeń powietrzna Azerbejdżanu

Mil Mi-26 dźwignął się do góry. Łopatomy wirników czepiał się powietrza, parabolą oddalał od bazy, atakował uszy Dimy grzmiotem śmigieł. Temperatura w ładowni gwałtownie spadła. Pod lotniczymi kombinezonami zespół Dimy miał już swoje irańskie ubrania. Zrzut musiał nastąpić jak najszybciej.

Na strefę lądowania wybrali spłachetek ziemi otoczony lasem, oddalony od kompleksu zaledwie o piętnaście kilometrów w linii prostej, ale o czterdzieści pięć minut jazdy nieutwardzonymi drogami, wijącymi się po stromych zboczach dolin. Miejsce było odludne, ale im szybciej paykany zostaną wyładowane, tym mniejsze ryzyko, że ktoś skojarzy samochody z wielkim, czarnym, rosyjskim śmigłowcem.

Kroll i Władimir schronili się przed zimnem w jednym z samochodów. Po pierwszym porządnym posiłku od dwóch lat Władimir mocno spał, a jego twarz nabrała kolorów, chociaż blizna na policzku wciąż wyraźnie się odcinała. Kroll patrzył przed siebie nieruchomo. Śmigłowce były jego *bête noire*. Przeżył dwa awaryjne lądowania i cudem wyszedł z wypadku, w którym jego helikopter spadł do Morza Kaspijskiego.

Po obu stronach samochodów siedzieli ludzie z grupy szturmowej, którzy mieli wkroczyć do akcji na wezwanie Dimy. Do tego czasu mieli czekać w gotowości na azerbejdżańskim lotnisku tuż za granicą. Byli w pełnym szturmowym ekwipunku, na czarno od stóp do głów, uzbrojeni w AKSU – skrócone wersje AK-47, z celownikami termowizyjnymi, nieodzownymi przy strzelaniu przez dym albo gaz łzawiący. AKSU łatwiej można było ukryć. Ze złożoną kolbą mierzył niecałe pięćdziesiąt centymetrów. Niektórzy mieli PMM-y lub pistolety 6P35 Grach. Strzelby Saiga-12 miały się przydać do forsowania drzwi, a KS-23 z gazem łzawiącym do oczyszczania pomieszczenia. Mimo ogromu danych wywiadowczych, wciąż nie było

wiadomo, z jakim oporem spotkają się na miejscu.

Dla niektórych spośród tych mężczyzn, świeżo wyszkolonych, miał to być pierwszy zrzut bojowy. Dima czuł na sobie wielką odpowiedzialność za zabranie ich na tę misję. Chyba się starzeje, pomyślał. Od bardzo dawna pracował sam albo tylko z Krollem. Kiedyś miał reputację dobrego dowódcy, takiego, za którym ludzie pójdą do piekła i z powrotem – a często tylko w jedną stronę. Tak było, gdy służył w Specnazie. Teraz był wolnym strzelcem, najemnikiem. Kroll jednak mawiał: „Nigdy nie odchodzisz ze Specnazu, nawet jeśli cię wyrzucą. Nawet jeśli cię wsadzą do więzienia”. Na pewno wśród tych młodych ludzi znajdowali się tacy, którzy zadawali sobie pytanie, czemu pokładają zaufanie w człowieku, który przed nikim nie odpowiadał, który był od dawna podejrzewany przez swoich przełożonych. Dima wrócił myślami do własnych pierwszych dni. Dni, kiedy rozpaczliwie czekał na jakikolwiek rozkaz. Na tym właśnie polegał Specnaz – spodziewaj się niespodzianki.

Nagle uświadomił sobie, że wielu z nich musi być w tym samym wieku, co młody mężczyzna na zdjęciach Paliowa. Spróbował wyrzucić je z głowy i skupić się na zadaniu. Jeśli nie będzie mógł się skoncentrować, nigdy tych fotografii nie zdobędzie i wszystko pójdzie na marne. Musi całkowicie odciąć się od swoich emocji.

Sprawdził sprzęt w bagażnikach paykanów. Takie same kamizelki kuloodporne, poza tym pięć SWD Dragunowów – nie był to najcelniejszy karabin snajperski, ale z dziesięcionabojowym magazynkiem i czterokrotnie powiększającym celownikiem nadawał się do pracy na stosunkowo krótki zasięg, jakiej Dima się spodziewał. Zażądał wszystkich dostępnych rodzajów noktowizorów – lornetek do zwiadu, gogli do akcji. Przed wezwaniem grupy szturmowej zamierzał osobiście rozejrzeć się po wnętrzu kompleksu. Oznaczało to konieczność zabrania zestawu do wspinaczki i – kiedy byliby gotowi – do opuszczenia się na linie. Czegokolwiek by ze sobą nie wzięli, i tak na pewno czegoś im na miejscu zabraknie. Taka była natura operacji tego rodzaju – należało szukać kompromisu między ilością sprzętu a koniecznością zachowania zwinności.

Dima wspiął się do kabiny pilotów, dwa poziomy nad ładownią. Założył wolne słuchawki i popatrzył nad ramionami pilotów w ciemność. Niskie chmury i drobny deszcz ograniczały widoczność prawie do zera. Przyrzędy pozwalały uniknąć kłopotów, podnosiły śmigłowiec nad pojawiającymi się

nagle wysokimi drzewami i liniami wysokiego napięcia.

– Ciągłe odbieramy wstrząsy trzęsienia ziemi. Na dole będzie jatka – powiedział Jergin, drugi pilot, wymachując wydrukiem. – Nie zdejmujcie tylko aluminiowych czapeczek! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Jak długo musicie wisieć nad kompleksem, żeby zrzucić grupę szturmową?

– Jak się sprężą, trzy minuty maks.

– Przeczytajcie dokładnie nasz raport z rozpoznania, bo nie będziecie wiedzieli, co w was wycelują.

– Bez obaw, moc jest ze mną. – Jergin przeciął powietrze wyimaginowanym mieczem świetlnym. – Szykujcie się. Zrzut za dwie minuty.

14 // W pobliżu Bazarganu, północny Iran

Wirniki cięły powietrze, kiedy przygotowywali się do wyładunku paykanów – Dima, Kroll i Władimir w pierwszym, Zirak i Gregorin w drugim. Samochody były obrócone tyłem. Kiedy tylko wrota się otworzyły i rampa opadła, Dima wytyłował zgrabnym łukiem i przyspieszył, w noktowizyjnych goglach, bez świateł, dopóki nie oddalili się od miejsca zrzutu i nie znaleźli na publicznej drodze. Nie czekali, aż mil wystartuje, ale słyszeli go – w przeciwieństwie, jak mieli nadzieję, do porywaczy Kafarowa w sąsiedniej dolinie.

– Witamy w Iranie. Mamy nadzieję, że państwa pobyt będzie przyjemny – powiedział Dima. Władimir już nie spał, siedział wyciągnięty na tylnej kanapie. Kroll na ziemi poczuł się wyraźnie lepiej. – I cholernie krótki – dodał. – Chcę wrócić na obiad.

Dochodziła trzecia nad ranem, ale byli tak napompowani adrenaliną, że mogliby nie spać przez tydzień. Kiedy Dima wyczuł paykana, przyspieszył. Niewiele brakowało, a na ostrym zakręcie mieliby wypadek – z przeciwka wyjechała cysterna z rozjarzonymi wielkimi światłami. Jej kierowca zobaczył ich w ostatniej chwili, oni też niewiele widzieli – aż zniecka pojawił się oślepiający, biały blask i usłyszeli przytłaczający ryk. Ciężarówka, zajmująca prawie całą szerokość krętej, nierównej drogi, minęła ich o centymetry. Dima z ulgą odkrył, że hamulce wyposażono w ABS, co pozwoliło im zatrzymać się w jedynym możliwym miejscu, tak by nie wypaść z drogi.

– Niezła reakcja – powiedział Kroll. – Chciałbym, żeby moja żona tak reagowała.

– Przypadkiem wiem, że reaguje – rzucił Władimir.

– Tak – odezwał się Zirak przez radio. – I w przeciwieństwie do goryla po wszystkim przysyła kwiaty.

Dima uśmiechnął się do siebie. Mimo ryzyka, braku zaufania do Paliowa

i szaleństwa całej tej misji, był w swoim żywiole, prowadził oddział najlepszych z najlepszych ku granicom ich możliwości. Nic tak ludzi nie zbliżało, jak świadomość, że wszyscy mogą razem umrzeć – to, i dobry dowcip o czyjejs żonie.

Przejechali przez małą wieś, skupisko sennych domów niezdradzające oznak zamieszkania, nie licząc samotnej maty modlitewnej, suszącej się na sznurku. Wioska wyglądała na opuszczoną, ale nie było w niej śladów zniszczeń po trzęsieniu ziemi.

Przez nocne, chłodne powietrze poniósł się głos, coś pomiędzy szczeniem a wyciem.

– Szakał – powiedział Kroll.

– Albo znów twoja żona.

Miejsce zrzutu zostawili daleko w tyle. Droga opuściła dolinę i zakreśliła o sto osiemdziesiąt stopni w następną. Kroll zlustrował wzgórze przez noktowizor.

– Mam. Ja pierdołę... Na żywo wygląda na o wiele mniejszy.

– To tak jak twój kutas – dobiegło z tyłu.

– Mury stoją. Wygląda na to, że wstrząsy ich nie naruszyły.

Droga rozwidła się, łukowaty podjazd biegł do głównej bramy. Zwolnili, wyężając wzrok w ciemności.

– Kusi, żeby podjechać i zadzwonić, byłoby o wiele prościej.

– Tak, i rozwaliliby ci łeb.

Dwieście metrów za rozjazdem Dima zatrzymał samochód i zaczął na drugi. Kiedy zobaczył jego światła, wolno ruszył dalej, aż znalazł ścieżkę w prawo, którą widział na zdjęciach swojego przyjaciela Darwisza. Miała głębokie koleiny i samochód zawisł na podwoziu sto metrów dalej. Cyprysy dawały dobrą osłonę. Dima otworzył drzwi.

– OK, panowie, szykujemy się.

Powietrze było wilgotne i ciężkie od zapachu cyprysów. Spod samych stóp wystrzelił im z wściekłym trzepotem cietrzew, zaskoczony niespodziewanymi gośćmi, ale poza tym nie było słyhać żadnego odgłosu, nawet wiatru. Władimir wziął linę z kotwiczką i dragunowa. Jednym z powodów, dla których znalazł się na liście Dimy, były jego umiejętności wspinaczkowe. Jako dziewięcioletek uciekł z poprawczaka, z czwartego piętra, po gołej ścianie. Kilka lat później odwiedzał regularnie pokój swojej dziewczyny na drugim piętrze, wspinając się po ścianie bloku, w którym

mieszkała, podczas gdy jej ojciec, nieświadom niczego, stróżował na korytarzu. „Jak Drakula” – powiedział Władimir, szczerząc w uśmiechu resztki użębienia.

Poszli gęsiego do wybranego przez Dimę punktu pod murem. Nie widzieli nigdzie kamer, ale możliwe, że były zamaskowane. Dima znalazł na zdjęciach załom muru i uznał, że powinna tam być martwa strefa.

Mur miał o dziesięć metrów więcej, niż szacował ostrożny zwykle Kroll, ale Władimira to nie speszzyło. Z liną przyczepioną do pasa, podawaną z dołu na wypadek splątania, ruszył w górę z taką prędkością, że wyglądało to, jakby miał na rękach przyssawki.

– Nieźle – powiedział Kroll. – Spiderman z jajami.

Władimir zniknął, zasłonięty przez rosnące blisko muru drzewa. Dwie minuty później znów był na dole; umocował linę, owijając ją kilka razy wokół zęba krenelażu i spinając pętle karabińczykami.

– Niezły tam ruch. Lepiej popatrzcie.

Dima wspiął się po linie na mur. Czego się spodziewał? Dużej, pustej przestrzeni, paru samochodów, spokoju. Nie mógł bardziej się mylić.

Odkąd zrobiono ostatnie zdjęcia satelitarne, ledwie kilka godzin wcześniej, kompleks zmienił się w gwarny ul. Przed bramą stały trzy duże ciężarówki, każda z otwartą paką. Na dole musiało być co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn, wszyscy bardzo młodzi; wyglądali, jakby właśnie wyszli z ciężarówek i czekali, aż ktoś im powie, co dalej. Następna dwudziestka, w pseudowojskowych mundurach, trzymała karabiny i strzelby. To miejsce nie przypominało odludnej kryjówki Al-Baszira, raczej prowizoryczną kwaterę główną. Mur, na który wspiął się Dima, był zaniedbany. Nie miał przejścia obronnego. Mała szansa, by przeszkodził im patrol, kamer też nigdzie nie było widać. Dima pociągnął za linę – był to sygnał dla pozostałych, by do niego dołączyli. Bez sensu szturmować bez wsparcia przy takiej przewadze liczebnej, pomyślał. Jednocześnie uświadomił sobie, że desant grupy uderzeniowej na linach skończyłby się katastrofą – chyba że wszyscy na dole byłiby zajęci czymś innym. Miejsca ledwie wystarczało na lądowanie śmigłowca ekipy od atomówek, ale tylko pod warunkiem, że usunęliby wszystkich ludzi.

Kroll popatrzył na tłum i westchnął.

– Dlaczego życie zawsze musi być takie skomplikowane?

Władimir siedział już obok niego, wyciągał rękę do Ziraka.

– Dzięki temu jest takie interesujące.

Dlatego właśnie Dima chciał mieć Władimira ze sobą. Władimir rozkwitał w nieprzewidywalnych sytuacjach, były sensem jego życia. Na dole człowiek w mundurze szturchnął starszego mężczyznę swoim kałasznikowem. Jeśli to rekruci, nie byli tu mile widziani. Raczej spędzeni siłą. Gdzie podziewał się Kafarow? Przed przystąpieniem do poszukiwań muszą jakoś opanować tych ludzi. Osobny problem stanowiło oczyszczenie miejsca do lądowania helikoptera Szenka.

Nigdzie nie było widać dużego, kanciastego G-wagena, na satelitarnych zdjęciach zidentyfikowanego jako samochód Kafarowa.

Dima odwrócił się do Krolla.

– Wzywaj Ślimaka. Niech będą w gotowości.

W jego głowie rodził się plan, zakładający skupienie gęstego ognia tak, by tłum – i uzbrojeni mężczyźni – zgromadzili się w jednym rogu. Zaraz potem go jednak porzucił. Czterej mężczyźni prowadzili w kierunku przeciwległego muru więźnia, na wpół nagiego i skutego. Nie szedł dobrowolnie. Czy to Kafarow? Był niski, a sądząc po torsie, wiek też się zgadzał. Cokolwiek Dima sądził o nim osobiście, miał za zadanie wydostać go w jednym kawałku.

Odwrócił się do Krolla.

– Przekaż Ślimakowi, że zaczynamy. Niech spodziewają się oporu, mają być gotowi do ostrzału przy lądowaniu.

Popatrzył po pozostałych.

– Jeśli to jest to, co myślę, musimy wyeliminować katów.

Nad podniesioną platformą, do której wleczono więźnia, wznosiła się gruba belka, z której zwisało kilka pętli. Mężczyzna wściekle kopał nogami. Mimo kaptura nie miał złudzeń, co go czeka.

Dima dał znak Władimirowi.

– Przygotuj pięć uprząży, jak zjedziemy, to wszyscy razem. – Spojrzał na Ziraka i Gregorina. – Który z was lepiej strzela?

Każdy z nich wskazał na tego drugiego.

– Dobra, „g” jest przed „z”. Gregorin, przejdź dwadzieścia metrów w prawo i zdejmij katów. Nie traf więźnia, to może być Kafarow. Kroll, jak blisko jest grupa uderzeniowa?

– Minuta.

W oddali dał się słyszeć łopot śmigieł mila, ale na dole wciąż panowało

zbyt duże zamieszanie, by ktokolwiek to zauważył. Gregorin zajął pozycję i patrzył, co się dzieje. Zwlekał z oddaniem pierwszego strzału najdłużej jak mógł. Wtedy, jedna po drugiej, wydarzyły się trzy rzeczy. Kilku uzbrojonych mężczyzn na dole podniosło głowy, słysząc wciąż niewidocznego miła, a Gregorin strzelił do katów. Jeden padł. Pozostali, szarpiąc się z więźniem, któremu próbowali założyć pętlę na szyję, pomyśleli, że się pośliznął albo został kopnięty – dopóki drugi strzał nie oberwał twarzy następnemu. Rzucili zakapturzonego człowieka jak worek z węglem i uciekli szukać osłony; ich ofiara upadła na platformę i zwinęła się w pozycji płodowej. Wtedy Dima kątem oka zobaczył, że zapalają się światła jednej z ciężarówek. Samochód skoczył do przodu, roztrącając ludzi w drodze do bramy.

– Strzelać w opony! – wrzasnął Kroll. – Zatrzymać ciężarówkę!

Ale wokół samochodu kłębili się spanikowani mężczyźni. Nie sposób było oddać czystego strzału, nie trafiając pasażerów ani tłumu. Większość ludzi patrzyła w górę; mił nadleciał nad kompleks, zagłuszając łoskotem wirnika wszystko inne. Opadły liny, po nich zjechali pierwsi komandosi. Rozpylili gaz łzawiący, ale opar nie zasłonił ich całkowicie i dostali gęstą salwą. Dima zaklął, widząc, że pierwszych dwóch spada na ziemię, zabitych albo rannych.

– Strzelać bez rozkazu! – krzyknął do pozostałych, ale oni już zaczęli. – Zdejmijcie uzbrojonych.

Wtedy zobaczył – niecałe sto metrów od Ślimaka, niewyraźny w chmurach dymu na nocnym niebie, unosił się mił speców od atomówek; przysuwał się coraz bardziej, jakby chciał lądować. Przyleciał o wiele za wcześnie. Nie miał systemów zakłócania radaru. Nie był przystosowany do akcji zaczepnej. Dlaczego są tak blisko? Dima zobaczył, że otwierają się boczne drzwi śmigłowca. Ludzie Szenka też strzelali. Niektórzy z uzbrojonych mężczyzn na ziemi zauważyli drugi helikopter i zaczęli odpowiadać ogniem.

– Wycofaj ich! – wrzasnął Dima do Krolla. – Niech Szenk się wycofa! ALE JUŻ!

Ale Kroll go nie słyszał; był za bardzo zajęty strzelaniem. Wtedy Dima odwrócił się i zobaczył to. Smugę jasnego światła, zakreślającą łuk w ich kierunku z południa, i rakieta – czarną, praktycznie niewidoczną na tle oślepiającego ognia dyszy.

– Rakieta!

Dima mógł tylko patrzeć, jak rakietę trafia w kokpit miła Szenka. Cały przód śmigłowca odleciał, płonące ciała załogi wysypały się na ziemię.

Okaleczony helikopter stanął dęba, opuścił ogon i niczym wielki bumerang zaczął koziółkować w stronę Ślimaka. Jego piloci, zwrócenii w przeciwną stronę, nawet nie wiedzieli, co ich trafiło. Dima i jego ludzie rozplaszczyli się na murze, kiedy wirniki obu śmigłowców spotkały się. Mniejszy helikopter spadł pierwszy, na mur naprzeciw pozycji Dimy, zakołysał się i zsunął dziobem w dół obok platformy z szubienicą. Uszkodzony Ślimak walczył dłużej, nowoczesne systemy próbowały kompensować uszkodzenie wirnika. Ale nie dały rady. Dziób śmigłowca najpierw się uniósł – podmuch prawie strącił Dimę z muru – a potem olbrzymia maszyna zwała się na środek kompleksu. Po obu helikopterach przetoczyła się olbrzymia kula ognia.

15 // Wysunięta Baza Operacyjna Spartakus, iracki Kurdystan

Woda była zimna i praktycznie nie miała ciśnienia, ale dla Blackburna był to najlepszy prysznic, jaki brał w życiu. Stał pod nim dużo dłużej, niż wynosił przydział czasu, a jeśli ktoś miał z tym jakiś problem, mógł się pierdolić. Kilka skaleczeń i rozcięć zaszcypało, kiedy się namydlał. Patrzył, jak kurz i sadza mieszają się z zaschniętą krwią w znajomy, gęsty koktajl wojny, chlupiący wokół jego stóp. Wiedział jednak, że choćby stał tu przez miesiąc, nigdy nie zmyje z siebie tego, co widział wczoraj. Czy to właśnie, zastanawiał się, jest ten moment, kiedy człowiek zmienia się na zawsze?

Kiedy wysiadł z ospreya w bazie, wszyscy się na niego gapili. Montes, który właśnie dowiedział się o powrocie Blacka, przybiegł pędem, ale na jego widok zwolnił.

– Stary, wyglądasz, jakbyś zmartwychwstał.

Black zrozumiał to dopiero, kiedy zobaczył się w lustrze. Twarz i włosy miał szare od pyłu i sadzy, które zmieszały się z potem i wysuszyły na słońcu w skorupę. Jego T-shirt był sztywny od krwi – jego własnej i tamtej zabitej dziewczyny. Montes chwycił go w objęcia; chórem zaprotestowało kilka ran.

– Już cię spisaliśmy na straty, stary.

Odprowadzając Blackburna do kontenera z prysznicami, Montes opowiedział mu, co się działo z nimi: po tym, jak Black wszedł do budynku, poczuli pierwsze wstrząsy i uciekli na otwarty teren, tuż przed tym, jak zatrzęsa się ziemia i domy wokół nich zaczęły się walić. Dłońmi nakreślił w powietrzu kształt grzyba.

– Bum! Mała Hiroszima. Wszystko wyglądało jak krajobraz z jakiejś popieprzonej gry, w którą mama nie pozwala ci grać. A potem nas stamtąd wyciągnęli.

Robił to, co robią wszyscy żołnierze po incydencie – przerabiał go na film

akcji, wycinał wszystkie mroczne fragmenty. Te były przeznaczone dla kapelana albo psychologa.

– Znaleźliśmy snajpera, który trafił Chaffina. Miał wielki głaz zamiast fiuta i mocno zdziwioną minę. Będzie miał cholerny problem z tymi wszystkimi dziewczycami na górze.

Black zdawał się słuchać, ale w jego głowie rozgrywały się inne sceny. Chciał zidentyfikować zdekapitowanego żołnierza. Montes skończył.

– Teraz ty.

Black postukał się w głowę.

– Nie bardzo pamiętam.

Gdyby tylko tak było.

Kiedy wyszedł spod prysznic, zauważył, że baza się zmienia. Wózki widłowe wypełniały piaskiem nowe skrzynki fortyfikacyjne Hesco, a HDS na ciężarówce ustawiał je na miejscu, podwajając wysokość umocnień. W górę pięła się nowa wieża strażnicza. Baza, która miała strzec pokoju i odbudowy kraju, wchodziła na wojenną ścieżkę.

Blackburn i porucznik Cole siedzieli naprzeciw siebie po dwóch stronach składanego stołu zasłanego mapami – nie znajomymi mapami ich poletka wzdłuż granicy, pozaginany, z plamami kawy, ale nowymi, przedstawiającymi inny kraj, Iran. Cole garbił się nad otwartym laptopem, gapił w ekran i szybko pisał, słuchając raportu Blacka. Blackburn opowiadał o tym wszystkim tak, jakby opisywał projekcję swojej pamięci, która miała go nawiedzać przez następne lata, czy tego chciał, czy nie, chluba jego galerii niechcianych wspomnień.

Tyle tylko, że Cole zapisywał o wiele więcej, niż Blackburn mówił.

– Cofnijmy się jeszcze. Czyli jak daleko byłeś w chwili egzekucji?

– Mówiłem, sto metrów, może więcej.

– Za kawałem muru.

– Tak jest.

– Nie ruszałeś się.

– Tak powiedziałem, sir.

Cole popatrzył na niego znad ekranu.

„A co miałem, kurwa, zrobić?” – chciał zapytać Blackburn.

– Nie miałem innego wyjścia, sir.

W końcu Cole przestał pisać. Jeszcze raz przeczytał dokument i zamknął go.

– Mamy identyfikację. Szeregowy James Harker z Cody w Wyoming. Dziewiętnaście lat.

Nazwisko.

– Chcesz zobaczyć, jak go zidentyfikowaliśmy?

Black poczuł, że w brzuchu puchnie mu coś ciężkiego, zimnego.

– Chcę.

– Dasz radę?

– Byłem tam.

Cole odwrócił laptopa w jego stronę, kliknął *play*. Kamera znajdowała się półtora metra od twarzy Harkera, która najpierw wyrażała radość z bycia odnalezionym, potem złość i strach, kiedy dotarło do niego, co się z nim stanie; następnie ściągnęła się w grymasie bezradnej wściekłości.

– Proszę pogłośnić.

– Głośniej się nie da.

Harkerowi udzielano upomnienia, czy raczej wygłaszano przemowę, z której dało się usłyszeć tylko pojedyncze słowa i zwroty. „Amerykańskie świnię... bez zaproszenia... spotka was los...”. Na ekranie przesunęło się raczej odrębne oświadczenie niż tłumaczenie: „Najeźdźców, którzy ośmielą się dokonywać prób podboju w chwili narodowego kryzysu, spotka zasłużona kara. Zostaliście ostrzeżeni”. Black zatrasnął laptopa. Zobaczył wszystko, co chciał. O tym, co stało się potem, nie trzeba mu było przypominać. Podał porucznikowi zdjęcia, które znalazł przy zwłokach. Cole zerknął na nie i dołączył je do akt. Potem wypuścił powietrze z płuc.

Przez chwilę obaj milczeli. Porucznik odezwał się pierwszy.

– Nic nie mogłeś zrobić, tak?

Black patrzył na niego nieruchomo, czuł, jak wzbiera w nim oburzenie, ale w tym samym momencie Cole pokiwał głową. To nie było pytanie, na które oczekiwał odpowiedzi. Odłożył laptopa na bok i zaszeleścił mapami. Koniec sprawy. Przesunął ręką po północno-wschodnim Iranie. Do Blackburna znów dotarły odgłosy prac w bazie. Obok namiotu z rykiem przejechał konwój ciężarówek, powietrze drżało od łoskotu lądujących śmigłowców.

Cole plasnął dłonią w mapę.

– Za granicą wypączkował nam kurewski problem.

– Jest bardzo źle?

– Bardzo. Baszir wykorzystuje chaos wywołany trzęsieniem ziemi, żeby umocnić swoją pozycję. Duże obszary na południu i wschodzie zostały

ogłoszone terytorium LWRO. A w Teheranie nie ma żadnej władzy.

– Pan żartuje.

Cole zabębnił palcami w stół.

– Nie mamy jeszcze stuprocentowego potwierdzenia, ale chodzą słuchy, że Al-Baszir ma broń jądrową. Jeśli to prawda, to sytuacja właśnie się diametralnie zmieniła.

Porucznik znów przeszył Blackburna spojrzeniem. Black już to przerabiał. Szanował swojego dowódcę, tyle wiedział. Cole zachowywał się z dystansem, który oznaczał, że albo faktycznie taki jest – zimny i opanowany, albo bardzo pilnie strzeże swojego prawdziwego „ja”.

Porucznik kiwnął głową.

– Dobrze się wczoraj spisałeś, rozbijając tę bombę. Wyciągnęliśmy rannych z drużyny Cartera i was. Nie udało się, gdyby bomba wybuchła.

– Robiłem tylko, co do mnie należy, sir.

– No tak. Cóż. To, że zrobiłeś to tak dobrze, nie oznacza, że będziesz miał jakieś chody. Wszystko zostaje po staremu.

– Nie widzę w tym nic dziwnego, sir.

Black poczuł się urażony. Ostatnią rzeczą, o jakiej myślał, była jakakolwiek nagroda. Taki właśnie był Cole, cały on. Jedną ręką klepał cię po plecach, drugą dawał w twarz. Porucznik wstał i wziął pod pachę laptopa.

– Bądź w pobliżu. Odprawa o trzynastej.

Siedzieli na ustawionych w dwóch rzędach składanych krzesłach. W prowizorycznej sali odpraw, zbudowanej z dwóch chłodzonych kontenerów, więc natychmiast przezwanej „lodówką”, nie było bynajmniej chłodno. Cole stał z szeroko rozstawionymi nogami przy ściennej mapie Teheranu, stukając w nią wskaźnikiem.

– Mamy informacje, że Al-Baszir jest w północnym sektorze miasta. Jego ludzie przejęli ministerstwo spraw wewnętrznych; teraz to ich kwatera główna. Panowie, to robota dla nas. Mamy informacje, że są zdezorientowani po trzęsieniu ziemi, całe obszary kraju są bez prądu. Polecimy tam i ukręcimy sprawie łeb, zanim się okopie. Ale Baszir musi, powtarzam: musi zostać wzięty żywcem. Misja przebiegnie następująco...

Cole stuknął wskaźnikiem w mapę. Napięcie w pomieszczeniu wzrosło.

– Siły LWRO skoncentrowane na północy będą zajęte kolejnymi nalotami. Oddział szturmowy, kryptonim Szajbus 2-1, zostanie w to miejsce przewieziony ospreyem. W skład oddziału będzie wchodził zespół snajperów

w osobach Blackburna i Campo, kryptonim Szajbus 3-1, jako ubezpieczenie. Wyznaczona strefa zrzutu znajduje się czterysta metrów od ministerstwa. Po zrzucie oddział szturmowy uda się do docelowego budynku.

Cole podszedł do następnej, bardziej szczegółowej mapy okolic nabrzeża.

– Po drodze zespół Blacka będzie osłaniał oddział z tych pozycji.

Ewakuacja ospreyem. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odpowiedzieli słuchacze.

Campo wyszczerzył się do Blacka.

– Niezła jazda, stary. Nagle zrobili z nas Navy Seals.

Cole uderzył dłonią w mapę tam, gdzie znajdowało się ministerstwo.

– Uważam przydział tego zadania za zaszczyt. Dlatego zrobimy to dobrze.

16 // Bazargan, północny Iran

Wszyscy wpatrywali się w pobojuwisko. Pierwszy odezwał się Władimir do Gregorina.

– No, przynajmniej położyłeś katów.

– I nie padało.

Żadna sytuacja nie była tak zła, żeby Władimir nie potrafił znaleźć w niej jakiegoś humorystycznego akcentu, choćby ponurego. Ale tym razem nikt się nawet nie uśmiechnął. W końcu wszyscy popatrzyli na Dimę, sztywnego z bezsilnej wściekłości.

– Zróbcie, co się da. Schodzimy na dół. Poszukam skanera Szenka.

Wokół nich kłębił się dym, gryzące połączenie płonącego paliwa, gumy i ciał. Wysokie mury powstrzymały ogień, ograniczyły i skupiły żar niczym ekspres do kawy. Jeszcze przez kilka chwil rozlegały się mniejsze eksplozje, kiedy pożar docierał do ostatnich zasobów amunicji, która nie zdążyła wybuchnąć.

Pierwszą myślą Dimy, tą, która przychodziła do niego aż nazbyt często, było: „Jak można twierdzić, że ci ludzie nie zginęli na próżno?”. Obrońcy Moskwy przed Hitlerem, oni nie zginęli na próżno, tak samo jak ci, którzy polegli w bitwie o Berlin. Radzieckie wojska w Afganistanie? Obiecał sobie, że kiedy będzie już za stary, żeby wciąż robić to, co robił, napisze książkę o małych i wielkich rosyjskich katastrofach wojskowych. „Lepiej już się za nią bierz – poradził mu Kroll. – Może ci zająć trochę czasu, zanim wszystkie ogarniesz”.

Co tym razem poszło nie tak? Wszystko, począwszy od tego, że Dima dał się zrobić szantażem w podjęcie się zadania, że pozwolił Paliowowi wtrącać się w jego plan i wykonanie. Paliow, obawiając się niepowodzenia, właśnie do niego doprowadził, nie powierzając Dimie pełnej kontroli nad całą operacją. Dima nie dopuściłby w pobliże kompleksu Szenka, człowieka bez

wątpienia kompetentnego w temacie bomb atomowych – tyle że nie w ogniu bitwy. A ponieważ czas im nie sprzyjał, mieli bardzo skąpe rozpoznanie. Zawierało ono mnóstwo danych, które pozornie mówiły im bardzo dużo, ale w rzeczywistości prawie nic – przemilczały zwłaszcza kluczowy fakt, że kompleks nie jest bynajmniej opustoszałą kryjówką, ale jedną z głównych baz LWRO.

Dima zerknął na Gregorina i Ziraka, którzy z bladymi twarzami chodzili od trupa do trupa, na próżno szukając ocalałych. Znali większość tych ludzi, wszystko, co tamci umieli, umieli od nich. Obaj mogli mieć do Dimy słuszne pretensje, że do czegoś takiego dopuścił.

Po szczątkach mila pełgały płomienie, ogon sterczał pionowo do góry. Przez otwarte drzwi widać było Szenka, wiszącego w pasach, z głową na piersi, jakby w samym środku katastrofy uciął sobie drzemkę. Już samo uderzenie o ziemię wystarczyłoby, by zginął. Dima zobaczył skaner w obudowie na grodzi przed nim. Między nimi wybuchła ściana nowych płomieni. Dima skoczył przez ogień, wspiął się do kabiny i złapał za urządzenie. Zaklinowało się. Chwycił je obiema rękami.

– Dima, do chuja! – Piskliwy wrzask Krolla słyhać było nawet przez ryk płomieni. Gdy Dima szarpnął jeszcze raz, skaner w końcu wyskoczył. Dima wypadł z kabiny w ogień. Przetoczył się i odbiegł tuż przed tym, jak helikopter eksplodował, spopielaając Szenka i to, co zostało z jego załogi.

Dima usłyszał własne słowa:

– Znajdźcie faceta, którego wieszali, musimy potwierdzić, czy to Kafarow. Jeśli nie, chcę wiedzieć, czy trzymano go tu wbrew jego woli. Chcę potwierdzenia, czy są tu, albo były, bomby jądrowe. Musimy się tego szybko dowiedzieć, nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Wykonać. – Podał skaner Krollowi. – Uruchom to.

Gregorin i Władimir znaleźli rannego. Stoczył się z platformy, trafiając między nią a mur, co osłoniło go przed strzelaniną i wybuchem. Leżał tam i krwawił, nad nim stało trzech uzbrojonych Rosjan, więc miał motywację, by mówić, ale potok inwektyw w farsi wskazywał, że na przeszkodzie stoi jego duma.

– Barwne słownictwo.

– Twoja matka kurwa nauczyła cię takich słów?

Zirak podniósł rękę, podszedł bliżej i wyciągnął nóż. Przeciął bluzę mężczyzny, potem jego spodnie, następnie bieliznę; nic nie wskazywało, że

na tym poprzestanie. Ranny zaczął się wic jak więzień, którego włókł na szubienicę zaledwie kilka minut wcześniej. Zirak chwycił go za jądra i przystawił do nich nóż.

– Głodny?

Mężczyzna się zsikał, mocząc Zirakowi ręce.

Ten ścisnął jego krocze mocno, ale nie na tyle, żeby tamten zemdłał.

– Dobra, to dostaniesz je w polewie.

Z twarzy rannego spłynęła wściekłość i duma. Wciąż się krzywił, ale zaczął skamleć. Wyszeptał coś do Ziraka.

Zbliżający się do nich Dima poczuł, że coś zaczepiło o jego but. Wyciągnięta ręka. Spojrzał w dół. Kimkolwiek był jej właściciel, nie można było go już poznać, miał zwęgloną twarz. Drugą ręką ranny odszukał lufę kałasznikowa Dimy. Chwycił ją jedynym ocalałym palcem i przyciągnął do swojej głowy. Dima spełnił jego prośbę. Jedna kula zakończyła cierpienia.

Zirak wytarł nóż o rękaw przesłuchiwanego i schował go. Odwrócił się do Dimy.

– Dobra, to jego wersja, więc nie można mu bezgranicznie wierzyć, ale mówi, że od jutra to miejsce miało stać się regionalną bazą LWRO na północny wschód. Uważa, że LWRO ma pod kontrolą cały kraj, a Al-Baszir został zaprzysiężony na prezydenta i wodza naczelnego sił zbrojnych. Człowiek, którego mieli wieszać, był komendantem okręgu, który organizował opór, a ludzie na ciężarówkach – jego zwolennikami.

– Co z Kafarowem?

– To nazwisko nic mu nie mówi.

To nie mogła być prawda.

– Spytaj go, czy widział terenowego mercedesa.

Dima dostrzegł na twarzy rannego błysk zdradzający, że kojarzy samochód. Wyjął nóż, pochylił się i przytknął mu jego czubek tuż pod lewe oko.

– Nie znam nazwisko! – wydukał mężczyzna łamanym rosyjskim. – Nie słyszał, proszę na głowę moja córka! – Zaczął gorączkowo kiwać głową. – Widziałem merca dżipa.

– Masz większe zmartwienia niż głowa swojej córki. Wstawaj.

Władimir dźwignął rannego.

– Pokaż mi wasze centrum dowodzenia.

Mężczyzna zrobił zdezorientowaną minę. Zirak przetłumaczył i ranny wskazał drzwi, za którymi widać było schody.

– Bierzemy go ze sobą.

Z Dimą na przedzie powlekli rannego po placu, między zwęglonymi szczątkami ludzi i maszyn. Schody pogrążone były w ciemności. Nie zdążyli odciąć zasilania w kompleksie, więc musiał zrobić to pożar. Dima machnął ręką, wysyłając przodem Gregorina, który bezgłośnie wbiegł na górę i dał znak, żeby do niego dołączyć. Stalowe drzwi, bez klamki ani judasza. Gregorin zdjął hełm, przytknął ucho do drzwi, pokazał na palcach – pięć i jeszcze raz pięć.

Dima wezwał pozostałych i gestem kazał Gregorinowi się wycofać. Kiedy wszyscy się zebrali, strzelił z dragunowa w futrynę, potem przystawił lufę do zawiasów i wystrzelił jeszcze raz. Framuga rozpadła się na kawałki; strzelił w górę w głąb pomieszczenia, zaczekał. Żadnej reakcji. Zajrzał do środka. Gregorin miał rację. Schroniło się tu przynajmniej dziesięciu mężczyzn, w większości mniej lub bardziej umundurowanych, choć trzech było w samej bieliźnie. Musieli spać, kiedy nadleciały śmigłowce.

– Na ziemię, twarzą w dół! – warknął Dima w farsy. – Ręce i nogi na boki, tak, żebym je widział. Na zewnątrz jest sto trupów. Pełna współpraca albo do nich dołączycie.

Przytknął rozgrzaną lufę dragunowa do skroni jednego z mężczyzn w bieliźnie. Tamten drgnął.

– Kafarow. Gdzie?

– Nie ma.

– Bomba atomowa?

Nie dostał odpowiedzi. Co za szkoda. Tyle wysiłku, tyle planowania, i taki efekt. Dima poczuł, że rozwiewają się resztki jego cierpliwości.

– Nie, nie, proszę!

Wycelował mężczyźnie w głowę, nacisnął spust i jednocześnie przesunął minimalnie lufę. Jeniec runął na bok, szczątki ucha spłynęły mu po policzku.

– Dobra. Słuchacie mnie, zdrańcy? Zastrzelę każdego w tym pomieszczeniu, jeśli nie dostanę odpowiedzi na swoje pytania. Kto tu dowodzi, ręka w górę. Ale już!

Wzrok podniósł siwowłosy mężczyzna. Dima popatrzył mu w oczy, złapał go za kołnierz i poderwał na nogi.

– Reszta wynocha! Pomóżcie, ile się da, tym biedakom na zewnątrz. Już!

Podnieśli się z podłogi. Wyprowadził ich Kroll.

Dima odwrócił się do siwowłosego, który lekko się uśmiechnął.

– Towarzysz Majakowski?

Przed Dimą stał radża Amirasani, były pułkownik irańskiej Gwardii Rewolucyjnej i jego dawny uczeń. Pomieszczenie było małe, ale i tak wydawał się w nim drobny. Dima zostawił Gregorina na straży pod drzwiami i zamknął je. Zostali sami. Radża ruszył do niego, chcąc go objąć, ale Dima go odepchnął. Po tyłu przejściach widok znajomej twarzy bynajmniej go nie pocieszył. Kipiły w nim wściekłość, frustracja, podejrzenia i najgorsze ze wszystkich uczuć – bezsilność. Jakim cudem dał się w to wplątać?

Radża opadł na krzesło; rozstawił nogi, a łokcie oparł na kolanach. Po policzkach spływały mu łzy i kapały na podłogę. Był najlepszy ze swojego rocznika, miał talent urodzonego przywódcy; swoich politycznych zwierzchników ujął oddaniem dla sprawy, nie tracąc przy tym do reszty człowieczeństwa. Teraz sprawiał wrażenie udręczonego i przygnębionego.

– Kafarow wyjechał.

A więc tu był. Przynajmniej to się zgadzało.

– Wypuściliście go?

Radża podniósł wzrok, zdumiony.

– Był tutaj. Trzymaliście go tu, tak?

Irańczyk zmarszczył brwi.

– Trzymaliśmy go? A po co mielibyśmy to robić? Przyjechał tu spotkać się z Al-Baszirem.

– Przyjechał dobrowolnie?

– Oczywiście.

Wywiad Paliowa musiał w którymś miejscu popełnić straszliwy błąd.

– A Al-Baszir nadal ma tu przyjechać?

– Miał. Ale nastąpiła zmiana planu.

– Śmigłowiec straciła rakietę gdzieś z południa. Ktoś wiedział, że przylatujemy, prawda?

– Jak Bóg mi świadkiem, nic mi o tym nie wiadomo. Kafarow wyjechał trzy godziny temu, w wielkim pośpiechu. Bez wyjaśnienia. Zadzwoniliśmy do ludzi Al-Baszira. Ktoś z jego sztabu powiedział, że miejsce spotkania się zmieniło. Nikt nie powiedział nam nic więcej.

– Gdzie je przenieśli?

Radża wzruszył ramionami, westchnął.

– Mieliśmy wszystkich tych... – Machnął ręką w kierunku dziesiątków zabitych. – Dostaliśmy polecenie, żeby urządzić pokaz solidarności ze strony miejscowej ludności. Zarządca regionu... mieliśmy rozkaz...

– Publicznie go stracić.

Radża westchnął ponownie i skinął głową.

– Rzeczy, które się dzieją w moim kraju... W latach siedemdziesiątych pragnęliśmy wyzwolenia od szacha; po rewolucji, kiedy zrobiło się gorzej, znów pragnęliśmy wolności. Ale to...

– Co z bronią Kafarowa, bombą atomową?

Radża wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Dima złapał go za brodę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

Kiedyś uważał go za przyjaciela. Teraz już nie.

– Mówisz, że nic nie wiesz o bombie, którą Kafarow miał ze sobą? Jeśli łąsz, przysięgam, znajdę cię i zabiję.

Radża popatrzył mu w oczy, a Dima zobaczył, że nie ma w nich kłamstwa.

– Zrozum, proszę, Al-Baszir o niczym nie mówi. Tylko ci, których trzyma najbliżej, wiedzą o jego planach. Kiedyś był, a może raczej myślałem, że jest rozwiązaniem. Teraz...

Westchnął przeciągle, z rozpaczą.

Dima poczuł, że jego gniew nieco maleje. To, czego się dowiedział, wszystko zmieniało. Misja poszła się jebać. Paliow wszystko spieprzył. Tylu ludzi zginęło bez potrzeby...

Radża uniósł ręce.

– Zagraniczne wpływy.

– Co to znaczy?

– Dima, uczyłeś nas, żebyśmy się szanowali, żebyśmy ufali swoim instynktom... Ten kraj pogrąża się w obłędzie. Al-Baszir wypuścił dzina z butelki.

– To znaczy?

Radza pokręcił głową.

– Chce się zemścić na całym świecie za to, co zrobiono naszemu krajowi. Nawet jeśli miałby sam tego nie zobaczyć. Dlatego właśnie ma taką obsesję na punkcie broni atomowej, tej przenośnej.

Chwycił Dimę za rękę.

– Uciekajcie stąd, póki możecie. Leci tu oddział LWRO.

– Ile mamy czasu?

– Trzydzieści minut, góra pięćdziesiąt.

Dima popatrzył dawnemu uczniowi w oczy, uścisnął go krótko i wyszedł, zabierając po drodze Gregorina.

– Koniec poszukiwań, zabieramy się stąd.

18 // WBO Spartakus, iracki Kurdystan

Black zawsze zaczynał swoje maile od: „Drodzy Mamo i Tato”, ale wysyłał je do matki. Dzięki temu miał pewność, że zostaną przeczytane. To ona prowadziła dom, otwierała rachunki, wszystkiego doglądała. Na początku pisał osobno do nich obojga, ale raz, na przepustce w domu, uruchomił komputer i zobaczył w skrzynce ojca wszystkie swoje wiadomości nieotwarte. Zachował to odkrycie dla siebie i nigdy o tym nie wspominał – jak zresztą o wielu dotyczących jego ojca.

Otworzył laptopa i kliknął „Nowa wiadomość”.

Proszę, nie ignoruj tego maila. Tato, dzisiaj na moich oczach umarł człowiek, a ja nie mogłem mu pomóc. Chyba po raz pierwszy w życiu zaczynam rozumieć, przez co przeszedłeś. Chciałbym tylko...

Wpadł Montes.

– Jest rozkaz. Chodź.

Black zawahał się, już miał kliknąć „zapisz”, ale wybrał „wyślij”. Kto wie, kiedy będę miał okazję to dokończyć, pomyślał.

Kiedy zakładali kamizelki kuloodporne, do Blacka podeszło dwóch żołnierzy, których nie znał.

– Kumple Harkera – szepnął Montes.

Niższy żołnierz wycelował palec w rękawicy w naszywkę z nazwiskiem Blacka.

– Zrobiłeś, co mogłeś, tak?

– Przykro mi z powodu waszego kumpla.

– Twojego też, stary. Nie tylko naszego.

Wyższy i szczuplejszy położył drugiemu – niższemu, ale bardziej krępemu, o boczny karku – rękę na ramieniu, ale ten ją ze złością strząsnął.

– Chodź, Dwayne, nie rób tego.

Black znieruchomiał, rozstawił szerzej nogi, zmierzył ich wzrokiem.

Najpierw nie udało mu się uratować Harkera, teraz miał bić jego kolegów? Żalotne. Z drugiej strony musiał się przecież bronić.

– Słuchajcie, rozumiem...

– Nic nie rozumiesz, jebany tchórze.

Drugi znów wyciągnął rękę i znów została odtrącona. Blackburn nie mógł puścić takiej obelgi płazem. Z drugiej strony o tym, co przeszli – i co dzięki nowoczesnej technologii widzieli – w regulaminie też nie napisano.

– Tacy jak ty są obrażą dla munduru. Rzygać mi się chce na twój widok, ty gnoju.

Black zrobił krok w jego stronę.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział. – Nic. Nie. Mogłem. Zrobić. To wojna. Ludzie giną. Wczoraj zginęło sześciu chłopaków z mojej drużyny, bo to jest właśnie wojna. Dociera?

Obaj patrzyli na niego, próbowali ocenić, jakim będzie przeciwnikiem. Niższy, gniewny, poruszył ręką, ale zanim zdołał podnieść ją na choćby pięć centymetrów, Blackburn wykręcił mu ramię za plecy.

– A teraz weź kolegę i idźcie poboksować worek. OK?

Zobaczył nadchodzącego Cole'a i puścił rękę żołnierza. Cała trójka zasalutowała, dwaj koledzy Harkera odeszli. Cole popatrzył za nimi, potem spojrzął na Blacka.

– Zwykle pogaduchy, sir.

– W porządku, sierżancie. Bierzmy się za robotę, OK?

19 // Bazargan, północny Iran

Od samego początku uczyli ich tego na szkoleniu. Bądźcie przygotowani, że nic nie jest takie, jakie się wydaje; nie ufajcie nikomu bez potrzeby i nigdy nie odsłaniajcie się całkowicie przed tymi, którym ufacie. Komandosi Specnazu byli szkoleni do wielu rzeczy, o których zwykli żołnierze nie mieli pojęcia. Proces selekcji miał między innymi na celu odsianie każdego, kto wykazywał skłonność do wiary w pewniki. Praca pod przykryciem; podwójne życie; całe miesiące we wrogich organizacjach, bez jednego przyjaznego słowa; poleganie na własnym sprycie, na własnym rozumie; rozstrzyganie, kogo zabić, a kogo oszczędzić – żeby temu podołać, trzeba było mieć cechy, których większość ludzi nie posiadała.

Dima miał je wszystkie. Mógł wytykać Paliowowi błędny plan misji, kiepsko zorganizowany łańcuch dowodzenia, niedostatki wywiadowcze – sprawę z Kafarowem, niewłaściwą ocenę tego, czego się spodziewać w kompleksie. Mógł mieć pretensje do Szenka, że nie czekał na zabezpieczenie terenu, o udział w strzelaninie, o narażenie swojego śmigłowca. Przede wszystkim jednak Dima miał pretensje do samego siebie: o to, że pozwolił Paliowowi wciągnąć się w to katastrofalne przedsięwzięcie, a zwłaszcza, że zwerbował otaczających go ludzi, którzy się zgodzili, bo mu ufali.

Wszystko to przelatywało mu przez głowę, kiedy prowadził swój zespół z powrotem do samochodów. Już słyszeli krążące śmigłowce LWRO, szukające miejsca do lądowania w pobliżu kompleksu zasłanego trupami i szczątkami maszyn.

Poruszali się najszybciej, jak mogli, schyleni, przemykając pod niskimi gałęziami i przeskakując zagłębienia błotnistego terenu. Nikt się nie odzywał. Dima zerknął na Gregorina i Ziraka – ich twarze zastygły w maski szoku i żalu po upieczonych żywcem towarzyszach.

– Ktoś widział, skąd przyleciała ta rakieta? – spytał Władimir po drodze. – Bo na pewno nie z ziemi.

Dima przystanął, popatrzył na nich. Gregorin kiwnął głową.

– Ma rację. Ona przyleciała z południa, na pewno nie z ziemi.

Dima zatrzymał grupę i kazał się wszystkim zbliżyć.

– To, co tam się stało... Widziałem parę spierdolonych akcji, ale żadna nie może się z tym równać. Straciliśmy wielu świetnych ludzi, za co biorę odpowiedzialność.

Pozostali spuścili wzrok.

Kroll podniósł palec.

– Czy to znaczy, że lecimy do domu?

Dima popatrzył na nich.

– Każdy może zdecydować za siebie.

– A jaka jest twoja decyzja? – spytał Władimir.

Dima nie potrzebował czasu na zastanowienie. Już wiedział.

– Jadę dalej. Wytropię Kafarowa, znajdę jego bombę.

Władimir popatrzył na Krolla, potem na Dimę.

– W takim razie jestem z tobą.

Pozostała trójka pokiwała głowami.

Po raz pierwszy Dima miał jakiś powód do optymizmu.

– Od tej pory – tylko nasz plan. Żaden inny. Zrobimy to po swojemu.

Dima zostawił grupę, żeby połączyć się z Paliowem przez satelitarny, bezpieczny telefon. Kiedy skończył składać raport, na drugim końcu zapadła długa cisza.

– Jesteś tam?

– Jestem – odparł Paliow znużonym głosem. – Co mam ci powiedzieć?

– Kafarow nie był porwany. Był tam dobrowolnie. Powiedz mi natychmiast, że mnie nie okłamałeś.

Długa pauza.

– Z informacjami było krucho. Wyciągnęliśmy niewłaściwe wnioski. Przepraszam. W przypadku Kafarowa nic nie jest proste, wiesz o tym.

– Do tego on wiedział, że po niego lecimy. Ktoś dał mu cynk. Był przeciek.

Paliow aż się ożywił z oburzenia.

– Bezczelna sugestia. Skąd wiesz, że po prostu nie zmienił planów?

– Gdyby nie ten obronny ton, może bym ci nawet uwierzył. Helikopter Szenka strąciła rakieta powietrze-powietrze. Ktoś na nas czekał. Lepiej

dobrze sprawdź, co kto wiedział. Ktoś nam powiedział, że Al-Baszir dostał się pod „zagraniczne wpływy”. Czy wspaniała rosyjska maszyna wywiadowcza ma na ten temat coś do powiedzenia?

Znów cisza w słuchawce – odgłos Paliowa trawiącego kolejne niezjadliwe informacje. Obaj wiedzieli, co myśli ten drugi. W końcu Paliow jęknął:

– To jest nie do pomyślenia.

– No, lepiej o tym pomyśl, ale zachowaj to dla siebie. Jeśli to prawda, im dłużej Kafarow nie będzie wiedział, co wiemy, tym lepiej. Dowie się, co się stało w kompleksie, ale dobrze by było, żeby uważał, że misja została przerwana.

– Czyli nie wracacie?

– Ciągle obowiązuje nasza umowa, pamiętasz?

Zaczynało świtać. Zdjęli oporządzenie i przebrali się w cywilne ubrania. Cały sprzęt zapakowali do bagażników. Każdy zostawił sobie pistolet i nóż; kałasznikowy włożyli pod fotele. Władimir siadł za kierownicą pierwszego samochodu, z Krollem i Dimą na tylnych siedzeniach. Zirak i Gregorin pojechali drugim – jeden prowadził, drugi z kanapy pilnował tyłów.

Dima wciąż kipiał ze złości, ale starał się, jak mógł, by nie pokazać tego pozostałym. Musieli być przekonani, że wszystko ma pod kontrolą.

– Od tej pory robimy wszystko po mojemu. Ten sygnał, który Szenk odbierał od bomby, jest wciąż nadawany?

Kroll, ze skanerem na kolanach, wzruszył ramionami.

– No to sprawdź. Jeśli Kafarow nie wyłączył nadajnika, chcę znać natychmiast jego współrzędne i dostawać SMS-em informację o każdej zmianie.

Pojechali drogą na północny zachód do Gürbulaku. Chcieli jak najszybciej oddalić się od bazargańskiego kompleksu. Dima zadzwonił do swojego kontaktu, tego samego, który przesłał mu mailem zdjęcia murów. Darwisz skierował ich do prowadzonej przez „zaufanego przyjaciela” herbaciarni w Melikşah, małym miasteczku położonym osiemnaście kilometrów dalej. Dima znalazł je na mapie i przez radio podał namiary drugiemu samochodowi.

– Herbaciarnia? A co ze śniadaniem? – spytał Zirak.

Na pierwszym skrzyżowaniu trafili na blokadę – dwa pikapy z wymalowanymi pospiesznie na bokach literami LWRO, ustawione w poprzek drogi, i dwóch mężczyzn z insygniami LWRO na kurtkach, obu z kałasznikowami.

– Hamuj późno i ostro – z tylnego siedzenia poinstruował Władimira Dima.
– Zrób wściekłą minę.

Władimir prychnął.

– Wyglądają, jakby ich zwerbowali dziesięć minut temu.

Zanim paykan zdążył do końca wyhamować, Dima wyskoczył z samochodu.

– To wy jesteście eskortą? – wrzasnął w farsi. – Zawracać te samochody i zabrać nas do Charwanaku. Ale już!

Wartownicy spojrzeli po sobie.

– Nie wiecie, kim jestem?

Dima wyciągnął w ich stronę swój wymięty irański paszport.

– Wiecie, co się dzieje? – Wściekle machnął ręką na wzgórze za sobą. – Cały pluton cudzoziemskich wywrotowców na tych wzgórzach, oto, co się dzieje! Powinniście ich szukać, a nie zatrzymywać wysokich urzędników LWRO. Kto jest waszym dowódcą? – Dima wyciągnął telefon. – Dzwonię do niego!

Wartownicy znów wymienili spojrzenia. Wyższy ukłonił się lekko.

– Przepraszamy, że pana nie poznaliśmy.

– A więc to nie wy jesteście eskortą. Co za bajzel. Zabrać te samochody, przepuścić nas. Natychmiast!

W samochodzie Dima zaśmiał się, widząc, jak tamci maleją w lusterku.

– Jak mi poszło?

Władimir wzruszył ramionami za kierownicą.

– Mógłbyś trochę bardziej wymachiwać rękami.

– Następnym razem twoja kolej.

– Gdzie, do chuja, jest Charwanak?

– Chuj wie.

Główna ulica Melikşah była rozjeżdżona, zakurzona i mocno zaniedbana, ale bez śladu zniszczeń po trzęsieniu ziemi. Było pusto, nie licząc dwóch starsuszków na ławce pod cyprysem, którzy przyglądali się Rosjanom wysiadającym z samochodów.

Drzwi sklepów zabito deskami, pozamykano okiennice. Było zdecydowanie za cicho. Gregorin zgłosił się na ochotnika do pilnowania samochodów. Kroll zabrał radio, żeby mieli kontakt. Do herbaciarni wchodziło się po wąskich schodkach. W środku działało się trochę więcej – paru mężczyzn przy stolikach piło herbatę. Kiedy Dima wszedł, wszyscy umilkli i utkwili w nim wzrok. Zirak kiwnął głową i odezwał się pierwszy. Słyszając jego akcent i nazwisko Darwisza, stracili zainteresowanie i wrócili

do własnych rozmów.

Po schodach wbiegł zasapany, okrągły mężczyzna w fartuchu i powitał ich, jakby byli dawno zaginionymi braćmi. Potem do sali wszedł Darwisz.

– Najdroższy Zima – powiedział, obejmując Dimę i przypominając mu imię, którym posługiwał się lata temu. – Chodź, przygotowałem pokój.

Poszli za nim korytarzem do małego, niskiego pomieszczenia z obłazącymi z farby ścianami.

W środku były dwie ławy i stary kołowrotek, kręciło się tam też kilka kur, które dziobały rozsypane na podłodze trociny.

Właściciel herbaciarni przyniósł tacę z herbatą w małych szklankach oraz talerz z podpłomykami, miejscowym białym serem, dżemem, granatami i figami. Zirak z trudem się hamował.

– Proszę, przyjmijcie mojej przeprosiny za stan pokoju – powiedział właściciel.

– Nie, nie, jest doskonale. Twoja gościnność jest zbyt wielka.

Darwisz zaczekał, aż mężczyzna wyjdzie, a potem zamknął za nim drzwi na klucz. Zniknęła wszelka dobroduszość. Wzniósł ręce, jakby wzywał Allacha.

– To wielki, wielki kłopot.

– Co ty nie powiesz – skonstatował Dima.

Darwisz pomasaował czoło i pokręcił głową.

– Już ogłoszono alarm, jesteście poszukiwani. Bez rysopisu, po prostu grupa cudzoziemców, wszyscy uzbrojeni. Jest rozkaz, żeby strzelać bez ostrzeżenia. Za informacje na wasz temat wyznaczono wielką nagrodę, jeszcze większą za wasze zwłoki. Uczciwie wam radzę: jak najszybciej przekroczcie granicę. LWRO wykorzystuje skutki trzęsienia ziemi, żeby przejąć władzę w całym kraju.

– Powiedziałeś „cudzoziemcy”. Czemu nie Rosjanie? Muszą przecież znać naszą narodowość.

Darwisz energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie. Podeszli do tego o wiele sprytniej. Twierdzą, że jesteście popieranymi przez Amerykanów wywrotowcami. Do ludzi przemawia to o wiele bardziej, a LWRO umacnia dzięki temu swoje poparcie.

Pokręcił z niesmakiem głową i spojrział na nich z żalem.

– Jak dotąd działacie na korzyść Al-Baszira. To, co zrobiliście... – Wskazał w stronę kompleksu. – To tylko potwierdza jego wersję o wrogich

cudzoziemskich siłach i umacnia jego władzę nad nami. Dlaczego do tego dopuściliście?

Złapał się za czoło i zamknął oczy.

Dima objął go ramieniem.

– Po pierwsze dziękujemy, że ryzykujesz życiem, żeby się z nami spotkać. Nie zapomnimy o tym. Ale jeszcze nie wracamy do domu. Co wiesz o Amirze Kafarowie?

Darwisz zmrużył oczy.

– Przed Kafarowem ludzie tacy jak ja, postępowi, którzy chcieli zmian, popierali Al-Baszira; wierzyliśmy, że jemu też zależy na zmianach. Pokojowych. Ale teraz Al-Baszir stracił zainteresowanie budowaniem koalicji poparcia i staje się jasne, że chodzi mu wyłącznie o władzę dla siebie i swojej kliki. Teraz chce zademonstrować swoją potęgę, swoją siłę. Niektórzy twierdzą, że to przez Kafarowa. Kafarow przyjechał tu ze swoimi towarami i uzależnił Al-Baszira. Będą jakieś problemy w naszym rejonie, to przyjedzie i... – Wykonał gest zgniatania. – Dlatego, Zima, bardzo staramy się unikać kłopotów. Musicie stąd zniknąć.

Dima wytrzymał jego spojrzenie.

– Jeszcze nie teraz.

Darwisz chciał zaprotestować, ale Dima przyłożył mu palec do ust. Opowiedział o zabójczym bagażu Kafarowa i odwołanym spotkaniu z Al-Baszirem.

– Czas działa na naszą niekorzyść. Musimy dopaść kogoś z samego serca najwyższego dowództwa LWRO, kogo możemy przycisnąć. Potrzebne nam informacje właśnie z takiego szczebla.

Odwrócił Darwisha twarzą do siebie.

– Jesteś wpływowym człowiekiem. Znasz ludzi. Możesz nam pomóc.

Darwisz pokręcił głową. Chwycił stojącą przed nim szklankę i wychylił jej zawartość jednym haustem, jakby miał to być jego ostatni drink na tym świecie.

– Ostatnia przysługa, przez wzgląd na dawne czasy.

– Zima, jesteś dla mnie jak brat. Wiesz, że oddałbym za ciebie życie, ale...

– Jeśli nie znajdziemy tej bomby, wszyscy zginiemy.

Darwisz podniósł i opuścił ręce.

– Al-Baszir wymusza lojalność strachem. Tak długo był uwielbianym przywódcą, wielką nadzieją naszego kraju. A teraz... – Z rozpaczą pokręcił

głową. – Wielu z jego najdawniejszych sojuszników zginęło w czystkach. Ludzie wokół niego... cudzoziemcy...

– Tak, wiem. Zagraniczne wpływy. Jakie?

– Znasz Teheran, miasto huczące od plotek. Niektórzy mówią o synu, którego potajemnie spłodził za granicą.

To do niczego nie prowadziło. Spróbuj się mu przypochlebić, pomyślał Dima.

– Darwisz, jesteś człowiekiem, który wszystkich zna, masz wielu wpływowych krewnych... Może któryś z nich?

Urok osobisty Dimy nie działał. Darwisz pocił się, dygotał; zdradzał wszelkie oznaki zachowania człowieka, który się w coś wpakował i teraz żałuje.

– Prosiłeś, żebym zrobił zdjęcia. Przez wzgląd na dawne czasy. Dobrze. To było niebezpieczne, ale je zrobiłem. A potem rozwalasz się helikopterami, zabijasz mnóstwo ludzi i prosisz mnie, żebym zdradził...

Dima mu przerwał, wciąż uwodząc go głosem.

– Jesteś sprytny, Darwisz, masz świetne kontakty. Aż do tej pory doskonale sobie radziłeś. Bardzo niewielu z nas wie, komu naprawdę jesteś lojalny. Fakt, że możesz się z nami otwarcie spotkać podczas ogólnokrajowego kryzysu, mówi mi, że nawet teraz wierzysz, że nie masz się czego obawiać ze strony LWRO. Nikt nie musi znać twojej roli. Tu nie chodzi tylko o mnie, tu chodzi o twój kraj. Pomyśl o tym.

Darwisz owszem, myślał, ale nie tak, jak Dima chciał. Jeszcze nie. Dima go docisnął, tym razem chłodniej.

– Nie mamy czasu na śledztwa, sprawdzanie ludzi, podsłuchy, szukanie ich słabości, podchody. Nie mamy tygodni, miesięcy, ledwie dni, a może nawet godziny, żeby znaleźć Kafarowa i jego bomby. Bracie, nie każ mi się przyciskać mocniej.

Darwisz odsunął się, w ostatnim wybuchu urażonej dumy.

– Ty mnie szantażujesz. Po tym wszystkim...

Dima przeszył go zimnym spojrzeniem. Ich relacje zawsze były niesymetryczne. Podczas służby jako instruktor rosyjskich sił specjalnych w Gwardii Rewolucyjnej, Dima był nadzorcą Darwisza; wykorzystywał go jako wartościowy kontakt głęboko w strukturach władzy. Zdobywane w ten sposób informacje były nieocenione, a Darwisza sowicie wynagradzano. Nigdy nie został zdemaskowany, ale wiedział, że zawsze będzie dłużnikiem

Dimy.

Dima docisnął mocniej.

– Ktoś blisko Al-Baszira musi wiedzieć o Kafarowie. Wiemy, że się kontaktują, bo planowali spotkać się osobiście wczoraj w nocy. A jeśli Al-Baszir gotów był jechać aż tutaj, żeby się z nim spotkać, to znaczy, że uważa go za cennego. Bardzo cennego. Daj spokój, Darwisz, pomyśl o dawnych czasach. Zawsze powtarzałeś: „Wszystko jest możliwe, czegokolwiek potrzebujesz, Dima, dostaniesz to”. Pamiętasz?

Pokonany Darwisz skrył twarz w dłoniach. Po kilku chwilach wstał.

– Pięć minut, proszę.

Kiedy wyszedł, odezwał się Władimir.

– Ładne przedstawienie, Dima. Jeśli wolno spytać, co chcemy w ten sposób zyskać?

Dima skrzyżował ręce na piersi.

– Zobaczysz.

Przyszła kolej Krolla.

– Skoro mamy tak mało czasu, nie szybciej byłoby połamać mu nogi?

Dima zerknął na Ziraka, który w zamyśleniu żuł placek.

– O czym myślisz?

– Moja matka robi o wiele lepszy dżem.

Dwie minuty później Darwisz wrócił. W ręku miał ślubną fotografię i jakąś wizytówkę. Położył zdjęcie na stole i wskazał pana młodego, przystojnego, masywnie zbudowanego mężczyznę tuż po czterdziestce, o surowej twarzy. Obok niego – tryumfująca, szeroko uśmiechnięta panna młoda.

– To Gazul Halen. Numer trzy przy Al-Baszirze. Odpowiada za wywiad.

Dima przysunął zdjęcie bliżej, przyjrzał się twarzy.

– Jak się do niego dostaniemy?

Darwisz palcem wskazującym zatoczył kółko wokół panny młodej.

– To moja córka, Amara.

Pół godziny później Dima wiedział już o Amarze i jej mężu wszystko, czego potrzebował. Darwisz, między wybuchami płaczu, wyjaśnił, że chociaż zgodził się na to małżeństwo, to go nie popierał.

– Pokłóciliśmy się. Bardzo ostro. To niedobry człowiek. Wszystko, co ma, osiągnął tym. – Jedną pięścią uderzył w stół, drugą wykonał gest chwytania w kierunku krocza Dimy. – Wszyscy jego ludzie... Ma ich jaja w mikserze i palec na włączniku. To paranoik. Utrzymuje całodobową ochronę. Nie z LWRO. Własną. Tak samo Amara. Nigdy nie mieszkają dłużej niż kilka dni w jednym mieszkaniu.

– Nie jest szczęśliwa?

– Zacząłem dostawać SMS-y z nieznanego numeru. Zawsze muszę uważać, kto się ze mną kontaktuje. Ale to moja Amara, ma telefon na kartę. „Tatusiu, czy możemy się pogodzić?”. Oczywiście, że możemy! Jest moim całym życiem! „Bardzo przepraszam, zrobiłam wielki błąd, chcę wrócić do domu”. Chce uciec, ale za bardzo się boi. On ją trzyma prawie jak w więzieniu. Teraz, przy tych wszystkich kłopotach, trzęsieniu ziemi, jest zdesperowana. Pisz do mnie codziennie, czasami pięć, sześć razy, ale co ja mogę zrobić?

Dima odchylił się w tył, skrzyżował ręce na piersi.

– Powiedz jej, że wysyłasz pomoc. Niech nam przekaże, gdzie jest. Odzyskasz córkę, a Gazul zaprowadzi nas do Kafarowa i jego bomby.

Na twarzy Darwisza odmalowała się ulga.

– Proste.

– Proste – powtórzył Dima, w pełni świadom, że jest wręcz przeciwnie. Słowa: „Gazul zaprowadzi nas do Kafarowa i jego bomby” rozbrzmiewały mu w głowie złowrogim echem. Ale to było już coś, a „coś” to o wiele więcej, niż mieli dotąd. Wstał i uściskał towarzysza.

– Darwisz, stary przyjacielu, jak moglibyśmy przegrać z tobą na pokładzie?

Autostrada Tebryz-Teheran była prosta jak strzała: ciemna kreska przez całą mapę. Dima prowadził, z pedałem przy podłodze, jadąc okrakiem na obu pasach biegnących na południe. Paykan wyciągał stałe sto dwadzieścia na godzinę. Chociaż okna były otwarte i mocno przez nie wiało, popołudniowy upał i rozgrzany, wyjący silnik zmieniały wewnątrz samochodu w piekarnik.

– Wypatrujesz pęknięć? – spytał Władimir.

– Wypatruję – odparł Dima.

– Trzęsienie ziemi potrafi przeciąć drogę i zanim się zorientujesz, siedzisz w rozpadlinie, której jeszcze dwie minuty temu nie było.

Droga na południe była opustoszała. Na północ – przeciwnie: konwój najróżniejszych pojazdów oddalał się od strefy trzęsienia ziemi. Samochody wyładowane materacami, przyczepy pełne lodówek, telewizorów i pralek, autobusy z ludźmi na dachach. W jednym z aut staruszka krzyczała na kierowcę, prawdopodobnie syna, z tylnego fotela; z przodu siedziała skrzywiona synowa. Myśli sobie: „niech tylko się otworzy jakaś rozpadlina w drodze, to ją wrzucimy”, przyszło Dimie do głowy. Jak dotąd nie napotkali poważnych śladów trzęsienia ziemi, ale wielka chmura brunatnego pyłu na horyzoncie, coraz większa w miarę zbliżania się do stolicy, zdradzała, co tam ich czeka. Mieli włączone radio, przeskakiwali ze stacji na stację – we wszystkich wiadomościach prognozowano następne wstrząsy.

Władimir siedział rozwalony na tylnym fotelu i kończył paczkę sucharów, które miały im wystarczyć na sześćsetkilometrową drogę do Teheranu.

– Jak oni w ogóle przepowiadają wstrząsy?

– Mierzą wibracje gruntu czy coś takiego. Zostaw trochę dla mnie, łapczywy kutasie.

– Muszę nabrać sił. W więzieniu wróżyłem ludziom przyszłość. Dziesięć rubli albo pięć papierosów, albo jeden joint, a ja przepowiadałem, czy kogoś

pobiją, czy dźgną. Jeśli płacili, przepowiadałem, że nie. I zawsze miałem rację.

– Powróź mi.

– Nadchodzi trzęsienie ziemi i atomowy grzyb. A jak to przeżyjesz, LWRO odrąbie ci jaja. Należy się tysiąc riali.

– Wal się. Zeżarłeś wszystkie sucharki.

Władimir zmiął puste opakowanie i wyrzucił je przez okno. Po pięciu latach w Butyrce, pomyślał Dima, chyba mu się należały.

– Jak tam w ogóle było?

– Radziłem sobie nieźle, na ile to możliwe. Nawet trochę mi było żal, gdy zjawili się Gregorin i Zirak.

– Daj spokój. Jak cię wydostali? Materiały wybuchowe? Przebrali cię za praczkę? Jeśli tak, to musiała być cholernie brzydka.

– Wyjaśnili dyrektorowi, że kraj pilnie mnie potrzebuje. Bardzo się ucieszył, widząc moje plecy, nie mam pojęcia dlaczego.

– Pojąłeś, jak niewłaściwe było twoje postępowanie?

– Tak, niepotrzebnie dałem się złapać. To było niewłaściwe. Spokojnie, sukinsynu!

Dima zarzucił samochodem, żeby ominąć krowę, która zabłąkała się na jezdnię. Zerknął w lusterko i zobaczył, że Kroll w drugim paykanie robi to samo.

– Jak oceniasz szanse odnalezienia Kafarowa i jego... gadżetów?

– Nie jestem hazardzistą, pamiętaj o tym.

– A uratowanie córki Darwisza? Od kiedy to bawisz się w rycerzy w lśniącej zbroi?

– Jeśli Kroll nie naprawi skanera Szenka, ona jest naszą jedyną nadzieją.

– Wyszła za tego pierdolniętego czuba... Co za bajzel. Nie cieszysz się, że nie masz dzieci? Biedak Kroll ma.

– Może to one dają mu siłę do działania.

– Szkoda tylko, że ich matki nie pozwalają mu się do nich zbliżyć.

– Dobrze byłoby mieć syna i spadkobiercę. W przeciwnym razie, po co to wszystko?

– Dla śmiechu, głupi piździelcu.

Dima zobaczył w lusterku niezrozumienie na twarzy Władimira: budować sobie przyszłość? Po co komu jeszcze jedno zmartwienie? Skupił się na drodze przed nimi, usiłując wymazać to, co się działo w jego głowie. Zdjęcia

Paliowa: potwierdzenie po dwudziestu latach wypierania.

Przejechali przez przełęcz w górach Elburs, strzegących północnych przedmieść Teheranu. Nad chmurą kurzu nad miastem zobaczyli dwa krążące i nurkujące samoloty. Władimir wyprostował się.

– Widzicie to co ja?

23 // Asara, na północ od Teheranu

- Doskonale. Jeszcze tylko tego było nam trzeba.
- Gregorin opuścił lornetkę i podał ją dalej.
- Nowiutkie F-35 Lightning, prosto z pudełka. Tylko jedne siły powietrzne ich używają.
- Dobrze, że chociaż ty jesteś na bieżąco – skomentował Dima.
- Zjechali z autostrady na krajową pięćdziesiątkę szóstkę, kierując się na zachód, w głąb gór Elburs. Stamtąd zyskali panoramiczny widok na miasto, rozciągające się na równinie w dole. Dima patrzył, jak myśliwce okrążają gigantyczny słup dymu, strzelający w niebo z rafinerii w południowej części stolicy.
- Najpierw LWRO, potem trzęsienie ziemi. A teraz, kurwa, amerykańskie Siły Powietrzne. Pełny komplet.
- Spójrz na to z jaśniejszej strony – przynajmniej atakują z południa i zachodu. Według Darwisza Amara jest u swoich teściów na północnym wschodzie.
- A, faktycznie, w takim razie – żaden problem. Po prostu zignorujemy największe supermocarstwo świata oblegające pół miasta, zapukamy do jej drzwi i spytamy, czy możemy wyskoczyć na herbatkę z jej mężem.
- Dima wzruszył ramionami.
- A masz lepszy pomysł?
- Dochodziła szósta. Zaczynało zmierzchać. Zadzwoił Darwisz. Rozmawiał z córką. Była w Niawaranie, na północnych przedmieściach, sama w domu. Wszyscy krewni i służący jej męża uciekli. Nie miała pojęcia, dokąd poszli, i dostawała histerii ze strachu. Darwisz przekazał jej, że pomoc jest w drodze.
- Powiedziałem jej, że tata wysłał dzielnych ludzi na ratunek; najlepszych.
- Czyli nie ma ciśnienia. Ale gdzie do cholery jest jej mąż... jak mu tam?
- Gazul.

– Jaki mężczyzna zostawia żonę samą w epicentrum trzęsienia ziemi?
– I podczas amerykańskiego bombardowania.
– Słucham propozycji.
– Znajdźmy drania i obetnijmy mu jaja – powiedział Władimir, kiedy Dima się rozłączył.

– Rozsądnych propozycji. Jak dotąd jedyne, co zrobiłeś, to zjadłeś wszystkie sucharki, więc albo zacznij być przydatny, albo poszukamy jakiejś rozpadliny i wrzucimy cię do niej.

Odwrócił się do Krolla, siedzącego z tyłu drugiego paykana nad płataniną kabli skanera Szenka rozłożoną na fotelu.

– Może skontaktuj się z nią i zorientuj, jak wygląda sytuacja? – zasugerował Kroll. – Dowiedz się, czy gość naprawdę dał nogę, a jeśli tak, to dokąd.

Dima zadzwonił pod numer, który dostał od Darwisza.

– Właściwie to te sucharki były trochę suche. Macie jakąś wódkę?

– On lepiej strzela, jak sobie wypije, prawda, Władimir?

– Zamknijcie się, kurwa mać, ja tu słucham.

Dima czekał, aż ktoś odbierze. Nie miał pojęcia, czy z Amary będzie jakiś pożytek, ani czy dzięki niej zbliżą się do Kafarowa i jego walizkowej bomby. Jeśli rodzina jej męża naprawdę ją porzuciła, to czy w ogóle mieli ze sobą jakiś kontakt? Czekał, aż dziewczyna odbierze. Odezwała się zduszonym szeptem, zapłakana i spazmatycznie zdyszana.

– Jeśli mój mąż dowie się, że z wami rozmawiałam, każe mnie zabić.

– Nie zdąży. Potwierdź tylko, gdzie jesteś i gdzie jest on.

– Nie wiem! Wyszedł wcześniej dziś rano. Pytałam jego matkę, czy wie, nie chciała mi powiedzieć. Oni mnie wszyscy nienawidzą. Ona nawet...

Kobiety.

– Dobrze. Powtórz tylko adres, proszę. Dobrze, w porządku. A teraz: czy na pewno jesteś sama?

– Tak, uciekła nawet pokojówka.

– A gdzie jest Gazul?

– Mówiłam już, nie wiem! Nigdy niczego mi nie mówi.

W górze przeleciały odrzutowce; Dima próbował coś usłyszeć.

– Dobrze, Amara, dziękuję. Będziemy tam za czterdzieści minut.

Rzucił telefon na fotel samochodu.

– Albo faktycznie boi się o swoje życie, albo czegoś nam nie mówi.

24 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu

Z oddali wzgórze na południowym krańcu Teheranu wyglądało tak jak powinno, dzień jak co dzień – i tak właśnie miało wyglądać. Pluton Blacka ukrył się pod siatką maskującą i usiłował odpocząć po długim natarciu na wschód, w głąb zniszczonego trzęsieniem ziemi Iranu.

Odpocząć? Marne szanse: nad miastem myśliwce walczyły z obroną przeciwlotniczą, przy wtórze huków, trzasków i wycia rakiet. Powietrze było tak gęste od kurzu, że bezustannie czuli jego smak. Campo wepchnął do ust resztkę batona energetycznego.

– Chłopaki z myśliwców robią tam ładny pokaz sztucznych ogni. Jak w *Dniu Niepodległości*.

Matkovic leżał na plecach z dłońmi w rękawicach pod głową.

– Mama cię nie uczyła? Człowieku, nie mówi się z pełnymi ustami.

Montes grzebał przy uszkodzonym noktowizorze.

– Mam wrażenie, że w Teheranie nikt się aktualnie nie czuje przesadnie niepodległy.

– Daj sobie siana, Montes. Skup się i rób swoje, dobra?

Przez całą drogę główną trasą na zachód od granicy widzieli na billboardach wielkie plakaty Al-Baszira.

– Powinien ich spędzić z ulic do schronów.

– Tak to już jest z trzęsieniami ziemi, wszyscy uciekają z budynków.

– Cole mówi, że na zdjęciach satelitarnych widać exodus na północ. Powinniśmy być tu sami.

– Tak, intymne spotkanko: tylko my i najwyższe dowództwo LWRO.

Bliżej ich pozycji, na skraju miasta, głośniki LWRO pompowały w powietrze głos Al-Baszira; urywane serie farsy przebijały się przez bombardowanie.

– ...odzyskamy... mieczem powalimy najeżdżącą...

Black szturchnął Matkovica, który też zdążył poznać trochę farsi.
– Będzie potrzebował czegoś więcej niż mieczy, jak wjedziemy do miasta.
Matkovic drgnął.
– Jak się nie zamknie, to mu rozjebię tę szczekaczkę.
Przed nimi, u podnóża wzniesienia, stał blok mieszkalny. Na górnych piętrach ludzie z LWRO rozstawiali gniazdo karabinu maszynowego.
Black zeszywniał, wskazał ciemność poniżej wzniesienia.
– Widzicie to?
– Pieprzone gogle! – Montes cisnął noktowizorem o ziemię. – Mamy szturmować Teheran, a tu się kończą baterie.
– Jadą ciężarówki.
Matkovic wstał i popatrzył w kierunku wskazywanym przez Blacka.
– Skąd one się tu, kurwa, wzięły? Nie jesteśmy nawet na pozycji.
Od zachodu w głąb miasta zmierzał konwój pięciu humvee. Cole wśliznął się pod siatkę maskującą i złapał radio.
– Kosiarz główny, tu Szajbus główny, cel niezabezpieczony. Powtarzam, cel niezabezpieczony. Zatrzymajcie się, odbiór.
Cisza. Cole się zagotował.
– Kurwa, Brady, zgłoś się.
Słyszając to nazwisko, Blackburn i Montes wymienili spojrzenia.
– Brady Bunch wjeżdża do miasta! Jesteśmy uratowani.
W równym stopniu uwielbiany, co nienawidzony, porucznik Brady słynął z tego, że cisnął swoich ludzi bez litości, miał w zwyczaju po swojemu interpretować rozkazy, a jeśli można było okryć się chwałą, rzucał się po nią pierwszy. Kwadratowy trzydziestodwulatek, który wyglądał tak, jakby służył w wojsku, odkąd nauczył się chodzić, Brady był w każdym aspekcie przeciwieństwem chudego, opanowanego Cole’a.
Kiedy odpowiedź w końcu nadeszła, głos Brady’ego był zniekształcony zakłóceniami i zniecierpliwiony.
– Szajbus 2, nie zatrzymujemy się. Lepiej weźcie dupy w troki i zacznijcie nas krzyć, bez odbioru.
– Co za pojeb. – Cole pokręcił głową i znów włączył radio. – Wszystkie jednostki kryptonim Szajbus, gotowość bojowa, powtarzam, gotowość bojowa. Utrzymać pozycje, bez odbioru.
Wzgórze ożyło: ponad czterdziestu marines wyskoczyło spod siatki maskującej i pobiegło w dół zbocza w kierunku wiaduktu. W grupie Blacka

przodem szli Montes i Matkovic, Campo niósł z tyłu moździerz. Kiedy tylko drużyna znalazła się pod osłoną wiaduktu, Cole znów włączył radio.

– Pociski oświetlające w powietrzu na już, nad cel.

Zanim jeszcze skończył mówić, nadleciał pierwszy pocisk wroga. Blackburn skoczył w kłębowisko mężczyzn rozstawiających moździerz. Złapał za rurę i ustawił ją pod kątem.

Campo miał zasobnik. Wysunął z niego biały pocisk z czarnymi oznaczeniami.

– Ostrzał bezpośredni. Jednym oświetlającym, połowa ładunku. Nachylenie jeden zero dziewięć.

– Pocisk gotuj!

Matkovic ustawił moc ładunku u podstawy pocisku.

– Jest pocisk gotuj.

– Do strzału!

Wsunął granat do rury i przytrzymał go tam.

– Jest do strzału.

– Ognia!

Jednym płynnym ruchem Matkovic pchnął pocisk w głąb lufy moździerza i skulił się poniżej jej wylotu. Rozbłysk światła rozjaśnił ich pozycję na ułamek sekundy, a potem pocisk wystrzelił wysoko w górę i oświetlił całą okolicę.

Oślaniał ich niewysoki murek, od bloku mieszkalnego dzielił wiadukt i rów. Budynek był już mocno uszkodzony przez wstrząsy i przechylał się na bok; kawały betonu zwisały na pociętych prętach zbrojenia. Nieliczne, stojące wciąż drzewa były połamane i ogołoczone z liści. Przyskoczyli do pierwszego murku między nimi a budynkiem. Po strzale z moździerza fragment muru zniknął w chmurze pyłu, a z bloku wysypali się żołnierze LWRO.

Black pierwszy przeskoczył przez gruzy. Po drugiej stronie ciągnął się betonowy rów. Nie było się gdzie schować, jak tylko w nim. Black rozpląszczył się na jego przeciwległej ścianie, osłaniając się przed ogniem LWRO.

Montes wskoczył obok niego.

– Witamy w Teheranie. Prosimy o pozostawienie wyposażenia w stanie, w jakim je państwo zastali.

Klepnął Blackburna w ramię i coś mu pokazał. Za stertą gruzu, która

zablokowała kanał w dole nurtu, na boku leżało ścierwo krowy, napuchnięte od gazów.

– Lepiej, żebyśmy w to nie trafili.

W chwili, kiedy to powiedział, truchło oberwało pociskiem i obryzgało ich cuchnącym płynem.

– No cholera by to....

– Święte słowa.

Niebo przecinała flara, oświetlając gniazdo kaemu na drugim piętrze. Blackburn zasypał je ogniem i obaj pobiegli w stronę budynku.

– Odłamkowy im w dupę. Osłonię cię. Wyciągaj granat.

Montes wyciągnął zawleczkę, przelotnie sprawdził, czy nie zostało mu w ręku samo kółko, a potem cisnął granatem. Stanowisko kaemu zniknęło w chmurze odłamków betonu.

Kolumna humvee przejechała właśnie pod wiaduktem i skręciła w lewo, w głąb miasta. Drogę blokował wrak nissana pikapa, na wpół ukryty pod gruzami zburzonego budynku. Blackburna dzieliło od niego pięćdziesiąt metrów. Widział, jak porucznik Brady krzyczy, a pół tuzina jego ludzi próbuje usunąć przeszkodę. Dwaj strzelcy osłaniali ich z karabinów maszynowych na wieżyczkach humvee.

Do Blacka dołączył Montes.

– Niepotrzebnie się tak dupek pcha. Co go ugryzło?

Zauważył ich Brady.

– Wy tam, co wy tam, kurwa, robicie? Chodźcie tu i pomóżcie przesunąć ten jebany wrak.

Pobiegli w stronę konwoju, ale w tym samym momencie jeden ze strzelców w humvee zwiśł w wieżyczce. Brady wskazał, skąd padły strzały.

– Ogień zaporowy, już!

Montes, Matkovic i Campo ostrzelali budynek. Przeszkoda została usunięta. Porucznik połączył się przez radio z Cole'em.

– Szajbus 2, tu Kosiarz główny, potrzebne mi tu natychmiast wsparcie, odbiór.

Usłyszeli odpowiedź Cole'a w słuchawkach.

– Są twoi, odbiór.

Brady wskazał palcem Blacka.

– Ty jedziesz ze mną z przodu. Wsiadaj, żołnierzu. Następny przystanek: ministerstwo spraw wewnętrznych. Dobierzemy się do Baszira.

Brady wsunął się za kierownicę, Black siadł obok niego.

– Tu Kosiarz główny, jesteśmy w drodze do ministerstwa, bez odbioru.

– Kosiarz główny, tu Szajbus główny. Sokole Oko melduje o personelu wbiegającym i wybiegającym z budynku. Cel główny musi zostać zabezpieczony, powtarzam: zabezpieczony, rozumiano?

– Potwierdzam, rozumiano. Bez odbioru.

Brady wyszczerzył do Blacka zęby w uśmiechu.

– Jedziemy po niego.

Minęli następny zestaw głośników LWRO, wciąż ryczących przemowę Al-Baszira. Brady skręcił w ich stronę i zaśmiał się jak wariat, kiedy zmiażdżyły je koła humvee. Potem, znienacka, na zwężeniu drogi przed nimi pojawił się samochód. Brady stanął na hamulcu.

– Zasadzka! Cofać! Cofać! – Nad nimi zagwizdała rakietka z ręcznej wyrzutni, zaterkotały strzały. – Wszyscy się wycofać!

Konwój stanął w miejscu. Strzelec Brady’ego z wieżyczki zasypał samochód nawałą kul i ten w końcu wybuchł płomieniami, ale ogień z okna powyżej nie ustawał. Minęły cenne sekundy, nim każdy pojazd wrzucił wsteczny – cały czas pod ostrzałem, w powietrzu unosiły się kłęby kurzu, pociski smugowe rykoszetowały na niebie. Strzelec na wieżycy zakrzyknął i zwiśł na bok, pozbawiony połowy twarzy. Brady złapał Blackburna za ramię.

– Na górę! Spisz się, sierżancie!

Trup opadł na fotel za Bradym, a Black zajął jego miejsce. Humvee z rykiem potoczył się w tył.

Brady znów krzychał do radia.

– Szajbus główny, tu Kosiarz. Napotkaliśmy ciężki ogień wroga. Jesteśmy w drodze do celu.

– Kosiarz główny. Zabezpieczyć poziom gruntu. Uwaga na cel główny. Sokole Oko 2 jest pięć kilometrów od was, odbiór.

Wyjechali spod ostrzału.

– Dobra robota, żołnierzu! – wrzasnął Brady do Blacka. – Jedźmy odrąbać łeb tej żmii.

Humvee skoczył do przodu ulicą równoległą do tej, z której właśnie uciekli. Przed nimi z wysokiego budynku biły w niebo kłęby dymu; z boku widać było wielki krater, jakby w ścianę wbił się samolot. W górze nad nimi zawisł osprey; impet powietrza spod jego śmigieł rozwiewał dym. Blackburn

zobaczył, że otwiera się tylna klapa i dwóch strzelców zajmuje pozycje.

– Sokole Oko 2 na pozycji. Przesyłka w drodze, odbiór.

Żołnierze wysypali się z pionowzlotu, po linach zjeżdżając na dach dymiącego ministerstwa. Brady ostro zahamował i wyskoczył z samochodu, zanim ten w pełni się zatrzymał. Blackburn rozejrzał się za Montesem i Matkovicem, zobaczył ich i wskazał miejsce pod osłoną porzuconego autobusu, ale wystrzały wokół budynku ucichły.

Black machnął ręką w kierunku wejścia.

– Jesteśmy z tobą, sierżancie.

– Dobra, panowie, uważajcie na naszych.

Większość ludzi w środku albo uciekła, albo się schowała. Lobby było zasłane odłamkami szkła oraz porzuconymi pudłami i teczkami. Próba ewakuacji nie powiodła się, pracownicy po prostu uciekli, ratując życie. W powietrzu fruwały papiery, podrywane podmuchem wirników ospreya. Z góry dobiegały krzyki żołnierzy, którzy zjechali po linach i teraz oczyszczali pokoje i piętra.

– Mamy uciekiniera na schodach.

Black skoczył do przodu, kiedy postać wybiegła z klatki schodowej, zawahała się i zawróciła. Brady przegapił ten moment, zajęty czymś innym.

– Brać go, brać go.

Black rzucił się na mężczyznę i powalił go na ziemię, wyduszając z niego powietrze. Z ręki pojmanego wypadł skoroszyt, który pojechał po podłodze. Brady, stanąwszy tuż za Blackiem, wetknął Irańczykowi do ucha lufę swojego M4.

– Daj mi go. – Pchnął butem ramię mężczyzny, rozdeptując jego pagony. – Pułkownik: dobrze. Przygotuj się na śmierć, pułkowniku. Dla ciebie wojna właśnie się skończyła.

Black obrócił głowę pułkownika twarzą do Brady'ego. Przez krótką chwilę myślał, że porucznik strzeli z przyłożenia i już chciał odskoczyć, ale Brady miał lepszy pomysł. Podniósł skoroszyt i spokojnie zaczął go kartkować, kucnąwszy obok Irańczyka.

– Dokąd to się pan wybierał, pułkowniku? Nie zostało wam wiele kryjówek.

Pułkownikowi oddech zaświszczał między zębami, kiedy Blackburn napał na jego głowę.

– ...świnie, bydlaki...

– Tak, tak, to właśnie my – powiedział Brady nonszalanckim tonem. – Chce pan zginąć od razu, czy woli pan współpracować i zabrać nas do swojego przywódcy?

– Napadacie nasz bezbronny lud...

Brady zdzielił pułkownika w głowę skoroszytem.

– Koniec czasu, pułkowniku! – wrzasnął. – Gdzie jest Baszir?!

– OK, OK. Nie tu.

– To gdzie?

25 // Niawaran, północno-wschodni Teheran

Wypatrzili amerykańskie siły naziemne ze swojej pozycji na wzgórzach, więc zespół Dimy zjechał do Teheranu z północnego wschodu, szosą Laszakark, która prowadziła prosto do Parku Policyjnego. Ulice były zasłane gruzem i dachówkami, niektóre całkowicie nieprzejezdne przez zawalone budynki. Wydawało się, że wyjechały na nie wszystkie transportery opancerzone rachs, jakie miała na stanie irańska armia; każdy nosił pospiesznie namalowane oznaczenia LWRO.

– W końcu do mnie dotarło, co się tu zmieniło.

– Nie licząc zniszczeń i rewolucji?

– Nie ma korków. To była kiedyś światowa stolica korków. Jeden facet umarł za kierownicą i nikt się nie zorientował przez dwie godziny.

Miasto było już prawie puste. Tych, których nie przepłoszyło trzęsienie ziemi, wypędziło z domów bombardowanie. Na głównych ulicach handlowych tłum próbował wykorzystać chaos: na chodnikach walały się telewizory, zmywarki i inne dobra, wyciągnięte w uniesieniu, a potem porzucone z braku możliwości transportu. Paykany okazały się nad wyraz skutecznym kamuflażem – jak magnes przyciągały maruderów polujących na transport. Jadąc po Amare, komandosi trzymali swoje kałasznikowy na widoku, żeby odstraszyć potencjalnych napastników.

Kroll zgłosił się przez radio z drugiego samochodu.

– Skaner działa! Jestem geniuszem.

– Dobra, geniuszu. Podaj nam współrzędne.

– Właśnie nad tym pracuję.

Kiedy zbliżyli się do ulicy Amary, rozległ się huk działek przeciwlotniczych, a potem wycie i łoskot pocisku dużego kalibru.

– Świetnie. Wujek Sam namierza cel. Załatwmy to szybko.

Kroll znów się zgłosił.

- Dobra, mam sygnał z centrum Teheranu.
- Bardzo konkretnie, dziękuję. Może ulica albo numer domu?
- Są spore zakłócenia, więcej nic nie wyciągnę.
- W takim razie zostaje nam Amara i jej uroczy Gazul.

Dom otaczały ogrody i wysoki mur, ale brama na ulicę stała otworem. Okna były zasłonięte antywłamaniowymi storami i kratami. Gregorin i Władimir obeszlili cały teren wzdłuż muru i zameldowali, że jest czysto. Dima zadzwonił do Amary.

- Jesteś sama?
- Tak, pośpieszcie się, proszę!
- Podejdź do drzwi i wpuść nas.
- Skąd wiesz, że możesz jej ufać? – syknął Władimir, kiedy podeszli do drzwi.
- Nie ufam.

W którym konkretnie momencie Dima zdał sobie sprawę ze swojego błędu, tego nie pamiętał. Uważał, że może ufać Darwiszowi, ale w takim chaosie ludzie zmieniali strony z godziny na godzinę. Darwisz mógł ich wystawić. Amara mogła nie wytrzymać napięcia, mogła wzbudzić podejrzenia męża, czy nawet go ostrzec. Uczciwie rzecz biorąc, podejmował szalone wprost ryzyko – ale to samo można było powiedzieć o szukaniu bomby atomowej w obłożonym mieście zniszczonym przez trzęsienie ziemi.

Zatrzymali się jakieś pięć metrów od drzwi. Te uchyliły się odrobinę, potem szerzej. Dima gestem kazał pozostałym czekać, aż zobaczy Amarę. Dziewczyna była roztrzęsiona i zapłakana, czego należało się spodziewać, ale poza tym stała bez ruchu. Dima spojrzał na nią, usiłując ustalić, co mu się nie zgadza. Stała, trzymając się framugi drzwi, jakby się o nią wspierała; po krótkiej chwili skinęła na niego ręką. Światło w przedsionku padało z prawej strony i to właśnie poruszenie cienia, w którym stała dziewczyna, rozstrzygnęło o wszystkim.

Dima puścił krótką serię z kałasznikowa, nie podnosząc go od biodra. Miał nadzieję, że oko ma tak samo celne jak kiedyś, i że ten, kto stał za drzwiami, spanikuje, myśląc, że Amara została trafiona. Pociski musiałyby przelecieć jej tuż nad głową, na tyle blisko, żeby fala uderzeniowa pchnęła ją w głąb korytarza.

Rozbiegli się na obie strony drzwi, gotowi na odpowiedź. Gazul Halen był człowiekiem, który najpierw strzelał, a myślał potem – jeśli w ogóle. Darwisz

miał rację. Szef wywiadu LWRO wyskoczył z drzwi z uzi w rękę, niczym aktor w kiepskim filmie, i pociągnął serią po pustym podejździe – wystarczająco długo, by Dima zdążył wycelować i posłać mu prosto w przedramię kulkę, która przeszła na wylot i trafiła jeszcze broń.

Uzi wypadło z ręki Gazula, a on padł na ziemię, szarpany konwulsjami. Dima rzucił się do przodu, jedną nogą skoczył mu na zranioną rękę, drugą kopnął uzi.

– Gazul Halen? Dziękujemy za zaproszenie.

Dźgnął leżącego mężczyznę mocno w krocze lufą swojego kałasznikowa.

– Odrobinę się nam spieszy, więc tym razem nie zostaniemy na herbatę. Rosyjski rząd chce dostać z powrotem swoją atomówkę.

Zerknął na leżącą Amarę. Nie ruszała się. Skinął głową na Gregorina, polecając mu sprawdzić, co z nią.

Gazul wił się jak zraniony byk; wściekłość, udręka i cierpienie zaciemniały mu twarz jak zła pogoda. Dima nie zdejmował stopy z jego ręki.

– Chcemy też Kafarowa. Zaprowadzisz nas do nich.

Gazul zasyczał. W końcu udało mu się wykrztusić odpowiedź.

– Pierdolę was.

Władimir stanął na jego drugiej ręce.

– O nie, nikogo nie będziesz pierdolił. Będziesz za to patrzył, jak my po kolei pieprzymy twoją żonę – żywą lub martwą. Chyba że zaprowadzisz nas do Kafarowa. Jesteś w stanie stwierdzić, która opcja jest lepsza?

Władimir nadepnął Gazulowi na rękę trochę mocniej. Dima widział to już wiele razy: człowiek zapędzony w kozi róg, który może się już tylko poddać, nie ma żadnego innego wyjścia ani żadnych kart przetargowych, ale mózg zaciął mu się w trybie dumy, niezdolny do podjęcia właściwej decyzji. Mężczyźni zajmujący wysokie stanowiska, przyzwyczajeni do kontrolowania innych strachem, byli najgorsi: tchórze co do jednego.

Zerknął na Amarę, która wciąż się nie ruszała.

Stopniowo syczenie i parskanie ucichło. Dolna warga Gazula zaczęła drżeć, a łyzy wściekłości zmieniły się we łyzy strachu i żalu nad sobą. Z żalną miną popatrzył na Dimę i kiwnął głową.

– Dobrze.

Oba paykany świetnie grały w drużynie, ale wiedzieli, że jednego trzeba poświęcić.

– Powinniśmy im pozwolić ciągnąć losy – zaproponował Kroll.

Dima, wiążący poranione ręce Gazula, przewrócił oczami.

– Kurwa mać, przecież to tylko samochody.

– Tam, skąd pochodzę, mówi się, że samochód to najlepszy przyjaciel człowieka.

– To dlatego, że zeżarliście wszystkie psy. Pospiesz się, dobra?

– Żegnaj, stary przyjacielu.

Kroll poklepał maskę samochodu, do którego wsiedli Gregorin i Władimir. Sami zgłosili się, że upolują transporter rachsz.

– Tylko jakiś schludny: z oznaczeniami LWRO, bez przebitych gum, a przy okazji załatwcie mundury załogi. Pamiętajcie, żeby ich rozebrać, zanim ich zastrzelicie.

Władimir lekceważąco machnął ręką.

– Już to kiedyś robiliśmy, tato.

Piętnaście minut później na podjeździe Amary zahamował z piskiem opon transporter opancerzony rachsz. Ze środka wysiedli Gregorin i Władimir w pełnym oporządzeniu LWRO.

– Taksówka dla pana Majakowskiego.

– Szybko wam poszło.

Dima poklepał swój nowy transport.

– „Rachsz” znaczy „rumak”.

– Człowiek uczy się całe życie.

Ku uldze Dimy Amara odzyskała przytomność. Okazało się, że oko wciąż ma dobre – dziewczyna miała tylko niewielki, przypalony, bezwłosy ślad na czubku głowy. Przygotował jej zastrzyk morfiny; środek złagodzi ból

i uspokoi jej obawy. Nie wiedzieli, czy sama ostrzegła męża, czy została zdemaskowana. Nie powinno to mieć znaczenia; zdobyli, co chcieli, ale Dima miał zobowiązania wobec jej ojca.

Położyli ją na kanapie przy głównych schodach. Wciąż była przerażona i zapłakana; trzymała się za ranę na głowie.

– Muszę cię tu na jakiś czas zostawić. Ale nie martw się, to tylko skaleczenie. Będzie trochę bolało, bo głowa jest bardzo ukrwiona, ale to nic poważnego, tak? Kiedy znajdziemy to, czego szukamy, i uda się nam wydostać stąd w jednym kawałku, zabierzemy cię do domu, do ojca...

Wyraz jej twarzy zmienił się z grozy w żal, potem w grymas wściekłości, tak samo jak wcześniej u jej męża. Uderzyła Dimę mocno w twarz.

– Ty gnoju. Draniu. Mój ojciec to taki sam fiut jak ty. Nigdy nie lubił Gazula, nie zapłacił posagu, a teraz swoim knuciem zwrócił mojego wspaniałego męża przeciwko mnie. Mam nadzieję, że zdechnie. Mam nadzieję, że w trzęsieniu ziemi zawali się na niego jego własny dom i że go zgniecie.

Dima dotknął szczypiącego policzka.

– Aha, no tak, przepraszam, że popsuliśmy ci małżeństwo; próbuję tylko nie dopuścić do wojny atomowej.

– Wy, mężczyźni, na wszystko macie wymówki. Myślisz, że ci uwierzę? Wynoście się z mojego domu, ścierwa! Ale już!

Wbił igłę strzykawki.

27 // Centrum Teheranu

Bank Metropolitan był starszy niż większość otaczających go budynków i w przeciwieństwie do nich wyglądał tak, jakby nie ucierpiał od trzęsienia ziemi ani bombardowania. Wzniesiono go z wyraźnym przeznaczeniem wytrzymania ataku jądrowego. Pytanie tylko, czy architekci przewidzieli wybuch głowicy jądrowej w jego wnętrzu... Gazul, który okazał się o wiele bardziej skłonny do współpracy niż jego żona, powiedział, że według awaryjnego planu Al-Baszira schronić się tam mogli tylko on i jego najbliżsi adiutanci.

Sprzed sąsiedniego budynku, Irańskiej Federacji Przedsiębiorczości i Handlu, na pozycję przemieszczał się należący do LWRO czołg T-60. Patrzyli na to z wnętrza rachsza.

- Zawsze chciałem obrabować bank – zadumał się Władimir.
- W samym środku wojny?
- Tak – powiedział Gregorin. – To dobra dywersja.

Ich plan był onieśmielająco prosty. Przebrani za żołnierzy LWRO, Dima, Władimir i Zirak mieli podjechać do banku z rannym Gazulem, krzycząc, żeby im otworzono. Widok rannego szefa wywiadu powinien wystarczyć, by wpuszczono ich do środka. W środku założyliby maski przeciwgazowe, rzucili kilka granatów z gazem łzawiącym i wzięli się do pracy.

Poszło jak po maśle – prawie. Przebiegli obok załogi czołgu, prosto do drzwi. Gazul posłusznie zażądał, żeby go wpuszczono. Kiedy tylko w środku usłyszeli jego nazwisko, otworzyły się wielkie, spiżowe drzwi. Dima spodziewał się, że wykonanie następnej części planu może nie być takie łatwe: każdy, kto stanie im na drodze, będzie musiał zostać zneutralizowany. Ale żaden z nich, nawet Gazul, nie przewidział tego, co czekało na nich za metalowymi wrotami.

W lobby schroniła się przynajmniej setka żołnierzy i cywilów, może

więcej. To było istne morze mundurów khaki, przetykane jaskrawymi kolorami ubrań kobiet i dzieci. Jak mieli sobie z nimi poradzić we czterech? Wszelkie nadzieje na przeprowadzenie operacji po cichu właśnie się rozwiały. Nawet gdyby wypędzili większość ludzi na zewnątrz i zamknęli się w środku, musieliby zmierzyć się z czołgiem.

Wszystko to przelatywało Dimie przez głowę, kiedy patrzył na tłum. Nagle zauważył znajomą twarz. Nie potrafił powiązać jej z nazwiskiem. Później miał sobie przypomnieć, że to Hosseini.

Przycisnął czubek noża trochę mocniej do pleców Gazula.

– Ostrzeż ich, że w sejfie jest bomba, tylko bardzo, bardzo przekonująco.

Gazul usłuchał.

– W sejfie pod nami jest bomba! Uciekać! Wszyscy natychmiast uciekać!

Nikt się nie poruszył. Niektórzy popatrzyli po sobie.

– Róbcie, co mówi! – krzyknął Dima. – Otwórzcie drzwi i wszyscy na zewnątrz! Bomba może wybuchnąć w każdej chwili!

Zirak i Gregorin otworzyli drzwi, machali na ludzi. Tłum stopniowo zaczął rozumieć przekaz. Strumyczek ludzi zmienił się szybko w rwącą rzekę; przy drzwiach zrobił się wściekły ścisk. Dima obserwował to wszystko, mocno trzymając Gazula i przyciskając mu nóż do nerek. Hosseini podszedł do nich, zasalutował Gazulowi i zmrużonymi oczami przyjrzał się Dimie. Był jego dawnym uczniem – jednym z gorliwców, którzy wstąpili do Jednostki Wywiadu Gwardii Rewolucyjnej – irańskiego Gestapo.

Hosseini wyciągnął pistolet z kabury i wycelował.

– Ci ludzie nie są z LWRO. To Rosjanie.

28 // Śródmieście Teheranu

Brady kierował, Blackburn i Campo siedzieli z tyłu, z udzielającym wskazówek pułkownikiem między sobą. Irańczyk przycupnął na samej krawędzi fotela, głowę miał pochyloną do przodu przez pęta, którymi z tyłu związano mu ręce.

– Dżafari? Na pewno tak się nazywasz?

– Jeśli nas robisz w jajo, pułkowniku, to na bank zginiesz. *Comprenez?*

Dżafari, któremu pozostała już tylko duma, powoli przytaknął. Brady zamówił przez radio potwierdzenie tożsamości, dostał je. Podekscytowany perspektywą złapania celu, Campo nie chciał się zamknąć.

– Czemu Al-Baszir zabunkrował się w banku? Myśli, że nas przekupi swoimi zasranymi rialami? Na jego miejscu byłbym już w samolocie do Saudyjczyków, Jemenu czy innej bezpiecznej przystani.

– Nie rozumiem, czemu po prostu nie zrzucimy tam tysiąckilówki. Rozwalenie Baszira oszczędziłoby nam całej masy kłopotów, zamiast posyłać go na proces, gdzie będzie nam wymachiwał fiutem przed nosem.

Black odwrócił się do pułkownika.

– Duży jest ten bank?

Irańczyk popatrzył na nich z pogardą.

– Bardzo. Największy w Iranie.

– Świetnie, czyli będziemy musieli przeszukać każde piętro i każdy pokój...

– Właśnie, pułkowniku – wtrącił Brady – może byś nam trochę zawęził pole poszukiwań?

Brak odpowiedzi. Porucznik ostro zahamował i odwrócił się do Blacka.

– Weź nóż, jeśli trzeba. Oberżnij mu fiuta i każ mu go zjeść.

Dżafari pokręcił głową, znacząco spojrzawszy na ziemię.

– W sejfie.

Brady pojechał dalej i skręcił na chodnik, żeby uniknąć wielkiej rozpadliny w poprzek skrzyżowania. Wcześniej do połowy zniknął w niej autobus.

– Niezły tu mają rozpiardol, Al-Baszir czy nie Al-Baszir.

– W 2003 roku trzęsienie ziemi zabiło tu czterdzieści tysięcy ludzi.

– Patrzcie, jaki z Campo mózgowiec.

– Jakbyście trochę poczytali, debile, zamiast tylko grać w *Call of Duty*, to też byście nie byli tacy głupi.

– Ktoś zauważył, że do nas nie strzelają?

– Teraz, jak to powiedziałaś.

Pułkownik Dżafari znów pokiwał głową, kiedy ponad okolicznymi budynkami wyrósł bank, marmurowy monolit, którego nie naruszyło ani trzęsienie ziemi, ani bombardowanie.

– T-90!

Wyjechali z za rogu i stanęli oko w oko z czołgiem.

– O kurwa...

Brady rozdarł się przez radio do konwoju.

– Cofać, cofać!

Pułkownik wetknął głowę między kolana.

Black zobaczył, że wieża obraca się w ich stronę. Wyskoczył z samochodu i wturlał się w stertę gnijących śmieci. Zatrzęsło się powietrze – oberwał humvee, wyleciał w powietrze i spadł do góry kołami. Black przetoczył się ze śmieci na chodnik; tuż obok jego twarzy w ziemię uderzyło ramię zawieszenia z wciąż przyczepionym, kręcącym się kołem.

Siadł mu słuch, w uszach rozlegało się tylko lekkie brzęczenie. Poczuł na ramieniu czyjąś rękę, która odciągnęła go od ognia. Campo.

– Jak ty...?

– Poszliśmy za twoim przykładem, wodzu.

Obok niego leżał wyszczerzony Montes. Brakowało mu pół rękawa, na ramieniu miał plamę krwi.

– Brady?

Wystarczyło spojrzeć.

– Wleciało mu prosto przez przednią szybę.

Trudno było to sobie wyobrazić. Brady sprawiał wrażenie kuloodpornego.

– Z pułkownika też nic nie zostało.

Czołg z szarpnięciem ruszył z miejsca w stronę cofającego konwoju. Montes i Campo przypadli do ziemi za górą śmieci. Kiedy T-90 wystrzelił

ponownie, rozplaszczyli się jeszcze bardziej, aż zniknął im z pola widzenia.

Black, znów na nogach, zgięty wóół, przebiegł na drugą stronę ulicy, gdzie stała furgonetka. Pozostali poszli za nim. Stamtąd przyjrzeni się budowli. W środku nie paliły się światła, nikt nie poruszał się na ulicy od frontu. Wysokie, metalowe drzwi były zamknięte, a małe okna zabezpieczone grubymi, stalowymi kratami. Gmach zbudowano jak fortecę.

Blackburn odwrócił się do reszty.

– Dobra. Kończymy tę zabawę. Robimy bank.

Strzał musiał paść z bliska.

Dimie zdawało się, że przypomina sobie błysk wystrzału z pistoletu Hosseiniego. Z całą pewnością pamiętał myśl, że użycie Gazula jako żywej tarczy nie jest chyba najlepszym pomysłem.

I miał rację – kula weszła przez czoło Irańczyka, przeszła przez mózg, przez kość czaszki, a wychodząc, oderwała Dimie czubek lewego ucha. Czemu, zastanawiał się, leżąc pod bezgłowym trupem, czemu Hosseini nie strzelił do swojego celu po raz drugi? Mógł to wytłumaczyć jedynie przerażeniem Irańczyka po tym, jak odstrzelił głowę szefowi wywiadu LWRO, swojemu własnemu przełożonemu.

Każdy mógł pomyśleć, że Dima nie żyje – leżał pod trupem Gazula z twarzą pokrytą jego mózgiem. Przytomności pozbawiło go uderzenie o marmurową podłogę.

Obudziło go jaskrawe światło skierowane na jego twarz. Zobaczył przyglądającego się mu Władimira, z latarką w jednej ręce i zakrwawioną szmatą w drugiej. Zalaatywało środkiem odkażającym. Świat dookoła podskakiwał i falował.

– Nie ruszaj się.

– Co się dzieje?

– Myję cię.

Dima spróbował się rozejrzeć. Rozbłysk gdzieś dalej oświetlił Ziraka, stojącego obok i przyglądającego się zabiegom.

– Gdzie jestem? Dokąd idziemy?

Władimir znów przekręcił Dimie głowę.

– Powiedziałem, żebyś się nie ruszał. Szef wywiadu ma bardzo lepki mózg, pewnie mu stężał od długiego nieużywania.

Wzrok zaczął mu się wyostrzać. Rozpoznał wewnątrz rachsza, którego

porwali. Nagle z powrotem porwał go potok wydarzeń – zrozumiał, gdzie jest.

– Jesteśmy, kurwa, w transporterze. Powinniśmy być w banku. Co wy tu odpierdalacie?

Odepchnął Władimira i usiadł. Po lewej stronie głowy zadudnił mu ogłuszający ból. Na kilka chwil znów zemdłał; padł na plecy tak, jak leżał. Potem pomacał opatrunek na boku głowy.

– Będziesz miał lewe ucho o bardzo interesującym kształcie – zażartował Władimir, zamykając apteczkę. – Będziesz mógł na nie podrywać piękne panie.

Rachsz zahamował. Za kierownicą siedział Gregorin, obok niego Kroll.

Cały pojazd zakołysał się wściekle, kiedy uderzyła go fala ognia potężnego wybuchu. Skoczyli do tyłu na wstecznym, skrzynia biegów wściekle zawyła.

– Jak długo mnie nie było?

– Dwadzieścia, trzydzieści minut. Ominęła cię fajna strzelanina. Po tym, jak rozległ się strzał, część pachołków Hosseiniego wróciła do banku, więc musieliśmy coś z nimi zrobić. Potem z poziomu niżej przybiegła cała masa nowych. Zrobiło się ich trochę za dużo.

– Wycofaliście się. Żałosne.

– Hej, jesteś żywy. Wyciągnęliśmy cię. Wiem, że do tego nie nawykłeś, ale mógłbyś okazać choć trochę wdzięczności.

Pojazdem zakołysały dwa wybuchy. Kroll pochylił się do przodu.

– A, tak, zapomnieliśmy dodać: w mieście jest Wujek Sam. Właśnie strzela do niego tamten czołg.

Dima odepchnął rękę Władimira i podniósł się, tym razem wolniej.

– Mieliśmy namierzoną atomówkę, byliśmy w samym legowisku LWRO.

Kroll odwrócił się.

– Ruszyła się.

– Co się ruszyło?

– Atomówka. – Kroll poklepał urządzenie na kolanach. – Mówiłem ci, że działa. Wygląda na to, że jedziemy z powrotem w góry.

Transporter szarpnął, kiedy Gregorin ostro skręcił, żeby ominąć przeszkodę. Za szybą coś błysnęło na niebiesko i czerwono.

– Oho. Przed nami amerykańskie humvee. Właśnie rozwalili pikapa LWRO. – Gregorin stanął na hamulcu i wrzucił wsteczny, jednocześnie wściekle kręcąc kierownicą. – Kurwa, jadą tu.

Nie udało mu się dokończyć manewru. Sekundę później wewnątrz rachsza rozświetlił biały błysk, a przód transportera poderwał się w górę, jakby jakaś gigantyczna ręka pochwyciła go i przewróciła na dach. Przez parę chwil panowała cisza.

- Wyłazić, wyłazić. Szybko!
- Kurwa, gdzie tu są drzwi?
- Amerykanie zbliżają się na piechotę. Czterdzieści metrów. Ruchy, ruchy. Ogień z rozbitego przodu pojazdu zdążył się rozlać po przedniej szybie.
- Kurwa, dlaczego z tego dziadostwa tak ciężko wyjść?
- Żebyś został na stanowisku i walczył jak prawdziwy żołnierz rewolucji.
- W dupę niech sobie wsadzą tę swoją rewolucję.

Zirak otworzył boczne drzwi. Wysypali się prosto w rosnącą kałużę paliwa ze zniszczonego transportera. Kiedy się przez nią przetoczyli, amerykańska kula zrykoszetowała od chodnika, a ten zamienił się w jezioro ognia.

Uratowała ich ziejąca w jezdni rozpadlina, która otworzyła się po trzęsieniu ziemi. Huk płomieni i żar bijący od transportera zrobił się nie do wytrzymania. Kilku marines wysiadło z humvee i okrążyło płonącego rachsza.

- Nieźle mu przyjebaliśmy.
- No. Usmażyliśmy Irańczyka.
- Żebyś wiedział, stary.

Odeszli swobodnym krokiem, jakby byli u siebie, wsiedli do humvee i odjechali.

Dima – zmęczony, głodny, poobijany, poparzony i śmierdzący benzyną – przekroczył punkt wściekłości. Nawet już nie kłął. Zerknął na zegarek, który mimo pękniętego szkiełka wciąż działał. Dwadzieścia cztery godziny temu wyruszył z ponad setką ludzi, dwoma helikopterami i dwoma samochodami. Dwadzieścia cztery godziny później siedział w dziurze w ziemi, z zaledwie czterema ludźmi, bez śmigłowców, bez samochodów i bez atomówki. W rankingu kiepskich dni ten plasował się całkiem wysoko.

30

Drzwi okazały się za duże, by je wyważyć. Zresztą było ich za mało, żeby wpaść do środka z hukiem – musieli uciec się do podstępu.

- Każdy łańcuch ma jakieś słabe ogniwo – powiedział Blackburn.
- Każdy pies ma swój dzień.
- Black nie został sierżantem za to, że był psem.

Znaleźli słabe ogniwo. Ktoś zamontował na tyle budynku drabinę przeciwpożarową. Dolna jej połowa została odstrzelona, ale obok biegła rura wentylacyjna. Black poszedł pierwszy, wspiął się do najniższego szczebla i chwycił go, puszczając jednocześnie rurę. Drabina kończyła się przy oknie z matową szybą. Otworzył je: toaleta. Postawił jedną nogę na rezerwuarze, drugą na muszli, wyrżał nad ścianką kabiny – było ich przynajmniej pięć. Wszystkie wyglądały na puste. Zeskoczył i sprawdził je po kolei: wszystkie były otwarte. Wychylił się z okna i machnął na pozostałych trzech.

Następny był Matkovic – Black naprowadził mu stopy – potem Montes. Campo zaczepił nogą o spłuczkę. Znieruchomieli, kiedy zaszumiała spuszczana woda; jej odgłos rozbił ciszę niczym pocisk. Na zewnątrz rozległy się kroki. Blackburn wskazał swoją broń i pokręcił głową: żadnego strzelania. Szybko naprawiając swój błąd, Campo podbiegł do drzwi i stanął obok nich z nożem w ręku. Do środka wszedł oficer, sądząc po mundurze; zatrzymał się i zrobił wielkie oczy. Sięgnął do kabury, wtedy Campo złapał go jedną ręką za twarz, a drugą wbił mu nóż w pierś. Rozległ się stłumiony dźwięk protestu i ciało osunęło się na podłogę.

Black wybiegł przez drzwi na korytarz.

- Poszukajmy tego sejfu.

Drzwi windy zacięły się, na wpół otwarte. Kabina zatrzymała się za daleko, zostawiając półmetrową szparę.

- Gdzieś tu muszą być schody.

Otworzyli drzwi wychodzące na klatkę, usłyszeli głosy dobiegające z dołu. Black zebrał wszystkich razem.

– Zrobimy to szybko. Jeśli zjedziemy na linach, ci piętro niżej nawet się nie zorientują, że tu byliśmy.

Zapadła krótka cisza; wszyscy to trawili. Nie promieniowali entuzjazmem.

– Czy ja wyglądam, jakbym żartował?

Black poszedł pierwszy; wsunął się w szczelinę między dołem drzwi a podłogą windy. Byli na trzecim piętrze, ale nie wiedzieli, ile poziomów mają piwnice budynku. Zjeżdżając w dół, naliczył ich pięć. Na dnie było ciemno jak w studni, najniższe drzwi się nie otwierały. Black nasłuchiwał uważnie odgłosów z drugiej strony. Nic. Latarką dał znak pozostałym. We czterech wcisnęli palce w szparę w drzwiach i siłą je otworzyli na tyle, żeby móc się przecisnąć na drugą stronę.

Drzwi wychodziły na przedsionek sejfów.

Black oświetlił latarką olbrzymie, grube na trzydzieści centymetrów wrota z polerowanej stali.

Były szeroko otwarte.

– Widać mamy dzisiaj szczęście.

Weszli do środka. Sejf był wielkości co najmniej dwóch mieszkalnych kontenerów. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się skrytki bankowe. Kilku brakowało, część leżała na podłodze. Kilka było otwartych.

Black ruszył dalej w głąb.

Campo zaczął zaglądać w szuflady.

– Zawsze chciałem obrobić bank, wiecie? Pełna profeska, wtyka w środku, podkop i tak dalej.

Black podniósł rękę.

– Zamknij się, Campo.

Skierował latarkę na przeciwległą ścianę.

– Hej, patrzcie: mapy – powiedział Montes. – To bunkier dowodzenia Al-Baszira, prawda? Tacy goście zawsze kończą w bunkrach, jak Hitler.

Campo zerknął na jedną z map.

– Oho, planuje przejąć władzę nad światem. – Podeszedł bliżej. – Hm. Niech popatrzę, co to będzie? Wygląda na to, że wybrał sobie... Paryż.

– Albo Nowy Jork. Trudny wybór. Ja bym wybrał miejsce, gdzie mówią po angielsku.

– On nie mówi po angielsku, palancie.

Black podszedł bliżej. Na mapie Paryża grubym, czarnym markerem zakreślono Place de la Bourse, budynek giełdy. Na drugiej – Times Square. Uciszył wszystkich podniesieniem ręki, a potem kazał się wycofać, żeby móc przeszukać pomieszczenie bardziej metodycznie. Dostrzegł ślady czyjejs niedawnej bytności: talerz, na nim resztki chleba naan, pomidor i liście jakiegoś nieznanego mu warzywa. Powietrze śmierdziało dymem z papierosów, z małego, składanego stolika spadła popielniczka, po podłodze rozsypały się niedopałki.

– Zwinęli się stąd w pośpiechu.

Campo pokazał skrzynkę w przeciwległym rogu.

– Patrzcie na to.

Był to aluminiowy pojemnik.

– Co to jest z boku, te hieroglify? To w farsji?

– Nie, to rosyjski.

– Nic dziwnego, ci kolesie mają dużo ruskiego gówna.

– Tak, ale popatrz na ten symbol, on akurat ruski nie jest.

Wszyscy popatrzyli na naklejkę: żółty trójkąt z trzema czarnymi klinami, ułożonymi wokół kropki w centrum.

– Cholera...

– Rany, to może już cykać.

Black podszedł bliżej.

– Jeśli tak, to nic na to nie poradzimy.

– Powinniśmy to zgłosić.

– Otwieram pokrywę.

Pozostali cofnęli się, a Black sięgnął do pojemnika. Po obu stronach pokrywy były zapadki, obie otwarte. Podniósł ją i zajrzał do środka. W czarnej, grubej wyściółce były trzy przegródki. Dwie puste.

Jedna nie.

Samotne, zielone światełko wściekle mrugało. Wszyscy odruchowo odwrócili się od bomby. Wróciło zasilanie. Z zagłębienia w suficie zaświeciła słaba, żółta żarówka.

– Dżizas, kurwa.

– Lampa awaryjna. Musiało wrócić zasilanie. Może działa winda.

Montes zaśmiał się nerwowo.

– Ktoś jeszcze pomyślał, że to trzęsienie ziemi?

– Zgłaszam to. – Black poprawił mikrofon. – Szajbus główny, tu Szajbus 1-

3, sitrep, odbiór.

– Szajbus główny. Odbiór.

– 1-3 Kosiarcz główny wyeliminowany. Zlokalizowaliśmy sejf. Główny cel niedostępny, powtarzam, niedostępny. Zlokalizowaliśmy coś, co wygląda na przenośną BMR, powtarzam BMR. Stabilna. Jedno urządzenie w pojemniku, brak jeszcze dwóch, powtarzam, dwóch.

– Hej, patrzcie!

Wszyscy obejrzeni się w kąt, który wskazywał Campo. Monitor z podzielonym ekranem wyświetlał widoki z czterech miejsc. Jednym z nich było lobby.

Dwie postacie, uzbrojone w amerykańskie M4, właśnie wychodziły. Jedna ciągnęła walizkę na kółkach.

– Kurwa! To nasz cel! To Baszir!

Radio milczało. Blackburn powtórzył wiadomość.

– Zlokalizowaliśmy cel. Al-Baszir opuszcza budynek! W tej chwili!

W końcu dotarła odpowiedź.

– ...przerywa. Mobilizacja jednostek.

– Źle mnie słyszają, jesteśmy za głęboko.

Światło zgasło i znów ogarnęła ich ciemność.

31 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu

Byli tu zaledwie od sześciu godzin, ale uciekającym Irakijczykom musiało się wydawać, że amerykańska armia zajęła cały kraj na dobre. Kolumna rodzin cywilów, uciekających przed trzęsieniem ziemi i LWRO, była teraz przepędzana przez pierścień żołnierzy wokół obozu.

Cole i Blackburn przyglądali się im ze zrezygnowanymi minami. Razem z nimi pod siatką maskującą, w oddaleniu od głównej bazy, siedział sierżant Mike „Gunny” Wilson, saper, który badał pojemnik licznikiem Geigera. Sprawdził już Blacka, Campo i Matkovica, a także załogę czołgu, która zabrała ich z banku, i oznajmił, że są bezpieczni. Teraz starannie badał znalezisko Blacka, z tym charakterystycznym brakiem pośpiechu zawodowca, jakby czas nie grał roli. Nikt z nich nie chciał myśleć o tym, że Baszir prawie na pewno uciekł z dwiema takimi samymi bombami. Siedzieli, na granicy wytrzymałości nerwów i cierpliwości, i czekali, aż Gunny wyda werdykt.

Brak pośpiechu był jedną z rzeczy, które składały się na mit saperów: to byli ludzie, którzy raz za razem oszukiwali śmierć, spokojnie rozbijając urządzenia wyposażone w śmiertcionośne zabezpieczenia. Byli jednymi z najbardziej poważanych żołnierzy – i jednymi z najczęściej ginących. „Przynajmniej, kiedy przychodzi na nas czas, szybko odchodzimy. Kiedy jesteś tak blisko i dupnie, nic z ciebie nie zostaje” – usłyszał kiedyś Black od kogoś z nich. Ale nie skupiał się na oględzinach Gunny’ego. Nie mógł przestać myśleć o człowieku, którego widział na monitorze z Al-Baszirem. Gładko ogolony, wydatne kości policzkowe. Tak samo jak u kata Harkera.

Chciał powiedzieć o tym Cole’owi, ale wiedział, że porucznik nabierze podejrzeń i zacznie go wypytywać: „Ciągłe o tym myślisz, tak? Gryzie cię to, tak? Że patrzyłeś z bezpiecznej odległości, kiedy tamten mieczem...?”.

Blackburn wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem, rozpamiętując to, co

widział na monitorze w sejfie.

Obrazy w jego głowie były wyraźne niczym nagranie wideo. Cztery rzuty. Dwa puste. Jeden pokazywał główną salę obsługi klienta ze spiżowymi drzwiami od frontu. Drugi – mniejsze wyjście, z którego skorzystali Al-Baszir i jakiś mężczyzna. Ten ostatni niósł dwie walizki. Campo zauważył to pierwszy.

– Ja pierdolę, widzicie to, co ja?

Wszyscy znieruchomieli i popatrzyli na ekran. Blackburn obejrzał się na jedyną pozostałą bombę atomową.

– Pomocnik Baszira ma pozostałe dwie...

Campo wzruszył ramionami.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

Matkovic prychnął.

– Nie, nie przejmujemy się tym, że najbardziej poszukiwany człowiek w Ameryce właśnie wyszedł z budynku z dwiema atomówkami.

Black podniósł rękę w rękawicy.

– Zamknijcie się i patrzmy. I tak chuj możemy zrobić.

Ucichł, patrząc na monitor. Dwaj mężczyźni wyszli z budynku. Kąt nachylenia kamery pozwalał zobaczyć niewielki wycinek ulicy. Al-Baszir zawahał się. Drugi mężczyzna obejrzał się; był wysoki, gładko ogolony, miał wydatne kości policzkowe, miejscowy ubiór. Blackburnowi zdało się, że tamten patrzy prosto na niego, przez kamerę ochrony, że z niego kpi.

Campo wzruszył ramionami.

– Czekają na taksówkę, czy co?

Matkovic obejrzał się na Blacka.

– Kim jest ten drugi?

Campo odwrócił się od monitora.

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to. Chuj możemy na to poradzić. Musimy zabezpieczyć tę atomówkę.

Po zdawałoby się miesiącu Gunny odłożył licznik Geigera i ściągnął rękawice. Zaśmiał się, pokręcił głową.

– To atomówka, Jim, ale nie taka, jaką znamy. Ni chuja takiej dotąd nie widziałem.

Cole, nad wyraz sceptyczny, z założonymi rękami, wzruszył ramionami.

– Myślałem, że takie mają tylko źli goście w Bondach.

– No, to ruska produkcja, co do tego nie ma wątpliwości. – Gunny wskazał

napis cyrylicą i zerknął na Blacka. – Ktoś u was mówi po rusku?

Black pokręcił głową.

Gunny ściągnął swoje saperskie oporządzenie.

– W latach dziewięćdziesiątych w *Sixty minutes* był wywiad z rosyjskim doradcą bezpieczeństwa narodowego, generałem Aleksandrem Lebiediem, który mówił, że wymknęło im się spod kontroli około stu walizkowych ładunków jądrowych o sile jednej kilotony – to odpowiednik tysiąca ton dynamitu. Twierdził, że rozdzielono je między członków GRU. Wiecie, co to jest?

– Główny Zarząd Wywiadowczy.

– Punkt dla porucznika. Powszechnie uznano, że Lebied wciska kit, żeby podlizać się Waszyngtonowi, gdzie planował zamieszkać.

Gunny ruchem głowy wskazał bombę; rozkoszował się okazją, by podzielić się swoją wiedzą z żądnymi jej słuchaczami.

– A teraz tak: pluton zdalny do zastosowań militarnych chodzi na rynku po ponad cztery tysiące dolarów za gram. Czyli, żeby Rosjanie rozstali się z czymś takim, ktoś musiał im dać cholernie dużo rubli – chyba że zaopatrują LWRO z innych powodów. Nie chciałbym was straszyć, panowie, ale zaczyna to wyglądać, jak powtórka z rozrywki: Rosja kontra USA. Jakby zimna wojna wróciła, tylko tym razem na gorąco.

Gunny położył bombę na palecie, po czym zabrało ją jego czterech ludzi.

– Tylko omijajcie wertepy, OK?

Cole wciąż stał ze spuszczonego wzrokiem. W końcu popatrzył na Blacka.

– Gotów na kolejny film z YouTube?

32 // Niawaran, północno-wschodni Teheran

Czekali w rozpadlinie w drodze, aż humvee odjechał, potem jeszcze trochę, żeby upewnić się, że nie wróci.

Dima poszedł przodem, pozostali w kilkumetrowych odstępach. Nie napotkali żadnych samochodów, które mogliby porwać albo ukraść. Wszystko, co miało koła, włącznie z wózkami z supermarketów, zostało wykorzystane do masowej ewakuacji miasta. Przeżyli krótką chwilę entuzjazmu, kiedy zauważyli paykana, ale entuzjazm ten szybko opadł, gdy okazało się, że samochód nie ma silnika. Podeszło do nich kilka bezdomnych psów, w nadziei, że dostaną coś do jedzenia.

– Uwierz mi, wiem, jak się czujesz – powiedział Władimir, drapiąc najbliższego po łbie. – Uważajcie na Krolla.

– Ja raz jadłem lisa – powiedział Zirak.

– A ja kota – oznajmił Gregorin. – Do tej pory wypluwam kłębki sierści.

– W latach pięćdziesiątych, kiedy mój ojciec siedział w gułagu – zaczął Władimir – on i paru innych umówili się, że jeśli któryś zamarźnie na śmierć, pozostali go zjedzą.

– Mam nadzieję, że ta historia ma jakieś zabawne zakończenie – powiedział Kroll.

– Nie ma.

Szli w milczeniu.

Zbyt zmęczony i głodny, żeby się skupić, Dima popuścił myślom wodze bardziej, niż pozwalał sobie na to przez ostatnią dobę. Rzecz jasna, przed oczami znów stanęły mu zdjęcia – miał w pamięci każdy ich szczegół. Oczy młodego mężczyzny, jego uśmiech, delikatny dołek na podbródku i lekko wygięte brwi – wszystko to świadczyło bez cienia wątpliwości, kim była jego matka.

Camille była właściwą osobą w niewłaściwym czasie, choć wspominając

swoje życie, Dima zastanawiał się, który czas byłby właściwy. Wysłano go do Paryża, by zaprzyjaźnił się z niemożliwie inteligentnymi studentami Harvardu, przyszłymi włodarzami Ameryki. Ona była jedną z Francuzek, które się z nimi zadawały.

Poznali się na pewnej kolacji z cyklu potajemnie fundowanych przez Sowietów imprez pod hasłem *détente*, na których spotykali się amerykańscy studenci, pragnący dowiedzieć się czegoś więcej o Imperium Zła, oraz zdolna młodzież z ZSRR – ci, którzy zyskali rzadki przywilej otrzymania stypendiów i studiowania we Francji. Oczywiście, podobnie jak Dima, wszyscy ci młodzi Rosjanie byli świeżymi rekrutami GRU, KGB albo jakiegoś innego ministerstwa, które potrafiło uzasadnić koszt wysłania swojej elity na Zachód. A Farrington James był typowym szpanerem, z tym patrycjuszowskim, bostońskim imieniem i nazwiskiem, które wyglądały, jakby ktoś je napisał w odwrotnej kolejności. Kto, kurwa, daje dziecku na imię Farrington?

Dima pokrótce przetestował go standardowymi, naprowadzającymi pytaniami o Chiny i Afrykę, aż stało się jasne, że przy Jamesie nawet Ronald Reagan mógł uchodzić za liberała. Już zamierzał go skreślić ze swojej listy celów, gdy tamten przedstawił go swojej narzeczonej, Camille. Dima najpierw zwrócił uwagę na jej dłonie, delikatne jak porcelana, potem oczy, szarozielone, pod subtelnie zarysowanymi brwiami, i uśmiech – kiedy rzuciła go Dimie, ten pomyślał, że stworzyła go specjalnie dla niego.

Camille Betancourt była jedyną córką markiza de Betancourt, jednego ze szczątków wraku unoszącego się na powierzchni francuskiego społeczeństwa tylko i wyłącznie z tego powodu, że siedem czy dziewięć pokoleń wcześniej któryś z ich przodków dostał działkę kradzionej ziemi i tytuł, też prawdopodobnie kradziony. Wszystkie pieniądze, które zostały Betancourtom po monstualnym uzależnieniu markiza od hazardu, przeznaczone były na jego córkę – na dbanie o to, by nie wpadła w kłopoty i dobrze wyglądała, w nadziei, że usidli jakiegoś bogatego Amerykanina. Takiego jak James.

Wszystko szło tak dobrze. Markiz częstował Farringtona winem, które ostało się w rodzinnej piwnicy. Oszołomiony w równym stopniu urodą jego córki, co jego arystokratycznym wdziękiem, Farrington oświadczył się, ale Camille, żywiąca wątpliwości co do jego prawdziwych preferencji seksualnych, a także politycznych, nie spieszyła się z odpowiedzią. Wtedy

w jej życiu pojawił się Dima.

Ja pierdołę, pomyślał, nieźle sobie dzisiaj folguję. Truchtając przez teherańskie ulice, uświadomił sobie, że nie zagłębiał się we wspomnieniach, odkąd dziesięć lat temu rzucił picie. Ale teraz, po raz pierwszy od dziesięciu lat – nie, dwudziestu pięciu – miał ku temu dobry powód.

James zjawił się na bankiecie głównie po to, by wyłożyć Sowietom, że marksizm to w rzeczywistości satanizm XX wieku. Zaplątany w hiperbolach i oparach wysokiego mniemania o sobie, nie dostrzegł, co stało się, gdy przenikliwe spojrzenie Dimy napotkało prześliczną młodą Francuzkę, popijającą fundowanego przez Sowietów dom pérignona.

Sześć tygodni: tyle mieli czasu. Ani Farrington, ani markiz nie znieśliby romansu Camille z młodym Sowietem, ale ona oznajmiła ojcu, że ma gdzieś zarówno Farringtona, jak i całą Francję. Jej zdaniem należała teraz do Dimy i była gotowa uciec z nim do Moskwy. A gdyby potrzebował zachęty – nosiła jego dziecko.

Nigdy więcej jej nie zobaczył. Zniknęła z dnia na dzień, jakby nigdy nie istniała. Jej maleńkie mieszkanie zostało wynajęte innej studentce. Nauczycielom na Sorbonie powiedziano, że rzuciła studia i wyjechała za granicę. Zrozpaczony Dima poprosił swoich szefów w Moskwie, żeby pozwolili mu pojechać jej szukać. Ale jego przełożeni w Paryżu zdążyli zaalarmować Kreml i zanim się zorientował, wysłano go z pilnym zadaniem do francuskiej Afryki Zachodniej.

Rok później znajomy z Paryża przysłał Dimie wycinek z „France Soir”: jedyną córkę markiza de Betancourta znaleziono utopioną w jeziorze na terenie rodzinnego majątku nad Loarą. Znajomy nie umiał powiedzieć, czy był to wypadek. A co się stało z dzieckiem? „Wykorzystaj to – powiedział wtedy Paliow. – Przelej tę wściekłość na swoją pracę. Nie marnuj jej; przekuj na swoją korzyść”.

I oto dokąd doprowadziła go ta rada. Dima skompresował wszystkie swoje uczucia w mocno zbitą, tkwiącą głęboko w nim kulę energii jądrowej. Nie był przekonany, czy coś mu to dało. Może to właśnie dlatego był taki chłodny, zdystansowany? „Jesteś taki trudny, Dima; jesteś swoim największym wrogiem. Taki potencjał, a tak niewykorzystany”. Ile razy to słyszał? Obejrzał się przez ramię na idących za nim ludzi. Władimir, Kroll – czy im powiodło się lepiej? Każdy z nas na swój sposób jest ofiarą wojny, pomyślał. Chodzące trupy GRU.

Kroll dogonił go i klepnął w ramię.

– Hej. – Spojrzał Dimie w oczy. – Oho, znam to spojrzenie.

– Kroll, masz gówniane życie. Czemu jesteś bez przerwy taki wesoły?

Kroll wzruszył ramionami. Przystanęli, czekając na pozostałych. Władimir zauważył zmianę nastroju i wyszczerzył zęby po swojemu, jak wampir.

– Lepsze to, niż jeszcze jedna noc w Butyrce.

Zirak ruchem głowy wskazał ulicę przed nimi.

– Mam nadzieję, że Amara grzeje obiad.

33 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu

Black siedział przy składanym stole. Przed sobą miał otwartego laptopa, za sobą Campo i Montesa. Blask ekranu nadawał ich twarzom upiorną bladość. Film, kręcony nocą, był prawie nieczytelny, ale widać było dość, by nie mieć wątpliwości, co się na nim dzieje. Nad nimi stał Cole.

Campo zasyczał przez zaciśnięte zęby.

– Wiemy, co to za chujek?

Mężczyzna – wysoki, z końcówką turbanu zawiniętą na twarzy – stał nad zakapturzoną postacią i szeptał. Potem, zamasyście niczym iluzjonista, ściągnął kaptur, ukazując twarz przerażonego czołgisty, Millera, i wbił mu nóż w szyję.

Cole wyciągnął rękę i zatrzasnął laptopa. Popatrzył wyczekująco na Blacka.

– Ten sam?

Black kiwnął głową.

– Jakby z nas szydził. Może myśli, że wkurzanie nas pomoże jego rewolucji?

– Co mówi wywiad? Namierzili go?

Cole wzruszył ramionami.

– Nic. Dobra, panowie, słuchajcie. Mamy potwierdzenie, że Al-Baszir uciekł na północny zachód miasta, gdzie zebrały się siły LWRO. Zostaną związane ciągłymi nalotami.

Porucznik rozłożył mapę na stole.

– Al-Baszir i jego zastępcy muszą zostać pojmani żywcem. Grupa uderzeniowa, kryptonim Szajbus 2-1, zostanie zrzucona z ospreya. Black, twoja drużyna będzie osłaniać te pozycje.

Wskazał dwa miejsca na satelitarnym zdjęciu dużej galerii handlowej.

– Ewakuacja ospreyem. Dobra, panowie, do roboty.

Montes popatrzył na Blacka.

– Nie masz wrażenia, że znowu uciekła nam gdzieś jedna noc snu?
– No co ty – wtrącił Campo. – Przecież właśnie spaliśmy osiem godzin w ciepłych łóżeczkach. Nie pamiętasz szklaneczki whisky na sen, którą przyniosła ci do pokoju ta panienka z wielkimi cyckami? A jak ją podała, z bitą śmietaną i...

Black nie słuchał. Otworzył laptopa, puścił film od początku.

– Hej! „Czy to ptak? Czy to samolot?”. Szuuuu!

Campo z szerokim uśmiechem patrzył przez malutkie okienko, jak śmigła ospreya obracają się z pozycji startowej do lotu poziomego. Szturchnął Blacka.

– Stary, nie podoba ci się? – krzyknął przez ryk silników. – Pierwsza latająca maszyna, która łączy możliwość pionowego startu i lądowania śmigłowca z prędkością rejsową samolotu turbośmigłowego. Cudowny pomysł, co nie?

Black chciał, żeby Campo przestał go szturchać i się zamknął, ale nie powiedział mu tego. Wiedział, że tamten chce dobrze. Campo zawsze chciał dobrze. Gdyby nie uszkodził sobie oka na szkoleniu, siedziałby teraz w kokpicie. Zgłosił się na pilota, ale uraz przekreślił jego marzenia. Zareagował na to tak, jak reagował na wszystkie przeciwności losu – wyszukując plusy. Blackburn zastanawiał się, jakie plusy znalazłby Campo po obejrzeniu ścieżki Harkera.

– I wiesz, co jeszcze jest super? Wróg może nas słyszeć, ale ni chuja nie będzie wiedział, gdzie wylądujemy. Bo to cacko może wylądować na każdym dachu i placu zabaw. Posrają się w majciochy swoich dziewczyn w tym centrum handlowym, kiedy do nich wpadniemy!

Znów szturchnął Blacka.

– A wiesz, kto chciał skasować ten projekt? Sam Bóg Wojny, Dick Cheney, kiedy był sekretarzem obrony. Ale wiesz co? Przegłosował go Kongres. Wybrani przez nas przedstawiciele narodu rzekli: „Budujcie ten samolot”.

Względne zalety ospreya były wśród marines tematem gorącej debaty. Możliwość zrzućcia żołnierzy prosto na pozycje wroga była dużym plusem: po co przebijać się lądem w głąb wrogiego terytorium, skoro można zrobić desant regularnych marines na samą kwaterę główną tak, jak to zrobili Navy

Seals, szturmując dom bin Ladena? Wszystko to pięknie – z wyjątkiem tych pełnych napięcia chwil, których nienawidzili, kiedy samolot zawisał kusząco nad miejscem lądowania, a jego wirniki ustawiały się do pionu.

– Łatwy cel, to mało powiedziane – stwierdził Campo.

W tej chwili akurat myśli Blackburna zaprzętał nie osprey, ale ostatnie słowa Cole'a, zanim weszli na pokład. „Przywieziesz nam Al-Baszira, zapomnimy o tej sprawie z Harkerem. Jasne?”. Cole nie odpuszczał.

Black wyrzął przez okno. W górze czarna noc usiana była gwiazdami, nad górami na północy wstawał księżyc, prawie w pełni. Dawno już nie widział czegoś tak pięknego. Patrzył na ten widok, jakby chciał wchłonąć tyle jego spokoju, ile tylko się da, zanim osprey wrzuci ich z powrotem w ogień.

Amara obejmowała szklanę obiema dłońmi i wpatrywała się w ostatni łyk rumu.

– Świnie.

Dima nie miał pewności, kogo miała na myśli. Postanowił nie dociekać.

Wiadomość o śmierci Gazula Amara przyjęła ze stoicką rezygnacją, której się nie spodziewał. Mógłby nawet usiąść obok niej i zaryzykować pocieszające objęcie jej ramieniem, gdyby nie była taką suką.

Poza tym wchodząc do domu, zauważył swoje odbicie w lustrze. Efekty podjętych przez Władimira prób wytarcia resztek mózgu męża Amary pozostawiały wiele do życzenia, więc po awanturze, jaką urządziła poprzednim razem, postanowił przekazać jej wiadomość z bezpiecznej odległości.

– Dla twojej informacji: pozwoliłem chłopakom skorzystać z łazienki, żeby się trochę umyli.

Cudownym zrządzeniem losu prysznic w domu wciąż działały, a prąd dostarczał generator. Władimir kąpał się, śpiewając starą radziecką piosenkę pionierów; bił pięścią w powierzchnię wody, chlapiąc dookoła.

– Naprzód, ludu ojczyzny! Walczcie, dziewczęta! Walczcie, chłopcy! Zabijcie faszystowską bestię...

Ach, stare dobre czasy.

Z kuchni dochodził zapach gulaszu przygotowywanego przez Ziraka – z czego, lepiej było nie pytać. Kroll, któremu trzeba było przypomnieć o kąpieli, próbował naprawić skaner. Urządzenie znów ucierpiało, kiedy otarli się o śmierć, uciekając z płonącego transportera. Gregorin, świeżo wykąpany, wybrał sobie ubranie z szafy Gazula i zajął się czyszczeniem broni, plamiąc smarem najlepszą koszulę ich martwego gospodarza.

Dom wyglądał tak, jak powinien wyglądać dom matki szefa wywiadu. Nikt

nie przyszedł go splądrować, ani nawet nie niepokoił obecnej rezydentki, bo wszyscy byli za bardzo zajęci ucieczką.

– Świnie. Mam nadzieję, że porwą ich talibowie i upieką na rożnie, z obu stron.

Skierowała palce wskazujące ku sobie i wykonała gwałtowny gest nadziewania.

– Wszystkie inne żony przy pierwszych zwiastunach kłopotów... – machnęła ręką. – Wszystkie wsiadły w pierwszy samolot do Dubaju. Siedzą pewnie teraz nad basenem przy Jumeirah Beach, piją daiquiri po sto pięćdziesiąt dirhamów, oglądają się za kelnerami i dziękują Allahowi, że ich mężowie trzymali pieniądze za granicą.

Jej ręka zatoczyła szeroki łuk, wskazując cały dom.

– Matka, kuzynki, siostry: wszystkie uciekły. Kiedy się pobraliśmy, przyjęły mnie do swojej rodziny. – Dźgnęła kciukiem powietrze. – Pieprzyć je wszystkie!

Dima odsunął się lekko, unikając kroperek śliny z jej ust. Nie mógł się doczekać, kiedy sam wejdzie pod prysznic i zmyje z siebie cały brud, nie wspominając o resztkach męża Amary. Opowiedział jej od biedy wiarygodną historię, jak to jej biedny bohater wyklócał się o nią dzielnie, aż poległ tragicznie w kwiecie wieku. Dima nie miał pewności, czy mu uwierzyła, ale ponieważ nie było już innego wyjścia, nic nie szkodziło pobawić się w uprzejmości. To była kolejna rzecz, którą opanował. W Specnazie uczyli, żeby nikomu nie ufać, ale życie pokazało mu coś jeszcze bardziej przydatnego: nie wolno pozwolić, żeby niechęć do jakiejś osoby stanęła na przeszkodzie, by ją wykorzystać. Jak głosiło ulubione przysłowie jego matki: „Nie pluj do studni, bo może będziesz musiał się z niej napić”.

– Uważasz, że powinnam była posłuchać rady ojca, prawda? Bo przecież on tylko chciał jak najlepiej dla swojej małej Amarki. Ale wiecie, co by się stało, gdybym go posłuchała? Utknęłabym w tej dziurze na północy na zawsze, cały dzień oglądałabym egipskie seriale, w ciąży z ósmym dzieckiem, jadłabym całe talerze ciastek, aż w końcu nawet on nie mógłby na mnie patrzeć. Ci tutaj przynajmniej dawali mi spokój.

Dima miał nadzieję, że zostanie dla niego trochę gorącej wody. I szamponu, najlepiej jabłkowego. Recepcjonistka w Akwarium delikatnie pachniała jabłkami.

– Jeden z moich ludzi może cię odwieźć do ojca. Trzęsienie ziemi nie

wyrządziło tam takich zniszczeń.

Spojrzała na niego ze złością.

– Dlaczego wszyscy mężczyźni uważają, że jesteśmy takie bezradne?

Kroll miał rację, że Dimie nie uda się zagrać rycerza na białym koniu – przynajmniej nie przed tą harpią. Trudno było sobie wyobrazić kogoś, kto mniej przypominałby damę w opałach.

Kroll wszedł, tuląc do piersi skaner, z dziwnym, tajemniczym uśmiechem.

– Powiedzieć ci coś śmiesznego?

– Czemu nie? Przydałoby się nam trochę śmiechu.

– Patrz. – Wyciągnął urządzenie i postukał w ekran. – To nie jest jedna bomba atomowa. Są trzy.

36

Dima popatrzył na mapę rozłożoną na biurku w gabinecie Gazula.

– Czyli według twoich odczytów jedna jest na obrzeżach Teheranu, tam gdzie Amerykanie, a dwie pozostałe w połowie zbocza góry?

Kroll przysnął nad skanerem. Obudził się nagle, wpadł łokciem w popielniczkę.

– Mówię tylko tyle, ile mówi mi skaner. Nigdy nie twierdziłem, że jestem pewien. Za dużo jest zakłóceń, kurzu z trzęsienia ziemi, poza tym Wujek Sam zakłóca sygnały radiowe i radarowe.

– Idź się położyć. Będzie z ciebie o wiele większy pożytek, jak się kimniesz na kilka godzin.

Kroll nie poruszył się – prawdopodobnie był zbyt zmęczony, żeby wstać. Pół godziny wcześniej Dima widział, jak Władimir wychodzi na korytarz, zerka w stronę schodów, a potem, jakby wejście na górę było ponad jego siły, wali się na jasnobieżową skórzaną kanapę. I on, i kanapa wydali z siebie zadowolone westchnienie: minutę później jego chrapanie brzmiało jak grzmot następnego trzęsienia ziemi w oddali. Gregorin i Zirak byli w kuchni, częstowali się piwem Gazula z wyjątkowo wielkiej, amerykańskiej lodówki. Dima słyszał, jak dyskutowali, czy wbudowana w nią kostkarka do lodu potrafi produkować kostki dowolnych rozmiarów. Amara udała się do swojego pokoju z butelką whisky i arabskim wydaniem „Cosmopolitana”.

Dima cztery razy próbował połączyć się z Paliowem przez telefon satelitarny. Nie udało mu się. Paliow mówił, żeby się z nim nie kontaktować, tylko czekać, aż sam się odezwie. Dima gapił się na mapę, jakby mogła mu przekazać jakąś lepszą wiadomość.

Trzy bomby: trzy osobne walizkowe bomby atomowe. Z czego jedna być może jest w rękach Amerykanów. Pewnie już ją obsiedli. Sale narad od Białego Domu po Pentagon i Langley chłoną wszystko, co zdołano z niej

wyciągnąć, zanim zabiorą się za omawianie stopnia zagrożenia i właściwej reakcji. A jaka była właściwa reakcja na bombę atomową? Śmierć imperialistom i byłym komunistom pospołu, pomyślał Dima; co za różnica, skoro wszystko obróci się w pył?

Czy Paliow faktycznie był nieosiągalny, czy już go usunęli? Upadł na własny miecz, czy ktoś go nań popchnął? W Moskwie wszystko było możliwe.

Dima zerknął na skaner, poobijany, poprzypalany, ale wciąż działający – o tyle, o ile. Wyglądał jak typowy, główniany wytwór rosyjskiej technologii: zbudowany tak, by wytrzymać arktyczny mróz, ale za to niedający dokładnego odczytu, no bo nie. Co trzydzieści minut wypluwał współrzędne, a na niewielkim, zielonym ekraniku pokazywał kierunek przemieszczenia bomby od ostatniego punktu, w którym się zalogowała jako nieruchoma. Jeśli był nim bank – a Kroll powiedział, że nawet co do tego nie ma pewności – to jedna z atomówek wyjechała na północno-zachodnie obrzeża miasta. Innymi słowy: do amerykańskiej bazy. Dwie pozostałe, najwyraźniej podróżujące razem, wywożono gdzieś na północ od stolicy – ale tam były same góry i bezdroża.

W kompleksie zginęło jakieś osiemdziesiąt, może sto osób, a Dima miał jeszcze mniejsze pojęcie o miejscu pobytu Kafarowa, niż kiedy oglądał zdjęcia satelitarne w Moskwie. Spróbował po raz szósty dodzwonić się do Paliowa. Telefon poinformował go, że numer wciąż jest nieosiągalny.

Zadzwoił więc pod połowy numer awaryjny GRU. Nie używał go od dwudziestu lat, ale z tym numerem było jak z datą urodzin własnej matki – nie zapominało się go.

– Mów powoli, podaj kryptonim, status zadania i kod identyfikacyjny, a potem wciśnij krzyżyk.

Automatyczna odpowiedź! GRU szło z duchem czasu. Ale to była nieautoryzowana operacja. Nikt nie podał Dimie żadnej z powyższych danych. Wcisnął krzyżyk i zaczął czekać.

– Dane, które podałeś, są nieprawidłowe.

To była Rosja i to było GRU, więc oczywiście ktoś musiał tego słuchać.

Dima odchrząknął i powiedział swoim najlepszym czeczeńskim:

– Co do obciążających zdjęć sekretarza Timofiejewa i tej uczennicy...

Głos był urywany, znużony, natychmiast rozpoznawalny.

– Kto mówi?

– Smolenk! Jak dobrze cię słyszeć! Tak się cieszę, że pewne rzeczy są w tym zabieganym świecie niezmiennie.

Co ten człowiek musiał zrobić, że skazał się na żywot nocnej telefonistki GRU – lepiej było nie myśleć.

– Dima Majakowski do starszej strateg Omorowej.

– Masz akredytację?

– Nie, nie, to nieautoryzowana operacja; po prostu mnie z nią połącz.

– Wiesz, którą mamy godzinę?

Wszystko zagłuszyła potworna eksplozja i huk trzech nisko przelatujących odrzutowców. Kroll poderwał się, rozsypując jeszcze więcej popiołu. Cud, że do tej pory nie zajął się ogniem.

W głosie Smolenka pojawił się nagle niepokój.

– Jesteś pod ostrzałem?

Dima zerknął na Władimira na kanapie, otoczonego puszkami po piwie, i na półprzytomnego Krolla.

– Tak, wyrzynają nas tu, pospiesz się.

– Wyślę wiadomość na jej skrzynkę. Nie masz autoryzacji do rozmów z personelem po godzinach.

Dima westchnął.

Choćby właśnie wybuchła wojna atomowa, ten typ żądałby numeru kuponu na stołówkę.

– W takim razie dzwonię do CIA do Langley. Oni przynajmniej będą chcieli ze mną rozmawiać.

Operator westchnął.

– Ech, wy wszyscy...

Na linii zapadła cisza, potem rozległo się kilka trzasków.

– Towarzysz Majakowski, co za niespodzianka – nawet o trzeciej nad ranem głos Omorowej był kusząco aksamitny.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Minęło kilka sekund.

– Myśleliśmy, że wszyscy zginęliście.

– Mam tu... kryzys. Nie mogę się skontaktować z Paliowem.

– Nikt go nie widział cały dzień. Wszyscy dostaliśmy nowe przydziały.

Oboje wiedzieli, co to znaczy. Misja odwołana.

– Kafarow uciekł, zanim dotarliśmy na miejsce. Ktoś o tym zameldował?

Jej głos nagle nabrał oficjalnego tonu.

- Nic mi o tym nie wiadomo.
 - Rakiety, które zestrzeliły śmigłowiec nad kompleksem. Wie pani, skąd je wystrzelono?
 - Na ten temat również nic mi nie wiadomo.
- Dima poczuł, że zaraz wybuchnie i wyładuje swój gniew na osobie najmniej za to wszystko odpowiedzialnej.
- Usmażyło się tam sześćdziesięciu naszych najlepszych ludzi.
- Cisza: Omorowa trzymała się protokołu. Oboje wiedzieli, że są na podsłuchu.
- Dziękuję pani, Omorowa. Dobranoc.
- Dima potrzebował trochę czasu, żeby się zastanowić, zaplanować następny ruch. W gabinecie zjawili się Gregorin i Zirak. Wymienili spojrzenia. Dima musiał założyć, że rozmawiali o tym, czy kontynuować misję. Tego jeszcze było mu trzeba. Naszła go chęć, żeby coś zniszczyć: złapał telefon satelitarny i już miał nim cisnąć przez pokój, kiedy ktoś zadzwonił. Niezidentyfikowany numer – z szyfrowanej linii nie do namierzenia. Dima szturchnął Władimira, żeby go obudzić, i włączył głośnik, żeby wszyscy mogli słuchać. To była Omorowa. Mówiła szybko.
- Powiedzieli nam, że wszyscy zginęli, że śmigłowce się zderzyły. Paliow został uznany osobiście odpowiedzialnym za spalenie tej misji. Timofiejew przejął kontrolę. Jeśli wiedzą, że nie zginęliście, to zachowują się, jakby nie wiedzieli.
 - Co z Kafarowem? Jeszcze dwa dni temu Paliow stawał na głowie, by go złapać.
 - Nikt nie mówi ani o nim, ani o bombach. Al-Baszir został uznany za zabitego przez Amerykanów. Niech pan bardzo uważa, Majakowski: GRU nie jest już tym, czym było kiedyś. W razie czego, dzwoń tylko do mnie.
- Podyktowała mu swój prywatny, bezpieczny numer i rozłączyła się.
- Milczenie przerwał Gregorin.
- Czyli to koniec? Poddali się?
 - Co? – Władimir do reszty się rozbudził.
- Kroll odwrócił wzrok. Już wiedział, jaka będzie odpowiedź Dimy.
- Dima popatrzył gniewnie na Gregorina.
- A powiedziałem coś takiego?
- Zirak zadarł brodę, co robił zawsze, kiedy czuł się niezręcznie.
- To całkowicie uzasadnione pytanie, Dima. Nie jesteśmy bliżej ani

Kafarowa, ani atomówek.

Następny był Gregorin.

– Co nam zostaje? Jesteśmy sługami władzy. Ci dranie w Moskwie odwołali akcję, nie zapłacą za to.

– Nie wyobrażamy sobie, co mielibyśmy robić dalej – dodał Zirak.

Dima spojrział na nich. Byli młodszy od niego, młodszy od Krolla i Władimira: oficerowie sztabowi Specnazu, z karierami i przyszłością. Dima wiedział, co im chodzi po głowach. Ekscytująca misja, do której zgłosili się trzydzieści sześć godzin temu, zupełnie się posrała. Wsparcie z Moskwy się skończyło. Najbardziej prawdopodobnym zakończeniem była śmierć z rąk LWRO albo Amerykanów. Jakby na potwierdzenie powagi ich sytuacji dom zadygotał od kolejnego wstrząsu.

Dima wziął głęboki oddech.

– Macie rację. Najgroźniejsze, co dobry żołnierz Specnazu może zrobić, to zaufać towarzyszowi. Zakładaj najgorsze, to unikniesz rozczarowania. Nikomu nie wierz. Przede wszystkim myśl o sobie. Gratulacje, zdaliście test.

Zirak, niepewny, do czego to wszystko zmierza, obejrzał się na Gregorina, który stał ze spuszczonego wzrokiem. Dima ciągnął.

– Takie wybraliście życie. Specnaz. Nie muszę wam przypominać, co to znaczy. Nie macie żadnego życia poza tym, co przyjechaliście tu zrobić. Jesteście tu, bo zostaliście wybrani, dzięki swojej sile umysłu i ciała, swojej lojalności i poświęceniu. Wiele poświęciliście, żeby się tu znaleźć. Nie ma życia poza Specnazem...

Widział, że jego słowa padają na ziemię jak łuski po wystrzelonych nabojach, że rozbrzmiewają w nich jego własne wątpliwości.

Jak miał ich przekonać do słuszności sprawy, skoro sam w nią nie wierzył? Poświęcił Specnazowi życie, a Specnaz go wypłuł, wypaloną skorupę człowieka. Czym mógł się pochwalić po wszystkich tych latach? Jedna kobieta, kochana i utracona. Dziecko, którego nigdy nie widział. Wszystko dla dobra ojczyzny. Kroll, Władimir – oni też nie byli najlepszą wizytówką. Popatrzył na Krolla. Jego przyjaciel znów zasnął, z migającym skanerem na kolanach. Władimir siedział na kanapie, kończył kolejne piwo.

– No, ja nie mam nic przeciwko – powiedział. – Zrobię cokolwiek, byle nie wracać za kratki. O, witam, pani Gazulowo.

Dima podniósł wzrok. W drzwiach stała Amara. Podeszła do biurka, spojrzała na papiery i długim paznokciem, z którego odprysnęło nieco

ciemnoczerwonego lakieru, pokazała puste miejsce na mapie.

– Tu.

– Co?

– Dom Kafarowa w górach.

Wszyscy utkwili w niej wzrok.

– Byłaś tam? – spytał Dima.

Skinęła głową.

– Jasne. Na nartach.

37 // Północno-zachodni Teheran

Cole rzucił rękawicę: wróc z Baszirem albo nie wracaj wcale, zdawał się mówić. A może Blackburn sam to sobie dopowiedział? Zapomniał już, kiedy spał. Ostatnie dwa dni były dla niego bezlitosne. Rozbroił samochód-pułapkę, wykurzył Al-Baszira z jego kryjówki i zabezpieczył atomówkę. Czemu Cole się na niego wziął?

Wszystko to przemknęło mu przez głowę, kiedy razem z Campo przywierał do murku otaczającego dach centrum handlowego. Wskoczyli z ospreya w nawałę ognia ze wszystkich stron strefy zrzutu. W cztery sekundy Black zobaczył czterech padających ludzi, a pociski smugowe rozświetliły niebo nad pionowzlotem. On i Campo zgodnie z instrukcją pobiegli zygzakiem w zachodni róg dachu i rozpląszczyli się na murku, zlani potem i zdyszani. Ale przez ostatnią godzinę przygważdżał ich ogień dwóch stanowisk LWRO po obu stronach.

– Pieprzone szczęście! – wrzasnął Campo w napadzie zmęczenia i wściekłości. – Pieprzyć tę wojnę. Pieprzyć LWRO. Jak zobaczę tego całego Baszira, to upierdolę mu jego jebany łeb.

Blackburn złapał go za ramię – leżeli obok siebie na niewielkim osłoniętym spłachetku – i spojrzał mu w oczy.

– Wyluzuj, Campo. Wyjdziemy z tego, jasne?

Campo przez chwilę patrzył na niego błędnym wzrokiem, potem bez przekonania pokiwał głową. Zaczęli słuchać w radiu rozmów żołnierzy, którzy przedostali się na niższe piętra, systematycznie przeszukiwali kolejne pomieszczenia i nikogo nie znajdowali.

Campo ciągle kłął.

– Jebany wywiad dał dupy. Zrzuć nas w sam środek LWRO, a tu nikogo nie ma i za chwilę nas usmażą.

Blackburn ścisnął go za ramię.

– Uspokój się, Campo. Pomyśl. Nie broniliby się, gdyby nie było tu czego bronić.

Campo miał obłęd w oczach. Rzucił swój M4 na ziemię. Jedna potyczka za dużo. Blackburn przeklął Cole'a za to, że wysłał ich z powrotem w to piekło. Złapał Campo za ramiona i potrząsnął nim.

– Chcesz tu umrzeć? Nie. Chcesz wrócić do domu w jednym kawałku? Tak. A jak to zrobić? Trzeba skończyć to, co zaczęliśmy.

W oczach Campo pojawiły się łzy.

– Wszystko w porządku. Jesteś tylko człowiekiem. To, że jednego dnia jesteś bohaterem, nie znaczy, że następnego się nie posypiesz. To nie film. Potrzebuję cię, bracie. A ty potrzebujesz mnie, jeśli mamy się stąd wydostać.

Campo wziął kilka głębokich oddechów, pokiwał głową, podniósł karabin.

– Dobra, w porządku.

Trzęsienie ziemi zburzyło duży fragment centrum handlowego. Kiedy ostrzał zelżał, wyrzeli z za krawędzi w pustkę i zobaczyli jakieś postaci, balansujące niebezpiecznie, jakby niezdecydowane, czy skakać. Chyba zaczyna mi odbijać, pomyślał Blackburn, ale Campo szybko go skorygował.

– Pieprzone manekiny. To cholerny odzieżowy.

Rozweseliło go to. Blackburn, wciąż nieprzekonany, patrzył o ułamek sekundy dłużej niż powinien i seria strzałów musnęła mu hełm. Jednak zanim się schował, zauważył terenówkę, land cruisera, zaparkowaną w rzędzie kontenerów na śmieci, jakby dla kamuflażu. Miała zgaszone światła, ale z rury wydobywały się spaliny – ktoś był w środku. Black podniósł M-czwórkę i popatrzył przez noktowizyjny celownik. Jedna osoba. Potem, po lewej, zobaczył zmierzającą do samochodu drugą postać. Trącił Campo.

– Gość jest sam. Nasz cel powinien mieć ze sobą całą świtę.

Ale Blackburn nie słuchał. Mężczyzna truchtał ciężko do land cruisera – nie był młody. Seria smugowych oświetliła mu twarz. Black więcej nie potrzebował. To była ta sama twarz, która patrzyła na niego z setek plakatów, odkąd wjechali do Iranu; ta sama, którą zobaczył na monitorze w bankowym sejfie. Al-Baszir.

– Dobra, jest mój.

Blackburn tego nie zgłosił. Wycelował do kierowcy w terenówce, młodszego mężczyzny. Czysty strzał: boczna szyba eksplodowała, trafiony osunął się do przodu. Al-Baszir zatoczył się do tyłu, prawie stracił równowagę, a potem obejrzał się w kierunku, z którego padł strzał, i znów

ruszył w kierunku land cruisera.

Campo podniósł M4 do ramienia. Blackburn pokręcił głową. Pobiegł wzdłuż murku, przeskoczył przez wyrwę na tę część galerii, którą trzęsienie ziemi odłupało od reszty, a potem na pokrywę kontenera, który zahamował jego upadek. Rozejrzał się i zobaczył, że Al-Baszir dobiega do drzwi kierowcy, wyciąga zastrzelonego z fotela i rzuca go na asfalt, a potem przestępuje przez niego i wsiada do środka.

Blackburn pobiegł wzdłuż krawędzi dachu, żeby zbliżyć się do land cruisera, ale Al-Baszir wrzucił bieg. Z piskiem opon samochód wyskoczył z kryjówki przy śmietnikach. Black wycelował, przestrzelił mu tylną oponę, ale pojazdowi z napędem na cztery koła praktycznie to nie zaszkodziło. Nie spuszczając toyoty z celownika, strzelił, chybił, wycelował jeszcze raz, ale samochód dotarł już do bramy, w której dymił niedawno trafiony czołg. Nie zwalniając, Al-Baszir skręcił koła w prawo w łuku tak wąskim, że land cruiser omal nie dachował, a potem popędził z powrotem w kierunku galerii, znikając za rzędem kontenerów. Blackburn, jakby pchany jakąś siłą, skoczył na najbliższy pojemnik, żeby mieć lepsze pole widzenia, ale zobaczył, że samochód jedzie prosto na niego i że jest za blisko, żeby do niego strzelić. Kiedy Al-Baszir zwolnił przed następnym skrętem w prawo, Black skoczył i wylądował na przedniej szybie. Chwycił za wycieraczkę. Ta została mu w ręku. Sięgnął do bocznych lusterek; Al-Baszir zaczął szarpać samochodem na boki. Blackburn przebierał nogami, walcząc rozpaczliwie, żeby nie zsunąć się z maski pod koła. Nagle zniknęła przednia szyba – to Baszir strzelił do swojego nieoczekiwanego pasażera. Kula gwizdnęła Blackburnowi obok lewego ucha. Wściekły rozbił pięścią resztki szyby i złapał Baszira za rękę z pistoletem.

Broń wypaliła.

Blackburn nie widział, w co Baszir uderzył. Siła zderzenia wyrzuciła go na asfalt jak z katapulty. Oszołomiony Irańczyk próbował wrzucić wsteczny, ale Black zerwał się, otworzył drzwi i złapał go obiema rękami. Zwalili się na ziemię obok samochodu. Ich twarze dzieliły centymetry.

Black zorientował się, że Baszir dostał kulkę, kiedy z jego ust i nosa pociekła krwawa flegma.

W ich stronę biegł Campo.

– Zajebista robota, stary.

– On dostał! – wrzasnął do niego Blackburn. – On dostał! Adrenalina!

Campo rzucił mu pakunek, który Black rozerwał, a potem wbił Baszirowi igłę w pierś, przez bluzę. Usłyszał, jak Campo melduje przez radio:

– Cel ujęty, ranny, przygotowujemy się do przejścia do punktu ewakuacji.

Akurat się, kurwa, przygotowujemy, pomyślał Blackburn. On umiera. Czy Al-Baszira uciekły pod opadające powieki. Black uciskał mu pierś, wytarł krew z brody i zrobił usta-usta. Al-Baszir odzyskał przytomność; sapał głośno bąbelkami krwi, ale zdołał się uśmiechnąć.

– Musisz zadawać sobie tyle trudu? Chcesz mnie postawić przed sądem?

Wykaszłał krew, która zbierała mu się w ustach. Blackburn poszukał rany wlotowej, znalazł ją na jego szyi. Wetknął w nią kciuk.

– Opatrunek! – wrzasnął do Campo.

– Zapomnij o mnie, żołnierzu. Jesteście skończeni. Wy wszyscy.

Oczy znów mu uciekły. Blackburn zrobił mu masaż serca, siłą przywrócił go do życia.

– Walizkowe bomby, atomówki. Gdzie?

Baszir wolno pokręcił głową.

– Nie o mnie powinniście się martwić. Ja jestem już historią. Pałeczka została przekazana...

Campo klęczał obok Blackburna, zdzierał folię z opatrunku.

– On się wykrwawia, niech nie mówi.

– Próbuje, ile chcesz, żołnierzu, cokolwiek się ze mną stanie, już po tobie, przyjacielu.

Blackburn przysunął twarz do twarzy Al-Baszira.

– Ten, z którym byłeś, który zabrał atomówki.

Baszir kiwnął głową.

– Bardzo dobry, tak. On was zniszczy.

Campo próbował nałożyć opatrunek.

– Odjebało mu. Pierdoli od rzeczy.

Blackburn go uciszył.

– Nazwisko. Jak się nazywa.

– Nazywa się śmierć, przyjacielu. – Baszir wykaszłał jeszcze więcej krwi. – Sol... man.

– Solman?

Głos Baszira opadł do bulgoczącego szeptu. Na każdą sylabę potrzebował jednego oddechu.

– Sa... lo... mon.

Więcej oddechów nie było.

Władimir poderwał się i strzepnął z kanapy pył po trzęsieniu ziemi. Kroll poczęstował Amarę papierosem. Kobieta usiadła na beżowej skórze; choć wyglądała na wyczerpaną, Dima zauważył, że poprawiła makijaż. Zastanawiał się, na co liczyła; zakładał, że nie zamierzała romansować z nikim z jego bandy. Kobiety takie jak ona dbały, by ich pozycja zawsze zwyżkowała, niezależnie od okoliczności.

– Był tam bardzo dobry śnieg. Kafarow miał nawet własny wyciąg. To rezerwat przyrody – prychnęła. – Dostał specjalne pozwolenie, jako gest dobrej woli od rządzących. Kiedyś ten ośrodek należał chyba do szacha.

– A ty się z nim widziałaś.

– Kilka razy. Gazul zawsze mówił mi, żebym zachowywała się bardzo grzecznie, z szacunkiem. „O czym by nie mówił, masz słuchać, o tak”. – Wytrzeszczyła oczy, przybierając nieco złowrogi wyraz twarzy. – „Bez niego jesteśmy niczym”. Tak uważał. Nie wiem dlaczego, o takich rzeczach nigdy przy mnie nie mówił. Myślałam, że może chodzi o narkotyki. Kafarow miał ich dużo. Jedna z jego żon zmarła po przedawkowaniu, powiedziała mi o tym jego przyjaciółka.

Dima patrzył na Amarę wzrokiem prawie tak samo intensywnym, jak jej udawane spojrzenie przed chwilą.

– Ten ośrodek. Opisz go, proszę.

– Jest dobrze ukryty, można do niego dojechać tylko terenówką, ale jest tam też lądowisko dla helikoptera.

– Gdzie?

– Na jego terenie. Dom wygląda jak szwajcarska chata, wiecie, taka jak w Alpach, ale jest z betonu i wcięty... – wykonała ręką gest rąbania – ... w skałę. Kafarow nazywa go swoim kelsten coś tam.

Wzruszyła ramionami. Dima, podeksycytowany, poderwał się na nogi.

– Swoim Kehlsteinhaus... Orlim Gniazdem!
Na nikim nie zrobiło to wrażenia.

– No i? – spytał Władimir.

– Sekretna kryjówka Hitlera na szczycie góry Kehlstein – wyjaśnił Kroll. – Zbudowana przez Martina Bohrmanna na pięćdziesiąte urodziny Führera, koszt: trzydzieści milionów marek. Tyle że Hitler prawie nigdy tam nie bywał.

On i Dima popatrzyli po sobie.

– Bo miał lęk wysokości!

Amara znów wzruszyła ramionami. Niektórych ludzi historia po prostu nie interesuje.

– Przepraszam – powiedział Dima. – Mów dalej.

Wzruszyła ramionami.

– Ilu ma przy sobie strażników?

– Nie wiem. Są tam jacyś północni Koreańczycy.

– Niesławni Yin i Yang.

– Nigdy się nie odzywają. Widziałam też innych, co chodzą i wymachują swoimi uzi. Wszędzie broń, broń, broń, gdzie się nie obejrzeć. – Amara zadrżała. – Ona mówiła, że Kafarow zawsze ma pistolet pod poduszką.

– I?

– To wszystko.

– Trzeba trochę więcej – stwierdził Kroll.

– Amara, pomyśl, proszę: ile tam jest piętér? Gdzie trzymają samochody? Czy na okalającym budynek murze są strażę? Jaka jest wysokość?

– Skąd mam wiedzieć? Nie jestem przewodniczką! Byłam tam tylko kilka razy.

– Jak się nazywa ta twoja znajoma?

– Kristen.

– A, tak. Teraz pamiętam. To Austriaczka. – Dima się zaśmiał. – Alpejska kochanka do kompletu z domem, ładny sobie dobrał zestaw!

– Ona nie lubi, jak się na nią tak mówi.

– Nieważne. Przyszyła ci coś kiedyś? Wskazówki? Mapę?

– Oczywiście, że nie. Zawsze jeździłam z Gazulem, on dobrze wie, gdzie to jest. Wiedział.

Dimie przeszło przez myśl pytanie, jak Amara poradzi sobie bez Gazula, ale to stanowczo nie była pora na takie rozważania.

– Kristen jest słodka, zawsze wesoła, nigdy nie robi problemów. Gazul bez przerwy mi powtarzał: „Czemu nie możesz być taka jak Kristen? Kristen zawsze się uśmiecha”.

Dima zmarszczył brwi. To w końcu za nim tęskniła czy nie?

– Kristen zawsze się uśmiecha, bo bez przerwy jest na haju. Bez niej te wycieczki byłyby okropnie nudne. Razem dobrze się bawiliśmy. Raz... czekajcie, pokażę wam.

Wstała i otworzyła prawą dolną szufladę biurka.

– Tu jest.

Sięgnęła do środka i wyjęła oprawiony w biały jedwab album ze zdjęciami. Władimir, Zirak i Gregorin podeszli bliżej.

– To chyba nienajlepsza chwila na fotki ze ślubu – powiedział Zirak.

Ale to było coś lepszego, o wiele lepszego.

– O mój Boże... – szepnął Dima.

Amara otworzyła album. Na pierwszej stronie znajdowało się kilka zdjęć jej i jakiejś atrakcyjnej blondynki, wychylających się z okna wieży i machających. Potem – kolejne wakacyjne fotki, robione przez nią i przez Kristen, a także najwyraźniej przez niektórych strażników, przedstawiające cały rozkład Orlego Gniazda.

Nieszczęśliwa wdowa jednak się przydała. Dima objął ją i pocałował.

– Niech będzie – powiedziała. – Ale reszta nie, wy włóczędzy.

– Patrzcie – zauważył Zirak. – Mamy tu nawet Yina i Yanga.

Dwaj Koreańczycy patrzyli nieufnie w obiektyw; widać było wyraźnie trzymane przez nich uzi.

– Niech to szlag – powiedział Kroll. – Faktycznie, wygląda jak oryginał. Poczekajcie chwilę...

Odłożył ostrożnie skaner i uruchomił laptopa.

Witamy w Kehlsteinhaus... Atrakcja turystyczna, muzeum i restauracja.

Oba budynki były identyczne. Kroll omiótł wzrokiem wszystkich zebranych, uśmiechnął się, po czym kliknął na „Plan”.

39

Drzwi z kuchni prowadziły do garażu. Kroll przesunął dłoń po masce czarnego, terenowego chevy'ego z przyciemnianymi szybami.

– Wszyscy kochają amerykańskie terenówki – stwierdził. – Jeśli tylko nie mają gustu. Może moglibyśmy podszyć się pod amerykańskie Siły Specjalne?

– Nie można powiedzieć, żeby nie rzucał się w oczy.

– W tej chwili w oczy rzuca się wszystko, co ma koła i nie jest transporterem opancerzonym.

– Podoba mi się – powiedział Władimir. – Jest większy niż moja cela.

Kroll otworzył drzwi.

– Pięć osób zmieści się bez problemu.

– Sześć. Amara ucieka z miasta ze swoją wierną obstawą, czyli nami.

– Kafarow to kupi?

– Nie musi. Chodzi tylko o to, żebyśmy minęli strażę. Amara zadzwoni spod bramy do Kristen.

– Skąd wiemy, że ona tam w ogóle jest?

Dima uśmiechnął się.

– Amara dzwoniła do niej z satelitarnego telefonu Gazula. Austriaczka powiedziała, żeby przyjechać.

Spojrzał na Gregorina i Ziraka.

– Ktoś chce się wypisać?

Nikt nie chciał. Dimie nie dawała spokoju tylko jedna myśl: co Amara chciała na tym wszystkim zyskać? A kiedy przyjdzie pora i poprosi, czy Dima będzie chciał spełnić jej prośbę?

40 // Obóz Świetlik, obrzeża Teheranu

Brudne, pomarańczowe słońce przeświecało przez dym i kurz nad wschodnim Teheranem. Blackburn siedział w namiocie naprzeciw przesłuchujących. Właśnie minęła siódma. Pozwolono mu na trzy godziny snu przed przesłuchaniem.

Porucznik Cody Andrews z Korpusu Żandarmerii odpowiadał za uśmiechanie się. Kapitan Craig Dershowitz z Wywiadu Marines za pisanie.

– Przepraszamy, że pana tak wcześnie obudziliśmy – Andrews uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Chcielibyśmy po prostu załatwić tę sprawę, póki ma ją pan świeżo w pamięci.

Albo póki jestem zbyt zmęczony, żeby się zorientować, że kopię pod sobą wielki dół, pomyślał Black. Na zewnątrz czekał Cole; usiłował podsłuchiwać.

Black opowiedział o wydarzeniach w banku, o zawartości sejfu, mapach Nowego Jorku i Paryża, zakreślonych lokalizacjach i dwóch mężczyznach na monitorze ochrony.

– Baszir i ten drugi, tak?

– Tak jak powiedziałem, sir.

Twarz Dershowitza wyrażała głęboką pogardę.

– I uważa pan, że ten drugi to ten sam, co na filmach.

– Salomon, tak, sir.

Dershowitz złamał śluby milczenia.

– Jaki Salomon?

– Po prostu Salomon. Baszir powiedział mi to, zanim umarł.

Kapitan machnął w powietrzu długopisem.

– To imię, nazwisko, pseudonim?...

– Nie wyjaśnił. Umarł.

Dershowitz nagle prychnął.

– Na pewno nie mówił: „Salaam”?

Andrews przechylił głowę, jakby się zastanawiał, jaki zamówić deser.

- Dziwne nazwisko jak na członka LWRO, czy w ogóle Irańczyka.
- Gdyby Baszir żył chwilę dłużej, zapytałbym go o to.
- Przejdźmy do pana motywacji, sierzancie. Był pan mocno wkurzony po tym, co się stało z Harkerem.
- Czy to dziwne?
- I, jak rozumiemy, został pan napadnięty przez jego kolegów?

Black wzruszył ramionami.

- Nic się wtedy nie stało, sir.

Dershowitz najwyraźniej widział w tym wszystkim więcej, niż powinien.

- Kula, która zabiła Al-Baszira, pochodziła z jego własnej broni. Jak pan sądzi, jaki mógł mieć powód, żeby się postrzelić?

Black miał wrażenie, że rozmawia z człowiekiem, który zamierza dodać dwa do dwóch i otrzymać siedem.

- Strzelił do mnie. Złapałem go za rękę przez przednią szybę.
- Kiedy leżał pan na masce i trzymał się wycieraczki.

Andrews uśmiechnął się szeroko, usiłując poprawić atmosferę.

- Jak superbohater, co?

Atmosfera się nie poprawiła.

Dershowitz nachylił się do przodu.

- Zastanówmy się. Jest pan z Harkerem, on ginie. Jest pan w banku, Baszir ucieka. Jest pan na masce jego samochodu, z rozkazem, żeby wziąć go żywcem, a tymczasem on do siebie strzela. Ja tu dostrzegam pewną prawidłowość, Black.
- Jaką prawidłowość?
- Że ta wojna coś panu nie idzie, sierzancie Blackburn. Chce pan wrócić do domu, czy co?

Black popatrzył na nich obu. Czuł, że twarz mu płonie, paznokcie wbijają się w skórę dłoni. Nie zamierzał pozwolić, żeby to, co wygadywali, mu dopiekło. „Mów do siebie”, uczyła go matka. „Kiedy jest ci źle albo ktoś ci coś zrobi, jesteś swoim własnym najlepszym kumplem”. Staram się, mamó, powiedział sobie. Tyle że to chyba nie działa.

- Złapałem go za przedramię powyżej nadgarstka. W tym samym momencie pojazd w coś uderzył. Siła uderzenia pchnęła Baszira na jego własną broń. Broń wypaliła. Proszę zapytać Campo. Sir.
- Uważa pan, że Campo pana poprze?

- Powie panom prawdę.
- Już pan o to zadbał, co?

Black miał tego dość. Rąbnął pięścią w stół. Laptop i kawa Dershowitza podskoczyły w górę.

– Panowie, jestem aresztowany czy jak, bo jeśli nie, sir, chciałbym wrócić do robienia tego, po co tu jestem, sir. Przyniosłem wam atomówkę, zidentyfikowałem kata. Powiedziałem wam, czego się dowiedziałem od umierającego Baszira. Zdobyłem dla was nazwisko!

Uśmiech Andrews'a wyglądał rozbrajająco autentycznie.

– Dobrze widzieć, że nie straciłeś woli walki, żołnierzu – powiedział. Cole wciąż czekał na zewnątrz. Miał przy uchu telefon satelitarny, ale Blackburn domyślał się, że porucznik słuchał każdego słowa.

- Jak poszło?
- A jak pan myśli?

Cole nabrał do płuc pylistego powietrza i wypuścił je przez wydęte usta.

- Wciąż jeszcze myślę.

Świetnie, pomyślał Black, co znowu? Przez ostatnie kilka dni jego poważanie dla Cole'a, żołnierza, którego kiedyś głęboko szanował, rozsypało się w proch.

- Powinniśmy chyba nacisnąć reset, co?

Porucznik zaryzykował uśmiech. Nie był w tym dobry, więc wyglądał, jakby pokazywał uzębienie dentyście. Niejako na potwierdzenie złapał Blacka za ramię i poszedł razem z nim do jego ludzi. Po kilku krokach Blackburn stanął. Rozejrzał się po ruchliwym obozie. Jeden osprey podchodził do lądowania, drugi właśnie startował. Dwa działka przeciwlotnicze mierzyły w niebo. Ludzie, maszyny i sprzęt bojowy poruszali się we wszystkich kierunkach: korpus Marines USA robił to, co umiał najlepiej. Korpus przez całe życie był dla Blacka siłą przewodnią. Blackburn wziął głęboki oddech, wyprostował się i energicznie zsalutował porucznikowi.

- Jak pan sobie życzy, sir.

Co to w ogóle za odpowiedź, zapytał sam siebie, odchodząc.

41

– Dziwne, co? Jakbyśmy przez samą tę cholerną wojnę mieli za mało zmartwień...

Tyle miał na ten temat do powiedzenia Campo.

Black starał się kręcić w okolicach „namiotu przesłuchań”, jak go teraz w myślach nazywał, żeby być na miejscu, kiedy wyjdzie Campo. Ale Cole wezwał go na odprawę. Kiedy stali nad mapą, Black spostrzegł nadchodzącego Campo i przesunął się w bok. Jego przyjaciel wyglądał na wstrząśniętego. Całym ciałem mówił: „Nie pytaj”.

– Słuchajcie, panowie, kto tu lubi jeździć na nartach?

Nastrój Cole’a zmienił się, zupełnie jakby zrobiono mu zastrzyk. Porucznik zachowywał się jak ktoś zupełnie inny. Czyżby coś wiedział? Czy chodziło o coś, co powiedział im Campo? Blackburn nakazał sam sobie zachować spokój: musiał tylko powiedzieć prawdę. Ale Andrews i Dershowitz traktowali go tak, jakby miał coś do ukrycia. Czuł się przez nich jak przestępca.

Jeśli Cole spodziewał się usłyszeć śmiech, to się zawiódł. Ale mimo to wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Dzięki temu, że zdobyliśmy bombę atomową LWRO, wywiad przeprowadził testy porównawcze emitowanego przez nią sygnału z dwoma innymi, które dochodzą stąd.

Stuknął w nakreślony ołówkiem znak po południowej stronie gór Elburs, na północ od miasta.

– Na naszych mapach nic tam nie ma, ale Wielki Ptak pokazał nam to.

Rozłożył na stole satelitarne zdjęcie dużego budynku, przytulonego do zbocza góry i otoczonego drzewami.

– Ki chuj?

Cole rozwinął stare plany. Przedstawiały coś jakby szwajcarską chatę

z szerokim dachem i okiennicami. Sprawiała wrażenie przytulnej.

– Wygląda jak z *Dźwięków muzyki* – powiedział Matkovic.

– Tak, dźwięki to tam słycać!

– Głośne tykanie!

– To, co tu widzimy, panowie, to ulubiony dom letniskowy świętej pamięci Mohammada Rezy Pahlawiego, niegdysiejszego szacha Iranu. Ponieważ był to prezent od jego wielbicieli u nas w kraju, jakiś dalekowzroczny archiwista w Langley miał dość przytomności umysłu, by zatrzymać kopię planów.

Black nie mógł się skupić.

Kolejny dzień, kolejna straceńcza misja. Spojrzał na Campo, który też wyglądał tak, jakby nie docierały do niego słowa Cole'a. O co oni go tam pytali? Co im powiedział? Cokolwiek by to nie było, wystarczyło, żeby przestraszyć Campo, który przelotnie podchwycił spojrzenie Blacka – był zdystansowany, czujny. Ja pierdołę, pomyślał Black, chodzi o mnie czy o nich?

– Wszystko jasne, sierżancie Black?

Black natychmiast skupił się na odprawie.

– Tajest!

Cole patrzył na niego przez chwilę.

– Dobrze, panowie, do dzieła. Black, do mnie.

Campo wyszedł z resztą plutonu. Blackburn udał się do Cole'a.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego jestem taki zadowolony? Bo pułkownik jest zadowolony. On się cieszy, to i ja się cieszę. A on się cieszy, bo Pentagon się cieszy, że znaleźliśmy tę atomówkę. Znajdziemy jeszcze tamte dwie...

Podniósł ręce, jakby chciał złapać wielką piłkę do siatkówki.

– Dlatego odkreślmy wszystko grubą kreską i bierzmy się do roboty. Tak?

Black patrzył na porucznika. Co to za manipulacja? Jak jest do dupy, robisz ze mnie kozła ofiarnego, a jak coś mi wychodzi, pławisz się w chwale.

Pobiegł za Campo, który zaciągał się łąpczywie papierosem i rozmawiał z Montesem i Matkovicem. Przystanął z zakłopotaną miną.

– Cole mówi, że dobrze nam poszło z tą atomówką: Pentagon chce z nas wszystkich zrobić generałów.

Campo nie odpowiedział od razu.

– Super.

– Jak ci poszło z tymi dwoma pojebami?

Campo pstryknął papierosem.

– Nie widziałem strzału, OK? Byłeś na samochodzie. Miałeś rękę w kabinie. Nie będę im kłamał.

Black nagle się wściekł.

Złapał Campo za klapy.

– Nic nie mówiłem o kłamaniu. Widziałeś, co widziałeś. Kto mówił o kłamaniu?

– „Dlaczego Blackburn chce, żeby pan kłamał; żeby go kryć? Chodzi o Harkera?”. O to pytali. Co miałem powiedzieć?

– Co to znaczy, co miałeś powiedzieć? Miałeś powiedzieć: nie! Miałeś powiedzieć: nie! Nie kazałem ci kłamać! Co z tobą, kurwa, człowieku?!

Owładnęła nim niepowstrzymana chęć, żeby uderzyć Campo, raz za razem walić nim o ścianę budynku.

Rozdzielił ich Montes.

– Panowie, spokojnie. Mamy robotę.

Black zamarł, jakby wciąż trzymał Campo za klapy. Opuścił ręce. Campo cofnął się i patrzył na niego jak na wariata. Tak to się zaczynało? Czy to właśnie tak zaczynało człowiekowi odbijać? Black nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się równie samotny.

42 // Góry Elburs, na północ od Teheranu

Dima prowadził, chociaż ze wszystkich spał najkrócej. Właściwie nie spał w ogóle. Obok niego siedział Zirak, a Gregorin w bagażniku, gotów ostrzelać każdego, komu przyszłoby do głowy ich ścigać.

Amara chciała siedzieć z przodu, jak przystało jedynej kobiecie i właścicielce samochodu, ale Dima uparł się, żeby usiadła z tyłu, między Władimirem i Krollem, którzy – dwie żywe tarcze – mieli ją osłaniać. Jeśli obawiała się, że mogą chcieć czegoś próbować, była w błędzie: o wiele bardziej interesowała ich zawartość jej torby piknikowej.

– Trochę dla ciebie i trochę dla ciebie, nie bądźcie łapczywi – powiedziała, częstując ich serem.

– Jemu dałaś więcej – poskarżył się Kroll.

– Bo jest większy. A teraz bądź grzeczny i jedz.

Władimir tryumfalnie pożarł swoją porcję.

– W domu też tak miałem – mruknął Kroll.

Wstawał surowy, piękny świt. Wiszący w powietrzu kurz dodawał promieniom słońca nad górami w oddali dodatkowego, złotego blasku. O tej porze drogi powinny być zapchane samochodami, zmagającymi się ze słynnymi, teherańskimi korkami. Mówiło się, że dojazdy na spotkania zajmowały tu tyle czasu, że ludzie robili interesy na ulicach, nie wysiadając. Dziś szosa była pusta, zniknęły samochody i autobusy, panował smutny i dziwny spokój. Owczarek niemiecki o zakurzonej sierści zobaczył ich i podbiegł w ich stronę, merdając ogonem, pełen nadziei. Władimir popatrzył znacząco na Krolla.

– Pieprzony barbarzyńca – oznajmił Kroll. – Amara, powinnaś zabrać mu jedzenie i dać komuś bardziej kulturalnemu.

– Przypominam, prostaki, że jest wśród was dama.

Dima zobaczył Amarę we wstecznym lusterku. Uśmiechała się.

Kiedy uprzedził ją, że będzie niebezpiecznie, zaskoczyła go jej reakcja.

– Muszę cię ostrzec, że może być trochę strzelania.

– Z prawdziwej broni? Mój mąż postrzelił jednego z gości na naszym weselu. Myślisz, że się popłaczę i ucieknę? Dlaczego cały czas uważasz, że kobiety są takie słabe? Rosjanki podobno są twarde.

– Nie wiem. Obiecałem dostarczyć cię osobiście twojemu ojcu, więc po prostu nie chcę go zawieść.

Wzruszyła ramionami.

– Nie martwmy się na zapas.

Minęli lotnisko Sepehr. Infrastruktura, już niegdyś w kiepskim stanie, teraz była kompletnie zrujnowana. Amerykanie naprawdę się postarali. Na pasie startowym leżał airbus, przełamany na pół jak przegniła kłoda. Trzy mniejsze odrzutowce były całkowicie spalone. Bezpośrednio w wieżę kontrolną trafił jakiś pocisk. Pojechali drogą Tello obok kompleksu sportowego imienia imama Chomeiniego, gdzie Dima urządził kiedyś zawody bokserskie dla szkolonych przez siebie żołnierzy Gwardii Rewolucyjnej. Ilu z nich było teraz w LWRO?

Spojrzał znów na Amarę. Jej mąż nie żył, całe jej życie w Teheranie legło w gruzach. Jaka czekała ją przyszłość? Jaka przyszłość czekała mieszkańców Teheranu? Te bomby... Sama ich obecność miała niszczycielski wpływ na kraj, nieważne, czy w końcu zostałyby użyte. Co Baszir zamierzał z nimi zrobić? Czy mieli się o tym wkrótce przekonać?

Za Nasirabadem szosa, której jakość stopniowo się pogarszała, przeszła w ubitą drogę gruntową. Jechali w górę długą, zalesioną doliną: po obu stronach strzelały w niebo zbocza: gołe, martwe, niedostępne i onieśmialająco piękne. W zimie było tu zupełnie inaczej, śnieżna kraina czarów roiła się od narciarzy. Dima sam wiele razy zjeżdżał niedaleko stąd. Darmowy karnet i luźne godziny pracy sprawiały, że był atrakcyjnym partnerem. Wiele kobiet zabiegało o jego towarzystwo, wpływowych, dobrze ustawionych kobiet, które z kolei przekazywały mu cenne informacje o grupach trzymających władzę i zawiłościach lokalnej polityki. Wszystkie jego związki, z wyjątkiem tego jednego, miały praktyczny cel – do tego stopnia, że weszło mu to w nawyk. Jeśli poświęcę czas tej czy innej kobiecie, co mi to da? Jaką odniosę korzyść? Nic dziwnego, że na stare lata został sam.

Kiedy tak tłukli się górską drogą, rozmyślania oderwały go od spraw bieżących. Ocknął się, gdy Amara postukała go w ramię. Z tylnego fotela

wskazała bramę na końcu stromego podjazdu po lewej. Dima zwolnił jakieś dziesięć metrów przed nią, potem zatrzymał się. Po obu stronach zobaczyli stanowiska broni maszynowej. Przy każdym było po dwóch ludzi: jeden z lornetką, drugi z karabinem. To były NSW – uniwersalna broń przeciwpiechotna, przeciwlotnicza, przeciw wszystkiemu, po upadku ZSRR produkowana tylko na licencji w Iranie. Tyle że tutaj, dzięki staraniom Kafarowa, mieli prawdopodobnie do czynienia z radzieckimi oryginałami.

– Powinni rozpoznać samochód – powiedziała Amara. – Nie mogę wyglądać jak jeniec.

– W takim razie ty będziesz mówić.

Jej strój wyglądał dość przekonująco. Założyła jedwabny kostium, oderwała jeden rękaw i wszystkie guziki bluzki, jakby ktoś ją szarpał; luźne poły bluzki zawiązała. Adidasy na jej stopach wyglądały absurdalnie – ale co innego zakładasz na nogi, uciekając przed trzęsieniem ziemi, a może nawet atomową zagładą?

Grzecznie ją wypuścili. Dima szturchnął Władimira, żeby się wyprostował.

– Czekaj przy samochodzie. Niech podejdą. Im dalej zajedziemy, zanim zaczną się kłopoty, tym lepiej.

Amara zrobiła dokładnie tak, jak jej powiedział; dygotała i sprawiała wrażenie kobiety, której właśnie brutalnie splądrowano dom, a nawet narażono na szwank reputację. Po jej policzkach, jak na zawołanie, pociekły łzy. Co za talent, pomyślał Dima, zrobiłaby karierę w GRU.

Podszedł do nich strażnik z kałasznikowem na biodrze.

Amara omal nie rzuciła mu się na szyję.

– Powiedzcie Kristen, że przyjechała Amara.

Mężczyzna ruchem głowy wskazał samochód.

– Moja obstawa. – Amara przycisnęła dłoń do piersi. – Nie chciałam, ale Gazul się uparł. Uratowali mi życie.

– Gdzie jest teraz pani mąż?

Dotknęła jego ramienia i kręciła głową, włosy przysłoniły jej oczy. Naprawdę była świetna.

Strażnik wrócił na posterunek, podniósł słuchawkę telefonu. Kilka sekund później brama otworzyła się ze zgrzytem. Dima wrzucił bieg i ruszył do przodu. Byli w środku.

43 // Przestrzeń powietrzna nad północnym Teheranem

Black i Montes patrzyli przez okno na prawej burcie, jak ospreya mijają z hukiem dwa F-16.

– Lepiej, żeby coś dla nas mieli! – krzyknął Chaffin przez ryk silników.

Black patrzył, aż samoloty zmieniły się w srebrne drobiny na końcach smug kondensacyjnych.

– Zdejmą działka przeciwlotnicze i inny sprzęt, jaki wypatrzą. Do tego osłonę powietrzną, jeśli jakaś się tam zabłąkała.

– Czy wiadomo już bliżej, co i kto będzie tam na nas czekać? – spytał Campo, jakby specjalnie trafiając w czuły punkt Blacka.

Black nie wiedział. Jego ludzie zawsze oczekiwali od niego odpowiedzi. Jeśli jakiś miał, przekazywał im ją. Jeśli nie, mówił, co jest możliwe. Zawsze coś. Uważali go za najbystrzejszego spośród nich wszystkich: tego, który wróci do domu, pójdzie na studia i zrobi karierę, może zostanie nauczycielem jak jego matka. Ale Blackburn nie wiedział, dokąd zmierza. Jego osąd rzeczywistości został nadwerężony. Nic już nie było takie, jak kiedyś. Campo, niegdyś jego przyjaciel, gapił się przez okno w niebo. Black wcześniej omal go nie zabił. Musiał wziąć się w garść. Kto i co na nich tam czeka? Może tylko Bóg. Może nic. Pomyślał o swoim ojcu, siedzącym w wodzie, w klatce Wietkongu, który z dzielnego żołnierza stał się przerażonym nastolatkiem: cóż on spodziewał się zastać na końcu swojej drogi?

Przed oczami stanęły mu obrazy z monitora w sejfie. Baszira łatwo było zidentyfikować. Im dłużej myślał o tym drugim mężczyźnie, tym bardziej głos w jego głowie domagał się uwagi. Facet odcina głowę żołnierzowi marines mieczem na irackiej granicy; trzydzieści sześć godzin później przewozi atomówki z Al-Baszirem w centrum Teheranu. Andrews

i Dershowitz nie wyglądali na przekonanych. Teraz Blackburn sam miał wątpliwości. Czuł, że zagłębia się w ciemny tunel zwątpienia; podczas misji nie był to najkorzystniejszy stan umysłu.

Góry wyrosły przed nimi jak wielki, goły mur; jedynym zielonym akcentem były poletka roślinności w dolinach. Blackburn próbował sobie wyobrazić te twarde, spieczone słońcem skały pokryte śniegiem, na chwilę zamknął oczy i wrócił do dnia, kiedy z całą rodziną zjeżdżali na nartach z Blacktail Mountain w Montanie, łamiąc zasady i szusując prosto w dół. Cała sztuczka z zasadami polegała na tym, żeby wiedzieć, kiedy można je złamać.

– Pięć kilometrów do strefy zrzutu. Przygotować liny!

44 // Góry Elburs, na północ od Teheranu

Odległość od bramy do domu wynosiła dwieście metrów. Dima jechał z prędkością spacerową, żeby móc jak najdłużej przyglądać się budynkom i otoczeniu.

– O, wiecie co? – odezwał się Kroll z tyłu. – Właśnie zniknęły sygnały dwóch atomówek.

– Skaner znów się zesrał?

– Nie. Cały czas odbieram sygnał z trzeciej.

– Jakież pomysły?

– Może są pod ziemią. W jakimś sejfie.

Kiedy zbliżyli się do domu, zobaczyli mercedesa G-wagena: czarnego z ciemnymi szybami. Wóz Kafarowa? Obok stały dwa inne samochody, nowiutki range rover evoque i poobijany peugeot z lat dziewięćdziesiątych.

Amara wyciągnęła palec.

– Ten range rover to Kristen.

– Czyli wolno jej wyjeżdżać?

– Tylko pod opieką.

– Jak na cieszącego się najgorszą sławą na świecie handlarza bronią, nie przesadza z ochroną – stwierdził Kroll. – Albo jest mądry i wie, że to tylko przyciąga uwagę, albo jest szalony i ma się za nietykalnego. Może jedno i drugie.

– Fakty byłyby o wiele bardziej przydatne niż spekulacje – skwitował Dima.

– Chcę tylko pomóc.

– Jasne – powiedział Dima. – Pierwsza zasada: nie daj o sobie zapomnieć.

Każdy z nich miał nagłowne radio. Plan zakładał, że przodem poślą Amarę z Zirakiem i Gregorinem, którzy rozejrzą się, zameldują Dimie o sytuacji i zlokalizują Kafarowa. Takie operacje Dima lubił najbardziej: plany

stworzone na kolanie przy użyciu wszelkich dostępnych środków – w tym wypadku Amary i małej, zgranej ekipy stuprocentowo pewnych ludzi, potrafiących szybko myśleć. Nie opuścili go, chociaż wielu innych, trzeźwiej rozumujących, już dawno by się wypisało. Patrzył, jak idą w stronę domu. Z jednego z balkonów pomachała do nich ekstatycznie młoda blondynka ze zdjęć.

Wszystko to przebiega o wiele za prosto, pomyślał.

Pierwsza rakietą uderzyła dokładnie tam, gdzie stała Kristen, jakby została wycelowana właśnie w nią. Dziewczyna nie zdążyła nawet zareagować. W jednej chwili machała, w drugiej już jej nie było. Balkon zniknął w chmurze betonowego pyłu, która spowiła Gregorina, Ziraka i Amarę na dole.

Dima usłyszał wrzask Amary, a potem druga rakietą trafiła w zbocze góry pięćdziesiąt metrów dalej. Poczł, że leci do tyłu, koziółkując; zatrzymał się na drewnianym płocie – akurat w porę, by zobaczyć, jak trzecia salwa równa z ziemią dwie wieże z działkami.

Poderwał się pierwszy, rozglądając się za Krollem i Władimirem. Pomagali sobie wzajemnie wstać. Dima pokazał zniszczone wieże.

– Biegiem do przeciwlotniczych. Zobaczcie, czy działają. Ktokolwiek tam lata, powstrzymajcie go!

Sam pobiegł w stronę domu, nie myśląc o Gregorinie, Ziraku, Amarze czy Kristen, tylko o Kafarowie i atomówkach. Po to tu przyjechali. Dotarł już za daleko i zapłacił zbyt wysoką cenę, żeby nie dostać tego, po co tu przybył. Nie pozwoli, by ktokolwiek sprzątnął mu to sprzed nosa.

Dotarł do sterty gruzu i zobaczył schody, częściowo w ruinie. Przyspieszył, wspiął się po nich na fragment balkonu, który natychmiast oderwał się spod jego stóp, omal nie pociągając go w dół. Słyszał, że pod gruzem ktoś krzyczy. W budynku wybuchł ogień, buchnął gryzący dym. Nie miał maski, cholera. Cały sprzęt został w terenówce. Przy sobie miał tylko kałasznikowa i nóż. Wspiął się do okna, zerwał poszarpaną zasłonę i kawałkiem obwiązał sobie twarz.

Duży gabinet, na ścianach ładne obrazy. Matisse. I Gauguin. Patrzyły na niego dwie półnagie, ponętne wyspiarki. Czy istniały naprawdę? Może tak właśnie wyglądał raj dla niemuzułmanów: całkiem możliwe, że nie były dziewczycami, ale on nie był wybredny. Zobaczył gigantyczną, marmurową szachownicę na szklanym stole wielkości jeziora: ktoś przerwał partię

w połowie. Graczy nie było, dwa ruchy dzieliły białych od mata. W drzwiach stanął olbrzymi mężczyzna o policzkach, znad których ledwie było widać mu oczy i wycelował do Dimy z uzi. Yin czy Yang? Dima podejrzewał, że nigdy się tego nie dowie. Jego nóż wbił się z głuchym odgłosem w tętnicę szyjną tamtego, niszcząc *Tahitanki* Gauguina. Dima miał nadzieję, że to falsyfikat. Skoczył do ranionego, wyrwał nóż, złapał uzi i radio. W głębi budynku rozległa się następna eksplozja – bojler czy zbiornik z paliwem? Podłoga szarpnęła, pół ściany legło w gruzach, wielkie lustro spadło jak gilotyna na dogorywającego Koreańczyka. Zdmuchnęło szachy: koniec gry. Na tym piętrze były cztery pomieszczenia. Dwa zostały całkowicie zniszczone. Kafarow też mógł być pod gruzami. Dwa kolejne – biblioteka. Dima nie śmiał myśleć, jakie bezcenne pierwsze wydania mogą się tam znajdować. Biurko i laptop, mały, biały. Kristen? Sprawdzić później. Znalazł wewnętrzne schody. Całe. Zbiegł, przeskakując po trzy stopnie naraz. Na zewnątrz odezwały się działka przeciwlotnicze. Krótka, ostra seria. Ktoś oszczędzał amunicję: Władimir. Dima zadziwił się, że można kogoś rozpoznać po tym, jak strzela.

Sypialnie: jedna nietknięta, świeże kwiaty w wazonie. Róże. Na dywanie kostium kąpielowy – mokry. No, no. I ręcznik. Dzisiejsza młodzież, nigdy po sobie nie sprzątają. Głos jego matki. Spodobały ci się ten pokój, mamo. Jedwabne poduszki, toaletka z potrójnym lustrem i zasłonką do kompletu: wszystko to, czego nigdy nie miałaś. We wszystkich lustrach zamaskowany mężczyzna. On sam. Prywatna łazienka cała w marmurach. Wielka.

Grzmot na zewnątrz, wysoko. Helikopter? Na dachu było lądowisko. Ale to nie ten odgłos. Samolot? Jedno i drugie: osprey. Zatrzymaj marines, Władimir, jeszcze nie skończyłem.

Następne siedem pokoi: wszystkie puste. Widzieli przecież G-wagena, Kafarow musiał gdzieś tu być. Nie ma biura, nie ma nawet drugiego laptopa.

Gdzie to wszystko?

Kafarow nigdy nie brał urlopu, zawsze handlował, zawsze sprzedawał. Jedzenie, woda i broń, trzy podstawowe potrzeby ludzkości, w jego przypadku zaspokajane zdecydowanie nie w tej kolejności.

Silniki były blisko, zmniejszyły obroty. Osprey wykonywał swoją magiczną sztuczkę: przechodził z lotu poziomego na pionowy, co zajmowało mu czternaście sekund: czternaście sekund żeby wycelować. Bam. Jak w zegarku, następna seria z działka przeciwlotniczego, potem eksplozja,

obroty silników wzrosły do wycia, żeby zrekompensować brak zniszczonego, drugiego silnika.

I nagle Dima leżał, przyduszony jakąś wielką masą. Jak coś tak wielkiego mogło poruszać się tak szybko, tak cicho? Twarz tarła mu o ceglany pył, z góry cisnął żar i czosnkowy pot. Leżał na nim ocalały bliźniak. Dłoń od tyłu chwyciła go za czoło, czubki palców wetknięte w oczy. Dima spróbował uchylić powiekę, zobaczył okno, za nim spadającego ospreya – drugi silnik nie dał rady. A w przesadnym zbliżeniu błysk ostrza w drugiej dłoni, zmierzającego łukiem ku jego szyi.

Dima nie usłyszał rozkazu. Zagłuszył go łoskot ospreya, który zwałił się między drzewa, uderzył o ziemię i pociągnął za sobą spory kawał na wpół zniszczonego domu. Ostrze zawisło w powietrzu, jego właściciel zawahał się, rozdarty między chęcią zemsty a posłuszeństwem rozkazom. Tym razem wygrał jego szef. Ostrze zniknęło – na razie.

– Podnieś mu głowę.

Yin – albo Yang – wykręcił Dimie głowę w górę i w bok. Kafarow pochylił się i Dima po raz pierwszy zobaczył go z bliska: Tadżyk, ciemnowłosy i blady, z cienką szyją i wydatnym podbródkiem. Bez goryli pokonanie go byłoby pewnie łatwizną, ale póki co Dima nie za bardzo mógł to sprawdzić.

– Nie wygląda na Amerykanina. Zabierz go nad basen.

– Dzięki, ale nie mam stroju do pływania – powiedział Dima.

Bliźniak poderwał go za kołnierz kurtki i powłókł przez pokój jak opornego psa. W ścianie bezgłośnie otworzyły się drzwi, dotąd całkowicie niewidoczne. I oto ukazała się cała reszta: równoległy wszechświat wykuty w skale za fasadą domu. Dima próbował iść, ale bliźniak przygiął go do ziemi, więc musiał wlec nogi za sobą i dać się ciągnąć korytarzem jak jakaś zabawka.

Otworzyły się następne drzwi – sala sportowa – z niej przejście do pokoju pełnego ekranów. Zatrzymali się w pierwszym z pomieszczeń. Dima próbował się obejrzeć, zajrzeć do drugiego, ale znów poczuł szarpnięcie do przodu. Mignęło mu akwarium: czy ludzie pokroju Kafarowa hodują piranie, czy tak jest tylko na filmach? Potem pojawił się zapach chloru. Nie zaczęli od pytania. Wielki Koreańczyk po prostu wepchnął mu głowę pod wodę i tam ją przytrzymał. Dwadzieścia sekund. To był dopiero przedsmak. Poderwał go w górę. Twarz Kafarowa była blisko, spokojna, bez wyrazu, źrenice jak kropeczki.

– Kto cię przysłał? – powiedział w farsy, potem powtórzył to samo po angielsku.

Dima odpowiedział po rosyjsku:

– Twoja dziewczyna jest pod gruzami. Jeśli się pospieszysz, może jeszcze zdążysz ją uratować.

Jego głowa znów trafiła pod wodę: zimna, dusząca groza, brak przestrzeni, brak powietrza. Tylko nie próbuj oddychać. Jak długo tym razem? Policzył dwadzieścia sekund – potem drugie tyle. Twarz Kafarowa była teraz bliżej.

– Powiesz mi, kim jesteś i po co tu jesteś, albo Yin cię utopi.

– A, czyli zabiłem Yanga. Faktycznie, jesteście do siebie podobni, chłopcy.

– Pod wodę.

Znów trafił pod powierzchnię. Dobrze, zacznij liczyć. Woda była letnia, trochę nieświeża. Dima wiedział, co robić. Ćwiczył to, był pierwszy w swojej grupie w Specnazie, bo wytrzymał najdłużej. Wszystko było kwestią rozluźnienia. Im bardziej się rozluźniłeś, tym mniej zużywałeś energii. Licz. Można było wytrzymać ileś tam sekund bez upragnionego oddechu. Wszystkie kary i umartwienia na szkoleniu uczyły ich, jak cierpieć; byli rzucani nago w śnieg i zmuszani do walki, bici, upokarzani – w tym wszystkim chodziło o naukę kontrolowania bólu, panowania nad gniewem, przekuwania go w cierpliwość, ugniatania w surową agresję, oszczędzania na właściwą chwilę.

Sztuczka polegała nie na tym, żeby się przejmować, liczyć, ale po prostu by się temu poddać. Umrę i co z tego? Przeżyłem sporo fajnych chwil. Rekord bezdechu pod wodą wynosił jedenaście minut trzydzieści pięć sekund. Rekord Dimy – prawie osiem. Ale wtedy był wypoczęty. Trzeba było wyruchać tamtą recepcjonistkę, pomyślał; miała rude włosy i pachniała jabłkami. Byłoby to dobre ostatnie wspomnienie.

Trzy minuty. W przelocie mignął mu basen, zobaczył, że to głęboki koniec. Co jeszcze mógł wykorzystać? Skup się na otoczeniu, na dociskającej ręce, na tym, jak rozkłada się ciężar Yina, kolana na ramionach, ręce wolne. Dima przesunął je powoli, aż dłońmi chwycił krawędź basenu. Cztery minuty. Nie był już taki dobry jak kiedyś. Ten haust powietrza był mu potrzebny już teraz.

Rozluźnił mięśnie, przestał się opierać i wykorzystał ciężar głowy, którą dotąd napierał na dłoń bliźniaka, żeby pociągnąć go do przodu, dodatkowo opierając się o krawędź rękoma. Wciągnął się głębiej. Yin stracił równowagę,

przeleciał przez Dimę i wpadł do wody: tego się nie spodziewał. Dima sięgnął w dół, wyrwał nóż z pulchnej ręki miotającego się Koreańczyka, wepchnął mu go pod klatkę i dźgnął, przekręcił, dźgnął raz jeszcze. Poczul ścianę mięśni, cofnął ostrze, znów dźgnął.

Kiedy poczuli szarpnięcie, w ospreyu rozległ się chóralny krzyk bólu. Ogień działka przeciwlotniczego odstrzelił czubek prawego wirnika, przeciążając silnik, zanim wybuchły płomienie. Rampa opuszczała się już do szybkiego desantu, ale strzelcy pokładowi zostali zdmuchnięci – nie nawałą ognia, ale krótkimi, dobrze mierzonymi seriami. F-16 meldowały, że wyeliminowały wieże przeciwlotnicze. Błąd. Na wojnie popełnia się mnóstwo błędów, Black teraz już to rozumiał. To cud, że komukolwiek udawało się przeżyć, nie mówiąc już o odnoszeniu zwycięstw.

Lewy silnik zwiększył obroty, zasysał powietrze, próbował rekompensować brak prawego, ale osprey był właśnie w trakcie zmiany wektora lotu. Blackburn poczuł, że samolot wznosi się, zawisa na kilka długich sekund, a potem poddaje się i zaczyna spadać. Pilot robił, co mógł, ale ziemia nieuchronnie pędziła im na spotkanie. Wszyscy zamarli, uczepli uchwytów wewnątrz kadłuba. Na próżno. Blackburn rzucił się do otwartej rampy, potknął się i poleciał głową naprzód. Przeleciał przez kilka drzew, których nie miał czasu zidentyfikować, ale rany, jak on je kochał. Jak ręce anioła łagodzące siłę uderzenia. Mimo to spotkanie z ziemią okazało się bolesne i na kilka sekund stracił przytomność. Osprey niżej na zboczu przetoczył się na bok: skrzydła, z wciąż pracującymi śmigłami, odłamały się niczym części plastikowej zabawki.

Black spojrzał na dom, którego plany zapamiętał aż do ostatniego pokoju. Na pierwszy rzut oka budynku nie dało się poznać – fasada i wszystkie werandy zostały zniszczone rakietami. Jeśli ktoś tam przeżył, to tylko cudem, pomyślał. Ale wiedział, że w skale wykute są kolejne pomieszczenia. Musiał się do nich dostać. Nie myślał o ofiarach. Gdyby wrócił do ospreya i próbował im pomóc, Cole znów mógłby go oskarżyć o miganie się od obowiązków. No i pierdol się, Cole, jeśli zdechniesz, bo nikt ci nie pomoże,

sam będziesz sobie winien. Właściwie to mam nadzieję, że zdechniesz.

Skąd mu się to wzięło? W szkole był rozjemcą, rozdzielał bójki. Pierwszy dostrzegał argumenty drugiej strony. Na tej misji – zbędny bagaż. Od tej pory zamierzał podróżować bez obciążeń. Podniósł swój M4, sprawdził, czy wszystko działa, i ruszył w stronę gruzowiska.

Olbrzymie cielsko ochroniarza obróciło się powoli, kiedy tonął; wypływająca z niego krew tworzyła misterne zawijasy, stopniowo przebarwiając wodę z niebieskiej na różową. Dima wydzwignął się z basenu, chciwie łapiąc oddech. Wciągał do płuc powietrze, zaśmierdłe, piwniczne, cuchnące chlorem – najlepsze, jakie w życiu smakował. Kafarow stał nad nim z uzi Yina. Może i handlował bronią – hurtowo – ale to, jak trzymał pistolet maszynowy, wskazywało, że nieczęsto jej używał. Na tym polegał problem z delegowaniem obowiązków: człowiek narażał się na poważne upośledzenie.

Mimo to, rozciągnięty na brzegu jak świeży połów, Dima był łatwym celem. Kafarow może i nie miał praktyki z uzi, ale mógłby go załatwić bez problemu. Dima nie mógł nic już zrobić – z wyjątkiem grania na czas.

– Ładnie się tu urządziłeś. Pewnie dobrze mieć schron, do którego można uciec w takich okolicznościach jak te.

Kafarow nie odpowiedział. Dima podejrzewał, że nie spodobało mu się słowo „uciec”.

Kiedy tylko uspokoił oddech, po raz pierwszy przyjrzał się dobrze Kafarowowi. Drobnym mężczyzną, zgarbionym. Spiczasta, lisia twarz z kilkudniowym zarostem. Gęste brwi ściągnięte w trwałym grymasie, zdradzającym wrodzoną niechęć do kompromisu.

– Kristen mocno tam oberwała. Nie wiem, czy przeżyje, przykro mi.

Kafarow milczał; w jego oczach nawet nie mignął smutek. Ale czego można się spodziewać po człowieku, który odmówił zapłacenia miliona dolarów za żonę, który raz po raz zbroił ludzi walczących w złej sprawie na całym świecie, włącznie z dziećmi-żołnierzami w Darfurze? Miał szczęście, że Amerykanie poświęcili tyle czasu i pieniędzy na ściganie Osamy, dzięki czemu prawdziwy potwór mógł rozprzestrzeniać swoją broń masowego

rażenia bez przeszkód.

– Przy okazji – tamten Matisse i Gauguin; mam nadzieję, że nie zapłaciłeś za nie za dużo.

Tym przykuł uwagę Kafarowa: w końcu to pieniądze były dla niego ważne, w przeciwieństwie do ludzi.

– A co?

– To fałszywki.

– Pieprzysz. Kogo obchodzi, co się tobie zdaje?

– Mieszkałem kiedyś w Paryżu, popołudniami często chodziłem do Musée d'Orsay, mają tam lepsze zbiory niż w Luwrze i mniej turystów.

Czy mógł się odwołać do jego zamiłowania do sztuki? Wątpliwe. Obrazy wisiały tam tylko dlatego, że Kafarow uważał je za cenne. Tadżyk uśmiechnął się – a raczej wykrzywił usta w złowroziej imitacji uśmiechu, zupełnie pozbawionej serdeczności.

– Ach, Paryż. Piękne miasto. Wielka szkoda.

O co mu chodziło?

– Posłuchaj – powiedział Dima, starając się nie poruszać i sprawiać wrażenie niegroźnego. – Nie jestem twoim wrogiem: zostałem przysłany, żeby cię uratować i nie dopuścić, by atomówki wpadły w niepowołane ręce. Kiedy dotarliśmy do kompleksu, nie było cię tam. Jestem Dima Majakowski, jeden z tych dobrych.

– Majakowski? Nie wyglądasz na Rosjanina.

Miało to plusy i minusy.

– Moja matka była Ormianką. Nie, naprawdę, jestem Rosjaninem. Kreml wynajął mnie, żebym zapewnił ci bezpieczeństwo. Tak trudno w to uwierzyć?

– I na dowód tego masz od nich referencje?

Na nielegalnej misji, o której nikt nie wie? Wolne żarty. Chociaż Kafarow nie wyglądał na człowieka, który lubił się pośmiać.

– Człowiek o mojej pozycji wzbudza zazdrość. Muszę pilnować swoich wrogów. W tej branży cały czas trzeba się oglądać za siebie.

Cóż, sam wybrałeś handel bronią, pomyślał Dima. Jak chcesz spać spokojnie, sprzedawaj jajka albo pomarańcze.

– Wiesz, po drodze minąłem amerykańskich marines. Chyba nie przyjechali jako klienci.

Kafarow wykrzywił się w jeszcze paskudniejszym uśmieszku.

– Tak, Amerykanie myślą chyba, że mają monopol na światowym rynku uzbrojenia. Jakie to krótkowzroczne. I... – poprawił uchwyt na uzi – ... nieaktualne.

– Cóż, mają w tym całkiem sporą praktykę. To tylko kwestia czasu, zanim wymyślą, jak się tu dostać.

Jak na kogoś, komu do drzwi dobijają się amerykańscy marines, Kafarow nie wyglądał na przejętego. Dima zerknął na martwego Koreańczyka, którego krew zaróżawiała wodę.

– Kto cię teraz będzie ochraniał?

– Zgłaszasz swoją kandydaturę?

To powinien być żart, ale twarz Kafarowa mówiła, że tak nie jest. Szczur w dziurze za głębokiej, żeby z niej uciekł w pojedynkę?

– Mogę zaoferować bardzo atrakcyjne warunki.

Zagaduj go, pomyślał Dima.

– No, pierwszy raz w życiu ktoś mi proponuje pracę, trzymając mnie pod lufą.

Uśmiechu oczywiście nie było.

– Faruk Al-Baszir nie żyje. Słyszałem o tym w CNN, więc to musi być prawda. Czyli LWRO jest skończony.

Kafarow pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie. Skoro Baszira już nie ma, uwolni się prawdziwa siła LWRO. Po tym, co się stanie, 11 września będzie jedynie przypisem w podręcznikach historii.

Dima miał nadzieję, że to tylko czcza przechwałka. Z drugiej strony, obawiał się, że nie.

– Nie wiesz tego, Dimo Majakowski, ale jesteś dość naiwnym człowiekiem. Znam dobrze takich jak ty. Zbyt głęboko wrosliście w folklor Specnazu, żeby móc otrząsnąć się z tych starych, sowieckich bzdur.

Kafarow pokręcił głową.

– I oto proszę, próbujesz zarobić na życie, odwalając brudną robotę za innych. Takich jak ty są setki, zgorzkniałych i spaczonych po wiernej służbie ojczyźnie. Trzeba było łapać okazję, kiedy się nadarzyła. Widziałem napis na murze berlińskim. Wiesz jaki? „Każdy dba o siebie”.

Rozpedzał się. Przyciągnął uzi bliżej do ciała; bolały go ręce?

– Wiem dobrze, dlaczego tu jesteś. Dlatego, że jakiś aparatczyk w Moskwie dowiedział się, że jeszcze jedna rzekomo ściśle tajna broń trafiła na wolny

rynek. Wiesz, jaka była jego pierwsza myśl? „Jak mogę uratować dupę?”. Trzeba kogoś poświęcić. Znaleźć kozła ofiarnego, zwalić wszystko na niego. Chwileczkę, jeszcze lepiej: powiedzieć człowiekowi, którego zamierza się poświęcić, żeby zorganizował operację poszukiwawczo-ratunkową. To się nie może udać. Wtedy się go poświęci. Niestety człowiek, którego się wybrało, nie jest takim durniem, jak się miało nadzieję: zabrał ze sobą swoich ludzi. Ale i tak dostał błędne informacje. A potem bum! Brzmi znajomo?

Dima poczuł, jak zalewa go fala wściekłości.

Kafarow wiedział o wszystkim od samego początku, tak jak podejrzewał. Handlarz bronią pokiwał głową, zadowolony z siebie.

– Mam wielu przyjaciół, Dima. Jestem bardzo lubianym człowiekiem. Tak działa bogactwo. Powinieneś kiedyś sam tego spróbować.

Dima czuł, że wyczerpuje się jego cierpliwość. Uzi wciąż było wycelowane w jego stronę, ale Kafarowa pochłonał zachwyt nad samym sobą. Dima dostrzegł w nim głęboko ukrytego, kiepskiego oficera, któremu nie powiodło się w wojsku, który pewnie zebrał cięgi od lepiej radzących sobie kolegów. Jakie to smutne, że człowiek tak bogaty i wpływowy tracił czas na przechwałki. Bardziej niż smutne: głupie.

Dima zachowywał zamyślony wyraz twarzy, sprawiał wrażenie, jakby z wdzięcznością chłonał wszystkie te mądrości. Stojący nad nim Kafarow przeoczył fakt, że kiedy mówił, leżący na skraju basenu Dima, mokry, ale już nie zdyszany, powoli przesunął lewą rękę w kierunku jego prawej stopy.

Za pancernymi drzwiami rozległ się głośny huk. Spojrzenie Kafarowa skoczyło w lewo i wtedy Dima zaatakował: chwycił go za kostkę i szarpnął tak mocno, że Kafarow runął na plecy; siła uderzenia wypchnęła mu powietrze z płuc. Uzi wyleciał mu z ręki, zatoczył łuk w powietrzu, spadł na brzeg basenu i jak w śmiercionośnej grze w butelkę zakręcił się kilka razy, nieruchomiejąc tuż poza zasięgiem jego ręki.

Za drzwiami znów coś huknęło. Dima miał nadzieję, że to Kroll i Władimir, ale obawiał się, że to jednak marines.

Zerwał się i pochylił nad Kafarowem, ścisnął go za gardło.

– Pokaż mi, gdzie są atomówki. W tej chwili.

Usta Kafarowa poruszały się, ale nie dobiegał z nich żaden dźwięk. Pewność siebie zniknęła, zastąpił ją grymas przerażenia; handlarz bronią uświadomił sobie, co się właśnie stało.

– Mówiłem, że już ich tu nie ma. – Skinął głową w kierunku przeciwnym

niż drzwi. Dima rozluźnił uchwyt, pozwalając mu złapać oddech.

– Nie pierdol. Zabiję cię!

Była to czcza pogróżka, bo Dima musiał dostarczyć go do Moskwy żywego. Taka była umowa. Ale Kafarow poszarzał.

– Gdzie są? Kto je ma? Mów. W tej chwili!

Kafarow wyciągnął rękę, jakby wskazywał coś w głębi bunkra. Otworzył usta w proteście, ale jego ciało zwiotczało. Pierś mu znieruchomiła, głowa opadła do przodu. Dima złączył dłonie, znalazł właściwe miejsce u podstawy mostka i mocno nacisnął. W głowie rozbrzmiewała mu piosenka, którą śpiewali na szkoleniu z pierwszej pomocy, żeby złapać rytm: „W przód, w tył, w przód, w tył, kobiety lubią to”. Mieli śpiewać: „Naprzód, naprzód, ojczyzna wzywa nas!”, ale zamknięci na trzy lata w namiotach woleli pierwszą wersję. Otworzył usta Kafarowa, zatkał mu nos, dmuchnął trzy razy, znów nacisnął. Nic. Na zewnątrz rozległa się trzecia eksplozja, tym razem głośniejsza, i wszystkie światła w bunkrze zgasły. Dimę spowiała całkowita ciemność.

Największe siły zbrojne świata skoncentrowały tu taką siłę ognia, a jego zdobycz zmarła po prostu na atak serca.

Biegąc w stronę budynku, Blackburn miał w głowie tylko jedno: *Salomon*, ostatnie słowo wypowiedziane przez konającego Baszira. Nie wiedział nawet, czy to w ogóle nazwisko. Baszir mógł próbować powiedzieć coś zupełnie innego. Przesłuchującym nie przyszło to do głowy, Cole też zlekceważył sprawę. Mimo to właśnie tak Blackburn nazwał postać, którą widział na ekranie monitora w banku i człowieka, który na jego oczach ściął Harkera. *Salomon*. Powtarzał to raz za razem; słowo, które objęło znaczeniem wszystko, co sprzysięgło się przeciwko Blackowi w ciągu ostatnich kilku dni.

Zamierzał dostać się do środka jako pierwszy. Campo i Montes to wyczuli. Blackburn był jak opętany. Mogli się wstrzymać, poczekać na Cole'a, przegrupować. Montes wezwał już przez radio ewakuację. Jeśli Cole był ranny, trudno. Całą energię Black skupił teraz na Salomonie i atomówkach. Nie liczyło się nic poza tym. Campo i Montes byli z nim, ale w swoich własnych oczach działał sam.

– Hej, coś słyszałem. – Montes zaczął odgarniać gruz. – Mamy tu rannych.

Campo podbiegł, żeby mu pomóc. Blackburn zignorował go, nie zatrzymał się, wspinał się po schodach na zniszczony balkon.

Trup na pierwszym piętrze leżał twarzą w dół. Zachodnie, cywilne ubranie – czarny T-shirt i spodnie. Blackburn podniósł jego głowę: pulchne, orientalne rysy, znieruchomiałe na zawsze w grymasie bólu wywołanego raną, przez którą z jego organizmu uszła prawie cała krew. Sprawdził puls, na wszelki wypadek. Nic. Rozejrzał się dookoła. Niczego takiego dotąd nie widział – ogromne bogactwo i ogromne zniszczenia. Wielki kawał frontowej ściany odpadł i roztrzaskał się o ziemię w dole. Myśl. Przypomniawszy sobie plany, które oglądał, zorientował się w położeniu. Ściany były wyłożone boazerią, jedne drzwi prowadziły w lewo, w prawo żadne – żadne widoczne. Na planach, które widział w Świetliku, widniały wykuty w skale korytarz

prostopadły do półpiętra, prowadzący do kilku podziemnych pomieszczeń.

Jak się tam dostać?

Spokojny i bardzo skoncentrowany zdjął rękawiczkę i przeciągnął ręką po ścianie. Po całej lewej stronie półpiętra listwy boazerii sięgały od podłogi do sufitu, z trzymilimetrowymi odstępami. Żadnych klamek ani otworów. Żadnych czujników podczerwieni. Drzwi, jeśli tam były, zostały umiejętnie zamaskowane. Black cofnął się, zaczął szukać jakichkolwiek śladów. Trzydzieści centymetrów od dołu, po prawej stronie szpary między listwami, zobaczył ledwie widoczne trzy czerwonobrazowe odciski palców. Potarł je kciukiem. Rozmazały się. Świeże. Skąd się tam wzięły? Czy panel obok nich maskował ukryte przejście? Z pewnością. Kopnął go mocno. Nic. Będzie musiał go wysadzić.

– Odpalam ładunek – uprzedził przez radio. – Uwaga.

– Potwierdzam – odpowiedział Campo.

Black założył granatnik na swój M4, zmieniając karabin w taran. Od wstrząsu mogły zawalić się kolejne części domu, ale musiał zaryzykować.

Wybuch zdawał się wstrząsnąć całą górą: korytarz wypełniła gęsta chmura kurzu. Pod połamaną boazerią ukazała się framuga drzwi. Black załadował następny granat i powtórzył procedurę. Druga eksplozja wydawała się jeszcze większa. Oberwał się kawał sufitu i zanim Black zdążył odskoczyć, przygniótł go do podłogi.

Potem runęła ściana po lewej, pociągając za sobą następny fragment sklepienia. Kiedy Black się ocknął, leżał w ciemności, odcięty od pozostałych.

– Blackburn, odezwij się! Odbiór!

To był Campo.

Blackburn nie odpowiedział. Włączył latarkę przy hełmie i w pylistej ciemności zobaczył drzwi – uchylone na jakieś trzydzieści centymetrów. Poderwał się i napał na nie ramieniem, całym ciężarem ciała; pulsowała w nim adrenalina, instynkt silniejszy niż wszystko, czego doświadczył do tej pory, gnał go naprzód, w głąb korytarza prowadzącego do bunkra.

Jedynym źródłem światła była jego latarka. Poczł zapach chloru, przypomniał sobie duży prostokąt na planie, który mógł być basenem. Przystanął, próbując usłyszeć cokolwiek przez huk własnego tętna. Jest. Poruszenie. Pobiegł dalej. Minął pomieszczenie z monitorami: przypuszczalnie centrum kontrolne. Potem zobaczył przed sobą błysk wody.

Niczego nie słyszał, ale wyczuwał czyjąś obecność. Był blisko, blisko tego, po co tu przyszedł. Omiótł pomieszczenie światłem latarki. Wielki trup w wodzie, tej samej wielkości, co tamten na zewnątrz, drugi człowiek leżący nad basenem. I trzeci, przykucnięty, w przemoczonym, połyskującym w świetle ubraniu, patrzący prosto na Blacka.

– Wojsko USA! Nie ruszaj się! – powiedział głośno.

Spierdalaj, pomyślał Dima. Amerykanie zawsze są tacy melodramatyczni. Nie widział Amerykanina, a tamten miał go jak na dłoni. Gdzie Władimir, Kroll i reszta? Musiał założyć najgorsze. Nie chciał nawet myśleć o Kristen i o Amarze, którą obiecał odstawić ojcu w jednym kawałku. Był sam, do tego przemoczony; przeszedł przez piekło, żeby dopaść i pojmać żywcem człowieka, który leżał teraz martwy u jego stóp. Jakby tego było mało, jakiś nadmiernie podekscytowany Amerykaniec bawił się z nim w policjantów i złodziei. Z każdą chwilą coraz lepiej, pomyślał.

Blackburn przyjrzał się jeńcowi w świetle podczerwonej latarki na karabinie.

– Czy mówisz. Po. Angielsku?

– Jasne, jeśli nie znasz żadnego innego języka – padła płynna odpowiedź.

W ciemności Dima mniej więcej domyślał się, gdzie leży uzi, ale ze swojego miejsca nie mógł po niego sięgnąć.

– Wstawaj, nogi szeroko. Idę do ciebie, przeszukam cię. Zrozumiałeś?

Nie ma sensu mu się stawiać, pomyślał Dima. Jeśli jest młody i niedoświadczony, może mnie zastrzelić niechcący.

– Tak, całkowicie – odparł. Wstał powoli, wysoko podnosząc ręce.

– Ręce na ścianę, nogi na boki.

Sądząc po głosie, co najwyżej dwadzieścia kilka lat, pomyślał Dima. Zrobił, co mu kazano, usłyszał, że Amerykanin się zbliża, poczuł na sobie dłonie – oklepały go, dokładnie, starannie. Uznał, że warto spróbować rozmowy.

– Co się stało na zewnątrz? Jesteśmy odcięci?

– Nie mów. Możesz zidentyfikować zmarłego?

– Ten przy basenie to Amir Kafarow. Ten w basenie i ten, którego być

może znalazłeś pod Matissem to jego obstawa, Yin i Yang. To bliźniacy, są z Korei Północnej. Raczej byli.

Blackburn nie odpowiedział; zdawał się nie spieszyć. Dima poczuł, że z kieszeni wyciąga mu paszport, którym wymachiwał na blokadzie drogowej LWRO. Później – zwitki riali i dolarów oraz telefon. Z żalem pożegnał się też z nożem, który tak mu się przydał w walce z Yinem i Yangiem – Blackburn właśnie wyjął go z pochwy przy pasie.

Dima usłyszał radio Amerykanina: coś naglącego i niezrozumiałego. Obrócił bardzo lekko głowę, żeby spojrzeć w kierunku uzi, na wypadek, gdyby latarka na hełmie żołnierza rzucała w tamtym kierunku trochę światła, ale poczuł rękę na szyi.

– Oczy na ścianę, bardzo proszę.

Cóż za uprzejmość. Ilu Rosjan zachowywałoby się z takim taktem w podobnej sytuacji? Dla nich uprzejmością było powstrzymanie się od zdzielenia kolanem w jaja. Jednak Blackburn zmagął się z wewnętrznym mrokiem. Kiedy zacisnął dłoń na rękojeści noża, jakaś jego część zapragnęła wyrzucić zemstę tu i teraz, wbić ostrze w szyję tego człowieka, żeby poznał, jakie to uczucie.

Zwyciężyło mocne postanowienie, aby zrobić wszystko, jak należy. Tym, co będzie odróżniało go od jeńca, pomyślał, stanie się jego człowieczeństwo. Właśnie ta różnica, różnica między żołnierzem a katem. Było bardzo ważne, żeby pokazać im, takim jak on, dlaczego amerykańskie metody są lepsze.

– Dobrze, odwróć się z rękoma w górze.

Dima usłyszał, latarka na hełmie zaświeciła mu w oczy. Jego mokra skóra odbiła trochę światła na Amerykanina. Trudno było ocenić jego wiek, między dwudziestką a trzydziestką.

Inteligentny.

– Dobrze, podaj nazwisko.

– Dima Majakowski.

– W paszporcie jest co innego. Jaką masz pozycję w LWRO?

– Nie jestem z LWRO, jestem z Moskwy.

Dima pomyślał, że mógłby zapełnić czymś ciszę, która właśnie zapadła.

– Przyjechałem tu odzyskać broń wykradzioną Federacji Rosyjskiej.

– Ta, jasne.

Blackburn kartkował najwyraźniej często używany irański paszport, który znalazł w kieszeni Dimy: to z całą pewnością działało na jego niekorzyść.

– Tu jest napisane: Taghi Hosseini.

– A was co tu sprowadza? – spytał Dima, zamiast odpowiedzieć. – Jeśli wolno spytać.

Blackburn popatrzył na niego, nie zdradzając swojego niepokoju.

– Być może mamy wspólny cel.

Black prychnął. Nienawiść do człowieka, którego nazywał Salomonem, narastała z każdą chwilą.

– Szczerze wątpię.

– 3-1, zgłoś się.

Znów Campo.

– 3-1, Blackburn. Słyszysz mnie? Budynek może się całkiem zawalić.

Blackburn zignorował go. Dima zobaczył paski na jego ramieniu.

– Sierżant Blackburn, tak?

Black nie odpowiedział.

Jeśli ten człowiek dalej będzie próbował wkraść się w jego łaski, być może znajdzie konieczność uciszenia go siłą.

– Ty i ja prawdopodobnie przyjechaliśmy tu po to samo, walizkowe atomówki, prawda?

Blackburn znów nie odpowiedział, ale jego mina zdradzała, że Dima trafił w czuły punkt. Postanowił zaryzykować następne pytanie.

– Ile, dwie?

Cisza.

– Jestem przekonany, że były trzy, z których jedna jest już w rękach Amerykanów.

Tym razem Blackburn nie zdołał się powstrzymać.

– Na jakiej podstawie tak uważasz?

– Mieliśmy skaner, który śledził je od banku Metropolitan w centrum Teheranu. Jedna oddaliła się na północny zachód, w kierunku amerykańskiego obozu, dwie przyjechały tutaj.

Na wspomnienie banku po piersi Blackburna momentalnie rozszedł się chłód. Czy właśnie usłyszał potrzebne mu potwierdzenie, że patrzy na człowieka, który opuścił bank razem z Baszirem?

Zbliżył się o krok i spojrzał Dimie w oczy.

– Masz kryptonim Salomon, zgadza się?

Jego jeniec otworzył szeroko oczy i rozchylił usta. Rozpoznał to słowo.

Salomon. Dima znał bardzo niewiele imion, które wypowiedziane na głos dawały mu takiego emocjonalnego kopniaka.

Ostatni raz miało to miejsce rok temu, kiedy Kroll wspomniał o nim w związku z zamachem bombowym na hotel w Abu Dhabi, w którym gościła delegacja przybyła na rokowania pokojowe. Wszyscy jej członkowie zostali zlikwidowani tak dokumentnie, że ich resztki trzeba było pochować w jednym, wspólnym grobie. Był jeszcze wyjątkowo paskudny atak na konwój z pomocą humanitarną w drodze do Afganistanu. Żywiołowe odżegnywanie się od niego przez miejscowych bojowników po obu stronach granicy oraz okaleczenia, które nawet Dimie trudno było pojąć, świadczyły o motywach wykraczających poza zwykłą wrogość wobec amerykańskiej obecności. Każda z dwudziestu czterech ofiar, jak donoszono, została zmuszona do popełnienia hańbiących czynów na współtowarzyszach, po czym ścięta mieczem. Zwłaszcza to ostatnie wyjątkowo Dimę zaniepokoiło.

Podziemny bunkier, z martwym Kafarowem u stóp i sierżantem Blackburnem celującym ze swojego M4, był ostatnim miejscem, w którym Dima spodziewał się usłyszeć imię Salomon – a już na pewno nie z ust amerykańskiego żołnierza.

– Możesz powtórzyć? – poprosił, upewniając się, że się nie przesłyszał.

Blackburn powtórzył imię, powoli, podkreślając kolejne sylaby tak samo jak Baszir. Dima przeciągle westchnął.

– Co wiesz o Salomonie?

Blackburn nie spuszczał z niego wzroku. Z wściekłości prawie dygotał mu głos.

– Wiem, że w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin człowiek o tym imieniu został uznany za winnego ścięcia bezbronno amerykańskiego żołnierza na irackiej granicy i zabicia czołgisty mieczem.

Wiem też, że ów mężczyzna był ostatnio widziany z Farukiem Al-Baszirem, kiedy opuszczali bank Metropolitan w Teheranie.

Dima musiał to przetrwać. Blackburn emanował pewnością, którą niełatwo będzie obalić. Nie tylko zresztą pewnością; miał wyraz twarzy kogoś, kto z trudem utrzymuje emocje na wodzy. Następne słowa Dimy mogły być dla niego rozstrzygające.

Wziął głębszy oddech.

– Dobrze. Mogę powiedzieć na temat Salomona dwie rzeczy, w które pewnie nie od razu uwierzysz. Po pierwsze, z całą pewnością ja nim nie jestem, po drugie, ode mnie mógłbyś się o nim dowiedzieć więcej, niż od kogokolwiek innego spośród żywych.

Tak, jasne, pomyślał Blackburn. Nie miał ochoty na wątpliwości, czy stojący przed nim człowiek może nie być Salomonem. Mimo to najpierw chciał się upewnić. Nigdy dotąd nie zabił nikogo z zimną krwią. Mógł postąpić zgodnie z zasadami i przekazać go dalej – i co potem? Nie chciał, żeby szalejący w nim konflikt odmalował się na jego twarzy.

– Szajbus 3-1, tu Szajbus główny, odbiór.

Tym razem to był Cole.

– Szajbus 3-1, raportuj swoją sytuację, odbiór.

Dima i Blackburn patrzyli na siebie. Black wyłączył radio. Dziwne, pomyślał Dima. W ogóle cała ta sytuacja była wyjątkowo dziwna. Znajdował się w zimowym domu szacha z martwym handlarzem bronią, z martwym Koreańczykiem w basenie, do tego pojmany przez amerykańskiego żołnierza w zawalonym bunkrze. A wisienką na torcie było imię Salomona.

Budynek zadygotał, osypując ich znowu odłamkami betonu. Byli pogrzebani żywcem. Towarzysze Blackburna wywoływali go, ale on wyłączył radio. O cokolwiek tu chodziło, pomyślał Dima, było to dla Amerykanina tak ważne, że sprzeciwił się rozkazom. Miał nie po kolei w głowie? Wyglądał na wściekłego, ale nie szalonego.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, tylko krótko.

– Spróbuję. Był dzieckiem, kiedy pojawił się po raz pierwszy, w obozie dla uchodźców w Libanie pod koniec lat osiemdziesiątych; twierdził, że cierpi na amnezję. Nie pamiętał, jak się nazywa, ale miał talent do języków. Amerykańscy misjonarze wzięli go za cudowne dziecko, dali mu na imię Salomon po tym mądrym królu ze Starego Testamentu. Zabrali go ze sobą na Florydę. Nie skończyło się to dobrze. Salomona dręczyli w szkole. Ciągnęło

się to miesiącami. Czekał cierpliwie; to jego cecha charakterystyczna, nie lubi pośpiechu. Potem zemścił się na swoich licealnych oprawcach, posługując się maczetą – nie w szale, raczej z chirurgiczną precyzją. Pominę szczegóły, ale powinienś wiedzieć, że odrąbał przynajmniej trzy głowy. Potem zniknął; dostał się na statek handlowy płynący do Zatoki. Dwa lata później jest już „Sulejmanem”, walczy z mudzahedinami w Afganistanie przeciwko Rosjanom. Ale to mu nie wystarcza. Nie jest lojalny wobec nikogo oprócz siebie. Zostaje zwerbowany przez Rosjan, którzy uświadamiają sobie jego potencjał: bezwzględny, z talentem do języków, z talentem do wszystkiego, poza tym nienawidzący Ameryki. Dlatego pozyskują go i szkolą. Może grać wszystkie role: jankesa, Araba, Europejczyka, Azjaty. Jest tajną bronią, ale nie sposób go kontrolować. W chaosie po rozpadzie Związku Radzieckiego zniknął; podążył własną drogą. Potem nadszedł 11 września. Amerykanie złapali go i zamknęli w Guantanamo. Ale Salomon nie jest głupi; zgadnij, co zrobił, żeby się wydostać? Zaoferował swoje usługi. Przekazał im bezcenne informacje na temat ugrupowań terrorystycznych, rosyjskiego wywiadu. Ledwo się obejrzel, z powrotem został Salomonem i opłacany prowadził nielegalne operacje.

Blackburn słuchał.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Bo to ja go znalazłem w Afganistanie. Byłem jego kontrolerem w GRU.

– Ty?

Blackburn milczał przez bite trzydzieści sekund, przetrawiając to, co właśnie usłyszał. Czy wierzył Dimie? Potrzebował czasu, żeby podjąć decyzję – czasu, którego nie miał. W końcu odezwał się nieobecny głosem.

– W banku, w sejfie, były mapy.

– Mapy czego?

– Nowego Jorku. Paryża.

„Paryż. Wielka szkoda”. Dima przypomniał sobie słowa Kafarowa. „Skoro Baszira już nie ma, uwolniona zostanie prawdziwa siła LWRO. Po tym, co się stanie, 11 września będzie jedynie przypisem w podręcznikach historii”. W głowie mu wirowało, z trudem przychodziło mu skupienie uwagi na sierżancie Blackburnie i jego M4.

Blackburn także zmagął się ze swoimi emocjami. Czy ten człowiek mówił prawdę? O co mu naprawdę chodziło? Przynajmniej miał go na muszce i mógł się zastanowić, co z nim zrobić. Gdzieś tam na zewnątrz był Cole; na

pewno chciałby wiedzieć, co się dzieje, i oceniałby działania Blackburna. Jak on nienawidził swojego dowódcy...

Przycisnął lufę M4 do karku Dimy.

– OK, bardzo to było przekonujące. A teraz na kolana.

Obrócił go i siłą zmusił do ukłęknięcia.

– Rozumiem, że bardzo byś chciał, żebym to ja nim był...

– Zamknij się! – wrzasnął Blackburn, centymetry od ucha Dimy.

Tego nie mógł spowodować krzyk – choć wciąż rozbrzmiewał echem w głowie Dimy, kiedy obu spowił o wiele głośniejszy dźwięk.

Mieli wrażenie, że zawałała się na nich cała góra. Na głowy posypał się im deszcz zaprawy, betonu i kamieni. Dima stracił przytomność – nie miał pojęcia, na jak długo. Kiedy się ocknął, głowa pulsowała mu bólem. Oczy i usta miał zalepione pyłem. Z początku w ogóle nie widział Blackburna. Podniósł się – bardzo powoli, na wypadek, gdyby wciąż w niego mierzył z M4. Niepotrzebnie się przejmował. Blackburn leżał na boku; betonowa belka, która urwała się ze sklepienia, przygniatała go w poprzek ramion i korpusu. Był przytomny, ciężko dyszał.

Gdyby Dima nie posłuchał jego polecenia i nie ukląkł, zostałby zmiażdżony na śmierć.

– Słyszysz mnie?

– Pewnie, kurwa, że słyszę – wrzasnął Blackburn.

Dima wymacał jego rękę.

– Dobra, sprawdzę ci odruchy.

– Nie dotykaj, kurwa, OK?

– Spróbuj się uspokoić, bo będziesz wykrwawiał się jeszcze szybciej.

Sierżant patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczyma. Dima zrozumiał, dlaczego. Nóż. Leżał kilkanaście centymetrów od twarzy Blackburna, skierowany ostrzem w jego stronę. Dima wyciągnął po niego rękę. Sierżant wydał z siebie ryk bezsilności i przerażenia.

Dima zawahał się, po czym chwycił nóż.

– Nie nożem, nie nożem! Po prostu mnie zastrzel!

Dima podniósł nóż. Oddech Blackburna osiągnął szaleńcze tempo.

– Patrz.

Dima odwrócił się, żeby Blackburn widział, jak chowa nóż do pochwy przy pasie. Z okolic wejścia do bunkra dobiegł ich kolejny głośny huk. Dima widział tylko wielką stertę gruzu. Czy to koledzy Blackburna próbowali

przebić się do środka?

– Daj mi latarkę, to zobaczę, co z tobą.

– Nie!

– Dobrze, dobrze. Czujesz ręce i nogi?

Blackburn poruszył kończynami.

– Dobrze, bardzo dobrze. Możesz poruszyć palcami stóp?

– Trochę.

– Boli?

– A jak myślisz?

Dima chwycił betonowy kłoc i dźwignął go. Ten ani drgnął. Spróbował raz jeszcze, włożył w to wszystkie siły. Belka poruszyła się może centymetr.

– Opowiedz mi o tych mapach. Wszystko, co pamiętasz.

Oddech Blackburna zwolnił.

– Nie rozumiem.

– Cokolwiek. Jakie to były mapy? Sztabowe? Wisiały na ścianie? Były tam zakreślone jakieś miejsca?

Blackburn milczał przez kilka sekund. Dima mocował się z belką.

– Na tej z Paryżem był jakiś napis... Bourse... – przeliterował sierżant.

– To budynek giełdy.

– Na pewno?

– O tak.

Blackburn odwrócił głowę i spojrzał na Dimę, jakby czegoś nie rozumiał. Dima usiadł, wyczerpany.

– Próbujesz mnie uwolnić?

– A nie widać?

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj: to, co widziałeś w sejfie w banku, to prawdopodobnie najważniejsza rzecz, jaką ktokolwiek zdobył, odkąd znaleźli bin Ladena.

Dima rozejrzał się, szukając natchnienia. Zobaczył uzi, którego lufa wystawała spod gruzu, sięgnął po nie. Blackburn znów zrobił wielkie oczy.

– Cholera, ręka mi drętwieje.

– Dobra, pomyślmy. Może uda mi się rozkruszyć tę belkę, jak do niej strzełę.

Dima z powątpiewaniem przyjrzał się uzi.

– Nie, nie, to nic nie da.

Blackburn spróbował się obrócić na tyle, żeby zlokalizować M4. Dima

podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– 40 milimetrów. Jest ryzyko. Będziesz musiał zawierzyć mojej celności.

Popatrzyli na siebie. Blackburn nie miał gwarancji, że reszta go znajdzie. Wyłączył radio. A nawet gdyby go znaleźli, bunkier mógłby się całkowicie zawalić, kiedy próbowaliby się do niego przebić. Nie miał wyboru. Rosjanin był jego jedyną nadzieją.

– Jak mam do ciebie mówić?

– Dima Majakowski.

– W takim razie, dobrze, Dima.

– Zanim to zrobię, upchnę dookoła ciebie trochę gruzu, żeby belka cię nie zgmiotła, kiedy pęknie.

Klimatyzacja w bunkrze przestała działać już dobrą chwilę temu. Powietrze robiło się coraz bardziej duszne i gorące, ale Dima pracował szybko. Zlany potem podparł belkę. Potem podniósł M4.

– Dobrze. To jest ten moment, w którym naprawdę musisz mi zaufać.

Przyklęknął obok Blackburna, osłonił go własnym ciałem i ustawił broń.

– Zamknij oczy. Może polecieć trochę pyłu.

Wycelował M4 i dwukrotnie strzelił w beton.

Nic się nie stało. Wystrzelił jeszcze dwa naboje. Połowa belki zachwiała się. Zanim zdążyła opaść bardziej, złapał Blackburna pod pachy i wyciągnął go, a potem posadził na pękniętej belce. Minęło kilka chwil; obaj łapali oddech. Blackburn spróbował wstać. Udało mu się. Poruszył rękami – żadnych poważniejszych obrażeń. Z ogromną ulgą rozejrzał się po zasypanym gruzem bunkrze. Zobaczył uzi; karabin leżał w miejscu, gdzie Dima go odłożył, żeby wyciągnąć Blackburna. Broń dzieliło od jego ręki kilkanaście centymetrów. Dima też to dostrzegł, spojrzał na Blackburna. Blackburn skierował wzrok na uzi, potem na Dimę.

– Nie kłamałeś.

– Nie więcej, niż każdy z nas.

Dima uśmiechnął się. Blackburn wyglądał jak człowiek, któremu właśnie zwrócono życie.

– Musimy się stąd wydostać, zanim wszystko zawali się do reszty.

Dima włożył sierżantowi w ręce M4.

– Żołnierz nie powinien nigdy zostawiać swojej broni.

Mózg Dimy działał na wysokich obrotach – myślał nad implikacjami tego, co powiedział mu Blackburn. Salomon; wrócił po niego, spragniony zemsty.

Obcinanie głów amerykańskim żołnierzom, osobisty arsenał jądrowy, mapy, które opisał sierżant, i słowa Kafarowa: „11 września będzie tylko przypisem...”.

Wszystko to ułożyło się w jedną całość. Dima wiedział, do czego Salomon jest zdolny. Spojrzał na młodego Amerykanina, tak pełnego dobrych chęci. Blackburn, wstrząśnięty tym, co zobaczył, pragnął powstrzymać zło. Łatwo było cynicznie oceniać jego poczucie misji, w świecie Salomonów i Kafarowów, gdzie lojalność sprzedawało się temu, kto dawał więcej, gdzie motywami działania były pieniądze, władza i zemsta. Dima próbował obmyślić, co dalej, kiedy od drzwi dobiegł huk wybuchu, a przez chmurę kurzu zaświeciła latarka. Nie byli już sami.

Porucznik był wściekły, to oczywiste.

– Gratulacje, Blackburn. Znalazłeś swojego człowieka. Dobrze widzieć, że masz odpowiednio poukładane priorytety.

Blackburn milczał.

– Campo i Montes uznali, że nie żyjesz, bo pod gruzami na zewnątrz są przynajmniej dwa trupy.

Wiadomość uderzyła Dimę jak kolejna eksplozja. Zirak i Gregorin...

Cole popatrzył na niego ze złością.

– A więc oto nasz kat. Jesteś bardzo sławny.

Dima nie odpowiedział. Kiedy nie wiesz, co robić, nie rób nic, myśl szybko i patrz uważnie. Uzi leżało pół metra od jego stopy. Próbował ocenić porucznika: gorliwy, z dobrej rodziny, zaangażowany, jest tu, bo chce tu być. Zawodowy wojskowy. Ale działo się tu coś jeszcze. Świadczyła o tym intrygująca reakcja Blackburna na widok swojego dowódcy, jakby ratunek z jego rąk był ostatnią rzeczą, której pragnął.

Cole podszedł bliżej, patrzył na Dimę.

– Równie dobre miejsce jak każde, żeby to skończyć.

Blackburn milczał. Pył zmienił jego twarz w maskę. W głowie Dimy zaczęła nabierać kształtu bardzo nieładna myśl.

– Słuchaj no, Blackburn. Bardzo to niestabilnie wygląda. Musimy stąd zniknąć, zanim się zawali.

– Sir – potwierdził Blackburn. Ale wciąż się nie ruszał. M4 ciążyło mu w rękach jak zdrada.

– Bardzo jesteś cichy, Blackburn. Chyba wiem, o czym myślisz: masz swoją szansę. Dobrze, żołnierzu, zasłużyłeś na to. Nie krępuj się. Rób, co musisz. Dochowam tajemnicy.

Nie mogę uwierzyć, co tu się dzieje, pomyślał Dima, rozumiejąc, co

sugeruje Cole. Zerknął na uzi.

Cole podszedł do Blackburna.

– Hej, Blackburn! – krzyknął mu do ucha. – Słyszysz? Daję ci szansę.

Co za chuj, pomyślał Dima.

Blackburn stał jak skamieniały, M4 wisiało mu bezwładnie w rękach. Przed sobą miał dowódcę-oprawcę, rozkazującego mu zabić człowieka, który dopiero co uratował mu życie. A jeśli ten człowiek mówił prawdę o Salomonie... To, co się wydarzyło potem, trwało niecałą sekundę; ale ten ułamek sekundy był bardzo treściwy. Dima zdał się na odruch i skoczył po uzi. Cole, uznawszy, że Blackburn nie ma jaj, wycelował w Dimę. Ale broń, która wypaliła, nie należała do niego. Huk wystrzału wypełnił cały bunkier. Twarz Cole'a zastygła w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia, a gdy upadł na kolana, przelały się przez nią kolejno niepokój, oburzenie i na koniec – zgroza.

Tkwiał tak przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund, a potem zaszklily mu się oczy i runął twarzą w gruz.

Dima, z uzi w rękę, obrócił się do Blackburna. Widział już to spojrzenie – u Gregorina, opisującego, jak wyeliminował znęcającego się nad nim kolegę – wyrażające ten rodzaj błogości, która przychodzi po wyjątkowo słodkiej zemście. Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. Ale nie było wątpliwości – młody Amerykanin wyglądał tak, jakby z barków zdjęto mu właśnie olbrzymie brzemię.

Dima podszedł do niego i chwycił swojego wybawcę za ramię.

– Dziękuję, towarzyszu. Chyba jesteśmy kwita.

Dima nie miał pojęcia, jak wydostaną się z bunkra. W ciągu dwóch godzin, jakie w nim spędził, stawiał czoło Yangowi, potem Kafarowowi, a później Blackburnowi i Cole'owi. Do tego dowiedział się o Salomonie. Teraz skupiał się na tym, by przeżyć. Ucieczka? Nie chciał kusić opatrności, nawet samym myśleniem o niej. Ale skoro na zewnątrz byli marines, ciekawi losu najpierw Blackburna, a teraz Cole'a, było tylko kwestią czasu, kiedy któryś z nich spróbuje się tu dostać. Albo to, albo następna belka zgniecie ich na śmierć.

Blackburn myślał szybciej.

– Widziałem plany tego miejsca. Był tam jakiś szyb, biegnący od bunkra. Prowadzi na drugą stronę góry. Jeśli odzujemy wejście...

Razem przedostali się przez gruz i popękane belki. Za niewielkim przedsiönkiem znaleźli metalowe drzwi, podobne do tych ukrytych pod panelami w domu. Choć nie były zamknięte na klucz, wyglądały na dawno nieużywane. Blackburn rozświetlił latarką mrok.

– To chyba tutaj.

Dima spodziewał się, że sierżant się z nim pożegna i wróci do swoich. Ale Blackburn też nie miał jeszcze planu. Zdjął hełm i wytarł czoło. Był zlany potem, który zbierał mu się kroplami na brodzie i czubku nosa. Kręciło mu się w głowie.

– To, co się przed chwilą stało... Ja nie wiem...

Energia wyciekała z niego równie szybko jak pot. Dimie zrobiło się go żal. Mógł wrócić tą samą drogą, którą się tu dostał, sprzedać wszystkim przekonującą historyjkę, może wychodząc wrzucić do bunkra granat: miał spore szanse, że wszystko będzie jak dawniej. Cole zostałby uznany za zaginionego w akcji. Ale obaj wiedzieli, że korpus marines robi, co w jego mocy, by odnaleźć zwłoki porucznika i wydobyć je – a wtedy odkryją w nich kulę z M4...

Dima położył mu rękę na ramieniu.

– Tyle mogę ci powiedzieć o Salomonie. Dodaj to, co ci powiedziałem do tego, co wiesz sam i zanieś to swoim przełożonym. Z początku nie będą chcieli cię słuchać. Nawet jeśli któryś z nich wyśle zapytanie do Langley, tamci najpewniej każą mu spierdalać. Salomon był dla nich nietykalny. Nie wyciągną go, ryzykując zaprzepaszczenie iluś lat czegoś, co uważają za cenną infiltrację, bo tak sugeruje jakiś żołnierz z przecuciem. Będziesz musiał się bardzo postarać, żeby ich przekonać. Jak Salomon przedostanie się do Ameryki z jedną ze swoich bomb, będzie potrzebował kogoś, kto się nim zajmie. Widziałeś mapy, widziałeś na własne oczy, jak on działa, widziałeś bombę. I masz to, co ci powiedziałem.

Huknęła potężna eksplozja i bunkier zupełnie się zawalił. W ich stronę buchnęła dławiąca chmura kurzu i dymu. Uciekli przed nią w głąb tunelu – i poszli dalej. Żaden z nich się nie odzywał. Przeszli pod ziemią dobre kilkaset metrów.

Tunel miał dość równą podłogę, ale był kręty. Sklepienie było niskie i musieli się garbić. Powietrze, choć stęchłe i wilgotne, było tu chłodniejsze. Latarka na hełmie Blackburna oświetlała im drogę. Szli przed siebie w całkowitym milczeniu.

Podobnie jak te u wejścia, drzwi na końcu korytarza były otwarte na oścież – ale rdzawy ślad na podłodze i ślady eksplozji wokół staromodnego mechanizmu zamka sugerowały, że ktoś je niedawno otworzył siłą, a potem nie zwracał sobie głowy ich zamykaniem.

Obaj poczekali, aż oczy przywykną im do oślepiającego blasku dnia. Wyjście, częściowo ukryte w krzakach, prowadziło do niewielkiej, porośniętej cyprysami kotliny. Kilka metrów poniżej wylotu biegła rozwidlająca się dróżka. W prawo prowadziła na południowy wschód, pnąc się do przełęczy, w lewo opadała w dolinę i skręcała na północ.

Dima przebiegł wzrokiem po ziemi: świeże ślady opon. Ktoś tu niedawno był i zwracał pod samym wyjściem z tunelu.

Dochodziła trzecia – najgorętsza pora dnia. Powietrze wpadające do tunelu przypominało powiew z otwartego piekarnika. Dima wyszedł pierwszy, gestem nakazał Blackburnowi zostać, dopóki go nie zawoła. Rozejrzał się po okolicy: kilka cyprysów, ścieżka biegnąca z południowego wschodu na północ.

Nie licząc na wpół zrujnowanej, kamiennej szopy jakieś dwieście metrów dalej, nie było widać żadnych oznak zamieszkania. Popatrzył na ziemię.

– Czego szukasz?

– Ślady. I to świeże. Patrz.

Blackburn przykucnął obok niego.

– Zobacz, te źdźbła trawy są połamane, ale jeszcze zielone. I tu. – Palcem zatoczył koło nad ziemią. – Ślady opon, szerokie: pikap albo terenówka.

Dima wciąż miał przy sobie telefon. Poczul wibracje w kieszeni. Kroll.

– Witamy z powrotem wśród żywych. Kim jest twój nowy kolega?

– Gdzie jesteście? – spytał Dima po angielsku.

– Widzisz szopę?

– Jest czysto? Możemy iść?

– Po drugiej stronie góry ciągle jest Wujek Sam, ale nikogo więcej.

Dima i Blackburn udali się do ruin szopy. Między ścianami dla osłony rozpięto siatkę maskującą. W środku stała poobijana toyota land cruiser. Zza muru wyłonili się Kroll i Władimir. Władimir miał na głowie prowizoryczny opatrunek, Kroll – zawiązany na ramieniu pasek materiału z koszuli. Radość z ich widoku przyćmiewała Dimie świadomość tego, co miał za chwilę usłyszeć.

Pierwszy odezwał się Władimir.

– Zirak i Gregorin nie przeżyli. Kristen też nie.

– Amara?

Władimir ruchem głowy wskazał tylny fotel samochodu.

– Jest trochę poobijana, żadnych złamań. Wykopali ją Amerykanie, a potem, kiedy zawaliła się reszta domu, zapomnieli o niej. Daliśmy nogę, jak zaczęli ostrzeliwać działka przeciwlotnicze, ale obserwowaliśmy ich, aż ją wypatrzyliśmy, a potem ukradliśmy samochód.

Kroll przywołał Dimę do terenówki. Dima popatrzył na tobołek zwinięty na tylnym fotelu – zakurzony, potargany i wstrząśnięty, ale żywy. Kroll odezwał się pierwszy.

– Kristen pokazała jej awaryjne wyjście już przy pierwszej wizycie. Dlatego, kiedy ją znaleźliśmy, postanowiliśmy tu poczekać na wypadek, gdybyś wyszedł. Oczywiście nie wiedzieliśmy, czy wyjdiesz.

Władimir gapił się na Blackburna. Dima przedstawił swojego nowego towarzysza.

– Między innymi uratował mi życie. Dajcie mu wody.

Kroll dał im obu po butelce.

– Właśnie skończyła się nam gazowana.

Kiedy pili, wytrząsnął z paczki papierosa. Dima streścił im, co się stało. Z szacunku dla Blackburna przemilczał zajście z Cole'em.

– Ale mamy o wiele bardziej naglący problem: nazywa się Salomon.

Zapalniczka Krolla znieruchomiała w pół drogi do papierosa.

– Dalej, przypał sobie. Jak skończę, pewnie i tak będziesz potrzebował następnego.

Usiedli w cieniu siatki maskującej, a Dima zreferował im informacje od Blackburna – dekapitacje, mapy i bombę w bankowym sejfie.

Kiedy skończył, Kroll zwiesił głowę.

– Wolalbym chyba wrócić do więzienia – stwierdził Władimir.

Kroll zaciągnął się mocno papierosem i popatrzył na Dimę.

– Mam nadzieję, że nie pytasz nas właśnie, kto się pisze na Paryż?

Dima go zignorował.

– Nie wiemy, ile mamy czasu; uznajmy to za wiadomą niewiadomą. Na długą listę tych wiadomych niewiadomych trafia też pytanie, czy Salomon ma swoich ludzi na miejscu tu i w Nowym Jorku, czekających na dostarczenie atomówek.

– Tak samo jak to, kto z Moskwy dał cynk Kafarowowi.

Kroll nie zwykł ukrywać swojego oburzenia.

Dima odwrócił się do Blackburna.

– Chyba nadszedł czas, żebyś zdecydował, co zamierzasz.
Blackburn był blady, wciąż w szoku po wydarzeniach ostatniej pół godziny.
W końcu odezwał się.
– Mam tylko jedno wyjście. Muszę wracać do mojej kompanii.
– W jakim stanie był dom, kiedy odjeżdżaliście? – spytał Dima.
Kroll gestem pokazał coś walącego się w gruzy.
– Wycofali się, kiedy do końca zawałił się front. Chyba nikt nie będzie próbował tam wracać.
Blackburn i Dima wymienili spojrzenia. Sierżant odstawił butelkę.
– Już czas.
Władimir odwrócił się do Dimy.
– A to nie będzie dla nas problem? Nie chcemy mieć na karku amerykańskiej armii.
Wszyscy spojrzeli na Dimę.
Blackburn mógł pójść do swoich przełożonych ze spreparowaną wersją wydarzeń i ściągnąć na Rosjan pościg. I on właśnie przerwał milczenie, w jednej chwili stając się spokojny i zdecydowany. Utkwił wzrok w Krollu i Władimirze.
– Wasz towarzysz uratował mi dzisiaj życie. Poza tym był świadkiem czegoś, za co dostałbym dożywocie. Obu nam zależy, żeby ten drugi przeżył.
Wstał. Dima popatrzył na niego.
– Na pewno nie wolisz zostać z nami?
Po raz pierwszy zobaczył uśmiech na twarzy Blackburna. Nagle sierżant odmłodził.
– Pochlebia mi twoja propozycja, Dima. Ale tylko bym was spowalniał.
Dima spojrział na ścieżkę biegnącą ku przełęczy.
– Odprowadzić cię na górę?
– Chyba lepiej, żebym poszedł sam, na wypadek, gdyby pojawił się osprey.
Dima uściskał mu dłoń.
– Jedno pytanie, jeśli to nie nazbyt osobiste. Ile masz lat?
– Chyba znamy się już wystarczająco dobrze. W najbliższe Święto Dziękczynienia kończę dwadzieścia pięć.
Dwadzieścia pięć lat od wyjazdu z Paryża, pomyślał Dima. Młody mężczyzna na zdjęciu – byli w tym samym wieku.
– Uważaj na siebie, sierżancie Blackburn.
Blackburn zasalutował mu, potem uściskał dłonie pozostałym. Cała trójka

odprowadzała młodego żołnierza wzrokiem, aż skurczył się do rozmiaru kropki na zboczu góry.

W końcu ciszę przerwał Kroll.

– Może nam opowiesz, co to, kurwa, miało być?

55 // Szosa Teheran-Tebryz, północny Iran

Kroll prowadził, Władimir pił, Dima spał; wszyscy trzej obok siebie na przednich fotelach. Amara, wciąż pogrążona w głębokim śnie, miała dla siebie całe tylne siedzenie. Po tym, co przeszła przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, nikt nie zamierzał jej budzić. W samochodzie było duszno i gorąco. Nie włączali klimatyzacji, żeby oszczędzać paliwo; nawet przy otwartych oknach wpadające do środka wilgotne, nocne powietrze niosło ze sobą żar dnia.

Dima nie spał dobrze. Zbyt często budziły go wyboje i gwałtowne manewry Krolla omijającego zabłąkane krowy oraz sterty gruzu po trzęsieniu ziemi. Kiedy już udawało mu się zasnąć, nawiedzały go niespokojne sny, dziwnie zniekształcone wersje wydarzeń z ostatniej doby. Wiedział, że tego nie uniknie, że jego mózg musi to wszystko przetrawić – co nie zmieniało faktu, że było to nieprzyjemne. Yin i Yang, Kafarow i Cole, byli tam wszyscy, odtwarzali swoje role, za każdym razem z innym skutkiem. Dima czuł uchwyt Yina, trzymającego go pod wodą, nieustępliwy i silny jak stal, aż zaczęło uchodzić z niego życie. To go obudziło. Potem zobaczył Blackburna, który tym razem nie zareagował, a broń Cole'a eksplodowała Dimie prosto w twarz, oślepiając go zabójczym, białym rozbłyskiem.

Potem wróciły do niego dawniejsze wspomnienia. Salomon, kiedy Dima go poznał – wciąż nastolatek, ale z tym spojrzeniem małych żołnierzy z Afryki; spojrzeniem, które zarejestrowało za dużo i zbyt wcześnie. Jego zamyślane, wypukłe czoło, wydatne kości policzkowe, oliwkowa skóra: twarde spojrzenie, wiecznie rozbiegane oczy. Błyskotliwy, nieustraszony nastolatek bez przeszłości i własnego imienia. Dima zastanawiał się, czy Salomon kiedykolwiek się dowiedział, kim naprawdę jest. Pamiętał, że ta niewiedza nie dawała mu spokoju.

– Jak mam wybrać stronę? – spytał kiedyś Salomon; mały chłopiec jeszcze

w nim żył, jeszcze nie zadusiła go nienawiść.

– Jesteś po swojej własnej stronie – odparł Dima, usiłując go jakoś pocieszyć. – Walcz dla siebie; jesteś swoją własną sprawą.

Tę radę Salomon wziął sobie do serca bardziej niż jakąkolwiek inną – jeśli w ogóle miał serce. Jako instruktor Salomona, a potem jego kontroler, Dima starał się z nim zaprzyjaźnić, wzbudzić wzajemne zaufanie, ale Salomona to nie interesowało. Przyjaźń, twierdził, jest słabością i przeszkodą. To była pierwsza oznaka, że zrzuca swoje człowieczeństwo jak liniejący wąż skórę. Traktował siebie tak poważnie, że niektórzy z rówieśników zaczęli się z niego wyśmiewać. Wkrótce tego pożałowali. Salomon rzadko tracił panowanie nad sobą, ale potrafił czerpać energię z własnego gniewu, tak jak bateria słoneczna absorbuje energię słońca i magazynuje ją na później. „Później” mogło być dowolną chwilą w przyszłości – za trzy dni, trzy tygodnie, nawet za wiele lat. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż patrzenie, jak na twarzy ofiary z wolna maluje się przerażenie, w miarę jak do nieszczęśnika dociera, że Salomon wymierza mu karę. Był geniuszem podstępny. Znajomością języków i umiejętnością mimikry przewyższał nawet Dimę, a komórki terrorystów, które miał infiltrować, nieodmiennie go akceptowały, kupione jego gotowością przejścia każdego wymaganego rytuału inicjacji, nieważne jak okrutnego. Był budzącym lęk przeciwnikiem, a Dima nie spodziewał się, że będzie musiał stawić mu czoła – aż do teraz.

Trzymali się gór, dopóki nie oddalili się znacznie od Amerykanów, potem zjechali na szosę Teheran-Tebryz, tę samą, którą podążali dwa dni temu. Nie licząc kilku pojazdów porzuconych w czasie masowej ucieczki z Teheranu, droga była pusta. Natknęli się na autobus, który zjechał do rowu, ale nigdzie nie było śladu pasażerów – ani w ogóle rzesz, które opuściły swoje domy w zniszczonej stolicy.

– Kończy się nam paliwo – powiedział Kroll w Meyanehu, na południowy wschód od Tebryzu.

Była trzecia w nocy.

– Każda zabawa kiedyś się kończy – stwierdził Dima. – W tych cholernych pałacach ropa wychodziła im uszami, a jak człowiekowi jest potrzebna, to jej nigdzie nie ma.

Całe miasto było wyludnione, ale na parkingu centrum handlowego wyrosło prowizoryczne obozowisko. Setki ludzi spały w swoich samochodach. Obudzili parę osób i zaproponowali pieniądze za resztki

paliwa z baków, ale wszyscy zaklinali się, że są puste. Doteleпали się więc jeszcze kawałek, a potem skończyła im się ropa. W bagażniku znaleźli plastikowy kanister. Kroll został z Amarą, a Władimir i Dima poszli dalej pieszo, aż znaleźli stację benzynową.

– Miło i spokojnie – powiedział Władimir.

Ale nie byli sami. Z ciemności wyłoniła się banda rekrutów LWRO z kałasznikowami. Na pierwszy rzut oka widać było u nich brak doświadczenia oraz wybuchową mieszankę strachu i braku kontroli nad impulsami.

– Można by pomyśleć, że chociaż jedna rzecz pójdzie bez komplikacji – powiedział Dima, wypatrując przywódcy, podenerwowanego chłopaka w tanich podróbkach adidasów i czerwono-białej chuście na twarzy. Najwyraźniej skopiował swój wygląd z filmików szkoleniowych Al-Kaidy.

– Żadnego paliwa! – wrzasnęli, strzelając w powietrze.

– Cześć, chłopcy – powiedział Władimir. – Zatankujemy tylko i już nas nie ma.

Pomachał pustym kanistrem.

– Chodź tu, dziadku, jak chcesz! – krzyknął jeden.

– Urźnijmy mu fiuta, nie będzie mu potrzebny – zawołał drugi.

– Dzisiejsza młodzież naprawdę za szybko dorasta – stwierdził Dima.

– Pieprzyć to – oznajmił Władimir.

Nieco sponiewierany podejrzaną, azerską wódką, którą znalazł w land cruiserze, podniósł makarowa i strzelił w górę, trafiając przewodyra bandy w ramię.

– To ma być według ciebie strzał ostrzegawczy? – spytał Dima.

– Wiesz, że lepiej strzelam po pijanemu.

Banda uciekła. Wrócili do land cruisera, włączyli paliwo, podjechali na stację. Amara wciąż błogo spała, kiedy tankowali.

Gdy wrócili na szosę do Tebryzu, Dima zadzwonił do Darwisza. Przynajmniej dla niego miał dobrą wiadomość: jego córka była cała i zdrowa i wracała do domu, a jej występny mąż nie żył. I to było mniej więcej wszystko, czego udało im się dokonać przez ostatnie dwie doby.

Darwisz długo nie odbierał. Kiedy się w końcu odezwał, głos miał niewyraźny. W końcu była piąta rano.

– Twoja dziewczynka do ciebie wraca.

To go otrzeźwiło. Przez chwilę milczał.

- Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem – powiedział w końcu.
 - Taki już twój los. Gdzie jesteś?
 - Muszę załatwić parę rzeczy. Zaraz oddzwonię.
- Minęło pięć minut. Telefon Dimy zadzwonił.
- Dobrze. Zabieram Anarę na kilka dni, musi odpocząć po swoich przejściach. – Darwiz podał wskazówki, jak dojechać na lotnisko pod Tebryzem. – Kiedy tam będziecie?
- Dima zerknął na mapę.
- Za jakąś godzinę.
 - Mojej Anarze na pewno nic nie jest?
 - Na pewno – odparł Dima. – Wszystko u ciebie w porządku?
 - Tak, tak. Jestem tylko zmęczony.

56 // Góry Elburs, na północ od Teheranu

Blackburn dotarł do przełęczy, która oddzielała dolinę na północy od niecki Teheranu na południu. Obserwowali go przez całą drogę. Obejrzał się po raz ostatni na prawie już niewidocznych Rosjan i zawahał.

Bywa w życiu tak, pomyślał, że jedna decyzja odmienia cały jego bieg. Tak było, gdy zaciągnął się do wojska. Mógł zostać w domu, pójść do szkoły policealnej, znaleźć pracę i dom, może nawet ożenić się z Charlene. Ale tamta decyzja wydawała mu się teraz błaha w porównaniu z tą, którą podjął godzinę temu.

Zastrzelił swojego dowódcę, rzecz niewyobrażalna. Jak do tego doszło? Czy dał się ponieść emocjom, sprzeciwił się swojemu wyszkoleniu – a może zrobił to, co należało? W końcu nie pozwolił Cole’owi zabić Dimy, do tego z zimną krwią. Zabił swojego oficera dowodzącego, żeby uratować życie człowieka, którego znał niespełna dwie godziny. Nieprzyjaciela, który ledwie kilka chwil wcześniej uratował mu życie.

Zresztą teraz liczyło się przede wszystkim to, co Dima Majakowski powiedział mu o Salomonie. To, co z tego wynikało – konsekwencje dla całego świata – były zbyt straszne, by poważnie je rozważać.

Czy Dima i jego drużyna mogli powstrzymać atomową apokalipsę? Czy ktokolwiek uwierzyłby Blackburnowi, gdyby powiedział, że celem jest Nowy Jork? Jego przełożeni najwyraźniej mu nie ufali, dopatrywali się najgorszych motywów we wszystkim, co robił. Kiedy uczciwie zaglądał sobie w duszę, cieszył się, że nadarzył mu się pretekst, żeby zabić Cole’a.

Stanął na przełęczy i spojrzał po raz ostatni w północną dolinę. Dima i jego ludzie byli już zaledwie punkcikami. Czy wciąż go obserwowali? Nie wiedział. Potem odwrócił się na południe, gdzie w oddali rozciągał się Teheran, zrujnowane miasto. A o wiele bliżej – dom i jego towarzysze, ci, którzy pozostali.

Blackburn był niewyobrażalnie zmęczony, głodny i spragniony, popołudniowe słońce wysysało z niego całą wilgoć i energię. Szedł dalej, krok po kroku, aż w końcu znalazł się na zboczu, przed ruinami domu. Kiedy się zbliżył, miał wrażenie, że cofa się do początku dnia, kiedy był jeszcze innym człowiekiem. Czy będzie to po nim widać?

– No, patrzcie państwo! – zawołał Montes i pobiegł w jego stronę.

Blackburn popatrzył na niego tak, jak kosmita mógłby patrzeć na pierwszego Ziemiaka. Objął starego kumpla, ale czuł się, jakby całą ich wspólną przeszłość wymazało to, co się wydarzyło w bunkrze. Wszystkie ich wspominki o domu, przekomarzanie się, dzielenie planami na przyszłość, kiedy stąd wyjadą – wszystko to zniknęło pod gruzami wraz z pogrzebanym tam sekretem. Nikomu nie mógł powiedzieć o Cole’u.

Patrząc na Montesa, zrozumiał, że już nigdy nie będzie taki sam. Zaciągnął się do wojska, żeby lepiej zrozumieć swojego ojca i ogromne brzemię, które ten dźwigał po Wietnamie, ale skończył z czymś, czego wcale nie pragnął: własnym brzemieniem.

Podbiegł do nich Matkovic.

– Stary, myśleliśmy, że już po tobie.

– Ja też – odparł Black.

– Wiesz, co się stało z Cole’em?

Ot, tak po prostu. To pytanie miało go prześladować już do końca życia. Wiedział, że usłyszy je setki razy. Że ludzie będą mu się przyglądać, kiedy będzie na nie odpowiadał. Zrozumiał, że nadzieja, iż mu uwierzą i dadzą tej sprawie spokój, była płonna.

Uprzątno okolice domu. Rannych i zabitych w katastrofie ospreya ewakuowano. Wszędzie kręciły się zespoły ratunkowe. Zarekwirowana koparka drapała gruzowisko.

– Tutaj, Blackburn! Pomożesz nam.

Major Johnson, przełożony Cole’a, rozłożył na masce humvee kopię planów domu, które Black oglądał w Świetliku.

– Musimy znaleźć porucznika Cole’a.

Tego Blackburn się nie spodziewał.

– Sir, on nie żyje.

Major podniósł wzrok, zmarszczył czoło.

– Skąd to wiesz, sierżancie? Przecież może być w jakimś bąblu powietrza.

Wyglądał na plany. Blackburn wiedział dokładnie, gdzie znajduje się Cole:

między basenem a salą z monitorami.

– Sir, zawał był całkowity.

Zakreślił palcem okolice basenu.

Major gapił się na plan.

– W takim razie jak się stamtąd wydostałeś, żołnierzu?

Black wskazał dwie cienkie linie, odchodzące od bunkra.

– Widząc, że droga wejściowa jest zasypana, sir, przedostałem się głębiej, do tego tunelu ewakuacyjnego.

– A gdzie był porucznik Cole?

To jest ta chwila, pomyślał Black. Odpowiedź, która zadecyduje o reszcie mojego życia. Dotąd uważał się za człowieka honorowego. Co to oznaczało teraz?

– Nie wiem, sir. Wszystko się waliło, więc po prostu uciekłem.

Major potarł brodę.

– Nie napiszę przecież do jego matki, że go tam zostawiliśmy.

Przez dłuższą chwilę przypatrywał się planom, potem spojrzał na Blackburna.

– Wysyłam cię z powrotem do Spartakusa. Nieźle oberwałeś, chłopcze. Tam przyjmą twój raport.

Od bardzo dawna nikt nie nazwał Blackburna „chłopcem”. Z pewnością słowa tego nie używał Cole. Black miał ochotę powiedzieć na głos: „Wie pan co, sir? Cole był draniem i bydlakiem, i zginąłby tak czy inaczej”. Był zadowolony, że tego nie zrobił. Nie zabrzmiałoby to dobrze.

Zobaczył, że w ich stronę idzie Campo, i odsunął się od grupki tworzącej się wokół majora. Campo tylko na niego popatrzył. Nie przywitał się, nie klepnął go po przyjacielsku w plecy: stał i gapił się, jakby zobaczył ducha.

– O, stary. Gruba akcja. – Ruchem głowy wskazał ruiny domu. – Niezła demolka. A ty wyszedłeś cały.

Blackburn poczuł, że Campo zasługuje na wyjaśnienie, choćby częściowe.

– Z tyłu bunkra był tunel. Widzieliśmy go na planie, pamiętasz?

Campo potrząsnął głową.

– Stary, jesteś niesamowity. Twoje radio przestaje odpowiadać. Słyszymy, jak spada jakiś wielki głaz. Cole wchodzi. Ty wychodzisz...

– Miałem szczęście. Ty widać też.

– Może i tak – powiedział Campo z powątpiewaniem.

Odeszli kawałek dalej od majora. Campo wyciągnął zgniecioną paczkę

papierosów, wytrząsnął jednego, przypalił, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął kłęb dymu.

– I w ogóle go nie widziałeś?

– W bunkrze? Nie, a co?

Campo wzruszył ramionami.

– Tak pytam.

Blackburn potrząsnął głową.

– Co?

– Bo kiedy Cole tam poszedł, wzywałem go przez radio, a on nie odpowiadał...

– I co z tego? Wszystko się tam waliło, wiesz, to było jak lawina.

– No tak, ale słyszałem huk, taki stłumiony strzał, a nie jakby coś się waliło.

– Niczego takiego nie słyszałem – stwierdził Blackburn.

Campo nie odpowiedział, kopnął tylko butem ziemię.

A więc tak to teraz będzie, pomyślał Black. Nigdy w życiu nie czuł się taki samotny.

57 // Autostrada Teheran-Tebryz, północny Iran

– Mamy problem.

– O rany. Ciekawe, jakie to uczucie?

Cynizm Krolla pracował na wysokich obrotach.

– Ton Darwisza, to spotkanie. Poza tym nazwał ją Anarą. Dwa razy.

– Żyje w dużym stresie.

Obaj wiedzieli, że chodzi o coś więcej. Darwisz nie należał do ludzi, którzy myślą się w roztargnieniu, zwłaszcza mówiąc o członku własnej rodziny. Może był obserwowany tak ściśle, że mógł jedynie wymówić z błędem imię własnej córki – przejęzyczenie tak drobne, że ten, kto był z nim w tym samym pomieszczeniu, na pewno tego nie zauważył. Wiedział jednak, że Dima od razu zwróci na to uwagę. Tymczasem Dima miał nadzieję, że niewyraźny ton był skutkiem nerwów, a nie czegoś gorszego. Czy Darwisz odłożył słuchawkę, żeby zapytać swoich porywaczy o instrukcje?

Wyglądało to na pułapkę – prostacką, nieelegancką i typową dla pewnego rodzaju ludzi. Kogo dokładnie – tego na razie nie wiedzieli.

– Powiedział, że ją zabiera. Z lotniska? Dokąd?

– Może do rodziny.

– Wszyscy albo nie żyją, albo są na miejscu. Brzydko mi to pachnie.

– Świetnie – powiedział Kroll, kiedy wjechali z powrotem na drogę. – I pewnie będziesz chciał go uratować.

Amara przebudziła się z głębokiego snu. Otworzyła oczy, zamknęła, znów otworzyła i nagle je wytrzeszczyła, widząc twarz Dimy. Oświetlony jedynie lampką rzeczywiście wyglądał trochę jak duch.

– Myślałam, że nie żyjesz.

– Jestem niezniszczalny.

Amara zmarszczyła czoło, zdezorientowana, potem wzdrygnęła się z bólu.

– Gdzie jesteśmy?

– Blisko domu. Rozmawiałem z twoim ojcem. Czeka na nas.
Skoro już się obudziła, Dima ruchem głowy wskazał miejsce obok niej. Kroll zatrzymał się i Dima przesiadł się do tyłu. Przez kilka minut jechali w milczeniu. Zerknął na Amarę; całe jej życie wywróciło się do góry nogami.

– Przykro mi z powodu Gazula. W końcu był twoim...

Amara podniosła rękę, przeciągle westchnęła, pokręciła głową.

– To była pomyłka. Nie mów ojcu, że to powiedziałam: miał co do niego rację.

– Bardzo nam pomogłaś, prowadząc nas w góry.
Spuściła wzrok.

– Kristen nie żyje, prawda?

– Przykro mi. Razem z dwoma moimi kolegami.

– Dziwną masz pracę. Założę się, że nie masz żony ani rodziny.
Nie odpowiedział od razu.

– Tak jest lepiej – stwierdził, myśląc o życiu z Camille, które kiedyś sobie wyobrażał.

– Wiesz, Iran to nie jest dobre miejsce dla młodej wdowy. Myślisz, że znalazłabym pracę w Moskwie? Słyszałam, że w Moskwie jest dużo pracy dla młodych dziewczyn.

– Nie takiej, jaką pochwalaliby twój ojciec.

– Jesteś tak samo okropny jak on. Teraz widzisz, dlaczego musiałam od niego uciec.

58 // Pod Tebryzem

Zatrzymali się około pół kilometra od lotniska, zaparkowali za jakimś magazynem.

– Zostaniesz z Amarą w samochodzie – powiedział Dima do Krolla. – My się rozejrzemy.

Razem z Władimirem podeszli do ogrodzenia przez pole bakłazanów.

– Co myślisz? – Władimir podał Dimie lornetkę.

– Nie widzę Darwisa ani nikogo innego.

Na lotnisku wznosił się pojedynczy hangar, kilka szop i maszt z rękawem, zwisającym nieruchomo w bezwietrznym, nocnym powietrzu. Przed prowizorycznym terminalem stały dwa fokkery F-27, należące do lokalnego przewoźnika, i bardzo czysty śmigłowiec kamow Ka-266 bez oznaczeń.

– Popatrz na to. Żadnych numerów.

– Porządni ludzie zawsze mają na swoich helikopterach numery.

– Ktokolwiek to jest, wiedzieli, że przyjedziemy – powiedział Władimir. – Ale kto im powiedział? Darwisz?

– Nigdy.

– Ale próbował nas ostrzec.

– No to kto?

Dima miał pewne podejrzenia, kiełkujące głęboko w duchu, które zachował dla siebie. Wciąż usiłował się z nich otrząsnąć, kiedy nagle oślepił ich wielki reflektor z hangaru.

– Cholera!

Popędzili przez pole z powrotem do land cruisera. Już go prawie dopadli, kiedy zdali sobie sprawę, że jest otoczony.

– Rzucić broń! Na ziemię!

Dimie nie przyszło do głowy nic lepszego, więc rzucili broń, a potem się położyli. Droga śmierdziała ropą i zwierzęcym łajnem. Dima zerknął

ukradkiem na dwie biegnące w ich stronę, uzbrojone sylwetki, ale obaj mężczyźni mieli na twarzy maski.

– Twarzą w dół.

Jeden z napastników kopnął Dimę w skroń, kiedy ten przeturlał się, chcąc spojrzeć na samochód. Wykręcili mu ręce za plecy i związali dłonie plastikowymi pętami.

– Twarzą w dół!

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie – powiedział Dima. – Gdybym tylko mógł wytłumaczyć...

Kopniak w zębra nie pozwolił mu dokończyć. Z lotniska jechał w ich stronę rosyjski GAZ; zahamował ostro tuż obok. Ze środka wyskoczyło dwóch następnych mężczyzn, którzy złapali Dimę i Władimira, podczas gdy kopiący obiegł land cruisera, wepchnął Krolla na fotel pasażera, a sam wskoczył za kierownicę.

– Ktoś nas tu bardzo, bardzo nie lubi – powiedział Władimir.

Oba samochody pojechały do małego terminala. Podeszli do nich dwaj kolejni mężczyźni, którzy dotąd opierali się o śmigłowiec: czarne spodnie i T-shirty pod czarnymi bluzami, pistolety maszynowe PP-2000 na paskach, triumfalne miny.

Władimir spojrzał na Dimę.

– Powiemy im, że wyglądają jak statyści z filmu o Bondzie?

– Przygnębiające, prawda? Co za brak wyobraźni.

– Znudziło mi się już, że źli to zawsze Rosjanie. Ale skoro ci tutaj są źli, to znaczy, że my jesteśmy dobrzy!

– Słuszna uwaga.

– Stul ryj, głupi fiucie – warknął niższy z dwóch. Policzki miał dziobate po pryszczach z okresu dojrzewania, a oczy czerwone od zbyt wielu niedospanych nocy. Był odrobinę mniej odrażający od drugiego, co nie było jakimś szczególnym osiągnięciem. Uśmiechał się pod nosem, jakby chciał powiedzieć: „lecaj na mnie wszystkie laski”.

W twoich marzeniach, pomyślał Dima.

– Przelecimy się helikopterem? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę bazę w kraterze wulkanu – powiedział Władimir.

Wyższy mężczyzna, który przypominał Dimie łasicę widzianą w jakiejś kreskówce, wyciągnął swojego nowiutkiego, policyjnego gracha i uderzył Władimira ręką w policzek.

– On jeszcze strzela kulami z tego spiczastego końca – powiedział Władimir. – Pokazać ci?

– Zamknij się – warknął Łasica – bo połamię ci wszystkie gnaty.

Dwaj mężczyźni w maskach wyciągnęli Krolla z land cruisera. A gdzie, do kurwy nędzy, była Amara? Całą trójkę zaprowadzono do budynku terminala; tam na ich oczach mężczyźni z gazika wypatroszyli land cruisera. Jeden wyciągnął koło zapasowe, przeciął wykładzinę bagażnika i przeszukał wszystkie rogi. Drugi zajrzał pod maskę, zerwał listwę z drzwi, a nawet podsufitkę.

– Już wiem – powiedział Władimir. – Oni szukają narkotyków!

– Chyba że liczą na superkieszonkową bombę atomową – odparł Dima.

– Co, tę, którą połknąłem?

– Ale poważnie, oni chyba nie myślą, że to my je mamy?

Przeszukanie nie przynosiło rezultatów. Łasica odesłał szukających do gazika, podszedł zdecydowanym krokiem do Dimy i zatrzymał się tak blisko, że prawie stykali się twarzami.

– Może przestaniecie zgrywać cwaniaków i powiecie nam po prostu, co z nimi zrobiliście?

– Z przekąskami? Zjedliśmy po drodze. Lotniskowa kawiarnia jeszcze zamknięta?

Dima popatrzył na Krolla, który miał nieodgadniony wyraz twarzy. Gdzie była Amara?

Usłyszał, że za nim otwierają się drzwi: następni dwaj mężczyźni w czerni. Obok niego pojawił się zgarbiony, zakrwawiony Darwiz. Zawleczono go do stołu i rzucono na krzesło.

Trudno było go rozpoznać. Twarz wokół oczu miał tak spuchniętą i siną, że oczy zmieniły się w zakrwawione szparki. Miał złamany nos, z popękanych warg ciekła krew. Z brody zwiślał mu zaschnięty sopel krwi i śliny.

– Podnieś rękę, rozstaw palce.

Darwiz, całkowicie złamany, usłuchał.

Łasica spojrzał na Władimira.

– Chcesz zobaczyć, jak celnie strzela grach? Patrz.

Wystrzelił. Ręką Darwisza szarpnęło w tył, spadł z krzesła.

– Duże wyzwanie to nie było – stwierdził Dima. – Prawdziwy mężczyzna daje przeciwnikowi szansę.

– Wstawaj, chuju – rozkazał trzeci. Był większy od Łasicy i zupełnie łysy.

– Jeszcze jakieś dowcipy? – spytał. – A może od razu przejdziemy do bomb?

– Jasne. Są w drodze do Paryża i Nowego Jorku, wiezione przez byłego żołnierza Specnazu, kryptonim Salomon albo Sulejman, w zależności od tego, którą stronę akurat wybierze. Pochodzą od nieżyjącego Amira Kafarowa, sprzedającego rosyjską broń temu, kto da więcej. Skąd wiem, że nieżyjącego? Bo umarł mi na rękach. Na zawał serca, żeby było śmieszniej.

– Nie stać cię na więcej? Przecież wiem, że je sprzedaliście. A, zapomniałem powiedzieć. Jesteście aresztowani za nielegalny handel bronią.

Dima, wściekły, czuł, jak pięta wrzynają mu się w nadgarstki.

– W takim razie mam prawo zachować milczenie.

– Nie masz, kurwa, prawa do niczego!

Mężczyzna odwrócił się do Darwisza, który ścisnął zakrwawiony kikut lewego kciuka.

– Twój kolega Majakowski nie chce współpracować. Podnieś drugą rękę.

Darwisz dygotał, z jego zapuchniętych oczu ciekły łzy. Rozległ się strzał. Wszyscy się obejrżeli. Lewa połowa głowy Łasicy rozbryznięta się lepkim prysznicem krwi i mózgu. Dima rzucił się po PP-2000, wiszący na jego ramieniu, i zdjął Niskiego dwiema krótkimi seriami. Łysy uciekł tylnym wyjściem z terminala, pod nawałą ognia Władimira, który złapał broń upadającego Niskiego. Władimir rzucił się za nim w pościg, a Dima i Kroll popędzili zająć pozycje, z których mogli załatwić chłopców z gazika, wysypujących się z niego czterema drzwiami. Dopiero wtedy zobaczył Amarę, znieruchomiałą w pozycji strzeleckiej z pistoletem w dłoni. Upuściła go i podbiegła do ojca.

– Kiedy na was czekaliśmy, poszła na siusiu – powiedział Kroll. – Dałem jej makarowa, tak na wszelki wypadek.

Land cruiser wybuchł kulą ognia – musiał oberwać zabłąkanym pociskiem jednego z upadających mężczyzn z gazika. Chwilę później eksplodował i sam gazik. Dima podbiegł do Amary, która ostrożnie obejmowała poranionego ojca.

– Helikopter. Spróbujcie się do niego dostać. Kroll będzie was osłaniał.

Zawołał Krolla, pokazał mu ich, a potem pobiegł do śmigłowca, zbaczając po drodze do jednego z upadających mężczyzn z gazika, żeby zabrać mu kałasznikowa. Kiedy ostatni raz pilotował helikopter? To jak noszenie wody na tacy, skarżył się instruktorowi. Nie zastanawiaj się, tylko to zrób. Ten

egzemplarz wyglądał na nowiutki, jak prosto z salonu. Pierwszy problem: drzwi zamknięte na klucz. Nie było czasu nad tym ślęczeć. Celny strzał usunął dużą ich część wraz z zamkiem. Dima wciągnął się do środka. Jezu, wszystko wyglądało tak obco. Dobra, tylko się skup...

Dźwignia skoku ogólnego na lewo od fotela, jak hamulec ręczny, odpowiada za ruch góra-dół. Zostawić w dole. Dźwignia sterowania okresowego, drążek z przodu, odblokowany. Główny zawór paliwa – jest. Elektryka – jest. Kontrolka przekładni – jest, kontrolka sprzęgła – jest. Odciecie paliwa wyciśnięte – czy przy starcie powinno być wciśnięte? Spróbujemy z wciśniętym. Pokrętko przepustnicy na końcu ogólnej – do połowy. Ssanie – jest. Zapłon. Dima nacisnął przycisk. Kurwa – nic. Zaczął od początku. Odciecie paliwa wyciśnięte, ssanie tym razem wciśnięte. Widział Amarę, która zataczała się po płycie z ojcem. Mocniej otworzyć przepustnicę. Znow zapłon. Następna eksplozja na zewnątrz. Wielka kula ognia za terminalem. Co to, kurwa, było? Nie Władimir. Gdzie jesteś, Władimir? Dima usłyszał wycie trzpieni wirników – potem nic. Kroll miał dwa kałasznikowy, strzelał z biodra z obu naraz. Dobry stary Kroll.

Jeszcze raz wcisnął zapłon. Miał szczerą nadzieję, że nie zalał silnika. To nie samochód, głąbie! Zamknął przepustnicę, wcisnął zapłon. No dalej, ty cholerne ruskie gównie! Silnik ożył z gwizdem, łopaty zaczęły się obracać, boleśnie powoli. Co to ma być, przecież to nie pieprzona wskazówka godzinowa? Otworzył przepustnicę do oporu i obroty wzrosły do dwóch tysięcy. Wirnik zaczął chłostać powietrze, które trzaskało drzwiami bez klamki. Dima sięgnął za siebie i otworzył tylne, przesuwane drzwi, żeby reszta mogła wejść na pokład. Kroll wycofywał się w jego stronę i ciągle strzelał, osłaniając Amarę i Darwisza. Spotkali się pod wirnikiem. Władimira nie było.

Dima czuł, że łopaty chwytają powietrze, gotowe do lotu. Pociągnął ogólną, wcisnął prawy orczyk, żeby zrównoważyć moment obrotowy wytworzony przez zwiększenie kąta natarcia łopat. To jak z jazdą na rowerze – tyle że zupełnie inaczej. Mimo to pogratulował sobie w myślach, że pamięta. Pociągnął ogólną, aż śmigłowiec zaczął się podnosić i obracać. Docisnął orczyk, żeby go wyprostować.

Darwisz opadł bez sił na otwarte drzwi. Kroll pomógł Amarze załadować go do środka. Szybciej, Władimir. Zza hangaru wyłoniła się kulejąca postać. Dima szturchnął Krolla.

– Pomóż mu.

Władimir powłóczył zranioną, lewą nogą. Kroll zeskoczył z powrotem na ziemię i z pewnym trudem wciągnął go do helikoptera. Kiedy tylko oderwali się od ziemi, Dima pchnął drążek do przodu. Za mocno. Dziób opadł, jakby zaczepili o coś płozami. Pociągnął w tył – za mocno, szarpnęło ich do tyłu. „Steruj ciśnieniami, nie ruchami”, przypomniał sobie krzyk instruktora. Złapał poziom, ale wtedy szarpnęło nimi w lewo. Otworzyły się drzwi bez zamka – na płozie wisiał jeden z zamaskowanych mężczyzn.

– Przekaż wiadomość swojemu dowódcy, kiedy już zeskrobiecie go z ziemi. Dłonie to bardzo delikatne urządzenie, a kciuki są niezastąpione.

Dima ścisnął drążek kolanami (z całą pewnością nie było tego w instrukcji), podniósł PP-2000 i strzelił mężczyźnie w lewą dłoń. Dłoń zniknęła, ale tamten wciąż wisiał. Dima strzelił mu w prawą i dopiero wtedy mężczyzna odpadł.

Przy piętnastu węzłach poczuł dygot, który powiedział mu, że przeszedł do lotu poziomego. Pora zluźnić trochę z ogólną i odpuścić orczyk, ale dopchnąć okresową. Zalała go fala ulgi, kiedy śmigłowiec przyspieszył do przodu i wzbił się w niebo.

– Dobrze, którą do Rosji?

59 // Irańska przestrzeń powietrzna

Osprey lecący z powrotem do Spartakusa śmierział paliwem lotniczym, apteką i wymiocinami. Ranni byli przypięci pasami do noszy, ustawionych piętrowo na szkielecie kadłuba. Po ścianach wiły się rury. Lekarze siedzieli na małych, składanych krzeselkach po bokach ładowni, skąd mogli obserwować pacjentów i poprawiać kroplówki wiszące na wieszakach w górze. Kiedy samolot wystartował, chodzili w tę i z powrotem w beżowych kombinezonach i niebieskich, gumowych rękawiczkach, niczym mechanicy o niezwykle delikatnych dłoniach. Jeden czy dwaj spośród rannych mieli nie przeżyć. Blackburn pomyślał o Cole'u, leżącym pod gruzami z jego kulą w ciele. To nie był nawet przypadkowy postrzał – to była zemsta.

Siedział na krzeselku obok Ablesona, młodego oficera sztabowego z zespołu majora Johnsona. Ableson był jednym z tych szczupłych bystrzaków, którzy toczyli wojnę z za swoich laptopów. Przez bite dwie godziny lotu nie odezwał się do Blackburna ani słowem, ale Blackowi wcale to nie przeszkadzało. W końcu zauważył wolne nosze i spytał Ablesona, czy może z nich skorzystać.

Zasnął natychmiast. Śniło mu się, że jest dzieckiem, leży w swoim łóżku, jest chory, ale czuje się bezpiecznie. Uśmiechnięta matka przynosi mu grzanki i gorące mleko. „Do Nowego Jorku jedzie atomówka, mamo” – mówi. „Musimy ją zatrzymać”. Matka przykłada mu palec do ust, wciąż z uśmiechem na ustach. „Ćśś. Jedz”.

Kiedy wylądowali w Spartakusie, była noc. Blackburn zaproponował, że pomoże przy wyładunku rannych, ale Ableson go przepędził. Po obozie pod Teheranem Spartakus przypominał olbrzymie, wojskowe miasto, pełne sprzętu i ludzi. Miejsce, które tydzień temu było dla Blackburna prawie domem, teraz zmieniło się we wrogie środowisko.

– Muszę się umyć – powiedział do Ablesona.

– Później. Czekaają na ciebie. Chcesz coś zjeść?

Blackburn odruchowo odwrócił się w stronę stołówki, ale Ableson go powstrzymał.

– Coś ci przyniosę.

Zaprowadził go do kontenera mieszkalnego.

Blackburn musiał jakoś poinformować górę o Salomonie.

W środku czekali na niego Dershowitz i Andrews. Blackburn nie mógł już o wiele bardziej podupać na duchu, ale udało mu się osunąć jeszcze parę centymetrów. Dershowitz siedział z wzrokiem wbitym w ekran laptopa, Andrews miał przyciśniętą do ucha komórkę. Wyglądali tak samo, jak kiedy ich zostawił, jakby czekali tu przez cały ten czas, żeby go załatwić. Jego własna, osobista apokalipsa.

60 // WBO Spartakus, iracki Kurdystan

Dershowitz podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Chyba przydałaby ci się kąpiel, młody.

– Kazano mi przyjść prosto tutaj. I jeśli nie robi to panu różnicy, sir, czy mógłby się pan do mnie zwracać po nazwisku? Jestem sierżant Blackburn.

– Jasne, młody. – Dershowitz uśmiechnął się pod nosem.

Andrews schował komórkę do kieszeni.

– Dobrze. Opowiedz, jak ci minął dzień.

– Zły dzień w Black Rock, co? – rzucił Dershowitz.

– Co?

Blackburn nie wiedział, do czego tamten pije, ale nie było to nic dobrego.

– Jeśli nie robi ci to różnicy, młody, możesz się do mnie zwracać „sir”, kiedy mi odpowiadasz.

Przy „sir” Dershowitz rąbnął otwartą dłonią w stół.

– Tak jest, sir. Przepraszam, sir.

Andrews wyglądał, jakby z całych sił powstrzymywał gazy.

– Zaczynaj od początku.

Blackburn opisał, co zobaczył, kiedy wydostał się z ospreya, jak wspinał się po gruzowisku z ostrzelanego domu i znalazł drzwi prowadzące do schronu.

– Chwila, moment – przerwał mu Andrews, machając ręką. – Musimy zrozumieć twoje motyw. Bardzo szybko pobiegłeś do tego zrujnowanego budynku. Nie było to trochę nieroztropne?

Spuścił wzrok i zaczął coś wściekle szybko pisać.

– Warunki wskazywały, że w budynku może znajdować się cel, a sam budynek mógł się w każdej chwili zawalić.

– A więc wszedłeś do środka. – Andrews znów się uśmiechnął. – I zastałeś tam kogoś?

Chcieli usłyszeć szczegóły. Podał im je.

– Sir, w domu znajdowały się trzy nieżyjące osoby. Wszystkie niedawno zmarłe. Jedna na pierwszym piętrze domu i dwie w schronie, z których jedna w basenie, druga na brzegu. Uznałem, że zostały uderzone walącymi się elementami konstrukcji podczas bombardowania.

Dershowitz nie podniósł wzroku.

– A więc teraz jesteś też patologiem. Wszechstronny z ciebie gość, Blackburn.

– Porozmawiajmy o poruczniku Cole’u – powiedział Andrews. – Co się stało?

Blackburn popatrzył na jednego, potem na drugiego z nich.

– Przecież to proste pytanie.

Postanowił skupić się na Dershowitzu, jako bardziej agresywnym. Ci ludzie żyli ze słuchania kłamstw. Proste pytanie. Prosta odpowiedź.

– Nie wiem, co się z nim stało, sir. Budynek zaczął się walić. Uznałem, że największe szanse daje mi znalezienie wyjścia ewakuacyjnego, które widziałem na planach.

Dershowitz uśmiechnął się. Blackburn nie wiedział, co gorsze – jego uśmiech czy jego milczenie. Uśmiech w komplecie z milczeniem też nie był zbyt przyjemny. Ableson zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Niósł colę i hamburgera, zawiniętego w woskowany papier.

– Wypierdalać, nie widzisz, że jesteśmy zajęci?

Blackburn niemal poczuł ulgę, że nie tylko na nim skupia się gniew Dershowitza.

– Opowiedz mi o Cole’u.

– Co konkretnie, sir?

Dershowitz zmarszczył czoło.

– Jak to: „co konkretnie”? Kurwa mać, to twój dowódca. Masz go w dupie?

Podniósł kosz na śmieci i zamaszystym ruchem zgarnął do niego colę i hamburgera.

Blackburn poczuł, że eksploduje w nim gniew, ale nie dał im satysfakcji, okazując go. Musiał zachować panowanie nad sobą. Głowa pulsowała mu bólem. Z natury był prawdomówny. Matka zawsze go za to chwaliła, nieważne, co przeskrobał.

„No cóż, Henry. Nie jestem zadowolona, że to zrobiłeś, ale dobrze, że się przyznałeś”.

– Twój koleżka Campo mówi, że stracił z tobą kontakt radiowy, kiedy

wszedłeś do budynku. Mówi, że zgłosił to twojemu oficerowi dowodzącemu, a ten, porucznik Cole, odważnie postanowił ruszyć ci na ratunek.

– Front domu zawalił się niedługo po tym, jak straciłem kontakt z Campo, sir. W tym momencie uznałem, że nie jest możliwe ani bezpieczne, żebym wrócił tą samą drogą, którą wszedłem, więc postanowiłem poszukać alternatywnego wyjścia w oparciu o plany, które nam dostarczono.

Patrzyli na niego bez wyrazu. Blackburn wzruszył ramionami.

– W banku w Teheranie znalazłem broń masowego rażenia oraz dowody wskazujące na istnienie dwóch kolejnych. Mieliśmy dane sugerujące, że mogą znajdować się w tamtym domu. Chciałem dokończyć to, co zacząłem w banku.

– To nie rozmowa o pracę, młody. Dość tego samochwalstwa. Twój dowódca zginął, próbując cię ratować.

Ratować... Akurat. Ale co mógł powiedzieć?

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

Czemu jesteście wobec mnie tak podejrzliwi? – chciał zapytać Blackburn. Co takiego złego zrobiłem? Odpowiedź dotarła do niego natychmiast. Zabiłeś swojego dowódcę. Gorzej się nie da.

– Sir, kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, mówiłem wam o Salomonie. Z tym nazwiskiem na ustach umarł Baszir. A ponieważ to jedyny ślad, jaki mamy w sprawie tych dwóch pozostałych atomówek, mam powód sądzić, że powinniśmy potraktować to nazwisko bardzo poważnie. Czy mogę przypomnieć panom o mapach, które znalazłem w bankowym sejfie, mapach Paryża i Nowego Jorku?

Żaden z nich go nie słuchał. Andrews wpatrywał się w ekran laptopa. Przywołał Dershowitza, który zrobił to samo. Nagle jego twarz pojaśniała.

– O, proszę.

Obrócił ekran do Dershowitza, który wytrzeszczył oczy tak bardzo, że wyglądały, jakby zaraz miały mu wypaść z oczodołów.

– Blackburn, ależ ty masz przejebane.

61 // Przestrzeń powietrzna nad północnym Iranem

Kroll usiadł z przodu obok Dimy. Z tyłu Władimir splądrował apteczkę policyjnego helikoptera i zajął się opatrywaniem Darwisza, którego położono na podłodze przedziału pasażerskiego.

– Przydałoby się trochę krwi. Ktoś chętny?

Dima szarpnął śmigłowcem w lewo; Kroll wyrznął o gródź.

– Przepraszam! Linia wysokiego napięcia.

Kroll pobielającymi palcami ścisnął boki swojego fotela.

– Kiedy ostatni raz takim latałeś?

– Chcesz popilotować?

– Wiesz, że nie znoszę tego draństwa.

– Przydad się na coś. Chcę porozmawiać z Omorową.

– Jak ci do niej dyga, to musisz poczekać.

Dima podyktował mu prywatny numer, który miał od Omorowej. Kiedy Kroll się połączył, przekierował ją na słuchawki Dimy.

Tak samo jak wtedy miała zaspany głos.

– Zawsze musisz dzwonić w środku nocy? Zaczyna ci to wchodzić w krew.

– Wtedy najbardziej za tobą tęsknię. Popracuję nad tym.

– Co to za hałas?

– Helikopter, który pożyczyłem.

– Widzę, że coraz lepiej ci się powodzi. Jak idzie misja?

– Okropnie. Kafarow nie żyje. Atomówki zniknęły. Wpadliśmy w zasadzkę jakichś bandytów.

– Jesteście poszukiwani. Spodoba ci się to: „poszukiwani w związku z handlem bronią atomową”.

Dima szarpnął drążkiem sterowym, żeby ominąć następne kable; jednocześnie jego mózg usiłował przyswoić to, co słyszał.

– To dlaczego ze mną rozmawiasz? To chyba niezbyt dobre posunięcie

z punktu widzenia twojej kariery.

Westchnęła, dość ponętnie.

– Moja kariera stanęła w miejscu. Wszystkich zajmujących się tą operacją odsunięto.

– Muszę się zobaczyć z Paliowem.

– Siedzi w areszcie domowym. Na twoim miejscu trzymałabym się z daleka od moskiewskiej przestrzeni powietrznej.

– Powiedz mi po prostu, gdzie on jest. Musisz też dowiedzieć się dla mnie jak najwięcej o byłym żołnierzu Specnazu, tajnym współpracowniku CIA, działającym obecnie w LWRO, niejakim Salomonie vel Sulejmanie. Proszę.

– Muszę iść spać.

– Uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że od tego zależy przyszłość świata?

– Dobrze, dobrze. Zadzwoń później.

Rozłączyła się.

Władimir nachylił się nad fotelem Dimy i podniósł jedną z jego słuchawek.

– Darwisz nie żyje. Przykro mi.

Na Boga, jak my to powiemy Amarze, pomyślał Dima, ale potem podążył za spojrzeniem Władimira i zobaczył ją, pochyloną nad ciałem ojca i bezgłośnie płaczącą.

Dima miał sporo na głowie i bez ciągłego uważania na linie wysokiego napięcia. Podniecenie wywołane kradzieżą helikoptera zniknęło; myślał o Darwiszu. Jego śmierć wzmocniła determinację Dimy, by jakoś za nią odpłacić. Darwisz nie mógł umrzeć na próżno: przynajmniej tyle Dima był winien staremu przyjacielowi. To, co powiedziała mu Omorowa oznaczało, że poczucie wolności, które dawał mu śmigłowiec, było chwilowe. W powietrzu był celem. Musiał zniknąć z nieba, znaleźć coś innego, co pozwoliłoby mu dostać się do Moskwy niezauważonym. Kroll podsłuchiwał rozmowę na swoich słuchawkach. Wiedział, z czym przyszło im się zmierzyć.

– Czyli jesteśmy wyjęci spod prawa. Chyba możemy się już pożegnać z jakimkolwiek wynagrodzeniem za tę wycieczkę.

Dima przygotował się na potok narzekań Krolla.

– Nigdy nie mówiłem, że to będzie proste.

– Miałem nadzieję zabrać dzieciaki do Eurodisneylandu.

– Jasne. Ich matki nawet by ci nie otworzyły.

– Pojechałyby z nami. Wszystko miałem zaplanowane.

Życie osobiste Krolla przypominało wypadek samochodowy w zwolnionym tempie i Dima naprawdę nie chciał teraz o tym rozmawiać.

– Będziesz miał jakieś pomysły, jak skończysz jęczeć?

Kroll rozpromienił się.

– Ten śmigłowiec jest trochę wart. Moglibyśmy go opchnąć.

– Boki zrywać.

– Mówię poważnie. Bilesuvar. To tylko jakieś pięćdziesiąt kilometrów za azerską granicą. Zanim ktokolwiek nas zauważy, siądziemy na ziemi.

To właśnie Dima lubił w Krollu najbardziej – zawsze miał pod ręką najmniej oczywiste rozwiązanie każdego problemu.

Bilesuvar. Za radzieckich czasów było to cmentarzysko sprzętu sił powietrznych, tak starego, bezużytecznego albo zużytego, że nie dało się go już zmusić do latania. Od chwili odzyskania przez Azerbejdżan niepodległości stało się ono głównym ośrodkiem przetwarzania części zamiennych i aluminium. Kwitł tam także handel statkami powietrznymi wątpliwej proveniencji.

Ryzyko było spore, ale nie mieli innego wyjścia.

Kiedy przekraczali granicę, niebo na wschodzie jaśniało. Dima trzymał się nisko nad ziemią, żeby nie namierzyły ich żadne radary. Myślami wrócił do Blackburna. Amerykańska armia na pewno chciała się dowiedzieć, co stało się z Cole'em? Ile im powiedział? W co z tego uwierzyli? Czy został przekazany w ręce CIA? Dla Darwisza, dla Blackburna, dla siebie samego – musiał powstrzymać Salomona, o ile nie było już za późno.

– Tylko popatrz.

Na widok morza zimnowojennego sprzętu w Krollu obudził się mały chłopiec. Wokół śmigłowców Mila różnych typów stało pół tuzina tupolewów Tu-95 „niedźwiedzi”, które pewnie dokonały żywota, dręcząc NATO nad Morzem Północnym, oraz chyba drugie tyle MiG-ów-15, pierwszych radzieckich myśliwców odrzutowych z silnikami wzorowanymi na konstrukcji Rolls-Royce'a. Jak to miło ze strony Brytyjczyków, że podzielili się swoją technologią. Dimę opanowało wewnętrznie sprzeczne uczucie nostalgii za sowieckimi czasami. Teraz wiedział, że Związek Radziecki był popieprzony, ale wtedy wydawało mu się, że jest, jak być powinno.

– Z takim sprzętem na pewno wygralibyśmy Zimną Wojnę – powiedział Kroll, patrząc na cmentarzysko w dole.

– Wygraliśmy. Tylko nie ci „my”, co trzeba.

– No, miejmy nadzieję, że mają tam na dole jakiś przyzwoity wózek.

Dima posadził kamowa między jakimiś szopami z blachy falistej, a olbrzymim, bezskrzydłym iliuszynem Ił-76. Grupa robotników cięła kadłub samolotu piłami łańcuchowymi, niczym mrówki pożerające jakąś olbrzymią ofiarę. Trzech mężczyzn w tatuażach i poplamionych kombinezonach wyszło z szop z kałasznikowami w gotowości, jeden wyraźnie z przodu.

– Jezu – powiedział Kroll. – Popatrz tylko.

– Bywałem witany serdeczniej.

Choć pozbawiony rządowych oznaczeń i ze śladami walki, nowiutki

kamow wciąż śmierdział oficjalstwem.

– Zawracać i wypierdalać z powrotem do Moskwy, chyba że chcecie kulkę w jaja! – wrzasnął największy z trójki; w brązowych zębach trzymał niezapalone, krótkie cygaro.

– Może ten Mad Max myśli, że jesteśmy ze skarbówki.

Dima i Kroll powoli opuścili się na ziemię, z rękami w górze. Przez dziurę wystrzeloną w drzwiach dobiegła ich mieszanka smrodu rdzy, oleju silnikowego i niemytych ciał.

– Mmm! – Kroll zaciągnął się z rozkoszą.

– Mniej tu śmierdzi niż w twoim samochodzie – powiedział Dima.

– Tak sobie przelatywaliśmy – zaczął Kroll – i pomyśleliśmy, że może...

– Zamknij się i stań tam.

Uśluhali. Po drodze Dima szturchnął Krolla.

– Nie na darmo nazywają to Dzikim Wschodem.

63 // Azerbejdżan

Mad Max zmierzył ich wzrokiem, zatrzymując go na podartej i pokrwawionej koszuli Dimy.

– Coście, kurwa, za jedni?

– Nieważne. Chcemy pohandlować – odparł Dima neutralnym tonem.

W otoczeniu rdzewiejących wraków w różnych stadiach rozczłonkowania lśniący kamow wyglądał jak przybysz z kosmosu. Kilku spośród robotników krojących iliuszyna wyłączyło piły.

– Bardzo śmieszne. Widzisz tu gdzieś bazar?

Ale Max, mówiąc to, gapił się na śmigłowiec jak na tancerkę go-go. Mimo opryskliwości, jego wzrok mówił „chodź do mnie, maleńka”.

– Musimy zmienić środek transportu. Na coś bardziej... przyziemnego. Dwa szybkie, sprawne samochody i kamow jest wasz. Nigdy więcej nie trafi ci się taka okazja.

Jeden z pozostałych dwóch ruszył w stronę śmigłowca. Kroll pogroził mu palcem.

– E-e. Można popatrzeć, bez dotykania.

Max zauważył Amarę, siedzącą z tyłu z twarzą bez wyrazu. Zrobił jeszcze większe oczy. Okrążył śmigłowiec, jakby nie wiedział, czy ma wierzyć temu, co widzi, potem wyjął z ust cygaro i obrócił je z namysłem w tłustych, pomarańczowych palcach.

Dima zerknął na Krolla.

– Moja siostra – powiedział Kroll.

Max zaśmiał się.

– Można chyba popatrzeć, co?

– Jest bardzo nieśmiała, nie lubi, jak ktoś się na nią gapi.

– To świetna oferta – powiedział Dima. – Będziesz mógł przejść na emeryturę. Kupić sobie gdzieś ładny dom.

– Moje życie to moja praca, po co miałbym przechodzić na emeryturę?
Kroll spróbował innego podejścia.
– Czeczeńcy by za taki zabili.
– Można to było chyba lepiej ująć – mruknął Dima.
– Kurwa, do roboty, leniwe gnoje! – wrzasnął Max; na widok Amary wszyscy znieruchomieli.

Zza szopy wystawał mercedes klasy S, niebieski metalik z kontrastowymi, czerwonymi zderzakami. Dima skinął głową w jego stronę.

– Masz takich więcej?
– To mój osobisty transport. Ale dorzucicie siostrę i umowa stoi.
Amara zrobiła przerażoną minę. Max wysunął głowę z kamowa, którego oglądał. Spojrzał na rząd zdjętych grozą twarzy i zaśmiał się.
– Żartuję, wy durnie! Nie macie poczucia humoru?
– Faktycznie, dobry żart – powiedział Władimir.
– Biorę. Mam tu niezłe volvo. Mały przebieg.
– Znam to: tylko jedna właścicielka, starsza pani.

Dima uśmiechnął się wbrew sobie. Może jednak uda im się wyjść z tego cało.

Owinęli Darwisza w brezent i załadowali go delikatnie na tył volvo.
– Miałem nadzieję na merca – powiedział Władimir.
– Zawieziesz Amarę i jej ojca do domu. Potem będziesz mi potrzebny w Paryżu.

Władimir zrobił wielkie oczy.
– Naprawdę się na to decydujemy?

Dima wzruszył ramionami.

– Nie mamy wyboru.
Chociaż nie było jeszcze dziewiątej, Max wyciągnął ze starej zamrażarki butelkę wódki.

Nalał ognistego trunku do małych kieliszków z napisem „Pamiętka z Czarnobyli”.

– Cenne antyki.
– Jak dla mnie trochę za wcześnie – powiedział Dima. – Ale dzięki za pamięć. Ty nie, ty prowadzisz – rzucił do Władimira.

Nie było czasu do stracenia, od Moskwy dzieliły ich dwa tysiące kilometrów.

Dima wziął Amarę na bok.

– Uratowałaś nam tam życie. Twój ojciec oddał swoje. Jeśli uda mi się z tego wyjść cało...

Amara przyłożyła mu smukły palec do ust.

– Żadnych obietnic.

– Czy twój ojciec coś powiedział, zanim...?

Uśmiechnęła się przez wzbierające w oczach łzy.

– Tylko tyle, że jest „bardzo dumny”.

Uścisnęli się krótko, Amara wsiadła do samochodu.

– Do zobaczenia w Paryżu. Bądź tam jutro wieczorem.

Władimir kiwnął głową.

– *Adios amigos.*

Dima odwrócił się do Maxa, który wyglądał tak, jakby Gwiazdka w tym roku nadeszła wcześniej.

– Nigdy nas nie widziałeś, jasne?

– Czy wyglądamy na kapusiów?

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

– Nie ma sprawy. Uważajcie na siebie. I weźcie to. – Otworzył szufladę. – Mogą się wam przydać.

Podał Dimie kable do akumulatora.

64 // WBO Spartakus, iracki Kurdystan

Przy drzwiach stali dwaj żandarmi. Co za marnowanie ich czasu, pomyślał Blackburn. Ledwie mógł stać, a co dopiero uciekać, ale i tak skuli mu nogi. Był teraz więźniem – może na zawsze.

Do Andrews i Dershowitza dołączył trzeci mężczyzna, w bojówkach i koszulce z Bruceem Springsteenem. Nie przedstawili mu go, ale pozostali dwaj nazywali go Wes. Przyniósł ze sobą laptopa z ekranem o wysokiej rozdzielczości.

Po raz trzeci puścili film z satelity. Pełne ujęcie obejmowało dom i wejście do tunelu, ale za każdym odtworzeniem Wes je powiększał i za każdym powiększeniem obraz stawał się bardziej – nie mniej – wyraźny.

– Dobra, zobaczmy jeszcze raz, jak świstaki wychodzą z norki.

Wes mówił z teksańskim akcentem, pasującym bardziej do otwartych przestrzeni niż do dusznego kontenera pełnego spoconych mężczyzn. Obejrzelik nagranie jeszcze raz. Najpierw Dima, wychodzi z tunelu, rozgląda się, odwraca, macha ręką. Potem Blackburn, osłaniający oczy przed nagłym blaskiem słońca. Dima podnosi telefon do ucha.

– Leworęczny. Interesujące.

Dwaj pozostali zerknęli na Wesa.

– Goście z tamtych stron lewej ręki używają do podcierania się.

Przewinął zejście Dimy i Blackburna do przykrytych siatką maskującą ruin szopy.

– Nawet wzruszające, że przykryli tego land cruisera siatką, prawda, jakbyśmy go mieli nie znaleźć.

Cała trójka zdołała to uznać za całkiem zabawne.

Zbliżenie na Władimira i Krolla.

– Trochę bez przekonania się witają. Może ten tu mówi: „Coś ty przywłókł z tego tunelu, chłopcze? Wygląda na to, żeś sobie sprawił żołnierza

marines!”.

Dima odpowiedział, żywo gestykułując.

– A ten pewnie mówi: „E tam, to zdrajca swojego kraju. To nie amerykański żołnierz. To nawet nie człowiek. To wielka kupa psiego gówna”.

Wes popatrzył na Blackburna i zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Kurczaczki, niezłe nam się ostatnio trafia łajno, nie ma co!

Pokręcił głową, patrząc w ekran.

– I co, „sierżancie” Blackburn? Możesz zachować milczenie, jeśli chcesz. Co ci to da, nie mam pewności, ponieważ nasi ludzie będą analizować ten filmik tak długo, aż będzie wiadomo, o czym wy tam wszyscy na dole sobie rozmawialiście.

Żołądek Blackburna wykonał następny przewrót. Niewiele w nim zostało. Nie jadł i nie pił przez ostatnie sześć godzin, a cokolwiek w nim przedtem miał, zwymiotował do kosza na śmieci, na hamburgera i colę, które wrzucił do niego Dershowitz.

Wes zamknął laptopa. Dwaj pozostali usiedli. Dershowitz wydłubał coś z nosa i przyjrzał się temu.

– Wielka szkoda, sierżancie Blackburn – powiedział. – Całe to kosztowne szkolenie, syn szeregowego Michaela Blackburna, amerykańskiego żołnierza i weterana z Wietnamu, wnuk porucznika George’a Blackburna, odznaczonego bohatera II wojny światowej; syn porządnych ludzi, którzy poświęcili się w służbie kraju. I cóż to się stało, Henry? W którym miejscu to wszystko wzięło w łeb?

65 // Droga do Moskwy

– Dobrze być z powrotem na twardym gruncie i na łonie Mateczki Rosji – powiedział Kroll.

Prowadził samochód, jedną rękę przerzucił przez kierownicę, w drugiej trzymał puszkę coli. Mieli już za sobą pięćset kilometrów. Zostało jeszcze tysiąc pięćset.

– Wiesz, klasa S W220 to chyba mój ulubiony wóz. Albo ten, albo W126. Nie podobał mi się model pomiędzy, wiesz, ten, w którym księżna Dia...

Dima wyciągnął rękę i zasłonił mu nią usta.

– Dwie rzeczy, przyjacielu. Po pierwsze: zamknij się. Po drugie: dziś wieczorem albo jutro rano będziesz leciał do Paryża, więc za bardzo się tu nie zadamawiaj. Skup się na drodze i postaraj się nie dać zatrzymać glinom. Jak zobaczą azerskie tablice, pomyślą, że jesteście handlarzami żywym towarem.

Przyszła pora na jego pierwszy telefon do Paryża. Rossin odebrał od razu. Dima spróbował wyobrazić go sobie przy jego ulubionym stoliku w Café des Artistes w Marais z papierosem trzymanym dwoma palcami i „Paris Match” oraz „Economistem” rozłożonymi przed nim na stole, dla obu części jego osobowości.

– *Bonjour. C'est Majakowski.*

Zdało mu się, że słyszy odgłos upadającej filizanki.

– Przykro mi, nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Nie bądź fiutem, Rossin.

Rossin westchnął.

– Twój paskudny ruski ryj jest na wszystkich stronach policji i służb ochrony. Wygląda na to, że ukradłeś gdzieś bombę atomową i chcesz rozpętać III wojnę światową, głównie po to, żeby pohańbić Rosję.

Dima wysilił się na lekceważący ton.

– Błąd w druku. Prawdziwy winny to nasz dawny wspólny znajomy.

- Kto?
- Siedzisz? To uważaj: Salomon.
- Spodziewał się milczenia. Słusznie.
- Do widzenia, Dima.
- Zaczekaj! Wysłuchaj mnie.
- Wycofałem się.
- Nie możesz sobie na to pozwolić. Nikt z nas nie może.
- Właśnie to zrobiłem, pół minuty temu.
- Ostatnia przysługa, przez wzgląd na dawne czasy. Nigdy więcej się do ciebie nie odezwę. Obiecuję, na grób matki.
- Twoja matka zmarła w gułagu. Nie ma grobu.
- Parę strzępów informacji. Krótka obserwacja. Nic więcej.
- Salomon nie żyje. Wszyscy o tym wiemy.
- Myliliśmy się. Grał na czas. To jego wielkie „chuj ci w dupę” dla Zachodu. Proszę, wysłuchaj mnie. Celem jest Giełda. Najprawdopodobniej wykorzysta dla kamuflażu personel stołówki, może sprzątaczy.
- Będzie ich ponad setka.
- Sprawdź ich wszystkich.
- Ile mam czasu?
- Dwanaście godzin.
- Ha, ha.
- Zapłacę.
- Dima rozłączył się.
- Skoro mowa o płaceniu... – zaczął Kroll.
- Nie.
- To znaczy, chciałem powiedzieć...
- Pamiętasz moje: „zamknij się”? Będę o tobie pamiętał w testamencie.
- Kiedy to nastąpi?
- Niedługo. Do wieczora prawie na pewno będzie już po mnie. A teraz daj mi spokój, muszę jeszcze raz porozmawiać z Omorową.

66 // Moskwa

Łaźnia Matrioszka nie ma w sobie nic ładnego. Zbudowano ją w latach trzydziestych, bez barokowych ozdób charakterystycznych dla pozostałych ponad dwustu łaźni w mieście. Jednak pomimo brutalnie prostej architektury, obliczonej na gust nomenklatury, stwierdzenie Stalina – tuż przed jej otwarciem – że higiena to dekadencja, burżuazyjna obsesja, skazało ją na kilkadziesiąt lat bezczynności. Dima ją lubił, nie tylko dlatego, że przypominała mu młodość, ale też dlatego, że praktycznie zmonopolizowali ją imigranci i Cyganie. Choć figurował na samym szczycie listy najbardziej poszukiwanych ludzi na świecie, miał dużą szansę, że nikt nie zwróci tu na niego uwagi.

Przesiedział w saunie dziesięć minut dłużej niż zwykle, żeby porządnie odmoczyć warstwy brudu zebranego przez ostatnie kilka dni. Potem wskoczył do zimnego basenu, przepłynął czterdzieści długości i wyszedł, czując się jak nowo narodzony, gotowy ratować świat. Ogolił się, ostrzygł i zrobił sobie manicure, potem założył ubranie przyszykowane przez Krolla i wyszedł na ulice swojego ulubionego miasta.

Mieszkał w znacznie większej liczbie miejsc niż przeciętny Rosjanin, był globtroterem – choć określenie to nic by nie znaczyło dla większości jego towarzyszy – ale to miasto lubił bardziej niż inne. I miał nadzieję, że kiedy przyjdzie pora – a w jego branży nikt nie mógł wiedzieć, kiedy to nastąpi – tu właśnie umrze. W Moskwie.

Taksówka zawiozła go do Liberyjskiego Banku Kredytowo-Handlowego. Nie oferowano tam zbyt atrakcyjnych kredytów, handel też nieco kulał, mieli za to niezłą ofertę bankowych skrytek. W nich właśnie Dima trzymał swoje zapasowe życie. Paszporty: unijny, brazylijski i egipski; gotówka: euro, dolary amerykańskie, trochę jenów; karty Amex i Visa oraz makarow z ilością amunicji wystarczającą na niewielką potyczkę.

Portier popatrzył na niego dziwnie, ale Dima był myślami gdzieś indziej. Podeszedł do biurka i poprosił o otwarcie skrytki. Podał nazwisko Smoleńskowicz, którego używał tylko w tym banku. Pracownik popatrzył na niego z zakłopotaniem, ale gestem zaprosił go do sejfów. Odkleiła mu się podeszwa w bucie, klaskała o wykładzinę, kiedy szedł. Zaprowadził Dimę do skrytek i stanął w bezpiecznej odległości, żeby popatrzeć, co się będzie działo. Dima odwrócił kamery, po czym otworzył skrytkę – i nie znalazł w niej nic. Nawet zapasowego, francuskiego odpisu aktu urodzenia. Zatrzasnął szufladę, minął bezradnego pracownika, punkt obsługi klienta oraz portiera i pchnął obrotowe drzwi tak mocno, że kiedy wyszedł na chodnik, jeszcze się kręciły.

Poczuł uderzenie w pierś i runął na ziemię. Nikt nie powiedział „stój” czy „nie ruszaj się”. Dowódczyni zespołu postanowiła strzelać bez ostrzeżenia, z bliskiej odległości, żeby nie zranić przypadkowego przechodnia. Kula w serce. Z pistoletu GSz-18, o wiele głośniejszego niż PSS z tłumikiem, ulubiony w siłach specjalnych – ale agentki nie interesowała dyskrecja. Dwudziestu paru przechodniów nie mogło tego nie zauważyć.

Jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć, prawie zagłuszając syrenę nieoznakowanej, średniej wielkości furgonetki GAZ, która zahamowała z piskiem obok ciała. Choć całe zajście trwało zaledwie sekundy, jakiś mądrała zdążył wyciągnąć telefon, nagrać incydent i wrzucić go na YouTube jeszcze przed odjazdem samochodu. Jakby tego było mało, osobno nagrał kałużę krwi na chodniku przed drzwiami banku.

W samochodzie strzelająca ściągnęła kominiarkę i potrząsnęła włosami.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłam – powiedziała Omorowa.

67 // Bagdad, Strefa Zielona, Irak

Blackburn był pierwszy raz w Zielonej Strefie – ale i tak nie mógł nic zobaczyć, miał zawiązane oczy. Po co to? – zapytał żandarma, który zmienił mu plastikowe pęta na porządne, metalowe kajdanki.

– Po to, synu, że jesteś szpiegiem. A my nie chcemy, żeby szpiegdy wiedzieli rzeczy, których nie muszą.

Szpieg. I morderca.

Znaleźli zwłoki Cole'a. Kopali całą noc i większą część następnego dnia, przez gruz, ruiny domu aż do schronu, gdzie je znaleźli. Polowy patolog wydobył kulę, a zespół ekspertów potrzebował około pół godziny, żeby potwierdzić, że ślady na niej pasują do śladów na kilku innych, wystrzelonych na próbę ze skonfiskowanego M4 Blackburna. Dla pewności zdjęli z niego odciski palców i znaleźli tylko te należące do właściciela.

Chester Hain Jr był innym typem człowieka niż jego podwładny Wes. Wyglądał jak dobrze urodzony mieszkaniec wschodniego wybrzeża, wykształcony na uniwersytecie Ligi Bluszczowej. Całość uzupełniało jego zachowanie – Amerykanin mieszkał za granicą wystarczająco długo, by nauczyć się wtapiać w otoczenie i nie zwracać na siebie uwagi. W jego zawodzie umiejętność nader przydatna. Miał nieobecne spojrzenie; Blackburn domyślał się, że to skutek strawienia całego życia na czytaniu między wierszami. Może Hain zdołałby zajrzeć między wiersze tego, co Blackburn zdecydował się mu powiedzieć.

Nie miał już nic do stracenia.

– Czy możemy porozmawiać na osobności, sir?

Chester Hain Jr zerknął na człowieka, którego Black znał wyłącznie jako Wesa, bo nigdy się nie przedstawił. Teraz żuł listek gumy i mlaskał w sposób, jakiego Blackburna matka oduczyła, zanim jeszcze poszedł do szkoły.

– Wesley? – Hain skinął na drzwi. Wes przestał żuć, zdradzającym upokorzenie ruchem zatrzaskał laptopa i wyszedł bez słowa.

Nagle atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się odrobinę mniej dusząca, jakby zmniejszyła się liczba ludzi wdychających i wydychających powietrze, którym oddychał Blackburn.

Hain nalał wody z butelki do dwóch szklanek i pchnął jedną w jego stronę.

– Okropnie człowieka tu suszy. Pilnuj, żeby się nie odwodnić, jak na patrolu, OK?

Zachowywał się prawie po ojcowsku. Blackburn podniósł szklankę obiema dłońmi – wymuszały to kajdanki – wypił jej zawartość jednym haustem, odstawił szklankę na oddzielający ich szary, metalowy stół.

– Mogę zacząć?

Hain założył ręce.

– Dawaj.

Blackburn spodziewał się laptopa, przynajmniej notatnika. Hain tylko odchylił się do tyłu na krześle z miną klienta, któremu sprzedawca w salonie Buicka przedstawia listę opcji.

Blackburn opisał wszystkie szczegóły, jakie tylko mógł sobie przypomnieć, od chwili, kiedy zobaczył Dimę. Powtórzył ich rozmowę słowo w słowo, to, jak wymienili się informacjami o Salomonie i co Dima z tego wywnioskował. Opisał, jak spadła na niego belka i jak Dima go uratował, choć Blackburn miał jego broń w zasięgu ręki. Potem doszedł do pojawienia się Cole'a. Opowiedział Hainowi, jak jego dowódca zareagował na Harkera, na odkrycie w sejfie i na śmierć Baszira.

– Sądzę, że Cole mnie sprawdzał, sir. Chciał mi coś udowodnić, to, że nie wierzył, że będę miał odwagę stracić człowieka, którego uważał za wroga.

Blackburn doszedł do wniosku, że idzie mu dobrze. Hain słuchał bez choćby mrugnięcia okiem. Przez cały czas nie odwrócił wzroku ani nie zmienił pozycji na krześle. Jego bezruch działał jak pole siłowe, wysysał z Blackburna detale szybciej, niż ten był w stanie poddać je jakiegokolwiek obróbce. Zresztą i tak przestał ważyć słowa. Przecież było już po nim. Najlepsze, na co mógł liczyć, to uznanie jego współpracy po tym, jak powiedzieli mu o kuli wyciągniętej z Cole'a.

Kiedy skończył, Hain patrzył na niego przez chwilę.

– Dziękuję za szczerość, Henry.

Potem westchnął.

– Niestety z tym, co mi powiedziałaś, są dwa problemy. Jeden to bomby. Zrobiliśmy analizę. Ładunek, który zabezpieczyłaś, jest atrapą. Nie ma w nim materiałów rozszczepialnych. Ktokolwiek go sprzedał, mógł być naciągaczem.

Hain przerwał, pozwalając, by Blackburn przetrawił tę wiadomość. Potem pochylił się do przodu i złożył ręce na stole, jakby zamierzał się pomodlić.

– Drugim problemem jest to, że Federacja Rosyjska właśnie wydała międzynarodowy nakaz aresztowania niejakiego Dimy Majakowskiego, poszukiwanego za kradzież rosyjskiego państwowego uzbrojenia.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Zastrześliś niewłaściwego faceta, Henry.

68 // Moskwa

Zmierzchało już, kiedy Kroll wyłonił się ze stacji metra Sierpuchowska z wielkim bukietem kwiatów i ruszył do bloku mieszkalnego dwie przecznice dalej. Za czasów Breżniewa mieszkanie w Sierpo, jak nazywano tę dzielnicę, było dostępne tylko dla wybrańców. Przeprowadzenie się tutaj było sygnałem dla reszty nomenklatury, że idzie się w górę. Dziś, podobnie jak wielu jego starzejących się mieszkańców, Sierpo staczało się coraz niżej i bardzo potrzebowało odnowy.

Kroll, zanim wszedł, dobrze przyjrzał się budynkowi z zewnątrz. W środku błysnął przepustką GRU, którą zwinął podczas akcji z córką Bułganowa. Na ludzi Paliowa by nie podziałała, ale na odźwiernym zrobiła odpowiednie wrażenie. Potem ruszył wręczyć kwiaty niejakiej Kseni Moronowej. Ponieważ nazwisko Moronowa należało do jego trzynastoletniej córki, z którą nie miał kontaktu, wiedział, że mu się to nie uda, ale wcisnąwszy wiele dzwoneczków i zaproponowawszy bukiet licznym mieszkańcom budynku, zdobył niezłe rozeznanie o ochronie Paliowa, a także rozkładzie mieszkań.

Dwadzieścia minut później Dima, w nowym ubraniu, podjechał mercedesem i go zabrał.

– Kuchnie przylegają do szybu wentylacyjnego. Moglibyśmy wstawić drabinę od Kasparowów. Są bardzo starzy i prawie głusi...

Dima przerwał mu, grożąc palcem.

– Powiedziałeś, że na zewnątrz jest tylko dwóch ludzi. Nie zamierzam się cackać, dam im wybór: albo sobie pójdą, albo ich zastrzełę.

Kroll westchnął.

– Skoro musisz.

Dima popatrzył na niego gniewnie.

– Musimy działać szybko, zanim jeszcze spróbujemy dostać się do Paryża.

– Skoro mowa o Paryżu – jak tam dotrzemy?

Dima nie odpowiedział. Myślami był gdzie indziej.

Weszli po schodach i podeszli do wartowników. Oprócz nowych ubrań Dima miał nowego PSS-a z tłumikiem, którego załatwiła mu Omorowa. Wartownicy na jego widok podnieśli ręce. Mogliście chociaż trochę się postarać, pomyślał Dima, każąc im się położyć, żeby Kroll mógł ich skuć. Zabrał im z kabur półautomatyczne XP-dziwiątki, jedną rzucił Krollowi, drugą sam schował do kieszeni. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać dodatkowa broń. Kroll zaprowadził wartowników do windy towarowej, zapędził ich do środka, zamknął drzwi i unieruchomił kabinę.

Paliow spał w fotelu. Wyglądał, jakby przez ostatnie kilka dni postarzał się o dziesięć lat.

Wyczuł obecność Dimy i uniósł powieki, powoli, jakby mu bardzo ciążyły. Popatrzył na gościa.

- Słyszałem, że nie żyjesz.
- Tak, też to słyszałem.
- Mówili w wiadomościach.
- A więc to musi być prawda.

Oczy Paliowa zaczęły się zamykać. Dima plasnął go po policzkach.

- Dali ci coś?
- Prawdopodobnie. Nie wiem po co, i tak jestem praktycznie martwy.
- Timofiejew?

Paliow pokiwał głową.

- Widać podpadłem gorze.
- No to jest nas dwóch. Wiedziałeś, że misja z Kafarowem jest oparta na błędnych informacjach i sabotowano ją, zanim jeszcze wyleciałem z Riazania?

Paliow na moment się ocknął, podziemna erupcja gniewu wyrzuciła go na powierzchnię.

- Timofiejew chciał, żeby posłać nieduży zespół, którego można by się wyprzeć. Walczyłem, żebyście dostali wszystko, czego wam trzeba. On chciał, żeby się wam nie udało.

Gniew zniknął. Paliow pokręcił głową.

- Co on widzi w Kafarowie... do tego ta bomba...
- Kafarow nie żyje.

Paliow rozpromienił się.

- Nie ciesz się zbyt wcześnie – ostrzegł Dima. – Chcesz zgadnąć, kto ma

teraz te bomby?

Powiedział mu. Paliow zwiesił głowę. Salomon był też jego podopiecznym, najlepszym agentem, zdolnym, bezwzględny, bez przeszłości, bez zobowiązań.

Zapadła długa cisza.

– Tyle się napracowałem, a teraz...

– Mieliśmy umowę, pamiętaj. Lecę do Paryża.

– Ach, Paryż. Stare czasy. – Po twarzy Paliowa rozlał się głupkowaty uśmiech. Jego oczy znów zaczęły się zamykać.

– Zdjęcia, pamiętasz?

Ściągnął brwi. Dima poczuł niemal niepowstrzymaną chęć, żeby go udusić. Poprzestał na mocnym policzku.

– Mój syn, pamiętasz? Na zdjęciach. Miałeś mi podać nazwisko i adres.

Spojrzenie Paliowa nabrało ostrości, napięły się mięśnie jego obwisłych policzków. Wrócił trochę do siebie, ale wyraz twarzy zdradzał nie tyle skupienie, co panikę.

– Twój syn?

Dima rzucił się do przodu, złapał go za ramiona.

– Zdjęcia, do kurwy nędzy. Pokazywałeś mi je. Dlatego zgodziłem się pojechać na tę pierdoloną misję...

Paliow uniósł rękę do ust.

– To dzieje się znowu... – Jego spojrzenie straciło ostrość.

Dima widział zdjęcia w myślach, z dokładnością do ostatniego piksela. Rysy Camille, trochę jego własnych. Przystojniak. Mój syn.

– Przepraszam, ja... – Błysk w szklistych oczach Paliowa zdradził, że przypomina sobie o zdjęciach. – To Timofiejew je miał. To jego ludzie go znaleźli. Nie podał mi szczegółów.

Dima patrzył na niego wzrokiem pełnym wściekłości i rozpacz. Ten człowiek, niegdyś groźny szpieg, strażnik tajemnic, bicz na Zachód, obiekt jego szacunku i podziwu, a teraz... Przeklął zniedołężnienie Paliowa, przeklął samego siebie za to, że nie wy dobył tych informacji z niego lub Timofiejewa, kiedy miał okazję. Przez chwilę energia, która napędzała go przez ostatnie kilka dni, zdawała się znikać.

Nie mógł się teraz zatrzymać. Musiał jechać do Paryża, z informacjami, których tak pragnął, lub bez nich.

– Żegnaj, Paliow.

– Dima – głos Paliowa nagle nabrał mocy. – Ostatnia przysługa.

– Właśnie mi się skończyły.

Paliow wskazał XP-dziewiątkę jednego z wartowników, którą Dima wciąż trzymał w ręku.

– Mógłbyś mi go pożyczyć? Chyba już pora. Poprosiłbym cię, żebyś sam to zrobił, ale za wiele już przeze mnie przeszedłeś.

Dima znieruchomiał. Czy go kochał, czy nienawidził, Paliow był częścią jego życia o wiele dłużej niż ktokolwiek inny.

Wyciągnął prawą dłoń. Paliow ją uścisnął. Potem Dima podał mu pistolet, odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Dima.

Obejrzał się przez ramię. W oczach Paliowa migotało światło.

– Twój chłopak. On pracuje na Giełdzie.

Usłyszał strzał, kiedy wyszedł. Dla Dimy znaczył on więcej niż śmierć jednego człowieka: obwieszczał koniec pewnej epoki. Paliow uosabiał wartości i zasady, którym obaj poświęcili swoje życie. Mógł je kochać, mógł ich nienawidzić – czuł jedno i drugie – ale miał je we krwi. Mimo wszystkich kłopotów, w które wpakował go Paliow, mimo kłamstw, chaosu i marnotrawstwa życia – przede wszystkim zabitych w kompleksie Kafarowa – mimo tego wszystkiego Dima poczuł ukłucie żalu.

Teraz jednak nie było już czasu, żeby to rozpamiętywać. Zjeżdżając windą, słyszał w głowie echo słów Paliowa.

Jest maklerem na Giełdzie.

Kroll czekał na niego w mercedesie.

– Mamy problem.

– Dla odmiany.

– Przed chwilą dzwoniła Omorowa. Timofiejew chce zobaczyć twojego trupa. Nie uwierzy nikomu na słowo, mimo nagrań z telefonu. Jeśli nie zobaczy zwłok, zablokuje całe miasto i powie światu, że ciągle żyjesz. Uzbrojony, niebezpieczny: strzelać bez ostrzeżenia.

Dima wyglądał na zdezorientowanego.

– Omorowa nie wie, co robić. Organizując twoje „zastrzelenie”, podjęła cholerne ryzyko.

70 // Kostnica Rienska, Moskwa

Piątkowy wieczór to godzina szczytu w moskiewskich kostnicach policyjnych. Ale w Rienskiej, jednej z najstarszych w mieście, było podejrzanie cicho – tak stwierdziłby każdy. Jednak Andriej Timofiejew obeznany z tym miejscem nie był.

Zdenerwowany pielęgniarz w białym kitlu, fartuchu i gumowych butach zaprowadził go do piwnicy. Nie było tam czuć śmierci, bardziej czymś nieokreślonym i chemicznym, bezosobowym. Zielona lamperia na ceglanych ścianach korytarzy była zdrapana przez wózki, od wielu dziesiątek lat pchane tędy przez ludzi pijanych albo po prostu nieuważnych. Nie mieli już czasu na przygotowanie sali okazań na wizytę sekretarza. Porwana zasłona na oknie, przez które można było identyfikować zwłoki, wisiała jak pranie na sznurku. Timofiejew pokręcił głową, co robił za każdym razem, gdy widział coś świadczącego o podobieństwie Moskwy do miast Trzeciego Świata.

– Proszę, niech pan siada – powiedział pielęgniarz.

– Po co? Czy wyglądam jak zrozpaczony krewny? – Timofiejew zatrzepotał dłonią w stronę zasłony. – Pospieszcie się.

Zasłonę odsunięto. Na wózku za oknem leżał blady trup. Widać było tylko głowę i ramiona – resztę przykrywała płachta, wystawał spod niej tylko skrawek gipsu, którym patolodzy zamykali zwłoki po badaniach.

Z twarzy zabitego odpłynęła krew. Oczy były zamknięte, głowa obrócona lekko do okna, by ułatwić identyfikację.

Timofiejew popatrzył na zwłoki, zmrużył oczy.

– Muszę podejść bliżej.

Pielęgniarz zrobił niezdarny krok do przodu, człapiąc w za dużych butach.

– Przykro mi, proszę pana, to zabronione.

Timofiejew odepchnął go na bok i chwycił klamkę drzwi, oddzielających salę oględzin od pomieszczenia, w którym wystawiano zwłoki. Były

zamknięte na klucz.

– Otwieraj. Natychmiast!

Pielęgniarka posłuchała i cofnęła się. Zrobił już to, za co mu zapłacono. Teraz chciał już tylko uciec. Timofiejew zbliżył się do zwłok i przyjrzał im się z twarzą wypraną z wszelkich uczuć.

Dima przestał dygotać dopiero, kiedy usłyszał głos Timofiejewa. Zwalczył odruch drżenia, wprowadzając się w ten sam stan, co po wrzuceniu go do zamrożonego jeziora na szkoleniu w Specnazie albo po walce z jednym z innych rekrutów nago w śniegu, dla rozrywki instruktora, ewidentnego psychopaty. Rozkazał swoim zakończeniom nerwowym nie reagować na zimno, narzucił posłuszeństwo swoim mięśniom. Mimo to wciąż czuł mrowienie gęsiej skóry na rękach. Trochę go to zdradzało. Oddech Timofiejewa był ciepły, czuć w nim było kawę i jakiś alkohol. Zapach jego wody po goleniu mieszał się ze smrodem środka odkażającego w wyjątkowo mdlący sposób. Sekretarz oddychał krótkimi, urywanymi sapnięciami, które brzmiały jak ciąg pogardliwych prychnięć.

Podniósł płachtę, żeby odsłonić gips.

Dima otworzył oczy.

Timofiejew odskoczył, wpadł na wózek z narzędziami do sekcji. Dima poderwał się i złapał go za nadgarstek ręki sięgającej po beretkę.

– Nie spodziewałeś się mnie w Moskwie, co?

– W ogóle niczego się po tobie nie spodziewałem. Przeżyłeś się już lata temu, Majakowski. Podobnie jak twój żaloszny dawny szef.

Timofiejew wwiercał się spojrzeniem w oczy Dimy, pozornie niespieszony jego uchwytem na nadgarstku. Gdyby Dima chciał go zabić, zrobiłby to teraz, ale zależało mu na informacjach – chociaż pragnienie zemsty nie zostawało daleko w tyle.

Z nadludzką siłą, która całkowicie zaskoczyła Dimę, Timofiejew wyrwał rękę z uścisku i kopnął go mocno w nagie krocze. Dima nie miał innego wyjścia, jak tylko osunąć się na podłogę; ból wyparł z jego głowy wszelkie myśli oprócz przeklinania samego siebie za to, że wymyślił ten absurdalny podstęp.

– Widzisz, o co mi chodzi? Rozbijałeś się przez te kilka dni po Iranie, goniłeś własny ogon, męczyłeś się, bez jedzenia i płynów. Przeceniasz się. Zawsze tak z wami jest, wy dwuwymiarowi bohaterowie z komiksów. W końcu jednak przychodzi zapłacić cenę.

Przez promieniujący ze zmaltretowanych jąder ból Dima wyczuł, że Timofiejew szykuje się, by go załatwić. Musiał zyskać na czasie.

– Po tym, co zamierza Salomon, Rosja bardzo straci na popularności. Amerykanie już wiedzą, skąd pochodzą bomby.

– Twoje informacje są nieścisle i nieaktualne – odparł Timofiejew. – Amerykanie aresztowali człowieka, który wszystko im o tobie opowiedział, i wyciągnęli własne, wygodne dla nas, choć niezbyt lotne wnioski. Można wręcz stwierdzić, że twoje przypadkowe spotkanie z nimi zapewniło Salomonowi bardzo przydatny kamuflaż.

– Słowem, chcecie, żeby mu się udało.

Dima nie tylko cierpiał fizycznie – walił się cały jego światopogląd. Dlaczego wszystko musiało się nieustannie zmieniać?

– Ty nic nie rozumiesz, Majakowski, prawda? Świat poszedł do przodu. Geopolityczne lody topnieją. Przesuwają się płyty tektoniczne władzy i wpływów. Ameryka i Zachód mieli swoje pięć minut i trwało ono o wiele za długo. Ich miejsce w świecie zajmą nowe potęgi – już je zajmują, w tej chwili, kiedy o tym rozmawiamy. A ci z nas, którzy mają dość wyobraźni, żeby to dostrzec, nie pozwolą spowolnić tego procesu stetryczalym dinozaurom, słabym i krótkowzrocznym, niezdającym sobie sprawy, że oto nadeszła pora, by wyginąć. Jesteś gatunkiem wymarłym, Dima. Pogódź się z tym.

Dima z całych sił usiłował skupić się na słowach Timofiejewa; pozwalało mu to zapomnieć o bólu i opracować swój następny ruch – jeśli miałby na niego szansę. Leżał na lodowatej podłodze, nagi i nieuzbrojony, z guzem na głowie po kółku wózka, w które wyrznął.

– Paliow mnie przed tobą ostrzegął. Mówił, że nie wiesz, kiedy się wycofać. Liczyłem na to, że spieprzysz sprawę, co udało ci się bardzo dobrze, jak widać.

Timofiejew coraz bardziej się rozkręcał.

Dima mógł mieć jedynie nadzieję, że zburzy to jego koncentrację, choć z drugiej strony raczej się na to nie zapowiadało.

– Miałeś nadzieję wyciągnąć ze mnie jakieś informacje o tej sierocie z Paryża?

Dima nie zamierzał zaszczycać go odpowiedzią, ale milczenie mówiło samo za siebie. Nie mógł znieść pogardy, z jaką Timofiejew wypowiadał się o jego synu i poczuł, że szalę zaczyna przeważać zemsta.

– No więc, nie mam żadnych i nigdy nie miałem. Pewnie jakiś urzędas w moim ministerstwie wpisał do systemu nazwisko i adres, ale nie jesteśmy takimi obsesyjnymi zbieraczami nic nieznaczących szczegółów jak te, które dotyczą naszych socjalistycznych przodków. Od tego tylko zapychają się serwery. Poza tym co zrobiłby taki inteligentny, młody mężczyzna, dowiedziawszy się, że jego ojcem jest wypalony sowiecki agent? Chyba nie poprawiłoby to jego życiowych perspektyw, co? Na twoim miejscu zostawiłbym chłopaka, niech sobie żyje w spokoju.

Dima z trudem się podźwignął, chwytając się nogi wózka i omal nie ściągając okrywającego go materiału. Udało mu się złapać krawędzi półki.

– No dalej, podnieś się. Tak mnie wzruszyła twoja historia, że mógłbym się nawet nad tobą ulitować i wysłać cię do któregoś z ostatnich gułagów. Spodobały ci się. Pełno tam ludzi z twojego pokolenia. Mógłbyś jeść gotowaną cebulę i wspominać dobre, stare, sowieckie czasy swojej młodości.

Mojego pokolenia? – pomyślał Dima. Między nimi było zaledwie kilka lat różnicy. Problem w tym, że pochodzili z różnych światów: Dima przynajmniej zachował jakąś moralność, jakieś poczucie sprawiedliwości. Sterylny android w garniturze, który na jego oczach rozwodził się nad nowym światowym porządkiem, w nic nie wierzył i nie był oddany żadnej sprawie oprócz swoich własnych interesów.

Położył dłoń płasko na półce wózka, poczuł pod nią jakieś narzędzie. Musiało wystarczyć. Kiedy jednak spróbował podnieść się wyżej, w nodze znów poczuł przeszywający ból. Osunął się z powrotem na ziemię i zgiął w pół, zaciskając dłoń na narzędziu, które zabrał z półki, z nadzieją, że Timofiejew tego nie zauważył.

Tylko jednym uchem słuchał tego, co tamten mówił – a najwyraźniej musiał się wygadać. Dima koncentrował się teraz wyłącznie na tym, gdzie Timofiejew stoi, ile czasu zajmie mu dostanie się tam z obecnego miejsca – pod wózkiem – i czy to wystarczy. Sekretarz miał dobry refleks, to akurat było jasne. To, czy miał równie dobre oko, Dima musiał dopiero sprawdzić.

Pierwszym etapem jego strategii było kopnięcie wózka, żeby nagłe poruszenie odwróciło uwagę Timofiejewa na mikrosekundę – to dość, by przebyć choć część dzielącej ich odległości.

Pierwszy strzał z beretty padł niemal w tym samym momencie, ale Dima, który zdążył złapać równowagę, zerwał się z kuczków i pchnął wózek tak, że ten przygwoździł sekretarza do ściany. Rozległy się jeszcze trzy strzały,

wszystkie poszły w sufit. Mając przeciwnika przed sobą, Dima dźgnął go w rękę z bronią. Beretta upadła na ziemię.

Podniósł go do góry.

– Na pewno sobie nagle czegoś nie przypomniałeś? Może chcesz się jeszcze chwilę zastanowić?

Nożyczki utkwiły w ścięgnach dłoni Timofiejewa.

Dima wyciągnął je i wbił mu je w nadgarstek, przecinając tętnicę i obryzgując ich obu krwią. Timofiejew wytrzeszczył oczy, przez wodę kolońską i środek dezynfekujący przebił się ostry smród gówna: sadysta. Jak wszyscy sadyści, fatalnie słaby, kiedy przyszło co do czego.

– Ja... ja... mogę pomóc...

– Obaj wiemy, że tak się nie stanie. Ostatnia szansa: coś ci przyszło do głowy?...

Timofiejew znalazł w sobie resztkę sił i odepchnął Dimę. Padając, chwycił broń sprawną lewą ręką i wycelował. Dima wciąż ścisnął nożyczki. Włożył całą swoją siłę i szybkość w zamach: czubki obu ostrzy wbiły się w prawe oko Timofiejewa. Nie zatrzymał dłoni, pchał dalej, aż z krwawej miazgi wystawały tylko rączki.

Chwycił berettę w chwili, kiedy pojawiła się ochrona sekretarza; pierwszych dwóch zastrzelił, kiedy tylko wbiegli. Słyszając tupot nadbiegających, wykręcił jednemu z zabitych automatyczny pistolet z ręki. Następni goryle wybiegli zza rogu wprost w nawałę kul Dimy. Przeskoczył nad nimi i popędził do schodów, napotykając trzech kolejnych. Ich chwila zawahania na widok nagiego mężczyzny z bronią wystarczyła, by strzelił do nich pierwszy. A potem był już na ulicy, nagi, pokryty krwią Timofiejewa, w nocy, w marznącym deszczu, z syrenami i niebieskimi światłami policji trzy przecznice dalej.

Rzucił się do taksówki, z której wysiadała para młodych ludzi, na oko – na pierwszej randce. Na widok obnażonego, zalanego deszczem i krwią mężczyzny z automatycznym pistoletem dziewczyna wyciągnęła przed siebie torebkę niczym ktoś, kto kawałkiem mięsa chce udobruchać wściekłego psa; odwróciła oczy, a cały ruch uliczny prawie zamarł.

– Mam tam pięć setek w gotówce! Nie rób mi krzywdy!

Chłopak, zauważył Dima, nie rzucił się jej bronić. Pierwsza randka i ostatnia, pomyślał. Sięgnął do torebki, wyciągnął paczkę chusteczek, przepchnął się obok oszołomionego chłopaka, po czym przegonił taksówkarza z fotela kierowcy i odjechał.

Samochód był starą wołgą z typowymi, beznadziejnymi hamulcami. Wycieraczki, również mające dni świetności dawno za sobą, powoli ślimaczyły się po szybie, pozostawiając za sobą warstwę wody prawie tak samo nieprzezroczystą, jak marznący deszcz.

Dima zjechał na przeciwny pas, co zaalarmowało ścigających go policjantów w radiowozach, wrócił więc na lewy i spróbował ukryć się między innymi taksówkami. Nie jechały jednak wystarczająco szybko. Skręcił w prawo i znalazł się blisko dworca Pawieleckiego, ale drogę odciął

mu radiowóz. Dima wrzucił wsteczny, cofnął się parę metrów, a potem staranował policyjny wóz, kiedy jego pasażerowie akurat wysiadali. Popędził z powrotem ulicą, którą przyjechał, i skręcił między dwa biurowce. Siedzieli tam nad butelką dwaj pijacy. Zatrzymał się obok nich, wysiadł i szarpnięciem postawił jednego na nogi.

– Twoje ciuchy za taksówkę.

Dima wiedział, że potrzeba czasu, żeby jego propozycja dotarła do pijaka, więc zdarł mu z grzbietu przemoczony płaszcz. Wystarczy.

– Macie jakieś pieniądze?

– Co? Żebzemy, kurwa!

– Daję wam taksówkę.

Machnął pistoletem i wygrzebali pięćdziesiąt rubli.

– Tyle forsy, a wy siedzicie na ulicy. Moglibyście znaleźć sobie za to jakiś suchy ką.

Popatrzyli na niego z oburzeniem. Dima pobiegł zaułkiem, przeciął kilka następnych ulic, omijając kałuże i psie kupy, a potem zniknął w zejściu na stację metra.

Oprychów Bułganowa niełatwo było przekonać. Niecodziennie oligarchę odwiedza niezapowiedziany gość, zbryzgany krwią i ubrany tylko w zaszczany płaszcz. Jeszcze raz zmierzili go wzrokiem od głowy do stóp, krwawiących w jasnokremowy dywan.

– To gdzie masz buty? – spytał większy.

– Spodziewa się mnie. – Dima jeszcze raz przeliterował nazwisko. – Przed chwilą z nim rozmawiałem. Kurwa mać, uratowałem mu córkę!

Duży i mały oprych ponownie się naradzili i przez telefon wezwali trzeciego. Sama masa, żadnej zwinności – wszyscy trzej byłiby przydatni może jako przyciski do papieru. Dima mógłby ich powalić w kilka sekund, ale ponieważ dopiero co poprosił ich szefa o dużą przysługę, mogłoby mu to zaszkodzić.

W końcu za nimi rozległ się sygnał prywatnej windy.

– Możesz jechać – powiedział trzeci przycisk do papieru. – Zostaw broń.

– Jak chcesz.

Dima cisnął mu pistolet; ochroniarz go złapał, ale w ostatniej chwili.

Wysiadł na czterdziestym piątym piętrze i zobaczył toczącego się w jego kierunku Bułganowa, z dużą szkocką w jednym ręku i cygarem w drugim. W apartamencie unosił się zapach Chanel No. 19 i pieniędzy.

– Dima! Mój Boże, co oni ci zrobili?...

Poczuł smród płaszcza i stanął jak wryty.

– Chryste! Idź się wykapać. Nie wsiądziesz w tym stanie do mojego samolotu.

Pieniądze były Bułganowa, ale perfumy...

Omorowa siedziała na białej kanapie pod małym Picassem. Na jej twarzy malowała się mieszanka rozbawienia i irytacji. Dima ruszył do niej, ale przepędziła go machnięciem ręki.

Kiedy wyszedł spod prysznic, znalazł szlafrok z herbem brytyjskiej drużyny piłkarskiej, którą niedawno kupił Bułganow, i założył go. Streścił sytuację Omorowej, która zerknęła na zegarek.

– Jak długo jesteś w Moskwie? Siedem godzin? Jesteś jednoosobową falą przestępczości.

Dima uniósł ręce w geście poddania się.

– Wiem: było gęsto.

– Dziękujesz za moją pomoc? Nie ma za co.

– Oczywiście nic z tego nie byłoby możliwe bez ciebie. Mogę już dostać tego buziaka?

– Moja kariera jest skończona.

– Nie wywiniesz się?

– Dima, prawdopodobnie nie wpuszczą mnie nawet do budynku.

Zjawił się lokaj z dużym burbonem dla Omorowej i dietetyczną colą dla Dimy. W jednej chwili człowiek biega goły po ulicach, w następnej chodzi po jedwabnych dywanach na czterdziestym piątym piętrze. Życie jest dziwne. Z drugiej strony Dima nigdy nie zaznał czegoś, co mógłby nazwać normalnością. Podniósł szklankę w toaście na cześć ich obojga i Picassa.

Omorowa wypłała duży łyk whisky i założyła nogę na nogę.

– Zrób tak jeszcze raz – poprosił Dima.

– Odwal się. Tu są twoje rzeczy.

Otworzyła torbę i wyjęła z niej zawartość jego bankowej skrytki.

– O wszystkim pomyślałaś.

– Ktoś musi.

Dima szybko przeliczył waluty i zabrał paszporty.

– Ach, witajcie, starzy przyjaciele.

– Skontaktowałam się z tym twoim Rossinem w Paryżu. Sprawdził cały personel Giełdy, krajowy i przyjezdny, wszyscy czyści.

– Powinien sprawdzić ludzi od konserwacji, ogrzewania, kanalizacji. Do obsługi tak dużego, starego budynku pewnie trzeba całej armii. A komputery? Kapitalizm nigdy nie zasypia. Muszą mieć też całodobowy dział IT.

Omorowa otworzyła laptopa.

– Musimy wiedzieć, czy widziano Salomona podczas ostatnich wyjazdów do Paryża. Jest szansa, że był tam rozeznać się w terenie i zebrać zespół. Nie będzie zaczynał od zera. Jest bardzo drobiazgowy. Jeśli tam jest, to dopiero

od kilku dni, więc musi wybrać jakieś znane sobie miejsce na bazę operacyjną. Zgaduję, że nie zatrzyma się gdzieś, gdzie trzeba się meldować, bo musiałby cały czas mieć oczy dookoła głowy.

Dima kiwnął głową.

– Tak, ale nie możemy tego założyć. Nie możemy niczego zakładać. Może wejść frontowymi drzwiami, udając zarządcę funduszu, spekulanta paliwowego, kogoś od derywatów. Jest bardzo wiarygodny, kiedy gra Libańczyka, Amerykanina, Izraelczyka...

Omorowa uśmiechnęła się.

– Bardziej niż ty?

Nagle Dima zapragnął, żeby z nim poleciała. Z drugiej strony czekające go zadanie miało aspekt, którego nie chciał nikomu objaśniać. Cofał się w czasie do punktu w swoim życiu, o którym myślał, że zostawił go dawno za sobą. Poza tym w duchu nie wierzył w powodzenie tej wyprawy. Musiał znaleźć jednego człowieka i bombę w wielkim mieście, mając do pomocy zaledwie cztery osoby... Teraz może nawet trzy.

Omorowa westchnęła, jakby czytała mu w myślach.

– I wciąż oficjalnie nie skreślili cię z listy poszukiwanych. Timofiejew nie chciał cię z niej skreślić, dopóki... – Umilkła. – Wszystkie europejskie agencje ochrony wciąż mają dyrektywę, by strzelać bez ostrzeżenia. – Przeczytała z wydruku. – „Wspólnota Niepodległych Państw nie będzie, powtarzam, nie będzie protestować w wypadku, gdyby cel nie przeżył aresztowania”. Ładnie ujęte, co?

Dima wzruszył ramionami.

Nie oczekiwał niczego innego.

– Co mówią Amerykanie?

– Ano właśnie... Chcesz usłyszeć resztę złych wiadomości?

– Poproszę.

– Langley wydało komunikat, że amerykański marines został aresztowany za zamordowanie swojego oficera dowodzącego w Iranie...

Dima się skrzywił.

– Mów dalej.

– Nie chcą, żeby się rozeszło, że był przy tym obecny Rosjanin. Komplikuje im to sprawę. Ale swoimi kanałami dowiedzieliśmy się, że aresztowany potwierdził komunikat rosyjskich służb bezpieczeństwa, że niejaki Dima Majakowski przebywa na wolności i jest potencjalnym

zagrożeniem na terenie Europy kontynentalnej.

Dima potrząsnął głową.

– Biedak pewnie nie miał do kogo z tym pójść.

– Dlaczego nie twierdzi, że to ty zastrzeliłeś jego dowódcę? – spytał Bułganow.

– Stał przed fatalnym wyborem: albo wyprzeć się mnie i zapomnieć, co mu powiedziałem o Salomonie, albo wszystko ujawnić i spróbować jakoś przepchnąć dalej tę informację. Mógł się uratować. Tymczasem okazał się wyjątkowo szczery i bezinteresowny...

Umilkł. Bułganow patrzył na Dimę ze zdziwieniem.

Omorowa zmarszczyła z namysłem brwi.

– Byłeś z nim ile, godzinę?

– Przez taki czas można się o kimś bardzo dużo dowiedzieć. Byłoby dobrze, gdyby wiedział, że wciąż działam. Mogłabyś jakoś pomóc?

Dima wyrzwał przez okno. W dole aż po horyzont ciągnęły się światła nowej Moskwy.

– Uratował mi życie, żebym mógł to dokończyć. Nie mogę go zawieść.

73 // Fort Donaldson, USA

Blackburn sam nie wiedział, co czuje w związku z tym, że wrócił do Ameryki. Na razie widział tylko bazę Sił Powietrznych Andrews, gdzie przesadzili go z samolotu bez okien do ciężarówki bez okien. Ze schodów zobaczył asfaltowy bezkres, te dziwne pojazdy, które spotyka się wyłącznie na wojskowych lotniskach, i amerykańską flagę, zwisającą bezwładnie w wilgotnym powietrzu. Nie wiedząc, kim jest, jakaś kobieta z obsługi naziemnej spojrzała na niego tak, jak ładna, młoda kobieta patrzy na młodego przystojnego mężczyznę, i rzuciła mu uśmiech, od którego Blackburna natychmiast ścisnęło w gardle. Czy jakakolwiek kobieta kiedyś jeszcze tak na niego spojrzy?

Następne siedem godzin spędził w drodze do fortu Donaldson w więziennej ciężarówce. Pod siedzeniem miał toaletę, żeby nie trzeba było go wypuszczać. Raz czy dwa w drzwiach uchyliła się szczelina, przez którą czyjaś ręka podała mu batonik i butelkę z wodą. Ciężarówka miała okno, ale zamalowane. Blackburn zdążył już zatęsknić za widokiem skrawka nieba czy samotnego drzewa.

W Donaldsonie odstawiono go prosto do sali przesłuchań żandarmerii. Przy metalowym biurku siedział drobny człowieczek z wąsami, w dużych okularach o czarnych oprawkach; ze spuszczoną głową wczytywał się w grube akta. Zdjął okulary i wstał.

– Jestem Schwab, pański adwokat.

Dłoń, którą wyciągnął, była chłodna i sucha, ale była to dłoń. Blackburnowi już od dawna nikt nie podał ręki.

Małe usta prawnika drgnęły w ostrożnym uśmiechu; splótł palce i pochylił się nad papierami. Zniżył głos prawie do szeptu.

– Jestem w tej chwili pana jedynym przyjacielem, więc im więcej mi pan powie, tym więcej będę mógł dla pana zrobić.

Blackburn nie zareagował. Nie miał ochoty na zwierzenia. Powtarzał całą swoją historię trzy, cztery razy – nie pamiętał – różnym osobom, z których połowa nie podała mu nazwiska ani nie powiedziała, kim jest. Zmęczony i skołowany lotem, nie wiedząc, która godzina, spojrzął z powątpiewaniem na Schwaba.

– Czym właściwie się pan zajmuje?

Schwab wyglądał na zbitego z tropu.

– ...to znaczy... kiedy mnie pan nie broni?

Usta Schwaba drgnęły. Palcem wskazującym podsunął okulary na nosie.

– Bronię ludzi nie do wybronienia. Ktoś musi.

Był to swego rodzaju żart, ale nie rozbawił Blackburna, który nawet nie wiedział, czy ma jeszcze poczucie humoru. Potem, bez ostrzeżenia, Schwab podzielił się z nim wiadomością, od której ugięły się pod nim nogi.

– Chce pan porozmawiać z matką?

Schwab wykręcił numer i milczał. Nie musiał czekać długo. Był już umówiony. Blackburn wyobraził sobie, jak jego matka ściska słuchawkę w obu dłoniach; często to robiła, jakby mogła w ten sposób przybliżyć się do osoby, z którą rozmawia.

– Cześć, skarbie.

Jej głos był mocny i wyraźny, jakby od paru dni ćwiczyła to, co chciała powiedzieć – i tak prawdopodobnie było.

– Wiem, że mam tylko dwie minuty, ale chcę, żebyś wiedział, że twój ojciec i ja bardzo cię kochamy i wierzymy w ciebie, cokolwiek by się działo. Rozumiesz?

– Mamo?

– Tak, kochanie?

Załamał się jej głos – słyszała syna po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się, że został aresztowany.

– Jest tam tata?

– Oczywiście, kochanie, jest tu obok. Dam ci go.

Blackburn usłyszał szelest podawanej słuchawki. Przyciszona wymiana ustaleń, co powiedzieć. Po chwili ojciec odchrząknął.

– Cóż, synu, przynajmniej nikt do ciebie nie strzela.

W głosie Blackburna pojawił się zdecydowany ton.

– Tato – powiedział – już wiem.

– Co takiego, synu?

Jego ojciec brzmiał, jakby postarzał się o dziesięć lat, zdumiony tonem syna. Blackburn nie czekał – nie było już czasu.

– Tato, wiem, jak to było. Wiem, jak było z tobą w Wietnamie. Chyba to dodawało mi sił przez ostatnie... Teraz rozumiem.

Na drugim końcu linii zapadła cisza, potem znowu usłyszał niewyraźną,

szeptaną wymianę zdań, których nie rozumiał.

– Przykro mi, synu, obawiam się, że nie wiem, o czym mówisz.

– To, co przeszedłeś... Dlatego się zaciągnąłem; żeby wiedzieć, jak to przeżyłeś.

Cisza na drugim końcu powiedziała mu wszystko.

Blackburn zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć. Nic nie przychodziło mu do głowy. Brzemie przygniatające jego duszę zrobiło się jeszcze cięższe. Oddał słuchawkę Schwabowi, który wyglądał na zakłopotanego.

– Ooo... kej. Skończyłeś?

Black kiwnął głową. Od lat wyobrażał sobie tę chwilę czułości, której pragnął doświadczyć od ojca – chwilę, kiedy dwaj mężczyźni wreszcie znajdą płaszczyznę porozumienia. Ale jego ojciec mógł myśleć tylko o jednym: czy mój syn jest mordercą?

Schwab odłożył słuchawkę na widełki. Potem położył na stole dużą, kanciastą teczkę i wyjął z niej gruby, szary skoroszyt.

Jakim cudem przez tak krótki czas wyprodukowano tyle papierów?

– Zaczynajmy.

– Co?

Schwab popatrzył na swojego nowego klienta. Zaczyna się, pomyślał.

– Powiedziałem już wszystko, co pamiętam. Jestem winny. Praktycznie jestem już martwy.

Blackburn opuścił głowę, aż oparła się o blat biurka.

75 // Moskwa

Kilka minut po wpół do jedenastej jechali w stronę moskiewskiego lotniska Domodiedowo rollsem Bułganowa. Wygodnie siedzący z tyłu Dima zastanawiał się, czy nienaturalna nieobecność jakichkolwiek odgłosów jest zasługą kuloodpornych szyb, czy raczej od strzelanin przytępił mu się słuch. Kroll siedział z przodu z szoferem, z nieskrywaną przyjemnością wpatrując się w zegary i wskaźniki na desce rozdzielczej. Z tyłu, z Dimą i Omorową, jechał sam Bułganow.

Zwerbowali go w ostatniej chwili. Dima był na celowniku. Wydano na niego wyrok – strzelać bez uprzedzenia. Przedostanie się z Moskwy do Paryża, z wiszącym nad głową międzynarodowym listem gończym, było możliwe wyłącznie dzięki wpływowi Bułganowa – i jego prywatnemu odrzutowcowi.

Bułganow zapalił świeże cygaro i wydmuchnął z nosa dwa pióropusze dymu. Oczy świeciły mu z podniecenia. Nie był przyjacielem obecnych władz na Kremlu; Dima wiedział, że wyważa otwarte drzwi. Ale rzecz jasna Bułganow miał swoją cenę. Wymienił ją, kiedy wsiadali do samochodu.

– Jadę z tobą aż do końca. Albo nici z układu.

– Oczywiście – skłamał Dima.

Omorowa rzuciła mu godne sfinksa spojrzenie, pytające: „Pozwalasz, żeby ten facet cię terroryzował? Chyba żartujesz!”, na co Dima odpowiedział lekceważącym grymasem: „Spokojnie, oczywiście, że nie”. Nie miał pojęcia, jak wywinąć się Bułganowowi, ale był pewien, że w Paryżu trafi się sposobność, żeby się go pozbyć. W końcu został wyszkolony, by radzić sobie z niespodziankami.

Być może to obecność Omorowej dodawała oligarsze takiej energii. Był w swoim żywiole.

– Wiesz, na czym polega kłopot z postsowiecką Rosją? Każdemu można

udowodnić, że coś gdzieś ukradł. – Zaciągnął się szybko cygarem, wypełniając samochód jeszcze gęstszym dymem. – To fakt. Ja, na przykład, jestem bogatszy, niż kiedykolwiek śniłem, ale wiem też, że choćbym miał wszystkie kuloodporne szyby świata, nie uratuje mnie to przed więzieniem, jeśli tylko podpadnę Kremlowi. Dlatego muszę coś na nich mieć, żeby w razie czego dali mi spokój.

Zerknął z aprobatą na Omorową.

– Dobrze mówię, prawda, Katia?

Dima uświadomił sobie, że dotąd nie znał nawet jej imienia. Beznadzieja. Rzuciła Bułganowowi najpiękniejszy z uśmiechów. Jeśli ktoś mógłby go przekonać do pozostania w Moskwie, to właśnie ona. Ale Bułganow doskonale się bawił.

– Wiesz co, Dima, zazdroszczę ci.

To jakiś absurd, pomyślał Dima. Może on się przed nią popisuje.

– Robisz tyle ciekawych rzeczy. Srasz na pieniądze. Pieniądze to ciężar. Nie dają ci spokoju. Są jak dzieci. Musisz się nimi zajmować przez okrągłą dobę. A ty... Ty nie musisz się o nic martwić. Jesteś wolny.

Dima postanowił nie podejmować tematu. Miał za dużo rzeczy na głowie. Salomon zaprzętał jego myśli coraz bardziej. W poniedziałek wieczorem wszystkie ich zmartwienia i rozczarowania mogła przyćmić niewyobrażalna katastrofa – i nie miałyby już w Paryżu kogo szukać.

Rozmyślał też o jeszcze jednym: o Blackburnie. Chłopak zapłacił wysoką cenę za uratowanie mu życia. Dima nachylił się do Omorowej.

– Myślisz, że wiadomość dotrze?

Omorowa westchnęła.

– Nie mogę nic zagwarantować. Dawno nikt tego kanału nie używał. Musimy mieć nadzieję.

Rolls przejechał przez bramę lotniska dla VIP-ów i potoczył się w stronę czekającego na nich odrzutowca Bułganowa.

76 // Fort Donaldson, USA

George Jacobs pracował w bazie dłużej, niż ktokolwiek pamiętał. Był najstarszym cywilnym pracownikiem fortu. Przyjechał tu w wieku szesnastu lat, teraz miał ich pięćdziesiąt osiem. Przykładał się do swoich obowiązków, unikał kłopotów, zawsze był pomocny. „Żadnej pracy się nie boję, taki jestem” – odpowiadał na każdą prośbę. Zawsze chętny, zawsze pozytywnie nastawiony; zazwyczaj śpiewał przy pracy, często klasykę. Znał całego Cole’a Portera i wszystko, co kiedykolwiek zaśpiewał Buddy Holly. I Frank Sinatra.

Zajmował się ogrodami, dopóki jego przełożeni nie uznali, że bardziej przydałby się w środku, więc zrobiono z niego sprzątacza. Wtedy okazało się, że ma złote ręce, więc awansowali go na serwisanta. Od tamtej pory w całej bazie naprawiał zapadki w oknach, przyklejał oderwane płytki i przetykał zatkane kanały wentylacyjne. I robił to tak sprawnie, że większość ludzi nie zauważała nawet jego obecności. Dokładnie tak, jak rozkazali mu ci, których znał jedynie jako Kuzyna Hala.

Wszystko, co robił przez całą swoją karierę, służyło temu, by mógł obserwować, co do bazy przybywa i co ją opuszcza. Samoloty, sprzęt. Posiadał encyklopedyczną wiedzę na temat wszelkich środków wojskowego transportu. Potrafił spojrzeć na humvee z pięćdziesięciu metrów i zacytować z pamięci numer nadwozia z dokładnością do dwóch ostatnich cyfr. Potrafił odróżnić C-130 wyprodukowanego w Seattle od tego z Missouri. Kto chciał to wiedzieć? George nie pytał. Nie pytaj, tylko zbieraj informacje. Taki był układ. George świetnie nadawał się do tej roboty właśnie dlatego, że nigdy nie pytał – tylko robił swoje.

Dlatego właśnie, kiedy zadzwonił do niego aktualny Hal i spotkali się w Taco Bell pod numerem 45, nie był przygotowany na to, co go czekało.

– Coś nowego – powiedział Hal. – Dasz radę?

– Znać mnie – odparł George, wgrzyzając się w karmelowo-jabłkową empanadę, jego ulubioną.

– W areszcie jest pewien facet. Bywasz tam czasami?

– Owszem, ale go nie widuję. Siedzi w izolatce.

– Przechodzisz obok jego celi?

– Jasne.

– Jest ktoś na korytarzu, kiedy przechodzisz?

– Czasami.

– Zwracają na ciebie uwagę?

– Nie.

– Lubisz śpiewać, co?

Kiedy Hal mówił coś takiego, George nie mógł się nadziwić, ile o nim wiedzą.

– Jasne, lubię sobie pośpiewać.

Już chciał wymienić listę swoich ulubionych dziesięciu kawałków, ale Hal mu przerwał.

– Mam dla ciebie nową piosenkę.

I wyrecytował mu jej tekst.

Blackburn leżał na pryczy i wsłuchiwał się w ciszę. Jedyne jej zakłócenie były kroki, mniej więcej co pół godziny. Nie wiedział czyje. Wózek ze stołówki był największym wydarzeniem dnia. Jego piszczące kółka zatrzymywały się tylko raz na całym korytarzu: Blackburn był jedynym więźniem.

Nucenie było czymś nowym. Do tego stopnia, że uznał je za jeszcze jeden głos w swojej głowie. *Da di da di da da. Da di da di da da.* Stary głos. Skojarzył mu się z jego dziadkiem. Śpiewom towarzyszyły odgłosy szurania, potem kroki – drabina. *Da di da di da da. Da di da di da da.* I słowa:

Lecę do Paryża, dotrzymam obietnicy. Będę tam jutro. Da di da... Nie rozpaczaj, mówię ci, nie rozpaczaj.

George uważał, że piosenka jest kiepska. „April in Paris”, to był dopiero przebój! Ale zaśpiewał ją, jak mu kazano, sprawdzając biegnące w suficie przewody klimatyzacyjne. Nie miał pewności, czy się za nie zabierać, bo nie były czyszczone od lat i wiedział, że kiedy już zacznie – cóż, może się okazać, że będzie to robota z tych, co ciągną się w nieskończoność. Ale tego chciał Hal. Kazał mu znaleźć powód, żeby przyjść tu więcej niż raz. George miał trochę zaległych nadgodzin, więc powiedział kierownikowi, że spróbuje zrobić, ile się da, przez weekend.

78 // Paryż

Kiedy lear Bułganowa zszedł przez gęstą chmurę w przestrzeń powietrzną nad Paryżem, była druga w nocy. Chmura zrzuciła swoją zawartość na pas startowy numer dwa lotniska Charlesa de Gaulle'a; samolot uderzył kołami o asfalt, a pilot ostrożnie wyhamował.

Obsługa VIP-ów czekała na nich z parasolami i zaprowadziła ich do podstawionego autobusu. Z Bułganowem wszędzie traktowano cię jak VIP-a. Dima postawił stopę na paryskiej ziemi i przyspieszył mu puls. Zegar naprawdę już tykał. On i Kroll mieli na sobie identyczne czarne garnitury od Hugo Bossa, pożyczone od ochroniarzy Bułganowa w Moskwie. Na Dimie ubranie leżało lepiej niż na Krollu, któremu trafiły się trochę przykrótkie spodnie; idąc długimi krokami wyglądał jak patykowaty, przedwcześnie postarzały nastolatek.

Mieli pod ręką swoje irańskie paszporty – nie było czasu przygotować nowych, ale Bułganow budził taki respekt, że celnicy przywitali ich jak starych przyjaciół. Nie zażądali nawet zdjęcia ciemnych okularów.

- Przez chwilę myślałem, że ucałują nas w oba policzki – powiedział Kroll.
- Nie przyzwyczajaj się – uciał Dima.
- Nie musisz na mnie warczeć.

Przez całą drogę do Paryża Dima w ogóle się nie odzywał. Siedział wpatrzony przez okno w deszczową noc; opanowały go wspomnienia i obawy przed tym, co bez wątpienia stało się najważniejszym zadaniem w jego życiu. Stawka była tak wysoka, że przegrana nie wchodziła w grę. Zdjęcia, kusicielsko podsunięte mu pod nos przez Paliowa... Nie znał nazwiska syna – wiedział tylko, gdzie pracuje. A największą, najbardziej okrutną ironią losu było to, że jego syn został celem Salomona.

Apartament Bułganowa znajdował się tuż przy Polach Elizejskich. Kiedy tylko rolls się zatrzymał, Dima zobaczył samochód – przy krawężniku stał

poobijany, rodzinny renault espace z przyciemnionymi szybami, bez kołpaków na felgach. Rossin równie dobrze mógłby mu wypisać na boku: „Uwaga – obserwacja”.

– To kiedy zaczynamy? – spytał Bułganow, zacierając ręce.

– Ty sobie odpocznij, a my skontaktujemy się z naszym człowiekiem na miejscu.

Bułganow sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego, ale zważywszy na późną godzinę i kiepską pogodę, propozycja nie była zła.

– Tu jest klawiatura – pokazał. – Wstukajcie 7474, jeśli zmienicie zdanie i będziecie chcieli się przespać w trochę wygodniejszym miejscu.

– Co on sobie myśli? – mruknął Kroll. – Że to weekendowy wypad?

Bułganow zniknął w budynku; odsunęły się boczne drzwi renaulta. Wyskoczył z niego Rossin i uściskał starego przyjaciela, całując go w oba policzki.

– Kopę lat.

– Nie to mówiłeś przez telefon.

Dima widział go po raz ostatni dziesięć lat temu, ale od tego czasu Rossin postarzał się o dwadzieścia, poza tym przytył jakieś piętnaście kilo. Jego ciemna twarz o francusko-algierskich rysach pokryła się zmarszczkami, ale żywe oczy sugerowały, że nie stracił zapału do gry.

– Wstąpmy do mnie do biura. Chcę ci pokazać coś interesującego.

Wnętrze renaulta pachniało kawą, czosnkiem, popiołem z papierosów i pleśnią.

– Najpierw chciałbym oświadczyć, że byłem bardzo ostrożny, zważywszy na twój obecny status. Naturalnie każda sugestia naszej wcześniejszej znajomości utrudniłaby mi dochodzenie.

Dima poczuł to samo zniecierpliwienie, co przy wszystkich kontaktach z Rossinem.

– Do rzeczy, dobrze?

– Sytuacja znacząco się rozwinęła, ale uprzedzam: ta misja niesie ze sobą duże ryzyko.

– Myślę, że zdaję sobie z tego sprawę – odparł Dima.

– Wasz człowiek jest niezwykle sprytny. Musicie być tego świadomi. Jak wiecie, mam doskonałe kontakty z dostępem do akt DGSE, DCRI, DPSD...

Dima go uprzedził.

– I wszystkie ich akta na jego temat zostały wyczyszczone.

Rossin skinął głową i pogroził palcem.

– Co więcej, nie ma żadnych poszlak, że kiedykolwiek istniały jakieś materiały na jego temat. Doskonale zatarł za sobą ślady. Ale! – Oczy mu się zaświeciły. – Service Central de la Sécurité des Systèmes d’Informations... – Urwał, żeby szybko zaczerpnąć tchu. – Pokazali mi ogniwo łączące go z północnoafrykańskim skrajnym ugrupowaniem, Force Noir, które rzekomo infiltrował w latach dziewięćdziesiątych w Clichy-sous-Bois.

– Ładna część miasta.

Dima pamiętał tę dzielnicę: ponure, nijakie wieżowce z mieszkaniami dla biedoty, całe w graffiti, porośnięte talerzami anten satelitarnych. I ani jednej białej twarzy.

Rossin kiwnął głową, usta wygiął w dół w galijskim wyrazie niesmaku.

– Jedna z najgorszych; cała w ogniu przez większą część lata 2005 roku. Odkąd Sarkozy przykręcił im śrubę, jest tam trochę lepiej. – Otworzył laptopa. – Zaczailiśmy się przy kilku blokach, o których wiedzieliśmy, że w nich działają. – Uderzył w klawisz jak pianista rozpoczynający koncert. – *Et voilà!*

Dima spojrział na ekran.

Salomon. Dokładnie taki, jakim go zapamiętał i jakim opisał go sierżant marines Henry Blackburn. Wysoka postać, grube brwi, wydatne kości policzkowe i ciemne, puste oczy. Wiek i narodowość trudna do ustalenia. Doskonały potrójny agent XXI wieku, terrorysta. Dima poczuł, że znów przyspiesza mu tętno, a mięśnie klatki piersiowej napinają się.

– To on.

Obrócił laptopa do Krolla, który nachylił się do ekranu. Rossin odsunął komputer z powrotem do siebie.

– To jeszcze nie wszystko.

Przewinał powoli zdjęcia trzech innych mężczyzn, wchodzących i wychodzących z tego samego bloku.

– Bernard, Syco, Ramon. Nazwisk chyba nie mają. Wszyscy notowani.

– Mój faworyt to Syco – powiedział Kroll, patrząc na największego i najpaskudniejszego z całej trójki.

– Kiedy je zrobiono?

– Wczoraj.

– Dobra robota. Masz logi?

Rossin otworzył nowe okienko i przeczytał godziny.

– Salomon – wchodzi o trzeciej trzydzieści, niedługo po tym, jak przyjechało tamtych trzech. Najprawdopodobniej mieszkają na dziewiątym piętrze. Salomon wychodzi o ósmej. Śledziliśmy go do małego hoteliku przy Rue Marcellin Berthelot, jakieś cztery kilometry stamtąd. Jest tam zameldowany jako Zayed Trahore; porządne, algierskie nazwisko. Ale godzinę później wraca do mieszkania i założy się, że ciągle tam jest.

Rossin pozwolił sobie na tryumfalny uśmiezek. Oto człowiek, pomyślał Dima, który kocha swoją pracę.

– Teraz najciekawsze. Wczoraj wieczorem, o wpół do dziesiątej, dostarczyła im coś furgonetka z lotniczej firmy przewozowej Cargotrak. Dodam, że to niezbyt dobra pora na kręcenie się po tamtejszych ulicach. Syco i Ramon wnieśli do budynku skrzynię wielkości mniej więcej małej lodówki.

Dima spojrzał na Krolla.

– Jezu. Wwiózł to samolotem towarowym.

Kroll powoli wypuścił powietrze.

– Łatwiej tak niż jako dodatkowy bagaż, jeśli się posmaruje, komu trzeba.

Rossin podniósł palec.

– Cargotrak ma długoterminowy kontrakt z CIA na dostawy do Afganistanu i sąsiednich krajów. Jak mówiłem, wasz człowiek to niezły spryciarz.

Kroll włączył skaner Szenka.

– Co to? – Rossin nagle się zaniepokoił.

– Nasze ubezpieczenie.

Kroll porównał współrzędne z mapą Paryża na iPadzie, pożyczonym od Omorowej.

– Zgadza się.

Dima zapatrzył się w dal.

– Dobra. Bierzmy się za to. Gdzie Władimir?

– W hotelu.

– Mam nadzieję, że blisko Clichy.

Rossin uśmiechnął się.

– Trzy przecznice od hotelu Salomona. W bardzo lokalnej atmosferze.

– Ma co trzeba?

– Oczywiście.

– Czy ty nigdy nie sypiasz?

Władimir przyjrzał się im dobrze przez judasz, zanim ich wpuścił.

– Czterdzieści pięć minut temu położyłem głowę na poduszce.

Dima uściskał go po bratersku.

– Co to jest poduszka?

Rozejrzał się po pokoju. Czekał na nich mały, lekki arsenał: trzy pistolety automatyczne Glock 9mm, paczka granatów ogłuszających, trzy mocne latarki, noktowizyjne gogle, ulubiony zestaw wspinaczkowy Władimira.

Dima podniósł liny.

– Potrzebowałeś tego, żeby się wydostać z Iranu?

– Amara namówiła mnie, żebym został na pogrzeb. Były mi potrzebne, żeby wydostać się z jej sypialni.

– Czyli pogodziła się ze swoją stratą.

– Była nieźle wkurzona, że nie może ze mną lecieć do Paryża.

– Nic jej nie powiedziałaś, prawda?

– Jestem sybirakiem, nie idiotą.

– Jesteś wystarczająco trzeźwy na następny odcinek?

– Skoro muszę...

Dima odwrócił się do Rossina.

– Jeśli będziemy cię potrzebować...

Rossin pokręcił głową.

– Przez następne parę dni nie będzie mnie w mieście.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, że się wycofałeś.

Rossin wzruszył ramionami.

– Sam powiedziałaś: my się nie wycofujemy.

Pojechali brudnym Citroënem xantią, który załatwił im Rossin. Samochód z trzema mężczyznami w środku o trzeciej nad ranem był magnesem na

policję, nawet bez bagażnika pełnego broni. Kroll robił, co mógł, by przestrzegać ograniczenia prędkości, dopóki nie dotarło do niego, że o tej porze nikt inny na drodze tego nie robi.

Blisko kwartału bloków w Clichy musieli poczekać, bo strażacy gasili płonący samochód. Oddział policji ładował do radiowozów protestujących, młodych ludzi. Piątek nad ranem nie był najlepszą porą na odwiedzinę w tej okolicy.

– Szkoda, że nie możemy odwiedzić jednocześnie mieszkania i pokoju Salomona w hotelu.

– Najpierw chcę dostać bombę. Sprawdź skaner.

Sygnal wyraźnie pulsował. Dima powinien był się ucieszyć, ale coś nie dawało mu spokoju, coś, czego nie potrafił określić.

– Miejmy nadzieję, że znów się nam nie wyslizgnie.

Wejście na klatkę schodową było otwarte – drzwi dawno zniknęły. Podobnie jak winda.

– Dziewięć pięter. Kurwa – powiedział Władimir.

– Dobrze ci zrobi. Chodź.

Trzy piętra wyżej przestąpili jakąś parę, nieprzytomną od narkotyków. Pod stopami zachręściły strzykawki. Kilka mieszkań było wypalonych, nie miało drzwi. Niektóre spośród tych z drzwiami sprawiały wrażenie, że ten stan długo nie potrwa, sądząc po natężeniu awantur w środku. Na ósmym piętrze napotkali grupę młodych mężczyzn z zasłoniętymi twarzami i pistoletami w dłoniach.

– Zawróćcie, jeśli nie chcecie umrzeć.

– Nie mamy czasu, spierdalaj – powiedział Dima i nie podnosząc nawet glocka, postrzelił prowodyra w rękę z bronią.

Mężczyzna zwinął się w kłębek, a pozostali zniknęli w otwartych drzwiach.

Piętro dziewiąte, mieszkanie numer sześć. Jeszcze raz spojrzeli na skaner – jasnozielone, pulsujące światelko. Dima założył noktowizyjne gogle. Dwaj pozostali zrobili to samo. Uważnie przyjrzeni się drzwiom. Potem Dima i Władimir stanęli z boku, gotowi wpaść do środka, kiedy tylko Kroll przestrzelił zamek.

Dima w skoku wystrzelił kilka razy, wysoko, żeby nie trafić bomby. Mieszkanie było nieduże: sypialnia, salon, kuchnia, łazienka. Wszystkie ściany były wysprejowane graffiti. Śmierdziało moczem. Było pusto.

– Kurwa. Zły adres – stwierdził Kroll.

– Niekoniecznie – odparł Władimir. Stał w łazience i wskazywał palcem małe, zielone, pulsujące światełko. Rzeczywiście, migało ono na sygnalizatorze bomby. Ten jednak nie był przymocowany do walizkowej atomówki.

80 // Fort Donaldson, USA

Kiedy Blackburn znów usłyszał kroki, zerwał się. Szczelina, przez którą podawano mu jedzenie, miała z boku niewielką szparę, przez którą wpadało światło z korytarza. Miał ochotę przycisnąć do niej twarz, żeby zobaczyć, czy uda mu się dojrzeć śpiewającego. Ale na suficie celi była kamera, monitorująca go przez okrągłą dobę. Schwab powiedział, że pilnują go, żeby nie popełnił samobójstwa. Blackburn był prawie pewny, że tamta piosenka mu się przyśniła. Jak Dima miałby przesłać mu wiadomość? Skąd by wiedział, gdzie jest?

Tylko co, jeśli ten człowiek naprawdę przekazywał wiadomość od Dimy? Blackburn mógłby go zdemaskować, gdyby się odezwał. Dlatego zagwizdał melodię.

Brak odpowiedzi. Tylko szuranie drabiny, potem kroki.

Zagwizdał jeszcze raz.

Nic.

George poszedł do swojej ciężarówki. W ciągu dnia często do niej chodził po papierosy. Tym razem nie miał jednak ochoty zapalić. Wyjął awaryjny, jednorazowy telefon na kartę i zadzwonił do Hala.

– Odpowiedział gwizdaniem. Co mam robić?

– Wracasz do niego?

– Mogę.

– Zaśpiewaj jeszcze raz, tylko tym razem „Jestem tu, w Paryżu”.

Minęło pół godziny. Czy coś koło tego. Blackburn nie miał jak mierzyć upływu czasu. Znów kroki. I drabina. A potem piosenka.

Jestem tu, w Paryżu.

81 // Paryż

Dima próbował powstrzymać narastającą wściekłość. Próbował i nie mógł. Gniew prowadzi do błędów, zawsze powtarzał to swoim rekrutom. A błąd może kosztować życie.

Gdyby nie był tak wyczerpany, gdyby nie minęło tyle czasu, odkąd ostatnio położył głowę na poduszce, gdyby nie czekał tak bardzo na spotkanie z bezimiennym młodym człowiekiem ze zdjęcia, może miałby dość rozsądku, żeby zostawić sygnalizator w spokoju. Zobaczyłeś, co zobaczyłeś. Rozejrzyj się i wyjdź.

Ale nie zrobił tego. Sięgnął, chwycił go dłonią w rękawiczce i podniósł. Dopiero wtedy zobaczył przewody. A potem wszystko zalał błysk.

82 // Fort Donaldson, USA

W weekend ekipa ośrodka medycznego w Donaldsonie pracowała w niepełnym składzie. W ramach uzupełnienia braków kadrowych ściągnięto Jackie Douglis, lekarza zastępczego ze św. Elżbiety.

Ależ ona się nudziła. Jackie lubiła ostry dyżur. Od szóstej klasy o tym właśnie marzyła. Ale siedzenie w na pół opustoszałej bazie marines w ciepły weekend – nie tak wyobrażała sobie swoją zawodową ścieżkę. Poza tym jej koleżanka Stacey urządziła grilla, a ona nie mogła na niego iść.

Odgłos alarmu sprawił, że podskoczyła.

Do pokoju wtoczył się Wayne, wielki, zaspany pielęgniarz.

– Mamy awarię w brygu.

Jackie nie wiedziała, co oznacza awaria, ani co to jest bryg. Ale brzmiało to interesująco, a ona akurat bardzo potrzebowała jakiegoś zajęcia. Dlatego wyszła z ośrodka za Wayne. Na korytarzu po drugiej stronie asfaltowego placu tłoczyli się mężczyźni w mundurach. Kraty na drzwiach wyjaśniły jej, co to jest bryg. Niektórzy klęczeli. Ktoś zemdłał, potrzebował reanimacji? Zaczęła w głowie odliczać rytm masażu serca.

Ale młody mężczyzna na podłodze nie potrzebował reanimacji. Klęczało na nim dwóch strażników, a trzeci siłą zakładał mu kajdany na nogi.

Jeden z nich odwrócił się i ujrzał Wayne'a.

– Masz zastrzyk?

Jackie zobaczyła, że Wayne wyciąga strzykawkę.

– Przepuście mnie! Jestem lekarzem! – krzyknęła, pierwszy raz w życiu. Całe życie czekała, żeby powiedzieć to na poważnie.

83 // Paryż

Dimę ocucił smród moczu. Przypomnił sobie, że cuchnęło nim mieszkanie. Smród wdzierał mu się do gardła, zatykał je na spółkę z kurzem. Ale mieszkania nie było widać – niczego nie było widać. Nie mógł się też poruszyć. Poczłł inny zapach. Coś się paliło. Wtedy przypomniał sobie, co się stało – i oprzytomniał do reszty. Był wściekły na własny błąd. Dobra, tym razem zrobi wszystko, jak trzeba. Po kolei. Poruszył palcami stóp – działają. Palce rąk – działają. Z nosa leciała mu krew, czuł jej lepkie ciepło na twarzy, smak w ustach. Ale był uwięziony, przysypany.

– Muszę się stąd wydostać – powiedział na głos.

Krzyknął z całych sił – nie miał ich wiele – ale dźwięk nie miał dokąd uciec. Spróbował wyprostować nogi i odkrył, że głowa przesuwana mu się wtedy lekko do przodu. Jednocześnie pojawiły się nowe rejony bólu. Udo i lewa ręka. Ta, którą strzelał. No, prawą też radził sobie nienajgorzej. Myśl pozytywnie. To jedyne wyjście. Myślenie negatywne donikąd nie prowadzi.

Salomon musiał się ich spodziewać. Wiedział, gdzie będą szukać bomby, wiedział, że mają skaner namierzający jej sygnał. Dimę zalała nowa fala gniewu, dodała mu sił. Coś się osunęło i chmura gipsowego pyłu wywołała u niego atak kaszlu. Paliła go cała pierś.

Ktoś coś podniósł, w twarz zaświeciła mu latarka.

– Ja pierdolę... Jest tutaj! – zawołał Kroll.

Dima wyglądał jak duch, biały nie tylko w świetle latarki, ale i od kurzu.

– Po chuj to zrobiłeś? Chciałeś nas wszystkich pozabijać?

– Po prostu mnie stąd wyciągnij, dobrze?

Słyszał syreny służb ratunkowych. Odgłos ten dodał mu bardzo potrzebnej energii. Kroll i Władimir postawili go na nogi. Były jak z gumy.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Rossin.

84 // Fort Donaldson, USA

Jackie Douglis nie potrzebowała dużo czasu, żeby się zorientować, że młody mężczyzna na podłodze potrzebuje jej pomocy. Po pierwsze, był odwodniony, co było widać wyraźnie po jego cerze i pożółkłych białkach oczu. Po drugie, nie przyjmował pożywienia. Jednak jej zdaniem, niezależnie od tego, co mówili wartownicy, że kogoś niby zabił, człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy.

Najstarszy stopniem strażnik, Halberry, nie poprawiał sytuacji, nazywając ją „panienką”. Może i był od niej dwa razy starszy, może i mógłby być jej ojcem i tak dalej, ale mamy XXI wiek i czas najwyższy się z tym pogodzić.

W końcu doszli do porozumienia – więzień ma zostać przeniesiony do izolatki w ośrodku medycznym na obserwację i uzupełnienie płynów. Musi pozostać skuty. To nie podlegało dyskusji i Jackie przyznała, że owszem, nic nie wie o tym młodym człowieku i że tej bitwy nie wygra. Ale życie w centrum medycznym Donaldsona nagle zrobiło się o wiele bardziej interesujące.

W końcu wypędziła wszystkich strażników i zostali sami. Zbadala mężczyznę, jak należy. Nagle się odezwał.

– Doktor Douglis.

Jackie wciąż nie przywykła, że ktoś się do niej tak zwraca, ale brzmiało to nieźle. Spojrzała na młodego żołnierza, który miał na nazwisko Blackburn, i uśmiechnęła się. Jego oczy ożyły.

– Uśmiechnęła się pani.

– Owszem.

Zrobiła to ponownie.

– Dziękuję – powiedział młody sierżant. – Nie sądziłem, że kiedyś jeszcze to zobaczę.

Cztery godziny później, wciąż z zawrotami głowy po opowieści, którą

usłyszała od skutego żołnierza, niechętnie zostawiła go pod opieką nocnej zmiany. Poszła do łóżka, słysząc w głowie jego słowa, historię o atomowych bombach w walizkach, Rosjanach i terrorystach... Dwie godziny później, wciąż nie mogąc zasnąć, postanowiła zadzwonić do ojca.

– Przykro mi, kochanie, komisja taty ma całonocne posiedzenie – odpowiedziała asystentka senatora Josepha M. Douglisa, Sheila Perkins, nazywana Kuloodporną, bo wszystko i wszyscy zatrzymywali się na niej. A teraz kontrolowała jeszcze jego prywatny numer – no dobrze, Jackie wiedziała, jak to obejść.

Wysłała mu mailem prośbę o telefon.

Pilne!

Zadzwonił dwie sekundy później.

– Skarbie, wszystko w porządku?

Dzięki Bogu za jego uzależnienie od blackberry. Jackie powtórzyła ojcu wszystko, co usłyszała od sierżanta Blackburna.

– Przykro mi to mówić, skarbie, ale na świecie jest mnóstwo ludzi, który opowiadają najróżniejsze historie. Szczególnie ci, którzy byli w strefie wojny; czasem źle im to robi.

– W takim razie dzwonię do „New York Timesa”. „Córka członka senackiej komisji bezpieczeństwa odkrywa plan zamachu bombowego w Nowym Jorku, ale jej tata nie chce o tym słyszeć”. Nieco przydługie, ale na pewno przerobią to w chwytliwy nagłówek.

Joe Dougkis poczuł klepnięcie w ramię. Znow zaczynała się sesja. Westchnął, pokonany. Jego córka była uparta – jeszcze bardziej niż jej matka.

– Załatwię to, skarbie, dobrze?

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Teraz?

– Powiedziałem, że obiecuję.

Kiedy Jackie Dougkis wróciła następnego ranka do Donaldsona, sierżanta Henry’ego Blackburna już tam nie było. Dowiedziała się tylko tyle, że w nocy przyleciała grupa specjalna i zabrała go. W nieznanym kierunku.

85 // Paryż

Tym razem Dima prowadził, a Kroll i Władimir się trzymali. Gnał xantią przez paryskie ulice, wchodził w zakręty kontrolowanymi poślizgami, prawie nie dotykając hamulców. Nie wiedział na pewno, czy Rossin wciąż mieszka pod tym samym adresem, i wątpił, że go tam zastanie, ale póki co nie miał lepszych pomysłów.

Timofiejew mógł dać cynk Salomonowi, ale Rossinowi?

Salomon był najlepszym uczniem Dimy. Chłonał wszystko, czego Dima mógł go nauczyć, jakby już to wiedział i tylko sobie tę wiedzę odświeżał. Znał odpowiedzi, zanim Dima kończył pytanie: chwycił wszelkie techniki za pierwszym razem i nigdy nie musiał ich ćwiczyć. Potrafił dźgać, kopać i uderzać celniej i mocniej niż każdy inny rekrut. Radził sobie ze wszystkimi zadaniami, jakie wyznaczał mu Dima, z budzącą respekt łatwością. Nie raz i nie dwa Dima miał wrażenie, że Salomon czyta mu w myślach i wie, czego się spodziewać. Teraz czuł się tak samo. Salomon znów był o krok przed nim.

Dima zahamował bokiem przed renaultem espace Rossina. Wyskoczył z samochodu, zanim ten zdążył się całkiem zatrzymać, otworzył drzwi i wyciągnął Francuza na chodnik. Ten jeszcze nawet nie uderzył o ziemię, a już miał nóż przy szyi. Oczy omal nie wyszły mu z orbit. Dima zerknął do jego samochodu – był wyładowany bagażami.

– Twój wyjazd właśnie został odwołany.

– Dima, proszę. Ja... nie rozumiem.

Dima jedną ręką ścisnął go za gardło, drugą przystawił nóż.

– Nie rozumiesz, dlaczego ciągle żyjemy?

Z najwyższym trudem powstrzymywał się, żeby nie wbić Rossinowi noża w szyję, ale popełnił już wystarczająco dużo błędów jak na jedną noc. Rossin musiał szybko zrozumieć, że to nie przelewki. Dima obrócił nóż w dłoni

i odkroił mu płatek ucha.

Francuz zakwiczał jak prosię, ale Dima przyłożył mu ostrze do ust, czubkiem do połowy w nozdrzu.

– Gdzie on jest, MÓW!

Po policzku Rossina spływała ślina, mieszała się ze strumyczkiem krwi z ucha.

– W drodze na lotnisko. Leci do Nowego Jorku.

– A Paryż? Giełda?

Rossin potrząsnął głową.

– Giełda jest pilnowana, ktoś dał im cynk.

– Atomówki. Już je wysłał?

Rossin kiwnął głową, przerwał w pół ruchu.

– Nie wiem. Nie wiem...

– Którym lotem leci?

– Atlantis, to ten z klasą tylko business...

– Czemu mam ci wierzyć?

Dima przycisnął Francuzowi nóż do ucha.

– Tak mi powiedział. Że wylatuje o siódmej rano.

Kroll już dzwonił do Omorowej, sprawdzał lot.

– Pod jakim nazwiskiem?

– Nie wiem. Klnę się na Boga.

Dima przysunął twarz bliżej.

– Dobrze, ostatnie pytanie: dlaczego?

Rossin przełknął ślinę. Krew i łzy ściekały mu na koszulę.

– Proszę. Ja musiałem. Dima, znasz go. Nie można mu odmówić. Zrozum. Dima. Znasz mnie. Nie nadaję się do takich rzeczy. Śledzenie, obserwacja – to tak.

Powstrzymanie się, żeby nie wbić mu noża w szyję, wymagało od Dimy ogromnego wysiłku, ale to by oznaczało jeszcze więcej bałaganu do sprzątnięcia. Puścił Rossina, a ten zwałił się na ziemię. Spojrzał na zegarek – popsuty w wybuchu. Zabrał zegarek Rossinowi – piąta piętnaście. Godzina i czterdzieści pięć minut.

Odwrócił się do Krolla, który stał z komórką przy uchu.

– Chcesz listę pasażerów?

– Nie ma czasu. Zajmij się tym tutaj. Zabierz mu laptopa, zobacz, co na nim ma. Wyciśnij z niego, ile się da. Zabij go, jeśli nie będzie współpracował. Ja

jadę na lotnisko.

– Ochrona cię nie przepuści.

– Zabiorę ze sobą Bułganowa. Dobrze wiedziałem, że się przyda.

– Co to jest?

Na widok poobijanego citroëna na twarzy Bułganowa pojawił się grymas niesmaku.

Wyciągnięty z łóżka po trzech godzinach snu nie był w najlepszej formie.

– Tym właśnie jeździmy my, zwykli śmiertelnicy.

Po drodze Dima wdrożył go w sytuację.

– Co ja mam robić?

Przez noc apetyt Bułganowa na udział w akcji jakby trochę zmalął.

– Użyj swojej magii, żeby nas przeprowadzić przez ochronę. Salomon będzie w poczekalni dla VIP-ów Atlantisu, a jak go tam nie znajdziemy, to złapiemy go przy bramce.

– Ale ja nie mam rezerwacji.

– Masz. Omorowa załatwiła. Plus jeden ochroniarz. Tyle że my nigdzie nie lecimy.

Dima pożyczył ubranie z garderoby Bułganowa. Nawet prowadząc ze sobą słynnego oligarchę nie przeszedłby przez ochronę pokryty gipsowym pyłem i krwią Rossina.

– Myślałeś nad tym, jak go powstrzymamy?

– Czy w poczekalniach dla VIP-ów wciąż mają metalowe sztucce? Bo jak nie, to będę musiał rozbroić kogoś z ochrony lotniska.

– Okropnie się wszystkim narazimy.

– No to co? Jesteśmy Rosjanami. Zawsze gramy tych złych.

87 // Departament Bezpieczeństwa Krajowego, Nowy Jork

Ostatnią rzeczą, którą Blackburn pamiętał, był uśmiech Jackie. Trzymał się tego wspomnienia kurczowo niczym liny ratunkowej, żeby nie dać się wessać z powrotem w otchłań zapomnienia.

Po jej uśmiechu były inne twarze. Potem nic, potem wrażenie podróży – wciąż na noszach, ale w powietrzu, bo strzelało mu w uszach. Teraz siedział na wózku, półprzytomny po chemicznym śnie, wieziony w górę windą. Wcześniej słyszał ruch uliczny, klaksony, klekot diesli – zdecydowanie miasto.

Ktoś dał mu po twarzy. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby zasygnalizować wrogie nastawienie. Blackburn przywykł już do wrogości. Może się uodpornił. Słyszał tamtą piosenkę. To była wiadomość od Dimy. Dima zajmował się sprawą. Chce, żeby wiedział.

Pokój miał okna, ale szyby były do połowy matowe. Dwie żółtawe jarzeniówki nadawały zielonoszarym ścianom niezdrowy odcień. Mocno czuć było papierosami.

– OK, Henry. Lot minął bez problemów?

Blackburn skupił wzrok na człowieku, który się przed nim pojawił. Siwe, krótko przycięte włosy, przypominające szczecinę porastającą głowę i pół twarzy. Gruby kark, szerokie bary. Budowa futbolowego obrońcy.

– Która godzina?

– Bardzo dobrze, cieszę się, że ciągle jesteś w stanie myśleć. Właśnie minęła czternasta. Witamy w Wielkim Jabłku.

Pochylił się bliżej.

– Jestem agent Whistler z Bezpieczeństwa Krajowego. Podobno wydaje ci się, że ktoś chce w najlepszym mieście na świecie zdetonować atomówkę.

Blackburn nie odpowiedział.

– Osiem godzin temu dostałem telefon, że w brygu w Donaldsonie jest marines, który zastrzelił swojego dowódcę i który opowiada jakąś wariacką historię. A mówi mi to nikt inny, jak amerykański senator. Masz wysoko postawionych przyjaciół, Henry.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Cóż, to akurat jest istotne, bo nie marnowalibyśmy dolarów podatnika na przewożenie cię do Nowego Jorku, gdyby nie kazał nam tego zrobić senator. A skoro już tu jesteś, to równie dobrze możemy posłuchać twojej historii.

Za każdym razem, kiedy Blackburn opowiadał, co wiedział, brzmiało to w jego uszach coraz mniej wiarygodnie. Geniusz zła, były współpracownik CIA, renegat, który chce zniszczyć Zachód za pomocą jednoczesnych eksplozji jądrowych w Paryżu i Nowym Jorku, do tego suma zebranych przez niego i Dimę informacji – mapy w banku, słowa umierającego Baszira, znajomość Dimy z Salomonem. Przez cały czas, kiedy mówił, Whistler wyglądał przez niematową połowę okna; poranne słońce odbijało się od jego błyszczącego czoła. Blackburn nie potrafił się zorientować, czy agent go słucha. Może siedział tu z musu, bo ktoś mu kazał.

Kiedy skończył, Whistler odwrócił się do niego.

– Dobrze, ja to widzę tak. Przerwij mi, jeśli coś pokręciłem. Widziałeś dwie mapy w sejfie teherańskiego banku: Paryża i Nowego Jorku. Paryż miał wielkiego iksa na giełdzie.

– To było kółko narysowane flamastrem.

– Nieważne. Drugi znak był na Nowym Jorku, na Times Square. Jakieś daty, godziny?

– Dwie bomby tego samego dnia, maksymalny chaos. Jak 11 września.

– To twoja teoria.

– Dimy.

– A on się na tym zna, prawda? To on ci sprzedał historyjkę o tym knującym demonie zła. To nie komiks, Blackburn, a ty nie jesteś superbohaterem.

– Widziałem, jak ten mężczyzna odrzyna głowę amerykańskiemu marines. Widziałem jego twarz, jego oczy. Ten sam mężczyzna wychodził z banku w Teheranie z dwiema atomówkami.

Whistler spuścił wzrok, przyjrzał się złamanemu paznokciowi, potem go skubnął.

– Niezła historyjka, synu. Ten twój ruski koleś, Dima... Czemu go kryjesz?

- Nikogo nie kryję.
 - Zastrześliłeś własnego dowódcę, żeby mu uratować skórę. Ja bym to nazwał kryciem.
 - Blackburn nagle poczuł, że opuszczają go resztki cierpliwości.
 - Słuchaj no, Whistler, a czemu wy kryjecie Salomona?
 - Whistler obrócił się na pięcie, usta mu drgnęły, jakby chciał się skrzywić z obrzydzeniem.
 - Synu, to my tu zadajemy pytania.
 - A mnie właśnie skończyły się odpowiedzi. Dlaczego nikt nie chce sprawdzić tego Salomona? Czy to, że jest agentem CIA, oznacza, że jest nietykalny?
 - Synu...
 - NIE JESTEM, KURWA, TWOIM SYNEM.
 - Salomon działa w głębokim przykryciu. Nie ma wątpliwości...
 - Tak to wyjaśnicie swojemu senatorowi, kiedy na Wall Street rąbnie atomówka? „Proszę pana, nie mieliśmy żadnych wątpliwości, więc NAWET, KURWA, TEGO NIE SPRAWDZILIŚMY”.
- Wybuch złości sprawił, że Blackburnowi zrobiło się słabo, ale nie spuścił wzroku z Whistlera. Ktoś w końcu musiał mu uwierzyć. Był to winien Dimie. Był to winien samemu sobie.

88 // Paryż

Styl jazdy Dimy nadwerżył Bułganowowi nerwy, ale oligarcha przynajmniej otrząsnął się z resztek snu. Zatrzymali się na parkingu dla VIP-ów. Podeszło do nich dwóch ochroniarzy, żeby ich przepędzić, ale na widok dokumentów i karty VIP Bułganowa szybko się wycofali.

– *Pardon, monsieur.*

– Oni tylko robią, co do nich należy – usprawiedliwił ich Bułganow.

– Jak my wszyscy.

Steward Atlantisa czekał już na nich z biletami.

– Samolot odlatuje za dwadzieścia minut. Macie panowie jakiś bagaż do nadania?

– Nie.

Dima polecił Bułganowowi zostać z tyłu. Musiał załatwić to sam i potrzebował pełnego skupienia. Serce tłukło mu się w piersi. Był doktorem Frankensteinem stawiającym czoła swojemu monstrum.

Umeblowanie poczekalni stanowiły szare, skórzane kanapy i szklane stoliki. Wystrój był o wiele skromniejszy niż w penthousie Bułganowa, ale znajdowali się we Francji, nie w Rosji. Około dwudziestki pasażerów, prawie sami mężczyźni – kilku zgarbionych nad laptopami, niektórzy przy terminalach komputerowych, inni rozmawiający przez komórki, jeszcze inni wygodnie rozparci w fotelach. Piąta rano. Kiedy ci ludzie śpią? – pomyślał Dima. A kiedy ja ostatnio spałem?

Rozejrzał się po poczekalni, metodycznie eliminując wszystkich pasażerów, aż został mu ten najbardziej oddalony od wejścia. Twarz zasłaniał mu „Wall Street Journal”, ale dłonie, sylwetka – wszystko to wryło się Dimie w pamięć. Kiedy podszedł bliżej, gazeta opadła. Po raz pierwszy od dwudziestu lat spojrzeli sobie w oczy.

Salomon wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Może przeszedł

operację twarzy. Włosy miał trochę dłuższe niż kiedyś, z przedziałkiem pośrodku, wciąż smoliście czarne, tak samo jak brwi. Na policzkach widać było kilka pękniętych naczynek, białka jego oczu były różowawe i przekrwione. Miał na sobie szyty na miarę garnitur i białą koszulę rozpiętą na piersiach; wyglądał bardziej jak playboy niż pałający nienawiścią do Zachodu terrorysta.

Salomon spoglądał na Dimę spod w półprzymkniętych powiek; uniósł lekko jedną brew, jakby miał przed sobą kolejnego irytującego intruza, a nie człowieka, który uczynił z niego śmiertcionośną broń.

– Nigdy się nie poddajesz, prawda? – zapytał.

Dima poczuł nieprzyjemne połączenie nienawiści i czułości. Trudno wymazać wszystkie pozytywne uczucia do kogoś, kogo uważało się kiedyś za bliską osobę. Ale mina Salomona wyraźnie dawała do zrozumienia, że jest to uczucie nieodwzajemnione.

– Znasz mnie. – Dima ruchem głowy wskazał otoczenie: bogatych ludzi czekających na luksusowy samolot. – Widzę, że dobrze ci się powodzi. O to ci chodziło?

Salomon odwrócił wzrok.

– Chodzi mi o coś, Majakowski, czego nigdy byś nie zrozumiał.

– Oczywiście, nie jestem psychopatą.

Salomon wzruszył ze znużeniem ramionami.

– Świat stracił równowagę. Coś się musi wydarzyć.

Złożył gazetę i odłożył ją starannie na stolik obok. Potem splótł ręce na kolanach. Każdy ruch wykonywał z precyzją robota. Tym właśnie jest, pomyślał Dima, maszyną w ludzkim ciele.

Salomon uśmiechnął się chłodno.

– Kiedy dowiedziałem się, że jesteś na moim tropie, rozbawiło mnie to. Nie myślałem o tobie od... nawet nie pamiętam. Dlatego postanowiłem cię sprawdzić.

Z głośników rozległ się komunikat, że lot Atlantis na JFK zaprasza na pokład. Dima odzyskał głos.

– Niewiele miałeś do sprawdzania.

Salomon uniósł brwi.

– Faktycznie, stoczyłeś się, mimo że rzuciłeś picie. Czy może znów do tego wróciłeś? Ale o wielu rzeczach mi nie powiedziałeś, Dima, kiedy byłem twoim pilnym uczniem. Na przykład nigdy bym nie pomyślał, że kiedyś

byłeś zakochany i że nawet spłodziłeś dziecko.

Usta Salomona wygięły się w zimnym uśmiechu.

– Niedoszła głowa rodziny. Jakie to wzruszające. I jakie smutne, że nigdy go nie poznałeś. Pracuje na giełdzie, zresztą wiesz. Sympatyczny chłopak, podobny do ciebie.

Serce Dimy tłukło się o żebra, jakby chciało się z nich wyrwać.

– Timofiejew nie żyje. Zabiłem go. Kafarow też. To już koniec. Zostałeś sam.

Salomon uśmiechnął się pod nosem.

– Zapomniałeś, Dima, że ja zawsze byłem sam. Nigdy nie udawałem, że jest inaczej.

– Uciekła ci szansa w Paryżu. Myślisz, że w Nowym Jorku ci się uda?

Salomon ściągnął brwi w grymasie zniecierpliwienia.

– Co masz na myśli? Mnie nigdy nic nie ucieka. Przecież wiesz.

Jego oczy były studniami śmiertelnej czerni.

– Wiesz, co mnie najbardziej smuci? Że nie znalazłem sposobności, żeby ci odciąć ten irytujący łeb od żalostnego, starego karku porządnym, ostrym nożem. Widok twojej śmierci sprawiłby mi wielką przyjemność.

Zaczął wstawać. Dima rzucił się na niego i chwycił go obiema rękami za szyję. Salomon ścisnął mu nadgarstki w miazdzącym uścisku. Natychmiast rozbrzmiał alarm i nie wiadomo skąd wyskoczyło pół tuzina ochroniarzy. Czterech z nich oderwało Dimę od Salomona i przycisnęło go do podłogi.

Salomon poprawił garnitur i odwrócił się do pozostałych pasażerów, pospiesznie uciekających od szarpaniny. Potem przystanął, cofnął się i nachylił tak, że jego twarz znalazła się o centymetry od twarzy Dimy.

– Biedny stary Majakowski. Zawsze nie tam, gdzie trzeba. Powinieneś być w budynku Giełdy, próbować ratować swojego syna. – Zerknął na zegarek. – Szkoda, że już nigdy się nie spotkacie. Dziesiąta trzydzieści i... – Pstryknął palcami. – *Au revoir, Paris.*

89 // Nowy Jork

Whistler zadzwonił do Langley dwadzieścia minut temu i ciągle czekał na połączenie. Pracownik CIA rzekomo odpowiedzialny za kontakty z Bezpieczeństwem Krajowym wybrał się na zwolnienie i jeszcze nie wyznaczono jego zastępcy.

– Tyle w temacie współpracy między agencjami – powiedział Whistler Vivaldiemu, który grał mu w komórce.

Człowiek, który w końcu odebrał telefon, musiał gdzieś podejść i jeszcze raz sprawdzić jego dane, dopiero potem przełączył go do działu o nazwie Rejestr Współpracowników. Whistler poprosił kobietę o sennym głosie i imieniu Cheryl o informacje na temat współpracownika o kryptonimie Salomon i usłyszał, że są niedostępne „w tej chwili”.

– A kiedy będą dostępne, Cheryl?

Prychnęła.

– Nigdy. Nie masz uprawnień, skarbie.

Whistler miał dość psychologii. Blackburn rzucił mu rękawicę. Co powie, kiedy okaże się, że sierżant mówi prawdę? Jak będzie się czuł ze świadomością, że to właśnie on go zlekceważył? Często myślał o tych, którzy nie zdecydowali się sprawdzić podejrzanych uczniów kursu pilotażu, którzy potem staranowali Twin Towers. Czy postąpiłby tak samo? Czy chciałby żyć z takim piętnem?

Dlatego zrobił coś, co musiało na niego ściągnąć reprimendę. Zadzwonił do biura senatora Douglisa i poprosił o rozmowę. Ku jego zdumieniu natychmiast go połączono.

– Witam pana, jestem agentem, któremu zlecono sprawę sierżanta Blackburna.

– Cieszę się, że pan dzwoni, agencie Whistler. W czym mogę pomóc?

Whistler powiedział mu, w czym rzecz, a senator odparł, że natychmiast się

tym zajmie. Trzy minuty później zaćwierkała komórka Whistlera. Dzwonił zastępca dyrektora Bezpieczeństwa Krajowego, człowiek, którego nigdy nie widział na oczy.

– Whistler, chce pan, żeby pana wywalili?

– Proszę pana, wolę, żeby mnie wywalili za zadawanie pytań, niż za to, że nie pytałem.

Minęło pół godziny. Whistler przyniósł Blackburnowi kawę.

– Wiedz, że właśnie zaryzykowałem dla ciebie swoją karierę.

Blackburn nie odpowiedział. Za bardzo pochłonęło go doświadczenie pierwszej filiżanki kawy od czasu, kiedy zaczął się cały ten koszmar.

Po następnej półgodzinie do pokoju weszło trzech mężczyzn, których wcześniej nie widział, w towarzystwie bezpośredniego przełożonego Whistlera, niejakiego Dumphreya, w stroju do golfa i czerwonego na twarzy. Cała trójka miała podobne ponure miny. Najniższy i najbardziej łyсы niósł duży segregator ze zdjęciami.

– Dobra, do roboty.

– Lepiej, żeby to było coś warte, Whistler – szepnął Dumphrey – bo inaczej wpadniesz w gówno po uszy.

90 // Paryż

– Dobrze, dobrze, w porządku. Dajcie mi tylko chwilkę, panowie.

Bułganow odkrywał w sobie pokłady unżenia, o których istnieniu nie miał pojęcia.

– Panowie, naprawdę bardzo przepraszam. Jesteśmy Rosjanami. Łatwo się unosimy. Kiedy się pokłócimy, bywa gorąco. Dzięki Panu Bogu, że nikt nie był uzbrojony... dzięki waszej ścisłej ochronie. Jeśli chcecie, żebym zadzwonił do ministra spraw wewnętrznych, osobiście go w tej chwili przeproszę.

Wzmianka o wysoko postawionych znajomych sprawiła, że ochroniarze się zawahali. Ale Giraud, szef ochrony lotniska Charlesa de Gaulle'a, nie zamierzał dać się zastraszyć jakiemuś spasionemu, ruskiemu oligarsze.

Póki co ignorował Bułganowa. Przyglądał się Dimie. Ten człowiek wyglądał podejrzanie. Miał pył we włosach, śmierdział lekko moczem. Giraud widział jego irański paszport, słyszał wymyśloną na szybko historyjkę Bułganowa, że jego towarzysz jest zbiegiem prześladowanym przez władze. I nie był przekonany. Poza tym wydawało mu się, że gdzieś widział tę twarz. Musiał to sprawdzić.

Dima przeklinał się w duchu za daremny atak na Salomona. Kolejny błąd. Popełniał ich za dużo. Ale wszelkie logiczne myślenie zaburzało mu to, co przed chwilą usłyszał od Salomona.

Salomon nie odpuściłby sobie Giełdy tylko dlatego, że zwiększono poziom zabezpieczeń. On nigdy z niczego nie rezygnował. Albo podłożył tam bombę zanim podwojono straż, albo dostał się do środka jako człowiek z ochrony.

Bułganow wciąż próbował negocjować.

– Gdyby zgodzili się panowie potraktować tę sytuację jako wyjątek i przekazać tego człowieka pod moją kuratelę, byłbym wam dożgonnie zobowiązany...

Giraud go nie słuchał. Patrzył na zdjęcie na swoim iPhone. Nagle szeroko otworzył oczy.

– Dima Majakowski. Idzie pan z nami.

91 // Nowy Jork

Mężczyzna z segregatorem nazywał się Gordon i pracował w nowojorskim biurze CIA. Był niższy i grubszy od Whistlera, ale emanował naturalnym poczuciem wyższości elity z Langley.

– Panowie, proszę odsunąć się od biurka, kiedy otworzę segregator, dziękuję. Zdjęcia są tajne. Nie muszę przypominać, że znajdujemy się w niezwyklej sytuacji, pokazując fotografie współpracowników CIA przestępcy.

Whistler usłyszał, jak jego szef wydaje z siebie oburzone westchnienie, zanim się odsunął.

Gordon położył segregator na stole przed Blackburnem. Wszyscy przyglądali się, jak przewraca strony. W segregatorze znajdowało się pięćdziesiąt fotografii.

Mimo działania kawy środek, który podano Blackburnowi wcześniej, wciąż krążył mu w krwiobiegu i sprawiał, że ciążyły mu powieki. Przypomniawszy sobie kata Harkera w turbanie. Przypomniawszy sobie twarz na monitorze w banku. Salomon, nazwisko, które Al-Baszir wymówił z ostatnim oddechem. Przewracał kartki, przyglądając się kolejnym twarzom.

Jeden z agentów Bezpieczeństwa Krajowego westchnął i spojrzął na zegarek.

Ale Blackburn nie zamierzał się spieszyć. Postanowił zrobić to dobrze, skoro miała to być ostatnia pożyteczna rzecz, jaką wykona kiedykolwiek w życiu.

92 // Paryż

Dziewięta trzydzieści. Skuli Dimę i wsadzili go na tylną kanapę renaulta, między dwóch funkcjonariuszy ochrony lotniska. Trzeci usiadł z przodu, obok kierowcy. Słońce już wstało. Na przelotówce w centrum utworzył się już korek – godziny szczytu; samochody niechętnie rozstępowały się na dźwięk syreny. Dima zamknął oczy – to pomagało mu się skupić. Niecała godzina. Salomon podłożył bombę – albo zrobili to jego ludzie. Mogła być gdziekolwiek w budynku. Musiała zostać przemycona – jako co? Jakaś przesyłka, karton, skrzynia. Coś, co nie wzbudziłoby niczyich podejrzeń.

Czy Rossin wiedział coś więcej? Jeśli tak, Kroll by to z niego wydobył. Furgonetka Cargotraku – czy została wykorzystana do przewiezienia bomby do budynku Giełdy? Bernard, Syco, Ramon. Ile wiedzieli?

Jechali do centrum. Zobaczyli wieżę Eiffla, objechali w pędzie Łuk Tryumfalny, przeskakując pomiędzy samochodami. Kierowca dobrze się bawił. Jeden z ochroniarzy obok Dimy powiedział mu, żeby się uspokoił, ale tamten nie słuchał. Dima siedział bardzo spokojnie, nie skarżył się ani nie protestował. Utrzymanie czujności jest zawsze trudne, kiedy twoja ofiara zachowuje się biernie. Oszczędzał siły na odpowiedni moment. Nikt z jego strażników nie zapiął pasów. Bardzo dobrze. Dima wypatrzył broń kierowcy w kaburze pod jego prawą pachą. Przez chwilę patrzył na drogę, kiedy zbliżali się do innego samochodu. Potrzebował uderzenia. Ciężarówka wyładowana materiałami budowlanymi. Dima wziął głęboki oddech, żeby natlenić organizm, a potem z całą siłą, jaką miał w nogach, rzucił się do przodu. Zarzucił skute nadgarstki na szyję kierowcy, zaparł się kolanem o oparcie fotela i szarpnął rękami w lewo i w prawo, żeby łańcuch kajdanek werznął się tamtemu w szyję. Głowa kierowcy poleciała do tyłu, jego ręce puściły kierownicę. Dwaj ochroniarze pilnujący Dimy rzucili się na niego, ale ułamek sekundy później renault rąbnął w ciężarówkę.

Huk zderzenia zagłuszyła eksplozja otwierających się poduszek powietrznych, które wepchnęły kierowcę i pasażera z przodu głęboko w fotele. W przypadku Dimy siłę uderzenia wytłumiło oparcie. Kiedy białe worki sflaczały, jakąś sekundę później, kierowca osunął się bezwładnie w przód. Poduszki nie pomogły wiele krzepkim, nieprzywiązanym pasami ochroniarzom z tyłu. Ten po prawej przeleciał pasażerowi nad głową i do połowy wystawał przez przednią szybę; przedni fotel złożył się pod ciężarem jego ciała, miażdżąc siedzącego w nim mężczyznę. Strażnik po lewej wciąż był przytomny. Zaczął nawet wyciągać pistolet. Nic mu to nie dało. Dima strzelił mu w skroń – krew zachlapała tapicerkę – potem przeszukał mu kieszenie, znalazł kluczyki do kajdanek, a także inną, równie przydatną rzecz – legitymację ochrony lotniska. Sięgnął przez trupa, otworzył drzwi, wykopał go na zewnątrz i sam się wygramolił. Na chodniku stał z rozdziawionymi ustami jakiś przechodzień. Dima wycelował w niego z pistoletu, w drugiej ręce trzymając kluczyki.

– Rozpinaj albo nie żyjesz. Już!

Młody mężczyzna, odchylając głowę w obawie przed strzałem, odebrał kluczyki drżącymi dłońmi i rozpiął kajdanki.

– Daj telefon.

Nowy iPhone.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że jest ubezpieczony.

Dima rzucił się biegiem w kierunku Giełdy – ale miał do pokonania ponad półtora kilometra. Po drodze zadzwonił do Krolla. Ulica była zakorkowana. Wskoczył na jezdnię, przed jakąś dziewczynę na skuterze.

Kroll odebrał.

– Zaczekaj.

Pokazał dziewczynie pistolet.

– *Mademoiselle, je suis désolé.*

Podnosząc ręce, zsiadła ze skutera z szeroko otwartymi oczami.

– Znajdziesz go niedaleko Giełdy.

Wskoczył na siodełko i popędził chodnikiem, mniej zatłoczonym niż jezdnia. Jedną ręką kierował, w drugiej trzymał telefon.

– Właśnie dzwonił Bułganow – powiedział Kroll.

– Dzwonź do ochrony Giełdy. Na pewno, powtarzam: na pewno jest tam bomba. Każ im wszystkich ewakuować. Musieli tam coś podrzucić. Coś, co się nie rzuca w oczy. Przyciśnij Rossina. Może coś wie.

Przechodnie rozpląszczali się na witrynach sklepów, a Dima pędził chodnikiem. W oddali ponad budynkami zamajaczył gmach Giełdy, neoklasycystyczny pomnik ku czci pomnażania bogactwa. Jego jasne, ponadczasowe kolumny wyglądały na niezniszczalne.

Dima zeskoczył ze skutera i zaczął biec. Znów zadzwoniła komórka. Kroll.

– Dima! Jest w kopiarce.

– Ile tam mają biur? To będzie, kurwa, jak szukanie igły w stogu siana.

– Policja ma rozkaz strzelać bez pytania. Nigdy nie dostaniesz się do środka.

– Spróbuję.

Następne słowa Krolla były ledwie słyszalne przez wycie syren.

– Ta kopiarka to może być Imajquik. Niebiesko-czerwone logo.

93 // Nowy Jork

Blackburn powoli przewracał kartki, z wysiłkiem skupiając wzrok na kolejnych twarzach. Zdjęcia miały w sobie coś dziwnego, coś, co sprawiało, że wszystkie twarze były obojętne, niewzruszone. Ale z drugiej strony takie właśnie miały być – trudne do zapamiętania. Ci ludzie zostali wyszkoleni, by zdradzać jak najmniej emocji, by wtapiać się w tło i znikać.

– Panowie, ja bardzo proszę.

Gordon machnął ręką na Whistlera i Dumphreya, którzy przysunęli się bliżej.

– Dajmy mu trochę przestrzeni. Zaszliśmy tak daleko, nie chcemy popełnić błędu.

Blackburn przeglądał zdjęcia. W pokoju było tak cicho, że słyszał tylko szum ulicy gdzieś w dole. Nowy Jork pracuje, ale jak długo jeszcze? Spróbował po raz kolejny przywołać twarz z filmu z Harkerem, twarz na monitorze w banku. Obraz w jego pamięci blaknął, jakby Salomon zamazywał go siłą woli.

Dotarł do ostatniej strony. Na żadnym zdjęciu nie rozpoznał Salomona. Podniósł wzrok i wyczuł, że atmosfera w pokoju się zmienia.

Potem zamknął segregator i zaczął jeszcze raz od końca. Na piątej stronie były tylko trzy zdjęcia i jedno puste miejsce. Zatrzymał się, podniósł wzrok.

– Kurwa... – jęknął Dumphrey.

Blackburn tylko na nich patrzył, z palcem na kartce. Pod pustym miejscem widniał numer: 240156 L.

– A teraz chcesz nam wmówić, że Langley spreparowało zdjęcia.

Whistler uznał to za zabawne. Gordon nie. Zaciśnął pulchne pięści, na czubkach kłykci pojawiły mu się białe punkty.

– To oburzająca sugestia.

Blackburn starał się panować nad głosem, ale gniew i frustracja nadawały

mu dziwnego wibrato. Zniżył ton do szeptu.

– Salomona tu nie ma. To wasz agent. Ale go tu nie ma. Dlaczego?

Dumphrey westchnął i spojrzał na pozostałych.

– Mam już chyba dość tego czubka.

94 // Paryż

Dima wbiegł na schody, schował pistolet i wyciągnął przed siebie legitymację ochrony lotniska. Drogę zagroziło mu dwóch uzbrojonych strażników. Z legitymacją w dłoni ruszył w ich stronę, nie zwalniając kroku.

– Biuro szefa ochrony, szybko! Macie tam podejrzany pakunek.

W pierwszej chwili chcieli go chyba zatrzymać i przepyttać, potem się rozmyślili.

– Pierwsze piętro, na górze schodów.

Za wielkimi, starymi drzwiami na parkiecie tłoczyli się mężczyźni w luźnych, czerwonych marynarkach. Ściany rozświetlały rzędy pomarańczowych i żółtych cen.

Dziewięta czterdzieści cztery. Dima wbiegł na wielkie, marmurowe schody, ledwie zauważając bogatą, złoconą boazerię. Uderzył ręką w przycisk pierwszego alarmu przeciwpożarowego, jaki znalazł. Nic. Wyłączony. Salomon chciał, żeby wszyscy byli na swoich stanowiskach, rzeź miała być jak największa. Dima zawrócił i pobiegł do podziemi, gdzie omal nie zderzył się z człowiekiem w kombinezonie.

– Którędy przychodzą dostawy?

– Przez magazyn. Ale nie może pan...

Przebiegł przez jakieś podwójne drzwi, przyglądając się uważnie wszystkiemu. W magazynie stał wózek widłowy, kilka wózków transportowych i pudła na paletach. A w przeszklonej budce trzech mężczyzn pochylało się nad kubkami kawy.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Szukam fotokopiarki Imajquik, dostarczonej przez Cargotrak.

Żaden na niego nie spojrział.

– Mamy przerwę – powiedział jeden.

Dimę kusiło, żeby wszystkich zastrzelić, ale potrzebował ich pomocy.

– Popieprzyło się nam, wysłaliśmy wam zły model. Muszę go zabrać, bo moje życie zmieni się w piekło.

Jeden z mężczyzn przestał żuć i popatrzył na innych.

– Kolega już powiedział, mamy przerwę.

Żuli i przełykali z obojętnymi twarzami.

– Powiedzcie mi tylko gdzie, to sam to znajdę.

Popatrzyli po sobie. Jeden parsknął śmiechem.

– To?

– Właśnie, co to znaczy „to”?

– Panowie, spieszy mi się.

– Ma pan autoryzację? To jest globalna instytucja handlowa, przyjacielu. Tylko wykonawcy z autoryzacją.

Wymienili zadowolone z siebie spojrzenia ludzi na bezpiecznych, dobrze płatnych posadach. Francuzi zasłużyli sobie, żeby ktoś wysadził ich w powietrze, pomyślał Dima, ich zamiłowanie do biurokracji nosi znamiona patologii.

Złapał najbliższego za kołnierz koszuli. Gorąca kawa bryznęła z kubka na pozostałych dwóch. Przystawił mężczyźnie do głowy pistolet ochroniarza z lotniska, zakręcił lufą, wwiercając ją w luźną, tłustą skórę tamtego.

– Oto moja autoryzacja.

Dwaj pozostali zerwali się z krzeseł.

– Przywozili je cały tydzień.

– Cztery w weekend.

– Tak lepiej.

Nic tak nie wzbudza woli współpracy jak pistolet przy głowie.

– Poszły na drugie piętro.

– I na trzecie.

Biegąc po schodach, Dima rozważał, jakie ma wyjścia. Alarm nie działał. Nie było możliwości ewakuacji – nawet gdyby przekonał wszystkich, żeby mu uwierzyli. Gdyby zaczął krzyczeć: „Bomba! Atak terrorystów! Uciekajcie!”, ryzykował, że zainteresuje się nim ochrona, która najpewniej zastrzeliłaby go na miejscu.

Musiał szukać dalej, wiedząc, że każda sekunda przybliża go do detonacji. Zadzwoił z komórki do Krolla.

– Drugie piętro. Chodź tu szybko!

Dotarł na drugie piętro i wbiegł do pierwszego pokoju, jaki zobaczył. Pięć kobiet popatrzyło na niego znad komputerów.

– Kserokopiarki, niedawno dostarczone?

Wszystkie spojrzały na niego pustym wzrokiem. Pobiegł do następnego pokoju: znów ludzie przy komputerach.

– Jasne – powiedział ktoś, wskazując. Dima obrócił się. W kącie, na lewo od drzwi, jakaś kobieta podnosiła wieko szarego urządzenia i kładła na szybie kartkę.

– Nie! – wrzasnął Dima. Skoczył do przodu i złapał ją za rękę.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, wyrywając się. – Byłam pierwsza.

Nacisnęła przycisk na panelu. Kopiarka zawarczała, wypluła kopię, a kobieta przepchnęła się obok Dimy do drzwi.

– Niektórzy nie wiedzą, co to dobre maniery.

W następnych dwóch pokojach też były kopiarki. Obu używano. Czy to mógł być działający egzemplarz? Nie.

W piątym pokoju Dima zastał samotną kobietę. Wbiegł tak szybko, że wrzasnęła i zerwała się z fotela.

– Nowe kopiarki, z Imajquika?

Błysk skojarzenia w oczach.

– Pan z serwisu?

Uśmiechnęła się.

– Szuka pan gabinetu Adama, na górze.

– Gdzie na górze?

– Wygląda pan... wszystko w porządku?

– Po prostu... niech mi pani powie, gdzie.

– Adam Levalle, zastępca dyrektora działu komunikacji.

Dima wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie na raz i wpadł do pomieszczenia z napisem „Dyrektor działu komunikacji”. Znow kobieta, rozmawiająca przez telefon; młoda, o ciemnej karnacji, ładna i oburzona. Zmarszczyła brwi, zakryła słuchawkę dłonią.

– Jest pan umówiony?

– Kopiarka! – wysapał Dima, z trudem łapiąc oddech. – Gdzie ona jest?

Rozejrzał się. Nie zobaczył urządzenia.

Kobieta westchnęła, wskazała zamknięte, podwójne drzwi i wróciła do swojej rozmowy.

– Ale będzie pan musiał przyjść później, monsieur Levalle rozmawia przez telefon.

Dima ruszył w stronę drzwi. Kobieta upuściła słuchawkę, jakby była czymś skażona, wstała i przecięła mu drogę.

– Słyszał pan, co powiedziałam? Gdzie pana identyfikator?

Pchnął ją łagodnie z powrotem na krzesło z miną sugerującą, że powinna tam zostać, a potem otworzył drzwi.

Elegancki gabinet: boazeria na ścianach, biurko, stół konferencyjny i krzesła, ładne, skórzane. Młody mężczyzna rozmawiał przez telefon, z twarzą na wpół zasłoniętą słuchawką. Kobieta była uparta. Złapała Dimę za łokieć.

– Proszę pana, nie wolno.

Adam Levalle, zastępca dyrektora do spraw łączności, spojrział w ich stronę. Przystojna, inteligentna twarz, pełna energii – nie można go było nie rozpoznać.

Dima zamarł.

96 // Nowy Jork

Gordon, Whistler i Dumphrey wymienili spojrzenia.

Whistler odezwał się pierwszy.

– To w końcu ten Salomon istnieje czy nie?

Gordon za wszelką cenę próbował zachować resztki swojego autorytetu.

– Muszę zadzwonić. Czy mogę gdzieś?...

Dumphrey eksplodował.

– Dzwonź pan stąd, byle szybko. Albo jesteśmy świadkami największej ściemy od czasu dzienników Hitlera, albo będziemy mieli III wojnę światową.

Gordon zadzwonił do Langley i zaczekał. Z jego telefonu dobiegała melodyjka oczekiwania na połączenie. Potem nagle się wyprostował...

– Dobry wieczór panu... Tak, proszę pana, tak, ale... Potrzebuję identyfikacji współpracownika 240156 L.

Poczerwieniał.

– Tak, rozumiem, proszę pana, przepraszam, że zawracałem...

Zeszło z niego powietrze.

– 240156 L jest w długoterminowym przykryciu. Jego zdjęcie jest w tym momencie niedostępne.

Spojrzał groźnie na Whistlera, którego wyraźnie bawiło jego upokorzenie.

– Radzę, żebyście panowie kontynuowali przesłuchanie w nieco bardziej zdecydowany sposób, aż będziecie mieli coś naprawdę konkretnego i przestaniecie ZAWRACAĆ NAM GŁOWĘ!

Dumphrey rąbnął otwartą dłonią w stół.

– Dobra, koniec tego.

97 // Paryż

Adam Levalle skończył rozmawiać i popatrzył na dobrze zbudowanego, wyraźnie zdenerwowanego nieznajomego, który stał przed nim i szybko oddychał. Zupełnie nie pasował do otoczenia. Wyglądał na wyczerpanego, ale jednocześnie spiętego.

– Przepraszam pana, ten... człowiek wpadł tu i bełkotał coś o kopiarce. Mam wezwać ochronę?

Dima z trudem łapał oddech. Zdjęcia Paliowa: młody mężczyzna na moście, w parku. Salomon też je widział. A wysłanie bomby właśnie jemu, synowi Dimy, było częścią jego planu.

– Ach – powiedział Adam Levalle i wskazał kopiarke. – I tak nie powinno jej tu być. Już z nich prawie wcale nie korzystamy. – Uśmiechnął się. – Biuro bez papieru. Takie są założenia.

– I jeszcze mnie popchnął!

– Dziękuję, Colette, zajmę się tym.

Dima otrząsnął się i wrócił do chwili obecnej. Oderwał wzrok od Adama. Podeszedł do kopiarkei.

– Ktoś jej dotykał?

– Colette powiedziała, że nie działa. Szukałem wtyczki, ale...

Zegar na ścianie pokazywał za dziesięć dziesiątą. Dima odwrócił się do Adama.

– Musi pan stąd wyjść. Uciec gdzieś daleko. Najdalej, jak się da.

Adam Levalle nie był człowiekiem, który robił, co mu kazano, zwłaszcza w swoim własnym gabinecie. Ale natarczywość niezapowiedzianego gościa, jego wygląd świadczący, że wiele przeszedł, żeby się tu znaleźć, w tym konkretnym momencie wzbudziły jego ciekawość. Coś musiało się za tym kryć.

Dima przyjrzał się urządzeniu. Żadnego widocznego gniazda zasilania,

żadnych kabli. Odwrócił się znów do Adama.

– Nie mogę włączyć alarmu, ktoś go sabotował. I nie mogę tego czegoś rozbroić. Jeśli zrobi pan, co mówię, może się pan uratować. Czy Giełda ma schron przeciwbombowy?

Levalle kiwnął głową.

– Niech pan tam idzie. Niech pan weźmie ze sobą tylu ludzi, ilu pan zdoła, szybko. Niech pan nie czeka, jeśli będą protestować. I niech pan nie pozwoli, by ktokolwiek pana zatrzymał. Proszę iść.

Dima rozłożył ramiona i próbował zapędzić ich do drzwi.

Colette nie drgnęła.

– Proszę pana, ten człowiek nie ma identyfikatora. Myślę, że powinnam wezwać ochronę.

– Co pan zamierza zrobić? – spytał Adam, nieporuszony, ciekawy.

– Muszę to stąd zabrać, najdalej jak się da. Proszę zrobić, co mówię.

Oczy Dimy płonęły.

Adam się zastanowił.

– Będzie pan potrzebował pomocy. Chyba jest tu wózek, w magazynie artykułów biurowych na końcu korytarza.

Colette trzymała rękę na telefonie.

– Dzwonię po ochronę.

Dima podszedł do niej, wyrwał jej słuchawkę.

– Dobrze, posłuchajcie. W tej kopiarce jest bomba. Mamy parę minut, o ile się nam poszczęści, żeby uratować życie wszystkich w tym budynku i w całym Paryżu. Jeśli wezwie pani ochronę, oni mnie zatrzymają, ja będę stawiał opór, oni mnie zastrzelą i ostatecznie całe miasto zginie.

– Ale... kim pan jest?

– Tak – powiedział Adam – kim pan jest?

Dima usłyszał na zewnątrz szybkie kroki. Podszedł do Adama i wziął głęboki oddech, zbierając się na odwagę, by wymówić to imię.

– Czy pana matka miała na imię Camille?

Adam ściągnął brwi, kiwnął głową.

– Moja... moja biologiczna matka, tak, ale ona... Skąd pan to wie?

– A więc proszę to zrobić dla niej, jeśli nie dla siebie.

Adam i Dima przewieźli kopiarke na wózku przez korytarz do windy. Adam co chwila zerkał na spiętego nieznajomego, który właśnie wtargnął w jego życie, głosząc nadejście apokalipsy. I który, co zupełnie niezrozumiałe, wiedział o nim coś, czym Adam podzielił się z bardzo niewieloma osobami.

– Czy mogę spytać, skąd pan wiedział...

Dima nie dał mu skończyć.

– Najpierw uporajmy się z tym.

Nie chciał kusić losu, dopuszczając myśl o przyszłości dalszej niż najbliższe parę minut.

Przed nimi pojawił się Kroll, zdyszany po biegu po schodach. Kiedy tylko Dima go zobaczył, machnął ręką na młodego mężczyznę.

– Uciekaj do schronu, Adamie! – krzyknął, poganiając Krolla. – Biegnij tam i nie wracaj, aż będzie jakiś sygnał, że jest bezpiecznie.

Odepchnął go od wózka, na miejsce Adama wskoczył Kroll.

– Dziwne miejsce na podłożenie bomby. Ja bym powiedział, że lepiej byłoby gdzieś bliżej poziomemu gruntowi. Bliżej fundamentów, większe prawdopodobieństwo, że wszystko się zawali za jednym zamachem. Z drugiej strony, to nie jest konwencjonalna bomba...

W ten charakterystyczny sposób Kroll radził sobie z napięciem – bezustannie mówił, dopóki Dima nie kazał mu się zamknąć. Ale tym razem Dima go nie słyszał. Niczego nie słyszał. Myślał o tym, gdzie i jak. Zauważył, że Kroll ma na sobie kombinezon identyczny jak ci nieuczynni ludzie z podziemi – tyle że z charakterystyczną małą dziurką z czerwoną obwódką na piersi.

Winda towarowa była ciasna. Kopiarke zajmowała prawie całą dostępną przestrzeń. Kroll rozpląszczył się na drzwiach i nacisnął guzik „podziemia”. Najlepsze, co mogli zrobić, to wrócić do magazynu i porwać jakiegoś

dostawczaka. Winda ruszyła. Była stara i powolna. Rozpaczliwie powolna.

Dima przywierał do tylnej ściany, Kroll do drzwi. Wciąż gadał, najwyraźniej apokaliptyczny ładunek tuż obok nie robił mu różnicy.

– Wiesz co, Dima, po tym wszystkim naprawdę chyba wezmę sobie wolne. W końcu dzieciaki dorastają. Brak ojca i tak dalej. Gdyby tylko udało mi się pokazać ich matkom, że naprawdę się staram, że mi zależy... Myślę, że mogłoby być inaczej. Jak uważasz? Może jakieś zleconka dla Bułganowa... Nic wymagającego, rozumiesz...

Do Dimy to nie docierało. W głowie łupało mu już od nadmiaru adrenaliny. Otworzyły się drzwi.

Świat na ułamek sekundy zamarł; Dima skoczył wzrokiem od Krolla do otwartych drzwi, potem znów do Krolla: trzech strażników, trzy kule, które trafiły jego przyjaciela, zanim zdążył nawet podnieść pistolet. Kroll osłonił Dimę, kupując mu krótką chwilę wystarczającą na wycelowanie i trzy podwójne strzały – każdy w środek masy kolejnego strażnika. W dwie sekundy cała trójka osunęła się na ziemię, jeden po drugim. Ciało Krolla blokowało drogę wózkowi. Dima przeszedł górą, przez kopiaarkę, do swojego towarzysza; w jego martwych oczach zastygło zamyślane spojrzenie, wspomnienie dzieci znieruchomiałe w wyrazie twarzy.

– Żegnaj, przyjacielu.

Dima przeciągnął zwłoki na bok, zabrał broń i zapasowe magazynki jednemu ze strażników i popchnął wózek dalej, najszybciej jak mógł, w kierunku magazynu. Nie było już czasu na uprzejmości. Każdy, kto stanął mu na drodze, był celem. Dima przejechał wózkiem przez podwójne drzwi i znalazł się w magazynie. Właśnie wyjeżdżała z niego furgonetka elektryka. Wybiegł zza wózka, chwycił klamkę drzwi kierowcy i otworzył je szarpnięciem. Chłopak za kierownicą wyglądał na zbyt młodego, by mieć prawo jazdy, a co dopiero kierować transitem.

– Gaś silnik. Wyłaź. Szybko!

Chłopak posłuchał.

– Nie ruszaj się.

Dima rozejrzył się za kimś do pomocy. W przeszklonej budce nie było nikogo oprócz jednego ciała, rozebranego: dawcy kombinezonu Krolla. Za stertą pudeł coś się poruszyło.

– Wyłaź! – Strzelił na postrach, żeby nie tracić czasu.

Pojawił się drugi z nieuczynnych mężczyzn z budki. Wyglądał, jakby

wymiotował.

– Chodź tu. Ładujcie to na samochód.

Zjawili się dwaj następni strażnicy. Dima zdjął ich dwiema krótkimi seriami.

Chłopak płakał.

– Ładuj tę kopiarkę do tego zasranego samochodu albo będziesz następny.

Dima szturchnął chłopaka pistoletem. Otworzyli drzwi, ale obaj stracili siły.

– Wy dwaj, z tamtej strony – krzyknął, sam łapiąc za drugi koniec. Razem wstawili krawędź kopiarki na pakę transita, potem Dima wepchnął ją do końca.

– Nie próbujcie mi przeszkodzić, bo zginiecie, jasne?

Chłopak pokiwał głową.

Dima wskoczył na fotel kierowcy i ruszył, wjechał na rampę i wyjechał za budynek. Dziesiąta dziesięć. Skręcił na południowy zachód Rue de Richelieu, mijając po lewej Luwr. Włączone światła, migające awaryjne, lewa ręka z pistoletem na kierownicy, prawa na klaksonie. Z Quai des Tuileries skręcił w prawo, pod prąd. Przynajmniej wszyscy go widzieli i wiedzieli, że im nie ustąpi.

Musiał wyjechać jak najdalej, jak najszybciej. Minęło tyle czasu. Kiedyś znał Paryż jak własną kieszeń, teraz wielu miejsc już sobie nie przypominał, albo się zmieniły. Myśl! Gdzie w Paryżu możesz znaleźć jakieś puste miejsce, w czasie, który ci został?

W jego stronę jechały dwa radiowozy, okrakiem po obu pasach. Nie miał gdzie skręcić. Kwestia mocnych nerwów. Miał mocniejsze niż oni. Celował w odstęp między nimi. Samochody rozjechały się w ostatniej chwili, ale Dima wpadł na skrzyżowanie i przytarł autobus, który próbował ominąć; bokiem uderzył w jakiegoś citroëna i urwał boczne lusterko. Citroën zawirował jak zabawka, uderzył w trzy następne samochody i zapoczątkował karambol. Dima stanął na hamulcu, wrzucił wsteczny, przejechał przez pas zieleni i pojechał dalej. Był teraz na Voie Georges-Pompidou, pędził ponad sto na godzinę. Szaleństwo. W każdej chwili ktoś mógł w niego uderzyć, a wtedy nastąpiłby koniec. Ale każdy przebyty metr oddalał epicentrum wybuchu od serca Paryża. I od Adama Levalle'a.

99 // Nowy Jork

Dwóch osiłków prowadziło korytarzem Blackburna z kapturem na głowie. Przez krótką chwilę, kiedy pozwolono mu obejrzeć zdjęcia, ośmielił się myśleć, że los się odwrócił i że biorą go na poważnie.

Nie trwało to długo.

Słyszał za sobą Whistlera i Gordona. Ich ton sugerował, że się kłóca, ale spod kaptura nie było słychać, o czym mówią.

– Dokąd idę?

– W specjalne miejsce, gdzie bardzo szybko powiesz nam całą prawdę – odparł jeden z osiłków.

– Wydawało ci się kiedyś, że toniesz? – wtrącił drugi. – Nie? No to zaraz się dowiesz, jakie to uczucie.

Wsiadli do windy, która zwozła ich na dół. Następny korytarz był zimniejszy, podłoga – goły beton, dźwięk odbijał się echem od twardych, nieustępliwych powierzchni. Zatrzasnęły się za nimi drzwi. W pomieszczeniu było ciemno. Pasek światła przeświecający pod kaptur zniknął. Blackburn poczuł zapach wody, chlorowanej jak na basenie. Nagle ktoś zerwał mu kaptur z głowy. Przed Blackiem stały nosze na kółkach z wiadrzem na jednym końcu. Osilki zniknęły. Po obu stronach wózka stali dwaj mężczyźni w kominiarkach. Jeden trzymał dużą, przezroczystą butelkę z wetkniętą w nią rurką.

– Chcesz zmienić zdanie, zanim się położysz?

Jednocześnie zadzwoniły dwie komórki, jedna zagrała motyw z *Hawaii Five-O*, druga „Gwiazdzisty Sztandar”. Blackburn obejrzał się i zobaczył, że Gordon i Whistler słuchają rozmówców z malującym się na twarzy przerażeniem. Mężczyźni w kominiarkach stali za wózkiem. Na wąskim stoliku obok leżało kilka pasków z napinaczami i pałka.

– Dżizas, kurwa, ja pierdołę! – powiedział Gordon.

Jeden z zamaskowanych przestąpił z nogi na nogę, zniecierpliwiony.

– Możemy zaczynać, tak?

Whistler zastygł z rozdziawionymi ustami. W końcu się odezwał.

– To Paryż. Alarm jądrowy.

W głowie Blackburna zapanował chaos. Akurat w chwili, kiedy zaczął poważnie wątpić we własne zdrowe zmysły, w Paryżu się zaczęło. Następny był Nowy Jork. Blackburn popatrzył na ludzi w kominiarkach, na czekające na niego nosze. Informacja uderzyła go niczym piorun. Poczul nagły przypływ energii. Nie, powiedział sobie. To nie koniec.

Skoczył do przodu i wyciągniętymi rękami pchnął mocno wózek, przewracając obu zamaskowanych po drugiej stronie. Potem wykręcił się w prawo, złapał pałkę i zdzielił nią Gordona w głowę z taką siłą, że tamten padł bezwładnie na ziemię. Whistler stał w kącie, nie miał dokąd uciec. Sięgnął pod marynarkę, ale Blackburn uderzył go pałką w grzbiet dłoni i M9 upadł na podłogę. Whistler zasłonił się drugą ręką. Black kopnął pistolet do siebie, złapał go i już miał złamać Whistlerowi pałką nos, kiedy się powstrzymał.

– I jak będzie, Whistler? Chcesz zostać tym gościem, który nic nie robił, kiedy Nowy Jork zniknął z mapy?

Agent nie odpowiedział.

– Paryż pewnie już płonie. Wyrowadź mnie stąd, możesz być tym, który uratował swoje miasto. Chyba że wolisz, żeby znaleźli cię martwego w nielegalnej sali tortur.

Po urzędowych szarościach i beżach różnych pomieszczeń, w których go więziono, natłok jaskrawych kolorów i świateł był dla Blackburna trudny do zniesienia. Stał na północnym krańcu placu, kilka metrów od czerwonego „M” u wejścia do metra, ubrany wyłącznie w koszulę, w której przywieziono go do Nowego Jorku – pod kombinezonem motocyklowym, w którym Whistler rano przyjechał do pracy. Whistler okazał się dobrym wyborem. Miał na szczęście na tyle wyobraźni – w sam raz – by dopuścić myśl o niewinności Blackburna, który wiele zyskał, choć wiedział, że wciąż może mu się nie udać. Czego się spodziewał? Że znajdzie drugą błyszczącą walizkę stojącą pod studiem *Good Morning America*? W informacjach na wyświetlaczach na ścianie budynku o Paryżu nie było ani słowa.

Obszedł okolicę raz jeszcze. Wszędzie było pełno ludzi: turystów, kupujących, wracających z pracy, rodzin z dziećmi. Blackburn pomyślał

o swojej pierwszej wizycie w Nowym Jorku, z rodzicami, kiedy miał osiem lat. Matka zawróciła go spod drzwi pod neonem z dziewczyną w bikini trzymającą drinka. Black pomyślał wtedy, że była ładna. Teraz te drzwi i cały kwartał zastąpił sklep M&M. Zbliżała się godzina szczytu. Zamierzał stać tu do północy albo i dłużej, jeśli będzie trzeba.

Minęło pół godziny. Strumień ludzi zmierzających do metra robił się coraz większy. W tłumie pracowników wychodzących z biur brodził gigantyczny klaun, idiotycznie wyszczerzony. Blackburn przesunął się w lewo. Ktokolwiek ukrywał się w kostiumie, uznał zapewne, że zabawnie będzie zrobić to samo. Black odwrócił się, klaun znów powtórzył jego ruch. Mała dziewczynka zachichotała i pokazała ich palcem. Blackburn był na skraju wytrzymałości nerwowej, miał chęć przyłożyć klaunowi. Zamiast tego obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni – akurat w porę, by zobaczyć znajomą postać, która przystanęła przy schodach do metra u zbiegu Czterdziestej i Broadwayu, przed Citibankiem. Ich oczy na moment się spotkały. Blackburn przyjrzał się twarzy, czarnym oczom, wydatnym kościom policzkowym i wyrazistym brwiom.

A potem Salomon zanurkował w dół schodów, w ciemność.

100 // Paryż

Dima wciąż nie miał żadnego planu. A zostało mu zaledwie pięć minut. Byle dalej, jedź i myśl. Sekwana po lewej. Mógłby wjechać samochodem do rzeki, ale barierki – trzeba było poszukać jakiejś rampy. Quai Saint-Exupéry, obok Pont d'Issy-les-Moulineaux.

Barki zacumowane wzdłuż brzegu. W lusterku – zbliżający się policyjny peugeot. Nie będą ryzykowali ostrzału, za dużo samochodów. Tylną szybę przebił pocisk. Błąd.

Dima zygzakował między samochodami i ciężarówkami, zrównał się z naczepą wyładowaną toyotami. Policyjny peugeot znalazł się po jej drugiej stronie. Dima wcisnął gaz do dechy, wyprzedził ciężarówkę i zahamował. Kierowca ciężarówki odbił w prawo, naczepa złożyła mu się jak scyzoryk w poprzek jezdni i wysypała ładunek; jedna z toyot spadła na dach radiowozu.

Quai du Point du Jour przeszła w Quai Georges Gorse i skręciła na zachód wzdłuż rzeki, omijającej łukiem Île Seguin, gdzie kiedyś znajdowała się fabryka Renault, zajmująca całą wyspę w kształcie półksiężyca. Dzień i noc pięć tysięcy robotników produkowało tam samochody. Teraz wyspa była pusta, fabrykę zburzono. Dima zbliżał się do prowadzącego na nią mostu – bez skrzyżowania. Skręcił transitem w prawo, na północ, potem w lewo, potem jeszcze raz. Most miał przed sobą, zamknięty bramą. To przynajmniej oznaczało, że nikogo tam nie było. Spiął się w sobie i staranował bramę – samochód podskoczył, przejeżdżając po wyrwanych skrzydłach – a potem popędził tam, gdzie wydawało mu się, że znajduje się środek wyspy, i zahamował.

Zostało pięć minut. Pięć minut życia. Pięć minut, by spróbować do tego nie dopuścić. Otworzył tylne drzwi, wskoczył do środka i z całej siły wypchnął kopiarke na ziemię. Upadła na bok; obudowa pękła, ukazując ładunek. Nic

nie wybuchło. Dima kopnięciem odtrącił odłamki obudowy, potem złapał torbę z narzędziami elektryka. A teraz skup się, Majakowski, i bierz się do roboty.

Wygasił w sobie wszystkie emocje. Jego umysł zmienił się w procesor, podejmował decyzje, nie myślał nawet o Adamie Levalle'u.

Na lśniącej, aluminiowej obudowie nie było niczego, co mogłoby sugerować, jak ją otworzyć. Żadnych oznaczeń, numerów seryjnych, żadnych podpowiedzi. W środku musiała mieścić się rura z dwoma kawałkami uranu. Zderzone ze sobą przez detonator, eksplodowałyby. Musiał tam być jakiś ładunek, który miał do tego doprowadzić, oraz zegar, mówiący mu, kiedy ma to zrobić.

Na jednym z węższych boków Dima znalazł prostokątny panel. Wyciągnął z torby dłuto i podważył go. W Afganistanie rozbrajał ładunki wybuchowe, ale to było dawno temu. Poza tym nauczono go robić to z precyzją i cierpliwością zegarmistrza – a on nie miał czasu na takie rzemiosło. Pod panelem był zegar, diodowy wyświetlacz pokazywał 04.10. Cztery minuty, dziesięć sekund. Salomon miał obsesję punktualności, nic dziwnego, że reszta świata budziła w nim taką nienawiść.

Trzy minuty, pięćdziesiąt sekund. Dima złapał młotek z końcem do wyciągania gwoździ i spróbował wyrwać zegar. Ten ani drgnął. Był mocno przyspawany do wewnętrznej ramy, która wyglądała na wykonaną ze stali o wysokiej rozciągliwości. Ładunek mógł być mały, ale nawet taki wystarczyłby, żeby unicestwić miasto i wszystkich jego mieszkańców.

Dima pomyślał o Blackburnie: czy w końcu go posłuchali? Gdyby ta bomba wybuchła, może by mu uwierzyli, ale z Amerykanami nigdy nic nie wiadomo. Kiedy dochodzili do jakiegoś wniosku na temat czegoś czy kogoś, nie lubili zmieniać zdania.

Dobrze, zapomnij o zegarze: bierz się za detonator. Dima wskoczył z powrotem do samochodu. Było tam więcej narzędzi, ale żadnych, które mogłyby się mu przydać. Zaraz – sama furgonetka. Rzucił się na fotel kierowcy i włączył zapłon. Cisza. Samochód stał na niewielkiej pochyłości. Dima napał na niego całym swoim ciężarem i odsunął go kilka metrów, a potem puścił. Transit nabrał akurat tyle pędu, żeby przejechać po bombie. Pchaj, kieruj i módl się, żeby to zadziało. Tylne koła zetknęły się z obudową, wgniotły ją, puścił boczny spaw. Wystarczy. Dima szarpał się z młotkiem przez bite pół minuty. Słyszał syreny, cały szwadron, pędzące

Rue Troyon. Czemu dopiero teraz?

01.50.

Minuta pięćdziesiąt sekund na wyświetlaczu. Detonator – przyspawany na amen do rur. Komuś bardzo zależało, żeby nikt przy nim nie majstrował.

Kątem oka Dima zobaczył rząd niebieskich, błyskających świateł. W tę albo we w tę – już za moment. Przynajmniej będzie miał towarzystwo w ostatnich chwilach. Wbił ostry koniec młotka między detonator i rury. Ani drgnęły. Dalej, Dima! 00.48. Jeszcze jeden pomysł. Radiowozy były na moście. Spojrzał w dół i pomyślał, że być może człowiek skupia się odrobinę bardziej, kiedy ma pewność, że zginie. Wyrzucił młotek, chwycił detonator jedną gołą ręką, resztę bomby drugą, ścisnął detonator i przekręcił. 00.09, 00.08. Mocniej! Cały detonator – był zamocowany jak nakrętka wlewu oleju w silniku – obrócił się minimalnie, potem jeszcze trochę. 04, 03, 02...

Koniec gry. Dimie wydawało się, że widzi 00.00. Ułamek sekundy, w którym mechanizm wyświetlił swój śmiertelny komunikat. A potem bardzo jasny, bardzo biały błysk. I wrażenie lotu – ale bez lądowania.

Epilog

W Lasku Bolońskim liście szemrały na wietrze, co było przyjemne. Kilka stolików dalej mały piesek nie chciał przestać ujadać. Im więcej kawałków ciasta dawała mu właścicielka, tym bardziej czekał. Władimir głośno jęknął.

– Obawiam się, że będę musiał ją zastrzelić.

– Zrób coś, żeby wybić mu to z głowy – powiedziała Omorowa, podnosząc wzrok znad iPada, tak by Dima mógł odczytać słowa z jej ust.

– Mam wolne – odparł Dima zza ciemnych okularów. – Jest niedziela. Relaksuję się w Paryżu. A ponieważ nic nie słyszę, bo mi jeszcze nie zarosły bębenki, nic mi nie przeszkadza, dziękuję uprzejmie.

Znów podniósł do oczu lornetkę i popatrzył na spacerujące pary.

– Wiesz, mogliby cię za to aresztować.

– Cokolwiek według ciebie robię, mylisz się.

Pod ich filiżankami z kawą i kieliszkami z ricardem leżał „Herald Tribune”. Władimir ruchem głowy wskazał nagłówek. „Marine, który udaremnił zamach bombowy, oczyszczony z zarzutów”.

– Myślisz, że to zmyślili, bo nie chcieli być gorsi? – Przeczytał resztę artykułu. – „Terrorysta z bombą atomową zabity po pościgu w metrze”. Daj spokój. Najpierw Blackburn siedzi w kiciu za sprzątnięcie dowódcy, a potem nagle skacze po torach i ściga wroga publicznego numer jeden w nowojorskim metrze. No proszę cię.

– W Ameryce jest wolność prasy. Oni niczego nie zmyślają. Musisz mi uwierzyć, tak się da. Dlatego właśnie to oni rządzą światem. Poza tym wiem, że mój kolega Blackburn jest człowiekiem niesłychanie zaradnym. Dlatego to właśnie jego wybrałem do tego zadania.

– Teraz to ty zmyślasz. To on ci powiedział, że to Salomon.

– A znałeś go ile, dwie godziny?

– Miewałem krótsze romanse.

Omorowa popatrzyła na Władimira z sugestią niesmaku w nieodgadnionej poza tym minie, a potem uśmiechnęła się do Dimy.

– Jednemu zadałeś kłam... Że my, Ruscy, zawsze jesteśmy tymi złymi. Właściwie to by był dobry początek twoich wspomnień. Mógłbyś z tego zrobić bestseller.

– Tyle że końcówkę musiałbym zmyślić. Nic nie pamiętam.

– Detonator wybuchł, reszta nie, bo je rozłączyłeś. Uratowałeś Paryż.

– Tak, ale Francuzi nie są zachwyceni, że to my ich uratowaliśmy. Dlatego skupili się na zniszczeniach, które wyrządziliśmy po drodze.

Dima zobaczył to, czego szukał, odłożył lornetkę, wziął laskę i dźwignął się od stołu.

Omorowa pogroziła mu palcem.

– Spokojnie, nie chcemy drugi raz zeskrobywać cię z asfaltu.

– Dokąd on idzie? – spytał Władimir.

– Chyba ma jakieś niezalatwione sprawy – odparła.

Dima nie zastanawiał się nad tym, co się stanie. Szedł do przodu, uwierał go gips na złamanej nodze. Nie przygotował sobie mowy. Postanowił po prostu popłynąć z prądem, zobaczyć, jak potoczy się rozmowa i może... a może nie. I bardzo dobrze, bo nie zauważył, śledząc Adama Levalle'a i jego dziewczynę przez lornetkę, że niedaleko za nimi szła para starszych ludzi.

– Hej!

Adam pomachał, kiedy zobaczył Dimę.

– A to niespodzianka.

Chwycił jego dłoń, mocno ją uścisnął, potem go objął. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Natalie, to jest Dima. Majakowski.

Adam odwrócił się do starszych państwa z tyłu, zatopionych w rozmowie.

– Dima, pozwól, że przedstawię cię moim rodzicom. Mamo, tato, poznajcie zbawcę Paryża. Mojego bohatera.

Ale Dimie słowa uwięzły w gardle.

KONIEC